



**MARK
GIMENEZ**
zwyczajny
prawnik

Z języka angielskiego przełożył
Radosław Madejski



Tytuł oryginału: THE COMMON LAWYER

Copyright © Mark Gimenez 2009

Copyright © 2012 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2011 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga

Wykonanie okładki: DT Studio s.c.

Zdjęcie na okładce: © Gabe Palmer / CORBIS

Zdjęcie autora: © Brigitte Gimenez

Redakcja: Jacek Ring Korekta: Magdalena Bargłowska, Wioletta Bagnicka

ISBN; 978-83-7508-476-4

Sprzedaż wysyłkowa: www.merlin.com.pl

www.empik.com www.soniadraga.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp, z o, o.

Pl. Grunwaldzki 8-10,40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

Skład i łamanie: Wydawnictwo Sonia Draga

Katowice 2012. Wydanie I

Drukarnia: Abedik S.A.,Poznań

Dla Claya i Cole

Podziękowania:

Pragnę szczerze podziękować:

W Londynie - wszystkim ze Sphere/Little, Brown UK, a szczególnie Davidowi Shelleyowi, wydawcy, redaktorowi i przyjacielowi, Thalii Proctor za poprawki w tekście, Seanowi Garrehy'emu za wspianą okładkę, Nathalie Morse za wszystko, z czym radzi sobie tak dobrze, i Sarah Jones za międzynarodową reklamę oraz tournée po Australii i Nowej Zelandii.

W Nowej Zelandii - Kevinowi Chapmanowi, Margaret Samuels i Karen McMillan z Hachette Livre and Little, Brown za gościnność i znakomitą organizację trasy promocyjnej w ich kraju.

W Australii - Bernadette Foley, Mattowi Hoyowi, Seanowi Cotcherowi, Cassy Nacard, Amy Hurrell, Jakiemu Arthurowi i Nicoli Pitt z Hachette Livre and Little, Brown za Festiwal Pisarzy w Brisbane i nocną wycieczkę po Sydney.

W Austin - Noelowi Escobarowi Jr, i Chuyowi Soberonowi z Texas Custom Boots za najlepsze buty wykonane ręcznie, Gail Chovan z Black-mail za opowieści o SoCo, Dougowi Gimenezowi za informacje za temat sportów ekstremalnych i Guyowi Gimenezowi za ratunek po upalnym letnim dniu spędzonym nad Barton Creek.

W Houston - Joelowi Tarverowi z T Squared Designs za moją stronę internetową i mailing do czytelników.

Przywilej klienta - klient ma prawo wymagać od adwokata zachowania w tajemnicy pewnych informacji, które poznał podczas udzielania pomocy prawnej, i zapobiegania ich ujawnieniu podczas zeznań w sądzie.

Black's Law Dictionary,
wyd. V (Słownik Prawniczy Blacka)

Prolog:

*Dziecięcy szpital kliniczny św. Alojzego,
Ithaca, stan Nowy Jork
Godz. 2.55*

Wpatrywał się w nią z surowym i nieustępliwym wyrazem twarzy. Nie był zadowolony, ale tego się spodziewała.

- Nie patrz tak na mnie, Luigi. Nie jestem szalona.

Stali w przedsionku, tuż przed głównym wejściem, gdzie ciepło i woń środków odkażających odpierały atak chłodu i nacierających hord zarazków. Otrzepała kurtkę ze śniegu i zdjęła rękawiczki, po czym wyciągnęła rękę i pogłaskała go po zmarzniętym policzku. Był jeszcze chłopcem.

- Jesteś niesprawiedliwy. Właśnie ty powinieneś zrozumieć to lepiej niż ktokolwiek inny. Bóg nie ma zamiaru pozwalać nam żyć bez końca.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy powstał między nimi swoisty związek. Często schodziła w nocy na dół i rozmawiała z nim jak katoliczka z katolikiem o życiu i o śmierci oraz o życiu po śmierci. Wszystkie te tematy były mu dobrze znane. Patrzyła mu w oczy, oczekując odpowiedzi, które nigdy nie padały. Jego oczy zawsze zdawały się wnikać w głąb jej duszy, ale tej nocy widać w nich było tylko smutek, jak gdyby przejrzał jej zamiary.

- Nie da się inaczej.

Jak zwykle nie odpowiadał, więc spuściła wzrok niczym skruszone dziecko pod surowym spojrzeniem ojca. Jej oczy spoczęły na literach wyrytych w kamiennym cokole statuy, opowiadających historię krótkiego życia wyrzeźbionej postaci. Alojzy Gonzaga urodził się we Włoszech w 1568 roku i w wieku siedemnastu lat wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, gdzie kształcił się, aby zostać jezuitą. Podczas pracy w katolickim szpitalu w Rzymie padł ofiarą epidemii. Opiekował się tymi najbardziej poszkodowanymi, do których nikt inny nie chciał się zbliżyć, i zmarł, mając dwadzieścia trzy lata. Kościół wyniósł go na ołtarze w nagrodę za to, że poświęcił swoje życie dla ratowania innych. Święty Alojzy, patron dzieci.

- A ja jestem Dziewica Maryja.

Jej wzrok wspiął się po naturalnej wielkości posągu świętego młodzieńca, by po raz ostatni zmierzyć się z jego natarczywym spojrzeniem. Nie był w stanie jej zrozumieć. Odwróciła się i weszła do wnętrza, gdzie minęła rejestrację i windy. Nie zauważyła nikogo ani nikt nie widział jej. Podczas nocnej zmiany szpital był opuszczonym miejscem. Często o tej porze przemierzała puste korytarze, kiedy nie mogła zasnąć, ale też nie chciała oddalać się od dziecka. W ciągu kilku ostatnich nocy sprawdziła, ile trwa przejście odcinka, który właśnie teraz pokonywała. Potrzebowała dokładnie siedem i pół minuty, aby wejść i wyjść. Wzdłuż ścian ciągnęły się jaskrawe malowidła, a pod sufitem wisiały wymyślne ozdoby. W miejscach przeznaczonych do zabawy czekały na dzieci olbrzymie maskotki przedstawiające postacie z kreskówek. Kolorowe prace pacjentów zdobiły ściany niczym dzieła w galerii sztuki. Pielęgniarki chodziły ubrane w fartuchy, które mieniły się żywymi barwami. Wszystkie te kolory, ozdoby, skąpany w słońcu

dziedziniec i ogród dla rekonwalescentów świadczyły o tym, że szpital usiłował desperacko emanować radosnym nastrojem, lecz mimo to przesiąknięty był wonią śmierci. Przed nią nie dało się uciec.

A jednak one zamierzały uciec tej nocy.

Miała na nogach buty na gumowych podszewkach, więc bezgłośnie wspięła się po schodach na trzecie piętro, po czym skręciła w lewo. Szła w stronę zachodniego skrzydła. Na noc zostawała tam tylko garstka pielęgniarek, ale o trzeciej wszystkie jadły posiłek. Kiedy była już blisko dyżurki, zwolniła, wytyżając słuch, a ponieważ nie usłyszała nic, przemknęła obok. Już miała skręcać w boczny korytarz, gdy dobiegł ją odgłos kroków. Ukryła się w składziku i zamarła w bezruchu. Po chwili wychyliła głowę, aby ujrzyć plecy odzianej w kitel Kelly Fitzgerald, siostry oddziałowej, która właśnie przeszła obok. Trzydziestoletnia Kelly też miała irlandzkie korzenie i była od niej starsza tylko o pięć lat, toteż szybko się zaprzyjaźniły. Często spotykały się późną nocą przy kawie i razem wychodziły na tylną klatkę schodową, żeby wypalić papierosa.

Tej nocy jednak nie zamierzała przywitać się z przyjaciółką. Wyszła ze składziku, po cichu zamknęła za sobą drzwi i skręciła w boczny korytarz. Zatrzymała się przy pokoju 312, nacisnęła klamkę i wetknęła głowę do środka. Jej wzrok spoczął na śpiącym dziecku.

Cofnęła się i poszła do pokoju 320, gdzie w mdłym świetle lampki leżał na łóżku pogrążony we śnie szesnastoletni chłopiec. Jimmy był sparaliżowany od szyi w dół na skutek wypadku drogowego, któremu uległ w Kalifornii, kiedy to stracił panowanie nad kierownicą i jego samochód owinął się wokół słupa. Został poddany eksperymentalnej terapii urazów rdzenia kręgowego. Był królikiem doświadczalnym, jak wszyscy na tym oddziale.

Z nim też się zaprzyjaźniła. Często rozmawiali i pocieszała go, kiedy płakał. Wiedział, że nigdy nie stanie na nogi, nigdy już nie zagra w piłkę, nigdy nie umówi się z dziewczyną, nigdy nie będzie żył normalnie. Jeden głupi szczeniacki wybryk na zawsze przykuł go do wózka. Mówił, że chciałby umrzeć. Pochyliła się nad nim, pocałowała go w czoło i wyłączyła respirator. Potem wybiegła na korytarz i pognała z powrotem do pokoju 312. Ledwie zdążyła zamknąć za sobą drzwi, gdy zza zakrętu wypadła cała obsada nocnego dyżuru z siostrą Kelly na czele, ciągnąc wózek z zestawem do reanimacji. Jak się tego spodziewała, zaalarmowane sygnałem, który rozległ się w ich dyżurce, pędziły ratować Jimmy'ego. Nie przysłała tu po to, aby zabić tego chłopca. Przysłała, aby ocalić swoje dziecko.

Pośpiesznie naciągnęła na głowę pięcioletniej dziewczynki czapkę włóczkową i upchnęła pod nią rude kręcone włosy. Na zewnątrz było zimno. Do kieszeni jej piżamki wetknęła łańcuszek z medalikiem świętego Alojzego, który już pierwszego dnia kupiła w sklepiku z pamiątkami, a potem owinęła ją szpitalnym kocem i wzięła na ręce. Adrenalina buzowała jej we krwi, więc nie czuła ciężaru dziecka, które trzymała w ramionach. Podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Korytarz był pusty, toteż niezwłocznie opuściła pokój i żwawym krokiem ruszyła w stronę wyjścia z oddziału, mijając po drodze opuszczoną dyżurkę pielęgniarek.

Schodami zbiegła na parter. Teraz od drzwi frontowych oddzielała ją już tylko rejestracja. Znów przystanąła za rogiem i zaczęła nasłuchiwać. Żadnych odgłosów. Berth, leciwy ochroniarz dorabiający na nocnej zmianie, pewnie siedział w świetlicy i popijając oranżadę, plotkował z pielęgniarkami. Wzięła głęboki oddech i wybiegła zza rogu, minęła biurko rejestratorek i po chwili

była już pod figurą świętego Alojzego. Tym razem nie zatrzymała się jednak, by spojrzeć mu w oczy, gdyż nie zniosłaby dezaprobaty w jego spojrzeniu.

- Żegnaj Luigi - powiedziała tylko, po czym brnąc w śniegu, podeszła do stojącego na parkingu terenowego jeepa z napędem na cztery koła i otworzyła tylne drzwi.

- Mamusiu? - dziecko ocknęło się, gdy układała je na siedzeniu.

- Ciii. - Poglaskała córeczkę po twarzy. - Wszystko będzie dobrze, skarbie. To już koniec eksperymentów.

Dziewczynka uśmiechnęła się przez sen. Przypięła ją pasem do fotela i usiadła za kierownicą. Przekręciła kluczyk w stacyjce, wrzuciła bieg i wyjechała w ciemną noc. Były wolne.

Trzy lata później

Rozdział 1.

Andy Prescott oświadczył matce, że w każdą niedzielę uczęszcza na poranną mszę. Kłamał. Nie chodził na żadne msze w niedzielę rano. I tamtego niedzielnego poranka bynajmniej nie spędził w kościele, a w każdym razie nie był to kościół baptystyczny czy katolicki. Jego kościołem było całe Austin, wystarczyło tylko wyjść z domu, by wyznawać kult natury w obrządku austińskim.

- Zwariowałaś, Andy!

To prawda. Ale bez pewnej dozy wariactwa nie sposób było pojąć tego, co robił. W rzeczy samej trzeba być zdrowo rąbniętym, żeby pędzić na rowerze górskim po wąskiej ścieżce wyciętej wśród chaszczki, balansując na krawędzi stromego wąwozu. Bardzo łatwo stać się dawcą organów, kiedy jedynym zabezpieczeniem jest piankowy kask. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zdecydowałby się na coś takiego, ale Andy uwielbiał prędkość.

Spojrzał w tył na Tresa. Arthura Thorndike'a III - bo takie nazwisko nosił ten nieszczęsny dupek, który gdy przed dziesięciu laty przybył do Austin, szybko zyskał sobie pseudonim Tres, od „uno, dos, tres” - dzieliła go od niego odległość kilkunastu długości roweru i to wyłącznie dlatego, że Andy dawał mu fory. I również dlatego, że Tres nigdy nie kusił losu. Tres Thorndike miał konto w funduszu powierniczym, przepiękną dziewczynę i beamkę ze swoją

ksywka na tablicach rejestracyjnych, w związku z czym nie zamierzał umierać w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Andy nie był szczęśliwym posiadaczem żadnego z powyższych, toteż perspektywa śmierci przed trzydziestką nie przyprawiała go o troskę.

Przemierzali na rowerach lasy ciągnące się wzdłuż brzegów Barton Creek w rezerwacie przyrody położonym na zachodnich obrzeżach Austin. Liczący prawie trzynaście kilometrów szlak zaczynał się u podnóża skalnego nawisu Balcones Escarpment, gdzie było źródło krystalicznie czystej wody, i biegł na wschód, mijając wodospady Sculpture Falls, Twin Falls i Three Falls oraz jaskinię Airman's Cave i rozlewisko Campbell's Hole. O ile jednak potok płynął spokojnie dnem parowu, o tyle trasa rowerowa pięła się niebezpiecznie po skalnych gzymsach wystających z urwistego wapiennego zbocza i przedzierała przez gęsty las pełen ostrych zakrętów oraz nieoczekiwanych stromizn, dostarczając wielu sposobności do śmiertelnego wypadku.

- Andy, ty się zabijesz!

Było to całkiem realne, ale umierając, wiedziałby przynajmniej, że już trafił do nieba.

Austin słynęło z uroków natury i w porównaniu z Dallas czy Houston było rajskim ogrodem, jednak ćwierć wieku niepoahamowanego rozwoju wyparło z miasta niemal całą przyrodę. Ocalał tylko ten pas zieleni o powierzchni trzystu dwudziestu hektarów, który zapewniał ucieczkę od tłumów i betonowych ścian, od hałasu i spalin oraz od zaduchu sierpniowych upałów. Tutaj można było znaleźć zieleni, wodospady, czyste powietrze i orzeźwiająca bryzę. Ciszę mąciło tylko szemranie wiatru w koronach drzew i plusk wody obmywającej głazy w korycie potoku. Z tego miejsca miasto wydawało się bardzo odległe.

Było to jednak tylko złudzenie. Miasto znajdowało się blisko i napierało ze wszystkich stron. Tę ostoję zieleni otaczały dzielnice mieszkaniowe i centra handlowe, w poprzek zaś przecinały ruchliwe autostrady. Deweloperzy najchętniej zagarnęliby również cały ten pas zieleni, który stał się lokalnym Alamo, ostatnim przyczółkiem natury, ale spacerowicze, rowerzyści, pływacy i biegacze byli gotowi bronić go do upadłego.

- Na wypadek gdybyś tego nie wiedział, Andy, samobójstwo jest niezgodne z prawem!

Przy wzroście niespełna metr osiemdziesiąt Andy ważył siedemdziesiąt kilo, nie był więc dostatecznie rośli, aby grać w futbol, ani też nie miał predyspozycji do wyczynowego uprawiania sportu. Kiedy jednak po raz pierwszy usiadł na rowerze górskim i pognał w dół stoku, zupełnie nie panując nad kierownicą, wiedział już, że znalazł swoje powołanie i dyscyplinę sportu, w której naprawdę był dobry. Andy Prescott potrafił utrzymać się na siodełku i nie bał się, że z niego spadnie.

Należał do tego nowego gatunku sportowców, którzy porywali się na ekstremalne wyczyny, ludzi na tyle szalonych, by szusować po stoku zagrożonym lawiną, surfować po falach miotanych huraganem albo pędzić rowerem na złamanie karku po zdradliwej ścieżce, a wszystko po to, by poczuć ten dreszcz. Bo o to właśnie chodziło tym uzależnionym od adrenaliny młodym mężczyznom i kobietom przekraczającym granice, za którymi nie obowiązują żadne reguły. Jedyne, co tam się liczy, to ty sam oraz wszystko, co masz w swoim wnętrzu.

Jeśli chodzi o Andy'ego, miał w mięśniach czworogłowych ud stężony kwas mlekowy. W takich chwilach były rozpalone niczym zawory silnika tłokowego, który rycząc na wysokich obrotach, windował go po sześćdziesięciometrowym, prawie pionowym

stoku na szczyt Wzgórza Życia, by potem rozpedzić do prędkości dźwięku na stromym zjeździe. Andy zeskokczył z wapiennej półki, niesiony siłą rozpędu przeleciał nad pokruszonymi kawałkami skał i gwałtownym skrętem skierował się na wschód, ku najbardziej spadzistej ścieżce prowadzącej w dół. Za plecami słyszał popiskujące niczym prosiaki hamulce Tresa, który w panicznym strachu rył piętami ziemię, usiłując zwolnić. Tres dosiadał najdroższego modelu Cannondale Prophet wyposażonego w pełną amortyzację, ale jeździł zbyt bojaźliwie. Andy był jego przeciwieństwem. Rozbijał się na kupionym z drugiej ręki schwinnie o twarde zawieszaniu. Żadnych hamulców. Czysty obłąd.

Zatankowane przed przejażdżką paliwo rakietowe pod postacią dwóch puszek red bulla wprawiło go w stan kofeinowego amoku. Był nabuzowany i czuł, że osiąga szczytową formę, kiedy tak gnał w dół zbocza, trawersując jak narciarz na olimpiadzie, a keplarowe opony z grubym bieżnikiem haratały ziemię jak zęby pitbula wbijające się w miękkie ludzkie ciało. Lawirował między poczerwiałymi pniami wypalonych dębów, a potem skosił kilka zwieszających się nisko wyschniętych gałęzi, gdy przedierał się przez tunel gęstych zarośli, których rozmazane kontury dostrzegał kątem oka. Natrafił na potężny garb i przeleciał trzy metry w powietrzu, ale zdołał zachować równowagę po twardym lądowaniu. Wystarczyłby jeden mały błąd, a skrzyłby sobie kark, koziołkując na dno wąwozu, ale na samą myśl o tym czuł się jeszcze bardziej pobudzony. Adrenalina wzbierała w jego żyłach niczym narkotyk, napelniając mocą umysł i ciało.

Andy Prescott nigdy nie czuł się bardziej żywy.

Miał na sobie szorty o wojskowym kroju, converse'y i podkoszulek, który w dusznym upale późnego teksańskiego lata cały

przesiąkł potem. Jego dodatkowe wyposażenie ograniczało się do niewyszukanych okularów słonecznych i plecaka z wkładem hydratacyjnym, który mieścił jego rzeczy osobiste i trzy litry Enduroxu R4, napoju popularnego w kręgach miłośników sportów ekstremalnych. Na głowie miał kask. Andy Prescott był szalony, ale nie głupi.

- Andy, zwolnij!

Zawsze przyjeżdżali tu w niedzielne poranki, ponieważ nic nie trzymało ich w domu, choć co prawda Tres cieszył się ostatnimi chwilami wolności, ponieważ jego dziewczyna już planowała ślub i potomstwo. Poza tym wszyscy weekendowi spacerowicze, biegacze i mniej odważni rowerzyści rozsądnie trzymali się familijnej dwukierunkowej ścieżki, która biegła wzdłuż strumienia jakieś trzydzieści metrów niżej. Oznaczało to, że mogą śmigać po zboczach, nie ryzykując zderzenia z jakimś przechodniem.

- Andy, zaraz się wywalisz!

Andy Prescott i wypadek? Był tak upojony pędem, że nawet nie dopuszczał takiej możliwości.

- Zapomnij stary! - Obejrzał się na Tresa.

- Andy, przed tobą!

Odwrócił głowę do przodu i jego serce na moment stanęło. Na wprost niego trzy siwowłose kobiety stały przytulone do siebie na samym środku drogi.

Na rany Chrystusa, to nie jest miejsce na niedzielną herbatkę!

Andy pędził zbyt szybko, by zatrzymać się w porę, a na wąskiej ścieżce nie było miejsca, żeby wyminąć przeszkodę. Po lewej stronie wznosiła się skalna ściana, po prawej zaś stroma skarpa opadała na dno parowu. Wiedział, że jeśli z taką prędkością uderzy w staruszki, niechybnie je pozabija. Ale jeżeli wypadnie z trasy, runie w przepaść i poniesie śmierć na miejscu.

Kobiety już go zauważyły. Próbował dawać im znaki, by się usunęły, one jednak zamaryły w bezruchu niczym jeleni oślepieni reflektorami samochodu. Jedna z nich krzyknęła przerażona widokiem rozpedzonego rowerzysty. Była podobna do jego matki.

- O kurwa - mruknął Andy.

Kiedy już tylko ułamki sekund dzieliły go od zderzenia, skrzył ostro kierownicą w prawo i wystrzelił ku niebu. Szybując w przestworzach, mógł podziwiać niesamowitą panoramę okolicy i wolny od wszelkich przyziemnych ograniczeń rozkoszował się tym nirwanicznym doznaniem, dopóki grawitacja nie przypomniała o sobie.

Zaczął spadać w zawrotnym tempie. Spojrzał w dół i zobaczył, że ziemia pędzi w jego stronę. Zaparł się stopami o pedały i przyciągnął do siebie kierownicę, jakby chciał zadrzeć przednie koło do góry, aby wylądować na tylnym. Przez chwilę wydawało mu się, że zjeżdża w ten sposób w dół urwiska. Wrażenie to okazało się jednak złudne, gdyż zaraz po zetknięciu z gruntem tylna opona zawadziła o wystający pniak, szarpnięty gwałtownie rower stanął na obu kołach, a Andy jak wyrzucony z katapulty przeleciał nad kierownicą. Wykonał w powietrzu kilka zgrabnych aczkolwiek niezamierzonych fikołków i łamiąc napotkane po drodze gałęzie upadł na plecy. Nie był to jednak koniec przejażdżki. Odbił się od ziemi i niesiony siłą rozpędu poturlał się dalej bezwładnie w dół stoku porośniętego krzakami jałowca. Przekoziółkował nad biegnącą dołem ścieżką i zdążył jeszcze usłyszeć swoje imię wykrzyczane pełnym zgrozy głosem Tresa, zanim jego ciało pograżyło się w spienionej kipieli wodospadu Sculpture Falls.

Ocknął się, gdy Tres wyciągał go z wody, poklepując po policzkach.

- Andy, Andy, nic ci nie jest?

- Czy on zginął? - do jego uszu dobiegł jakiś inny głos, cieńszy.

Miał nadzieję, że nie. Gdy uniósł powieki, świat był pociemniały i rozmazany. Zobaczył nad sobą dwie postacie, dużego Tresa i małego Tresa. Nie, stał nad nim Tres i jakieś dziecko z liną w rękę.

- Czy on zginął? - powtórzył pytanie chłopiec.

Andy wpadł do wodospadu dokładnie tam, gdzie dzieci bawiły się w Tarzana na linie zwisającej z drzewa. Tres zgromił dzieciaka surowym spojrzeniem i przyłożył komórkę do ucha. Andy słyszał jego głos, który zdawał się dochodzić z oddali.

- Halo, halo. Nigdy nie można złapać zasięgu w tym wąwozie. - Tres schował telefon i znów zaczął klepać Andy'ego po twarzy.

Andy chciał zasłonić się przed uderzeniami, które przybierając na sile, groziły poważnym wstrząśnieniem mózgu, ale ramiona miał jak z waty.

- Przestań mnie okładać, stary!

- Pobiegnę na górę zadzwonić po karetkę.

- Człowieku, ja nie potrzebuję pogotowia. Mam ochotę na piwo.

- Na pewno?

- Tak, jestem pewien, że chcę napić się piwa.

- Nic ci nie jest?

- Nic poza tym, że kiepsko widzę. Wszystko jest jakieś ciemne.

- Bo masz na oczach okulary przeciwsłoneczne.

- Aha. - Andy zdjął okulary.

Tres badawczo przyglądał mu się z bliska przez dłuższą chwilę, po czym jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Chłopie, ale dałeś popis. W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak pięknie poleciał na mordę.

- To miło, że ci się podobało. - Andy wyciągnął w jego stronę zaciśniętą dłoń i przybili żółwika. - Kiedy dostaję zastrzyk adrenaliny, nawet nieźle mi wychodzi.

Chłopiec odwrócił się do nich plecami.

- Nie zabił się! - krzyknął do kogoś, po czym zakołysał się na linie i plusnął w wodę.

Tres szturchnął kolegę w ramię.

- Teoria Samsona się sprawdza, przynajmniej tym razem - powiedział.

Andy pokręcił głową, próbując dojść do siebie, ale to tylko pogłębiło jego oszołomienie.

- Co z rowerem?

- Kto by sobie dupę zawracał twoim rowerem? Popatrz lepiej na siebie.

Andy przyjrzał się sobie. Nie należał do tych weekendowych kozaków, którzy obwieszali się ochraniaczami jak zawodowcy, toteż jego ciało przyjęło na siebie cały impet zderzenia z ziemią. Osmagane gałęziami ręce i nogi pokrywały krwawe pręgi, a kolana i łokcie miał całe czerwone od otarć, co oznaczało, że będzie musiał pocierpieć przez tydzień, zanim wszystko się zagoi. Przemoczone do suchej nitki ubranie było podarte na strzępy, co nie stanowiło dużej straty, gdyż cała jego garderoba pochodziła ze sklepu z odzieżą używaną prowadzonego przez Stowarzyszenie Wincentego à Paulo. No, prawie cała, gdyż wyjątek stanowiła bielizna. Majtki na wagę to by już była przesada.

Jego skóry nie przebijały odłamki pękniętych kości, a wszystkie kończyny funkcjonowały jak należy, chociaż każdy ruch lewego ramienia i prawego kolana powodował niewyobrażalny ból. Kask wciąż tkwił na swoim miejscu, a z uszu Andy'ego nie ciekła krew, więc nic nie wskazywało na to, że odniósł jakiś poważny uraz

głowy. Mimo to krwawił. Pluł krwią, a kiedy przetarł twarz, na palcach pozostały krwawe ślady, ale najwyraźniej nie było to nic groźnego, mimo to Tres wciąż nie spuszczał go z oczu. Tres wybrał studia prawnicze zamiast medycznych, na które nalegali jego rodzice, bo nie znosił widoku krwi.

- Nic mi nie jest.

Nie mógłby raczej tego powiedzieć o swoim rowerze, który zamienił się w kupę złomu. Koła, rama, siodełko i pompka leżały rozrzucone wokół wapiennej skały pokrytej bruzdami i szczelinami, które woda rzeźbiła od milionów lat na jej powierzchni. Schwinn upadł prosto na nią i roztrzaskał się na kawałki. Było to o tyle pechowe, że Andy miał go jeszcze spłacać przez pięć miesięcy.

- Kiedy w końcu otrzaskałem się z tym rowerem, wjechałem prosto na niedzielną herbatkę u babuni.

- Andy, gdybyś przygrzmocił w tę skałę, zamiast wpaść do wody, byłbyś w gorszym stanie niż twój rower. Czemu z niego nie zeskoczyłeś?

- Sam rower też mógłby pokieroszować te staruszki.

- Och, jaki z ciebie troskliwy wnuczek.

Andy wstał. Nie był pewien, czy to Tres kiwa się z boku na bok, czy on sam, dopóki przyjaciel nie chwycił go za ramiona.

- Stań prosto.

- Mój rower - odezwał się Andy, kiedy świat przed jego oczami przestał wreszcie się kołysać.

- Pozbieram to, co z niego zostało - odparł Tres.

Andy czekał, podczas gdy Tres zbierał porozrzucone szczątki. Koła przypominały swym kształtem chipsy ziemniaczane, rama była powyginana jak precel, pompka nie nadawała się już do pompowania, a siodełko właśnie odpływało z prądem strumienia. Andy pokręcił głową jak John Wayne, któremu jakiś zły typek zastrzelił ulubionego konia.

- Mój wierny rumak. - Westchnął z żalem.

Wspięli się po stromym zboczku ku ścieżce, gdzie Tres zostawił swój rower. Obok czekały trzy starsze panie. Wszystkie nosiły wielkie okulary przeciwsłoneczne o wyprofilowanych szybkach, daszki przeciwsłoneczne w kolorystyce dopasowanej do strojów i saszetki biodrowe na paskach. Okazało się, że najgroźniejszą przeszkodą na szlaku rowerowym nie są głązy, korzenie czy wyboje, ale spacerowicze w podeszłym wieku.

Andy przysiadł na kamieniu, zdjął kask i przeczesał palcami gęste, mokre włosy, które sięgały mu niemal do ramion. Był zwolennikiem teorii Samsona i żywił przekonanie, że długie włosy zapewniają mu niezniszczalność podczas rowerowych wycieczek. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu, gdy z lewego kolana, które przypominało kotlet mielony, wydłubywał kilka ostrych kamyczków. Jedna ze starszych dam pochyliła się nad nim.

- Dobrze się czujesz, synku? - spytała podniesionym głosem, jakby była głucha.

- Dobrze, proszę pani! - odrzyknął.

Druga staruszka założyła lecznicze szkła i obejrzała dokładnie jego kolano z odległości trzydziestu centymetrów.

- Byłam pielęgniarką - oświadczyła. - Wypadałoby to zszyć.

- Dobrze, proszę pani.

- Posmaruj chociaż te rany neosporinem, żeby nie wdało się zakażenie - poradziła.

- Dobrze, proszę pani.

- Czy na dole płynie strumień? - zapytała trzecia.

- Owszem, płynie.

- A nie mówiłam? - kobieta zwróciła się do towarzyszek.

- Zgubiliśmy się - wyjaśniła pierwsza. - Skręciliśmy w złą stronę.

- Najwyraźniej.

- Właśnie szukałyśmy drogi na mapie. Nie powinnyśmy zatrzymywać się na środku ścieżki.

- Zdecydowanie nie, proszę pani.

- Nasz błąd. - Kobieta wzruszyła ramionami, po czym rozpięła szaszetkę, wyjęła z niej bidon z nadrukiem marki Ensure i wyciągnęła w jego stronę jakby na znak pojednania. - Waniliowy. Sama robiłam.

Tres odwrócił się i stłumił śmiech.

- Dziękuję pani, ale mam w plecaku endurox - odparł uprzejmie Andy.

Sięgnął po rurkę hydratacyjną, zacisnął zęby na gumowym ustniku, ale nic nie popłynęło. Zbiornik musiał pęknąć podczas upadku, ale trzylitrowa płynna poduszka najprawdopodobniej ocaliła go przed poważnym urazem kręgosłupa.

- A raczej miałem - sprostował.

- Endurox? - spytała. - Czy to pomaga na zatwardzenie.

Tres nie wytrzymał. Ukrył twarz w dłoniach i zarechotał.

- Zatwardzenie? - zdziwił się Andy. - Cóż, raczej nie. W każdym razie nie sądzę.

- Błonnik to podstawa - zawyrokowała leciwa dama. - Co-dziennie dodaję metamucil do napoju Ensure. Mogę ustawiać zegarek według porannego stolca...

- Rozumiem, proszę pani. - Andy wskazał na zachód. - Wróćcie tą drogą. Skręcicie w lewo, w białą skalistą ścieżkę, a potem jeszcze raz w lewo, na drogę gruntową, która zaprowadzi was aż do samego strumienia.

- Czy tam można się kąpać na golasa?

- Och, niestety, proszę pani. Można tylko nad jeziorem, w Hippirowskim Grajdole.

Delegacja lokalnego stowarzyszenia emerytów pomachała im na pożegnanie i odeszła, trajkocząc jak pensjonarki. Tres, rycząc ze śmiechu, upadł na ziemię i zaczął się turlać, jakby chciał ugasić na sobie płonące ubranie.

- Czy to pomaga na zatwardzenie? - wykrztusił, po czym znów zaniósł się śmiechem.

Andy pokręcił głową.

- Wstawaj. I pomóż mi się pozbierać.

Było już południe, ale Tres wciąż przeżywał zabawną sytuację.

- Czy to pomaga na zatwardzenie? Powinieneś powiedzieć: „Nie, proszę pani, za to taki skok w przepaść jest skuteczny jak cholera. Miałem pełne gacie”.

- Niewiele brakowało.

Wibrujące basowe dźwięki *La Grange*, przeboju ZZ Top z lat siedemdziesiątych, dobiegały z magnetofonu i odbijały się echem od wapiennych ścian otaczających kąpielisko. Wizyta w Barton Springs była jak podróż w czasie do dawnego Austin sprzed lat. Ta muzyka, ci ludzie, to miejsce. Odmłodzeni seniorzy pluskali się w lodowatej wodzie, której Indianie przypisywali właściwości lecznicze. Młodzi ludzie pokroju Andy'ego u swoich rodziców budzili najczulsze wspomnienia z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a wszyscy mieszkańcy Austin w średnim wieku łączyli z Barton Springs jakieś tkliwe wspomnienia. Teraz ich dzieci gromadziły swoje, pławiąc się, nurkując i oddając igraszkom w turkusowej wodzie. Jak pamięcią się sięgnąć, cała lokalna społeczność z wyjątkiem deweloperów rozpaczliwie pragnęła, aby w tym urokliwym miejscu zatrzymał się czas, przynajmniej na jedno bardziej

pogodne lato. Takie jak to.

Andy rozciągnął się na skalnej półce nad wodą i z podziwem obserwował odzianą w czerwony kostium ratowniczkę, która siedziała na wieżycze obserwacyjnej. Kąpielisko Barton Springs było długim na trzysta metrów naturalnym zalewem położonym w Parku Zilker na południe od śródmieścia Austin. Wapienną nieckę o powierzchni stu dwudziestu akrów wypełniało ponad piętnaście milionów litrów wody, która przez cały rok zachowywała stałą temperaturę dwudziestu stopni Celsjusza. Z każdą godziną kolejne cztery miliony litrów wpływały do rozlewiska z trzech źródeł, które pierwotny właściciel tych terenów, wujek Billy Barton, nazwał na cześć swych córek Elizą, Zenobią i Parthenią.

Biedne dziewczynki.

Upał dochodził do czterdziestu stopni, ale chłodna woda przynosiła chwilową ulgę, podobnie jak zapach skręta niesiony wiatrem od strony trawiastego brzegu, na którym siedziało paru studentów. Dzięki niemu Andy na chwilę zapomniał o obrażeniach.

- Hej, ta marihuana ma naprawdę właściwości lecznicze. Kolano już mnie nie boli.

Andy nie robił sobie wielkich nadziei, wiedząc, że to adrenalina jest przyczyną jego upojenia, mimo to wdychał słodkawy dym, jakby chciał mieć pewność, że wykorzystał w pełni całą kurację.

- Nie ma to jak w Austin - rzekł Tres. - Jest gdzie poszaleć na rowerze, popływać i posłuchać muzyki na żywo. Żałuję tylko, że nie było mnie tutaj, kiedy Springsteen grał w Armadillo.

Odkąd Armadillo World Headquarters, potężny arsenał Gwardii Narodowej, został zamieniony na salę koncertową, Austin zaczęło się liczyć na rockowej mapie świata. W latach siedemdziesiątych grywali tam bardziej i mniej sławni, a wśród nich znalazł się nawet

ojciec Andy'ego, według którego tamte czasy były złotym wiekiem Austin. Uważał on, że Armadillo było duszą tego miasta, niestety w 1981 roku zostało wyburzone, aby zwolnić miejsce pod budowę biurowca. Był to mroczny dzień w dziejach Austin, dzień przewrotu, który umożliwił przedsiębiorcom budowlanym przejęcie władzy.

Od tamtej pory Austin nie przestało się zmieniać. Z każdym dniem coraz bardziej upodabniało się do Los Angeles, jak twierdził Andy, który zresztą nigdy tam nie był. Przybywało mieszkańców, nasilał się ruch uliczny, a w centrum pojawiały się modne lokale. Miasto straciło swój luz, na ulicach nie widywało się już tylu hippisów i nie było już Armadillo. W ciągu dziesięciu kolejnych lat mogło stać się takie jak Dallas i perspektywa ta napawała strachem wszystkich, którzy kochali dawne Austin. Jedynym miejscem, które się nie zmieniło, było Barton Springs.

Andy znów poczuł, że cały oblewa się potem, więc sturlał się z brzegu do wody. Zanurkował na głębokość czterech metrów i zbliżył obolałe plecy do źródła Parthenii. Rytmiczne pulsowanie bijącego z głębi ziemi strumienia, przyćmione światło i woda otulająca jego ciało ze wszystkich stron sprawiały, że na dnie zalewu czuł się jak w macicy. Nie był to jeden z tych zalatujących chlorem ogrodowych basenów i Andy, dotykając pokrytego żwirem dna, spłoszył kilka maleńkich aksolotłów o czerwonych skrzelach. W przeciwieństwie do nich musiał zaczerpnąć powietrza, więc odepchnął się i wypłynął na powierzchnię. Wylazł z wody i znów rozciągnął się na rozgrzanej słońcem skale.

Andy miał w zwyczaju wylegiwać się na wapiennej półce i pożerać wzrokiem zgrabne ratowniczkę siedzące na wieżyczkach

albo studentki, które opalały się na trawiastej skarpie. Gdy zaczynał się pocić, po prostu staczał się do wody. Po kilku minutach, gdy zasnął już ochłody, gramolił się z powrotem na brzeg i zaczynał wszystko od początku. Przy odrobinie doświadczenia można było wpaść w przyjemny rytm. Andy i Tres nie mieli z tym problemów.

- Arthurze - odezwała się Natalie. - Tutaj piszą, że moglibyśmy wynająć hinduską surogatkę.

Natalie Riggs, piękna dziewczyna Tresa, zwracała się do niego, z uporem używając oficjalnego imienia. Wbrew radzie Andy'ego Tres zdał jej sumienną relację z ich porannej rowerowej przygody, co najwidoczniej stanowiło jedną z reguł ich narzeczeństwa. Postanowiła dołączyć do nich na kąpielisku, czego jedynym plusem był fakt, że wyglądała olśniewająco, kiedy tak leżała wyciągnięta na ręczniku w skąpym bikini, a jej aksamitna skóra połyskiwała od potu i olejku do opalania. Ta trzydziestoletnia seksowna brunetka chciała poślubić Tresa i mieć z nim dziecko - jak mawiał Tres, jej zegar biologiczny tykał tak głośno, że nie dawał mu zasnąć w nocy - ale zależało jej również na zachowaniu doskonałej figury, która wyróżniała ją jako reporterkę lokalnej stacji telewizyjnej, a także dawała nadzieję na angaż w porannym programie informacyjnym.

- Widziałeś kiedyś grubą ciężarną kobietę w studiu? - często pytała Tresa.

Postanowili więc, że ich dziecko przyjdzie na świat przy udziale matki zastępczej - nasienie Tresa, jajeczko Natalie, cudza macica i wiążący kontrakt.

- Hinduski rodzą dzieci dla Amerykanów? - zainteresował się Tres.

- Tak jest napisane w tym artykule. - Natalie uniosła wzrok znad magazynu. - Wysyłasz im zapłodnione jajo, a one po dziewięciu

miesiącach odsyłają ci dziecko. Są o wiele tańsze od amerykańskich surogatek.

- Taki położniczy outsourcing w Indiach? - wtrącił Andy.

- Za każdym razem, kiedy sypie mi się komputer i dzwonię do serwisu, muszę rozmawiać z pewnym Hindusem imieniem Bob - powiedział Tres. - Nie rozumiem ani słowa z tego, co do mnie mówi.

- A kliniki mają do dyspozycji odpowiednio wyselekcjonowane matki zastępcze - dodała Natalie.

- Wyselekcjonowane? - spytał Andy.

Natalie pociągnęła łyk wody gazowanej Pellegrino.

- Kobiety są sprawdzane pod kątem przeszłości kryminalnej, zaburzeń psychicznych i chorób przenoszonych drogą płciową. Czy wiecie, jak trudno jest w Stanach znaleźć surogatkę, która przeszła pomyślnie wszystkie te trzy testy? To dlatego są u nas takie drogie.

- Kwestia popytu i podaży - skwitował Tres.

- Miałabyś się martwić, czy kobieta, która będzie nosić twoje dziecko, nie jest karana, szurnięta czy zarażona syfem? - Andy nie krył zdziwienia. - Jezu, nie lepiej urodzić dziecko samodzielnie?

- I stracić ten sześciopak?

Natalie miała fantastycznie wyrzeźbiony brzuch.

- A czemu nie zlecić tej fuchy jakiejś sympatycznej Szwedce? - kombinował Andy. - Mógłbym osobiście wszczepić jej to jajeczko.

- Macierzyństwo zastępcze dla celów komercyjnych jest w Europie zakazane - wyjaśnił Tres. - A u nas jest legalne tylko w dwunastu stanach.

- Czy Teksas jest jednym z nich?

- Tak, ale tutaj trzeba uzyskać zgodę sądu, więc lepiej to załatwić w Illinois. Tam sąd nie jest konieczny, tylko lekarz musi

złożyć pisemne oświadczenie pod przysięgą, że taki zabieg jest dyktowany koniecznością natury medycznej.

- A ocalenie wspaniałego brzuszka Natalie raczej trudno pod to podciągnąć.

- Właśnie. - Tres wyciągnął rękę i poklepał narzeczoną po wysmukłym brzuchu. - Mimo to uważam kochanie, że powinniśmy skorzystać z amerykańskiej surogatki i wspomóc armię.

- Wspomóc armię? Jak to? - Andy był zaintrygowany.

- Wiele amerykańskich surogatek to żony żołnierzy - wyjaśnił Tres. - Rodzą dzieci innych kobiet, żeby powiązać koniec z końcem, kiedy ich mężowie służą w Iraku. Doszedłem do wniosku, że możemy mieć jakiś wkład w działania frontowe. Stawiam na Amerykanę.

- A ja stawiam na nią. - Andy wskazał głową studentkę zmierzającą w ich stronę.

Dziewczyna miała jasne włosy, a jej bikini tylko symbolicznie okrywało ponętne kształty. Potrząsając tym i owym przeszła obok nich, po czym usadowiła się na brzegu i zdjęła górę kostiumu. W Barton Springs mogła sobie pozwolić na topless. Całkiem nago wolno było się opalać tylko w Hippirowskim Grajdole nad jeziorem Travis oddalonym o spory kawałek drogi, toteż większość studentek wybierała tę prostszą, choć połowiczną możliwość.

- Jedyne problem z nią jest taki, że musiałbym ręcznie zapłodnić to jajeczko. - Tres posmutniał.

Każde najmniejsze zagrożenie, które mogłoby wystawić na próbę wierność Tresa, jak również jego fundusz powierniczy, natychmiast budziło czujność Natalie. Zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa i zmierzyła blondynkę od stóp do głów tym krótkim, ale przenikliwym spojrzeniem, które rywalizujące

kobiety opanowują do perfekcji. Teraz mogła już z najdrobniejszymi szczegółami opisać każdy mankament ciała studentki.

- Zmiłuj się. - Wydeła wargi. - Ona miałyby nosić moje dziecko? Odpada.

- To może ja powinienem przeprowadzić wstępną kontrolę i osobiście zbadać jej układ rozrodczy? - zaofiarował się Andy.

- Chyba w snach.

- Czyżby nie było bardziej sprzyjających okoliczności?

- Standardowy kontrakt wymaga, aby surogatka nie uprawiała seksu przez cały okres ciąży - wtrąciła Natalie. - Wątpię, czy ona dałaby radę się powstrzymać choćby przez jedno popołudnie.

- W tym właśnie cała moja nadzieja.

- Andy, ona ma tlenione włosy, powinna zrzucić parę kilo, a na wypadek gdybyś nie zauważył, to są implanty.

- Do czego zmierzasz?

- Andy, na Boga, zobacz, co ona przyniosła w tej butelce. To ma trzysta czterdzieści kalorii. Za dwa lata będzie nosiła rozmiar dziesięć.

- Dwa lata? Natalie, moje związki trwają zazwyczaj około dwóch godzin.

Natalie westchnęła z rezygnacją.

- Więc idź i umów się z nią.

Andy usiadł i zaczął rozważać swoje szanse. Nie był sam i gdyby mu się nie powiodło, doznałby bolesnego upokorzenia na oczach przyjaciół. W oddali rozległ się gwizd lokomotywy - parkowa ciuchcia ruszała właśnie ze stacji.

- Żebyście mogli zobaczyć, jak dostają kosza? - Andy położył się z powrotem. - Muszę dbać o swoją reputację.

- Jaką reputację? - Tres roześmiał się.

- Andy, musisz się postarać, żeby uprawiać z kimś seks - stwierdziła Natalie. - No cóż, może niekoniecznie z nią, ale weźmy takie dziewczyny z wyższej półki, jak choćby te, które można spotkać w Pangaea.

- Mówisz o tym lokalu w stylu safari? Tym, gdzie panienki przebrane za dziewczynę Tarzana tańczą na stołach? Natalie, to dla mnie za wysokie progi.

Wytworni mieszkańcy Austin często odwiedzali modne lokale, które mnożyły się w przemysłowej dzielnicy położonej kilka przecznic od śródmieścia. Andy do nich nie należał.

- Ten lokal założył facet z Nowego Jorku - wyjaśniła Natalie. - Na ścianach wiszą plemienne dzidy i tarcze, a strop wygląda jak wnętrze namiotu. Tam jest fantastycznie.

- I drogo - dodał Tres.

Natalie przekręciła się powabnie w stronę narzeczonego i cmoknęła go lekko.

- Ale ja jestem tego warta.

Andy nadaremnie usiłował powstrzymać się od zachwyty, jaki wzbudzały w nim ruchy jej ciała. Ponieważ nie była ona jeszcze żoną Tresa, mógł uznać, że nie narusza dziewiątego przykazania.

- No to kiedy ostatni raz umówiłeś się z dziewczyną? - Przetoczyła się z powrotem na swoje miejsce.

- W zeszłym roku.

Natalie usiadła, wycisnęła sobie trochę olejku do opalania na prawe udo i rozmasowała go gładkimi, posuwistymi ruchami.

- Kiedy dokładnie?

- W kwietniu.

- W kwietniu zeszłego roku? Andy, właśnie mamy sierpień.

- Pracuję nad tym.
- Czy ktokolwiek odpowiedział na twój anons? - zapytał Tres.
- Jaki anons? - zaciekawiała się Natalie. Teraz wcierała olejek w lewe udo.

- Andy zarejestrował się na Lovers Lane.

Lovers Lane był portalem randkowym na stronie internetowej alternatywnego tygodnika „Austin Chronicle”.

- Jakiś odzew?

- Żadnego. Każda „pani szukająca partnera” chce bogatego i błyskotliwego pana, który wygląda jak Matthew McConaughey. Nikt nie chce zwyczajnego faceta.

Tak się składało, że wymieniony gwiazdor mieszkał w Austin.

- To dlatego są samotne i zamieszczają anonse w Internecie - stwierdził Tres.

- Ale żadna nie zainteresuje się moim anonsem, bo nie jestem bystry, nadziany i podobny do McConaugheya.

- Nie możesz cenić się tak nisko. Jesteś na swój sposób inteligentny - pocieszyła go Natalie.

Słowa te rozbawiły Tresa równie mocno, jak leciwa dama, która pytała, czy endurox pomaga na zaparcia.

- Jestem zwyczajnym facetem, który szuka zwyczajnej babki - dodał Andy.

- Więc zacznij kłamać - doradził mu Tres. - Wszyscy na tym portalu kłamią.

- Ale to się mija z celem takich ogłoszeń, w których chodzi właśnie o to, że możesz sobie pozwolić na szczerość.

- Andy, nikt nie jest szczery. Ja to wiem. Pracuję dla urzędu skarbowego.

Tres zatrudnił się w tej instytucji zaraz po ukończeniu studiów prawniczych na uniwersytecie stanowym.

Nie należał do wybitnych studentów, zatem praca na państwowej posiadzie była szczytem jego możliwości. Liczył jednak na to, że dzięki swej wiedzy za parę lat dostanie angaż w jakiejś korporacji. Nie zależało mu na pieniądzach, miał przecież swój fundusz powierniczy, za to potrzebował stabilizacji życiowej.

- Ja gram uczciwie - obstawał przy swoim Andy.
- I nie masz centa przy duszy - powiedział Tres.
- Ani dziewczyny - dodała Natalie.
- To błędne koło. - Tres pokręcił głową.

Natalie zmierzyła Andy'ego protekcjonalnym spojrzeniem, co oznaczało, że zamierza mu udzielić jakiejś osobistej rady. Najwyraźniej uważała, że ma do tego podstawy jako osoba o dwa lata starsza od niego.

- Andy, dziewczyny z klasą nie oglądają się za próżniakami - zawyrokowała uprzejmie, przemilczając domyślne „takimi, jak ty”.
- Im zależy na facetach z ambicjami, jak Arthur.

- On ma fundusz powierniczy.

- To również ma znaczenie. One chcą kogoś, kto może im zapewnić odpowiedni poziom życia, czyli dom nad jeziorem, samochód, kartę klubową, nocne życie, garderobę i inne drobiazgi. One chcą kogoś z pieniędzmi albo przynajmniej z ambicją do zarabiania pieniędzy. - Natalie wycisnęła porcję oliwki na dekolt i rozsmarowała ją po odsłoniętej części swego olśniewającego biustu. - Jeżeli chcesz mieć dziewczynę, musisz mieć ambicję.

- Chcę piwa - rzekł Andy, po czym odwrócił się od błyszczącego ciała Natalie.

Rozdział 2.

La cerveza mas fina.

Andy opróżnił butelkę piwa Corona i wymachiwał jej długą szyjką w powietrzu, dopóki nie zwrócił na siebie uwagi kelnerki stojącej na przeciwległym końcu ogródka. Tego niedzielnego wieczoru Ronda obsługiwała stoliki po stronie Congress Avenue. Miała dwadzieścia pięć lat i była uroczą lesbijką o czarnych włosach poprządkanych fioletowymi i zielonymi pasemkami. Wielobarwne tatuaże pokrywały każdy odsłonięty skrawek jej skóry, a odsłonięte było wiele, ponieważ Ronda miała na sobie tylko króciutką dżinsową spódniczkę i obcisłą bluzkę na ramiączkach. Z daleka tatuaże zlewały się ze sobą, wskutek czego wyglądała jak chodzący obraz Jacksona Pollocka.

Pokazała cztery palce i uniosła przyozdobione kolczykami brwi, jak gdyby chciała zapytać, czy podać następną kolejkę. Andy pokiwiał głową i dyskretnie wskazał na Tresa, wyciągając rękę za jego plecami. Tres jeszcze nie wiedział o tym, że za wszystko płaci.

Andy Prescott nie mógł sobie pozwolić na postawienie wszystkim kolejki.

Jako dwudziestodwujęciolatek powinien zacząć poważnie się przejmować swoją sytuacją finansową. W tym wieku powinien już wybrać sobie fundusz emerytalny, gromadzić zadatek na zaciągnięcie kredytu hipotecznego i planować bezpieczną przyszłość. Czemu tego nie robił? Czemu brakowało mu palącej ambicji do

zarabiania wielkich pieniędzy, o której mówiła Natalie? Czemu tak uparcie wzbriał się przed tym, aby dorosnąć? Czy była to cecha odziedziczona w genach, jak brązowy kolor oczu i włosów? Czy może wada charakteru? Czemu nie przywiązywał większej wagi do takich dojrzałych kwestii zamiast do...

- O Jezu! Tres, zobacz to.

Atrakcyjna dziewczyna przeszła obok ich stolika, ale zanim weszła do restauracji, obrzuciła Tresa ukradkowym spojrzeniem.

- On jest zajęty, ale ja nie! - krzyknął Andy w ślad za nią.

Natalie dała Tresowi wychodne na ten wieczór, podczas gdy sama została w domu, żeby dogłębnie przestudiować możliwości wynajęcia macicy w Indiach, pili więc meksykańskie piwo w towarzystwie Dave'a i Curtisa, dwóch kumpli z czasów studenckich, którzy pogrążeni w rozmowie siedzieli po drugiej stronie stolika.

- Wróciła do domu i przyssała się do komputera - wyjaśnił Tres. - Ten artykuł, który czytała nad wodą, podniósł jej poziom hormonów.

- Naprawdę myślicie, żeby to zrobić? Żeby zlecić to jakiejś Hindusce?

- Tak, odkąd Natalie zestawiała koszty. Amerykańska matka zastępcza uczyni cię lżejszym o sto tysięcy. W Indiach to kosztuje tylko pięć kawałków.

- Więcej zapłaciłeś za swój rower.

- Ale u nich to fortuna. Natalie mówiła, że jedna trzecia tamtejszej populacji musi przeżyć za dolara dziennie. Amerykańska surogatka zarabia pięćdziesiąt tysięcy, Hinduska dwa i pół, ale u nich to równowartość siedmioletnich zarobków.

Andy zanurzył trójkątnego kukurydzianego chipsa w miseczkę z sałwą i włożył do ust, ale natychmiast tego pożałował. Sos był

naprawdę ostro. Uniósł butelkę i próbował wytrząsnąć ostatnie krople zimnego piwa na piekący język, ale bez powodzenia. Chrząknął więc znacząco i wskazał na śliczną studentkę, która siedziała za plecami Dave'a i Curtisa, a gdy ci odwrócili głowy, by się jej przyjrzeć, sięgnął po piwo tego drugiego i niezauważony pociągnął spory łyk. Potem otarł usta rękawem.

- Dziewięć miesięcy za dwa i pół tysiąca dolarów. To trzy stówy miesięcznie?

- Dwieście siedemdziesiąt siedem - sprecyzował Tres.

- Ona użycza swojego brzucha za niecałą dychę dziennie?

- Tak - odparł Tres. - I wszystko jest lepiej zorganizowane. Przez całe dziewięć miesięcy surogatki przebywają w klinice, która zapewnia im należytą opiekę i wyżywienie. Jadają lepiej, niż kiedykolwiek dotąd w swoim życiu.

- Wszystkie mieszkają razem?

Tres pokiwał głową.

- Aby uniknąć spotkań z małżonkami. Dwadzieścia kobiet w jednym ośrodku.

- Fabryka dzieci.

- I nie musisz się martwić, że usunie ciążę, jak zdarza się to tutaj. Zapłaciliśmy, dziecko jest nasze, a ona podpisała umowę. Ma obowiązek donosić. - Tres pociągnął łyk piwa z butelki. - Jedyne minus jest takie, że w Indiach matki umierają przy porodzie dziesięć razy częściej niż u nas.

- Więc taka kobieta naraża swoje życie, aby urodzić wasze dziecko?

- Tak... Ale Natalie jest skłonna podjąć takie ryzyko. Zresztą jeżeli surogatka nie przeżyje, przysługuje nam pełny zwrot kosztów.

- To na pewno poprawi humor tej Hindusce.
- Ale Natalie zachowa swoją figurę.
- Jej figura jest warta zachodu, bez dwóch zdań, ale cała ta sprawa przypomina mi śmierdzący amerykański interes. Wiesz, wyzyskiwanie ubogich w krajach Trzeciego Świata.
- Jakbym słyszał twoją matkę, Andy. Na tej samej zasadzie amerykańskie firmy produkują swoje wyroby za granicą, korzystając z taniej siły roboczej.
- Tak jest. - Andy rozejrzał się za Rondą, która miała przynieść im piwo, po czym spojrzał znów na Tresa. - Zatem obstalujesz sobie w Indiach małego Cuatro po wyruchaniu próbówki?
- Będę oglądał „Playboya” w trakcie. - Tres wzruszył ramionami.
- Jakie to romantyczne.
- Dla mnie zawsze jest - wtrącił Dave, po czym wrócił do rozmowy z Curtisem. - Uznali, że nie stać cię na drinki z ich karty.
- Curtis podrapał się po głowie, zanurzając palce w gęszczu swoich włosów, po czym uważnie obejrzał palce, jakby coś znalazł.
- No i?
- No i nie chcieli marnować na ciebie swej drogocennej przestżeni. Czysze w tej dzielnicy są niebotyczne.
- Bramkarze w Qua po prostu mnie wyśmiali. - Curtis poprawił okulary na nosie. - A ja za dziewięć miesięcy uzyskam tytuł doktora.
- Tytuł naukowy nie otworzy przed tobą takich drzwi.
- Qua to ten klub z akwariem w podłodze? - zapytał Andy.
- Basen z rekinem - odparł Curtis.

- Curtis, w takich miejscach ściśle przestrzega się odpowiednich strojów - odezwał się Tres. - Co miałeś na sobie?

- To samo ubranie, w którym prowadzę zajęcia.

Curtis nosił okulary w czarnej oprawce, biały podkoszulek z napisem „Got Root?”, workowate szorty z kieszeniami na udach i ciemnopomarańczowe klapki. Ten wysoki i kościsty dwudziestoosmiolatek był doktorantem na uniwersytecie stanowym. Jako jeden z setek asystentów zatrudnionych na tej uczelni Curtis Baxter uczył młodszych studentów matematyki, dzięki czemu etatowi wykładowcy mieli czas na pisanie politycznych esejów.

- W takim stroju nie przeszedłbyś nawet koło portiera w moim domu - stwierdził Tres. - To jedyne miejsce, gdzie możesz przyjść tak ubrany.

Miejscem tym był Güero's Taco Bar, dawny Central Feed & Seed. Lokal ten wciąż wyglądał jak jadłodajnia, ale zyskał sobie renomę w Austin. Na meksykańskie dania, piwo i drinki przychodzili do Güero's wszyscy - studenci i wykładowcy, politycy i prawnicy, biznesmeni i obiboki. Jedyna obowiązująca tam reguła ubioru brzmiała „przyjdź tak, jak stoisz” i tak przychodzili.

Andy był w szortach i w podkoszulku z napisem „Nie zadzieraj z Teksasem”, a na nogach miał klapki. Dave nosił czerwono-czarną kowbojską koszulę, krótkie spodenki i sandały, aczkolwiek ostatnio, bacząc na rozwój swej kariery, starał się bardziej dbać o wygląd i dlatego wkładał białe skarpetki. Często odgarniał do tyłu zamaszystym ruchem czarne włosy, upodabniając się do młodego Elvisa.

- Przeoczyłeś jeden kosmyk - zwrócił mu uwagę Andy.

- Gdzie? - Dave przejrzał się w lūżeczce.

Andy pokręcił głową. Co za towarzystwo. Gustownie ubrany i modnie ostrzyżony Tres Thorndike wyglądał na światowca o wyszukany smaku. W końcu pochodził z Connecticut. Po wykluczeniu z Ligi Bluszczowej Tres zapisał się na uniwersytet stanu Teksas, który przoduje w Ameryce pod względem liczby bractw studenckich. Wkrótce został prezesem jednego z nich, zaliczanego do najbardziej ekskluzywnych na uczelni. Dave Garner otrzymał w spadku członkostwo w jednym z pomniejszych bractw. Curtisa Baxtera żadna z takich organizacji na uniwersytecie teksańskim nie chciała przyjąć w swe szeregi, a Andy Prescott nigdy nie był zainteresowany przynależnością do jednej z nich.

Był to kawałek historii ich życia.

Pojawiła się Ronda, niosąc cztery butelki corony. Tres powiedział jej, by postawiła je na stoliku. Dobrze było mieć przyjaciela z funduszem powierniczym. Andy odchylił się na krzesło i pociągnął długi łyk zimnego piwa. Był to kolejny wspaniały wieczór w Güero's. Słońce zachodziło za ich plecami, panujący w ciągu dnia upał już ustępował, a cała czwórka zajmowała swój ulubiony stół przy chodniku, doskonałe miejsce, z którego można było rozkoszować się dobiegającą z pobliskiego Oak Garden muzyką na żywo w wykonaniu Texa Thomasa i dokładnie przyjrzeć się każdej wchodzącej do baru i wychodzącej z niego kobiecie. Wśród dwudziestu pięciu tysięcy studentek uniwersytetu stanowego i nieprzebranego mnóstwa pańienek, które co roku ściągały do Austin, by korzystać z nocnego życia, nie brakowało prawdziwych piękności i można je było spotkać na każdym kroku.

Oczywiście nie dotyczyło to ich stolika. Nie można było powiedzieć, że nie grzeszyli urodą. Tak naprawdę Tres był nawet dosyć przystojny i roztaczał tę pewną siebie aurę posiadacza sporej

fortuny, którą kobiety wyczuwają jakimś szóstym zmysłem, jak psy strach, toteż przyciągał liczne spojrzenia. Curtis, Dave i Andy nie posiadali tego daru. Byli najzwyczajniejszymi facetami i nie mieli w sobie nic, co czyniłoby znajomość z nimi godną odnotowania w życiorysie. Owszem, Curtis był genialnym matematykiem, ale poza jego wydziałem nie miało to najmniejszego znaczenia. I co najgorsze, wszyscy byli bez centa przy duszy. Telefon Tresa zadzwieczał.

- Znowu przysłała mi SMS.

- Natalie? - upewnił się Andy.

Tres pokiwał głową i przeczytał wiadomość.

- Pisze, że znalazła klinikę w Indiach, która podejmie się wszystkiego za cztery tysiące.

- Jesteś pewien, że chcesz urządzać przetarg na to dziecko?

- Andy, cholera, ja nie jestem pewien, czy w ogóle chcę tego dziecka... Ani czy chcę się żenić. - Tres pociągnął łyk piwa, nachylił się do Andy'ego i ściszył głos. - Znasz jakiegoś prywatnego detektywa?

- Nie, ale znam kogoś, kto zna.

- Możesz dać mi jego telefon?

- Pewnie. A co się dzieje?

- Myślę, że Natalie mnie zdradza.

- Co? Dlaczego?

- Dla seksu.

- Czemu miałyby to robić? Przecież chce mieć z tobą dziecko.

- Nie. Ona chce, żeby to jakaś Hinduska urodziła moje dziecko. A może chce zaszaleć po raz ostatni, zanim zostanie żoną i matką.

- Nie porzuciłaby cię.

- Nie porzuciłaby funduszu powierniczego. Co do mnie, nie

byłbym tego taki pewien. - Tres pociągnął kolejny łyk z butelki. - Widzisz, wszyscy narzekacie, że jesteście splukani, ale bogactwo też nie wygląda tak różowo. Jeżeli któremuś z was trafi się dziewczyna, będziecie przynajmniej mieć pewność, że nie jest z wami dla kasy.

- Byłoby fajnie, gdyby jakaś chciała być ze mną z jakiegokolwiek powodu. - Andy uśmiechnął się, ale Tres pozostał poważny. - Co cię zaniepokoiło?

- Inaczej się zachowuje.

- To znaczy?

- Przestała nosić bieliznę.

- Bez kitu! - Ostatnie słowa Tresa przyciągnęły uwagę Dave'a.

- Posłuchajcie chłopaki - powiedział Tres. - Ale to poufna sprawa, jasne?

- Ależ oczywiście - odparł Dave. - A teraz opowiedz nam o tej bieliźnie.

- No cóż, zawsze nosiła stringi...

- Jakie?

- Nie wiem. - Tres wzruszył ramionami. - Po prostu stringi.

- Koronkowe?

- Curtis - odezwał się Andy. - Zatkaj go butelką.

- W każdym razie - ciągnął Tres - ni stąd, ni zowąd przestała nosić cokolwiek.

- To pikantne - stwierdził Dave.

- Pod warunkiem że nie robi tego dla jakiegoś innego faceta.

- Rozmawiałeś z nią o tym? - spytał Andy.

- Powiedziała, że teraz jest tak modnie.

- Nie wierzysz jej?

Tres był tak zamyślony, że nie zwrócił uwagi na dziewczynę, która mu się przyglądała.

- Myślę, że ma romans z prezenterem wiadomości sportowych ze swojej stacji. On ma na imię Bruce, grał kiedyś w drużynie uniwersyteckiej i mieszka nad jeziorem.

- Potrzebujesz detektywa, żeby ją śledzić?

- Muszę wiedzieć. - Na twarzy Tresa pojawił się ponury wyraz. - Zresztą to przyszc w porównaniu z tym, co zrobi mój ojciec, zanim się pobierzemy.

- Możesz śledzić jej telefon komórkowy - doradził Curtis. - Ma w nim GPS, prawda?

- To był drogi aparat.

- Więc ma.

- To ma coś wspólnego z satelitą? - zaciekawiał się Andy.

- Z trzema satelitami. - Curtis uniósł palec wskazujący. - Departament Obrony ma na orbicie okołoziemskiej dwadzieścia siedem satelitów pozycjonujących. Nawigacja GPS potrzebuje trzech, aby namierzyć pozycję za pomocą metody trilateracji. Chip w telefonie odbiera sygnał z trzech satelitów, oblicza odległość do każdego z nich i wokół każdego wyznacza sferę.

Curtis zachowywał się, jakby miał przed sobą studentów. Wyciągnął z kieszeni automatyczny ołówek, którym na serwetce naskicował kulę ziemską wraz z krążącymi wokół niej satelitami, sylwetkę człowieka z telefonem w ręku i kręgi wokół satelitów.

- Każda z tych trzech sfer przecina się z innymi tylko w trzech punktach, z których jeden znajduje się w kosmosie, a drugi na ziemi. Ten drugi punkt przecięcia to pozycja twojego telefonu.

Andy wręczył swoją komórkę Curtisowi, który w gronie przyjaciół odgrywał rolę pogotowia technicznego.

- Czy ja mam taki chip?

Curtis pogrzebał w kieszeni szortów, z której wydobył mały multitool, po czym wysunął z niego śrubokręt i zdjął tylną osłonę telefonu Andy'ego.

- Nie ma. - Pokręcił głową. - Niech zgadnę, dostałeś ten aparat za darmo przy podpisywaniu umowy?

- Tak. - Andy wzruszył ramionami.

- Kolego, nie dostaniesz telefonu z GPS-em za parę stówek.

- Jasne. To dlatego wybrałem taką opcję.

- Cóż, ale i tak można cię namierzyć.

- W jaki sposób?

- Metodą triangulacji. - Curtis odwrócił serwetkę i znów zaczął rysować. - Widzisz, w momencie połączenia twój telefon wysyła sygnały do najbliższej stacji przekaźnikowej. Kiedy przemieszczasz się między komórkami, czyli obszarami znajdującymi się w zasięgu poszczególnych przekaźników, każdy z nich monitoruje siłę sygnału. Kiedy sygnał docierający do następnej stacji bazowej jest mocniejszy, poprzednia stacja automatycznie przekazuje jej połączenie. Obliczając i porównując czas, w jakim sygnał przebywa drogę do każdego z masztów, komputer określa dystans i kąt między nimi a telefonem, co pozwala mu namierzyć twoją pozycję. To proste działania matematyczne.

- Pewnie dlatego nic z tego nie rozumiem - odparł Andy.

- Triangulacja nie jest tak precyzyjna jak nawigacja GPS. W mieście można wyśledzić pozycję telefonu z dokładnością do dziesięciu metrów. Poza terenem zabudowanym, gdzie zagęszczenie przekaźników jest mniejsze, dokładność spada do trzystu metrów.

- Nie miałem nawet pojęcia, że to możliwe.

Curtis poprawił okulary na nosie.

- Telefon komórkowy to po prostu urządzenie lokalizujące z opcją wykonywania połączeń głosowych. Rząd zezwala na namierzanie aparatów, z których wykonywane są połączenia alarmowe, a dzięki tej technologii federalni wyłapują terrorystów i

handlarzy narkotyków.

- Chyba zacznę się bać, skoro rząd może mnie śledzić za pomocą mojego telefonu.

- Robią to nie tylko fedzie, ale również firmy świadczące usługi lokalizacyjne. Zawierają one umowy z operatorami i określają położenie telefonów za dodatkową opłatą. Formalnie jest do tego wymagana zgoda osoby monitorowanej. Z takich usług najczęściej korzystają pracodawcy, aby wiedzieć, gdzie przebywają ich pracownicy, na przykład kierowcy ciężarówek.

- Natalie czytała o takich elektronicznych przyzwoitkach - oznajmił Tres. - Wkładasz taki telefon dziecka do tornistra i automatycznie dostajesz wiadomość, kiedy opuściło szkołę. Na wypadek gdyby zostało porwane.

- Razem z tornistrem.

- Więc mogę śledzić Natalie w taki sam sposób? System powiadomi mnie, czy pojechała nad jezioro na schadzkę z Bruce'em?

- Pewnie - rzucił Curtis. - Daj mi jej numer telefonu i powiedz, kiedy chcesz ją namierzyć. Mój przyjaciel pracuje w takiej firmie monitorującej. Mózgowcy rządzą.

- Z wyjątkiem Qua. - Dave się skrzywił.

- Zamierzasz pytać Natalie o pozwolenie? - zwrócił się do Tresa Andy.

- A jeżeli się nie zgodzi? - Tres się zasepił. - Czy to będzie nielegalne? To jakby naruszenie jej prywatności albo stalking.

- Nie pytaj mnie o to, stary - odpowiedział Curtis. - To ty jesteś prawnikiem. Ja jestem matematykiem.

Tres rozparł się na krześle i rozważał następstwa dopuszczenia się nielegalnego czynu, przeciwstawiając im swoje pragnienie poznania prawdy. Andy pokręcił głową. Ilu mężczyzn w dziejach

świata dopuściło się występku z powodu kobiety? Pierwszy był oczywiście Adam, potem Clyde Barrow i Bill Clinton, i...

- Och!

Wszyscy odwrócili się w stronę ulicy. Jakiś samochód omal nie rozjechał pieszego. Siedząc przy swoim stoliku, mieli miejsca w pierwszym rzędzie, z których mogli obserwować rozgrywające się wydarzenia. Nieostrożni przechodnie usiłowali przedostać się żywi na drugą stronę ruchliwej pięciopasmowej drogi, a widzowie wdychali głośno za każdym razem, gdy omal nie dochodziło do wypadku.

- To nie pozostałoby bez śladu - rzekł Dave.

- Lepiej posłuchajcie panowie, co ta dziewczyna pisze w swoim anonsie. - Curtis powrócił do wertowania ogłoszeń z portalu randkowego. Zawsze drukował te najbardziej obiecujące i odczytywał je podczas niedzielnych spotkań przy piwie. - Ona twierdzi: „Jestem wszystkim, czego chciałby dla ciebie twoja mamusia. Jestem ładna, miłusia i uwielbiam gotować. Nie cierpię zakupów. Moim ulubionym programem telewizyjnym jest mecz futbolowy. Najbardziej lubię potrawy z grilla, a mój ulubiony napój to piwo. Lubię nosić czarną koronkową bieliznę. Uwielbiam długie nocne spacerki, zwłaszcza po cmentarzu...”.

- Oho! Po cmentarzu? - Dave parsknął śmiechem. - Kurde, to brzmi nieźle.

- Pisze, że zależy jej na długotrwałym związku.

- Z kim? Z Drakulą? Następna.

Curtis przewrócił kartkę, przechodząc do kolejnego ogłoszenia.

- Jeżeli złamię prawo, odbiorą mi licencję. - Tres nachylił się do Andy'ego. - Lepiej daj mi numer do tego detektywa.

- Zdobędę go dla ciebie jutro. - Andy skinął głową.

- Ta szuka „przyjaźni z dodatkowymi świadczeniami”.
- Chodzi jej o seks - wyjaśnił Dave.
- Oto jej profil. Wiek... Dwadzieścia dwa lata. Figura... Pełne kształty z zachowaniem proporcji wagi do wzrostu. Zawód... Stylistka fryzur. Chce mieć dzieci? Chce mieć dzieci jak najdalej od siebie. Alkohol... Jestem teraz pod wpływem. Narkotyki... Chętnie z tobą coś przypalę. Pisz, że wolny czas poświęca na ćwiczenia i uprawianie seksu.

Dave potrząsał głową. Był bliski wybuchu.

- Wszystkie te dziewczyny piszą w swoich anonsach, że każdą wolną chwilę spędzają na siłowni albo w łóżku. Skoro one robią to na okrągło, to czemu zamieszczają anonse w dziale „szukam partnera”? Czy ktoś może mi to wyjaśnić?

- Ja nic z tego nie pojmuję - przyznał się Andy.

- One wszystkie kłamią, ot co. Żadna z nich się nie bzykała od czasu studniówki.

- To tak samo jak ty.

- A ty kiedy po raz ostatni byłeś z kimś na poważnie, Romeo?

- Z kobietą?

- Z *Homo sapiens*.

- W czwartej klasie podstawówki. Z Mary Margaret McDermont w Szkole Świętego Ignacego Męczennika. To był mój pierwszy pocałunek.

Działo się to na przerwie podczas wchodzenia na zjeżdżalnię. Andy puścił ją przodem na drabinkę, chcąc zajrzeć jej pod spódniczkę, i przekonał się, że pod spodem nosi pantalonki z długimi nogawkami. Wtedy ona odwróciła się gwałtownie i pocałowała go w usta. Wciąż czuł ten pocałunek. Nagle Andy zdał sobie sprawę, że Dave przygląda mu się badawczo.

- Co wywinąłeś tym razem?

Między powrotem z kąpieliska a wyprawą do Güero's Andy zdążył opatrzeć swoje rany i zadrapania oraz zażyć dwie tabletki ibuprofenu, ale wszystko wciąż go bolało, jakby spadł trzydzieści metrów ze stromego stoku. Bo faktycznie tak się stało. Rzecz jasna cztery butelki corony zadziałały jako dodatkowe znieczulenie.

- Wykonał skok na główkę ku ucieście kilku miłych seniorek - wyjaśnił Tres. - W tę przepaść nad Sculpture Falls.

- Ojoj. Byłeś u lekarza?

- Leczę się naturalnymi sposobami. - Andy postukał palcami po szyjce butelki. - I muszę zażyć całą przepisaną dawkę.

Ponownie uniósł butelkę, dając znak Rondzie. Nie przejmował się powrotem do domu po pijanemu, gdyż nie jeździł samochodem i mieszkał tylko parę przecznic od Güero's. Często wracał w takim stanie na rowerze, co nie stanowiło wykroczenia, przynajmniej w Austin.

- A więc znów atakowałeś Wzgórze Życia - powiedział Dave, na co Andy wzruszył ramionami. - Wzgórze Śmierci byłoby bardziej stosowną nazwą. Andy, czy ty czegoś się boisz?

- Kobiet.

- Zaiste, bracie! - wykrzyknął Curtis i nad stolikiem przybili żółwika.

- Pewnego dnia zabijesz się na tym rowerze - stwierdził Dave.

- Na tym rowerze już nie. Zresztą są gorsze trasy do pokonania.

Cała czwórka zamilkła, spuszczać wzrok.

- Jak się miewa twój rumak? - Tres objął Andy'ego ramieniem.

- Wciąż czeka na sygnał do boju.

Na dłuższą chwilę zapadła krępująca cisza.

- Curtis, przeczytaj nam następne - odezwał się w końcu Tres.

- Dobra. - Curtis przewrócił kartkę. - Ta dziewczyna szuka faceta, który jest delikatny, uczuciowy, inteligentny i obdarzony poczuciem humoru oraz ujmującą osobowością... no i oczywiście musi mieć umysł Einsteina i ciało Matthew McConaugheya.

- Wszystkie tego chcą. Idealnego samca - doszedł do wniosku Dave, po czym wyciągnął grzebień i po raz kolejny zaczesał włosy do tyłu. Uśmiechnął się do przechodzącej dziewczyny, która uśmiechała się do Tresa, co skwitował wzruszeniem ramion, i klepnął Curtisa w ramię. - Mamy tu przynajmniej połowę ideału: mózg Einsteina.

- A za drugą połowę robi Andy - dodał Tres.

- Daj spokój, McConaughey jest przypakowany. A ja jestem... łykowany.

- Natalie twierdzi, że jesteś świetnie zbudowany. Cholera, gdybyś miał kasę, podejrzewałbym, że zdradza mnie z tobą.

- Dzięki.

- McConaughey pewnie myśli, że pi to jakaś potrawa - oznajmił Curtis.

- A tak nie jest? - z udawanym zdziwieniem zapytał Dave.

- Idę o zakład, że nawet gdyby zależało od tego jego życie, nie potrafiłby rozwiązać równania kwadratowego.

- A co to jest?

- To. - Curtis obrócił się na krześle, pokazując plecy, gdzie na podkoszulku widniał nadruk przedstawiający jakieś długie matematyczne działanie. - Prosta algebra.

Tres roześmiał się.

- Tacy gwiazdorzy mają ludzi od rozwiązywania zadań z algebry.

- Widziałem go tu całkiem niedawno - powiedział Dave. - Laski stawały na głowie, żeby się do niego dopchać. Nawet Ronda.

- Przecież to lesbijka - zdziwił się Andy.

Dave rozłożył ręce.

- Blask sławy.

- Nie mamy u nich żadnych szans, jeżeli wszystkie lecą na McConaugheya. - W głosie Curtisa pobrzmiwała rezygnacja.

- Wiem, jak temu zaradzić - rzucił Dave. - Trzeba odpisywać na anonse kobiet po czterdziestce. Jest mnóstwo starszych pań, które dochodzą do siebie po rozwodzie. Samotnych i zdesperowanych. - Ale czy na tyle zdesperowanych, by umówić się z którymś z nas? - Curtis pozostawał sceptyczny.

- To ty jesteś zdesperowany. Jak wysoko stawiasz poprzeczkę?

- I w tym całe sedno sprawy.

- To trochę obleśne. - Andy skrzywił się. - Jak randka z mamusią.

- Moja matka spotyka się z jakimś trzydziestopięcioletkiem, którego poznała przez ogłoszenie. - oświadczył Dave. - Powiedziała, że mógłby być moim starszym bratem, którego nigdy nie miałem.

- Poważnie?

Dave pokiwał głową.

- A panienka mojego ojca ma dwadzieścia sześć lat. On oczywiście twierdzi, że mogłaby być moją starszą siostrą, której nigdy nie miałem. Ale czy ma to jakieś znaczenie, gdybym zechciał przelecieć moją nową siostrę? A gdyby za niego wyszła, to znaczy, że miałbym chrapkę na własną macochę.

- Wiesz, to jest niesmaczne.
- Gdybyś tylko ją zobaczył...

Ronda postawiła na stoliku cztery butelki corony i odebrała od nich zamówienia. Taco z wołowiną, chipsy z sosem serowym i jeszcze więcej piwa.

- Skorygowałem mój profil - oznajmił Andy.
- Żadnego brania?
- Zero. Więc teraz mam dwadzieścia sześć lat, jestem demokratą i weganinem.

- Przecież masz dwadzieścia dziewięć, jesteś republikaninem i pożerasz mięso jak jakiś pieprzony tyranozaur.

- A ta dziewczyna pisze w swoim anonsie, że chrześcijanie i republikanie absolutnie nie wchodzą w grę - wtrącił Curtis.

- Widzisz? - zaperzył się Dave. - W Austin łatwiej znaleźć dziewicę niż republikankę. Przyznasz się dziewczynie, że głosowałeś na Busha i już po tobie.

- Ale ty nie mówisz prawdy.

- Wszyscy na tym portalu kłamią, Andy. To jest jak podanie o przyjęcie do pracy. Nie musi być zgodne z prawdą.

Dave pracował w branży nieruchomości.

- Ta pisze: „Jestem ładna, bystra, zabawna i wszystkie te sraty taty, które powtarzam sobie codziennie w ramach programu samoakceptacji.” - Curtis odczytał kolejny anons.

- Ona jest w trakcie terapii - machnął ręką Dave. - Następna.

- „Jestem romantyczna, a czasami bardzo uczuciowa. Kiedy się wzruszę, chce mi się płakać, a te reklamy schronisk dla zwierząt są takie smutne.” Na końcu emotikon ze skrzywioną buźką.

- Bidulka. Następna.

- Ta dziewczyna twierdzi, że cztery sławne postacie, które zaprosiłaby na kolację, to Jezus, Gandhi, Dalaj Lama i Paris Hilton.

- Głupich nie sieją. Następna.

- Dobra, posłuchaj tego. Ma dwadzieścia sześć lat, z zawodu jest przedszkolanką i mieszka w SoCo. Metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, pięćdziesiąt kilo wagi, wysportowana sylwetka, zdrowa i bez nałogów, zrównoważona i bez zobowiązań. Czytuje „Chronicle”, robi zakupy w sklepie ze zdrową żywnością, ćwiczy na siłowni i chodzi na kawę do Jo's. Jej pomysł na idealną randkę, to fajitas z krewetkami w Güero's i lody waniliowe u Amy's. Alkohol pija dla towarzystwa, ale nie pali. Jej ulubione zajęcie, i tu uważaj Andy, to jazda na rowerze górskim i kąpiel w Barton Springs.

Andy aż poderwał się na krześle.

- Rety, ona jest stworzona dla mnie!

- Gdyby nie jeden haczyk.

- Jaki?

- Jest zainteresowana znajomością z mężczyzną albo z kobietą.

- Znaczy, jest bi?

- Najwyraźniej.

- I oto jest dziewczyna, którą mógłbyś zaprosić do domu i przedstawić matce - stwierdził Dave. - Albo siostrze.

- Szkoda, że nie mam siostry - zasępił się Curtis.

- Może ja zapoznałbym ją z moją nową siostrą - wtrącił Dave.

Andy Prescott opadł na oparcie krzesła i wychylił resztkę piwa. Miał dwadzieścia dziewięć lat, a ostatnią dziewczyną, którą zabrał do domu i przedstawił matce, była Mary Margaret McDermont. Jego zła passa w relacjach z kobietami trwała od dwudziestu lat. Przez chwilę rozmyślał nad swym niewesołym położeniem, po

czym westchnął, uniósł pustą butelkę i wymachiwał nią nad głową tak długo, dopóki nie zauważyła go Ronda.

- Jeszcze jedno, señorita.

Gdzieś wyczytał, że piwo jest nie tylko naturalnym środkiem znieczulającym, ale również ziołowym lekiem na depresję.

Rozdział 3.

Następnego ranka dokładnie o siódmej trzydzieści głośna muzyka rockowa wyrwała Andy'ego z głębokiego niczym letarg snu z subtelną atakującego plutonu antyterrorystów. Andy wyciągnął rękę i cisnął radio-budzikiem o przeciwległą ścianę, ale był to tylko symboliczny gest. Już nie spał. Próbował usiąść, ale każdy ruch wywoływał dotkliwy ból, jakby wewnątrz jego głowy wściekle rykoszetowała kula bilardowa.

Dwanaście butelek corony zrobiło swoje. Od piwa pękała mu głowa, a całe ciało bolało po upadku ze stoku i było zeszywniałe jak kłoda, gdyż całą noc przespał w jednej pozycji. Prawą rękę miał zdrętwiałą - musiał na niej leżeć albo spadając z roweru, uszkodził jakiś nerw.

Całkiem nieźle jak na początek tygodnia.

Sturlał się z łóżka i uświadomił sobie, że wciąż jest ubrany w to samo co poprzedniego wieczoru. Z przodu podkoszulka widniała sporych rozmiarów plama salsy, która sprawiała, że nadrukowany na piersi Willie Nelson wyglądał, jakby ktoś wygarnął do niego z dubeltówki. Andy usiłował przywołać w pamięci ostatnie godziny minionego wieczoru, ale jedyną rzeczą, jaką był w stanie odtworzyć jego umysł, była rozmazana scena upadku na stolik. I nie był to jego stolik.

Andy rozebrał się, zrzucając ubranie na podłogę, i pokuśtykał do łazienki. Po znieczulających właściwościach piwa nie zostało

ani śladu i jego lewe kolano rwało przy każdym kroku. Pod prysznicem odkręcił gorącą wodę, po czym uwolnił pęcherz od resztek piwa i wyszorował zęby. Stojąc przed lustrem, wlepił wzrok w swoje odbicie.

Wyglądał tak samo marnie, jak się czuł.

Wrócił do salonu, gdzie rozciągnięty na kanapie leżał szpic wilczasty imieniem Max. Pies zerwał się i biegiem ruszył w stronę wyjścia. Jego pęcherz również dopominał się swoich praw. Andy otworzył drzwi i cofnął się oślepiiony blaskiem słonecznego dnia. Na wprost frontowego ganku jego domu znajdowały się zabudowania stanowej szkoły dla niesłyszących, dzięki czemu okolica była spokojna. Chodnikiem spacerowała sąsiadka Liz ze swym maleńkim białym lhasa apso.

- Miło cię widzieć w takim stroju, Andy - zagadnęła do niego, podczas gdy ich psy obwąchiwały się nawzajem pod ogonami.

W tym momencie Andy uświadomił sobie, że jest nagi. Pomachał niemrawo sąsiadce i wrócił do łazienki. Gorący prysznic przywrócił do życia większość jego szarych komórek, ale jego ciało nie miało szans na szybkie uzdrowienie. Czerwone ślady zadrapań biegnące w poprzek twarzy nadawały mu wygląd wodza Apaczów w barwach wojennych. Na jego łokciach i kolanach zaczęły pojawiać się paskudne strupy. Lewe kolano było opuchnięte. Wprawdzie odzyskał już czucie w prawej ręce, ale nie mógł jej unieść powyżej barku. Czekał go tydzień rekonwalescencji, ale ogólnie rzecz biorąc, nie było najgorzej. Gdyby Andy obawiał się bólu, nie uprawiałby sportów ekstremalnych, tylko siedziałby w domu i grał w kręgle na konsoli telewizyjnej.

Andy wynajmował dom zjedną sypialnią i łazienką przy Newton Street, nieopodal centrum miasta, które znajdowało się na

przeciwległym brzegu rzeki. Mieszkał w dzielnicy Austin znanej pod nazwą SoCo, która pochodziła od przebiegającej przez jej środek arterii South Congress Avenue. Newton Street przecinała ją dwie przecznice na zachód od domu Andy'ego. Inne budynki na tej ulicy zostały odnowione przez miejskich kolonizatorów, ludzi takich jak Liz i jej mąż, młodych profesjonalistów, którzy nieustraszenie zasiedlali tę okolicę w czasach, gdy głównymi mieszkańcami SoCo byli narkomani i prostytutki.

Obecnie SoCo była modną i elegancką dzielnicą, wielce pożądanym i wysoko wycenianym rejonem miasta. Stojące po obydwu stronach ulicy budynki, niewiele większe od wiejskich domków, osiągały w zeznaniach podatkowych wartość przekraczającą trzysta tysięcy dolarów, a jeden z nich, oddalony o parę numerów od Andy'ego, miał cenę rynkową sześćset tysięcy. Ten, w którym mieszkał Andy, wciąż czekał na renowację, w związku z czym został wyceniony na osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset dolarów. Jego właściciel przed sześciu laty przeniósł się służbowo do Kalifornii, ale miał nadzieję kiedyś wrócić do Austin. Andy z kolei miał nadzieję, że nigdy to nie nastąpi, gdyż musiałby opuścić dom, który wynajmował za jedyne sześćset dolarów miesięcznie, czyli znacznie poniżej rynkowych stawek za czynsz w tej dzielnicy.

Andy długo przekopywał stertę ubrań piętrzącą się na stoliku, aż w końcu znalazł parę dżinsów i czystą koszulę z kołnierzykiem. Jako że nie miał żelazka, strzepnął koszulę, aby ją wygładzić, po czym ubrał się, chwycił golarkę elektryczną i wyszedł na zewnątrz. Na ganku spoczywały resztki jego roweru, który wyglądał jak po przejściu tornada. Bez niego Andy Prescott czuł się jak człowiek, który nie ma po co żyć.

Był zapalonym kolarzem i nawet do pracy jeździł rowerem, ale był to rower górski. Jednak w tym dniu jego jedynym środkiem transportu był stary BMX, który pożyczył mu Tres do czasu, aż sprawi sobie coś nowego na miejsce schwimma. Nikt jednak nie wiedział, kiedy to nastąpi. Wskoczył na siodełko i poczuł, że w tylnym kole nie ma powietrza. Po chwili zastanowienia wrócił do domu, skąd przyniósł pompkę. Napęlił oponę powietrzem, po czym znów wdrapał się na rower. Włożył kask, wsunął okulary i zjechał z ganku po schodach. Gdy dotarł do ulicy, zatrzymał się i rozejrzał w obie strony. Mógł skręcić na południe i pojechać najprostsza drogą przez James Street albo skręcić na północ, wybierając drogę przez Nellie Street, która rokowała nadzieję na poranny zastrzyk adrenaliny.

Obrócił kierownicę na północ.

Bez wątpienia wyglądał jak palant, jadąc na tym chłopięcym, cukierkowo czerwonym rowerze o dwudziestocalowych kołach, ale alternatywą było przemieszczanie się na piechotę. Włączył maszynkę do golenia i przejechał nią po twarzy. Gwizdnął na Maxa, który podążał za nim. Dwie posesje dalej natknął się na Liz zajętą pielęgowaniem skalniaka przed domem.

- Przepraszam za tamto - rzucił zażenowanym tonem.

Kobieta skwitowała jego słowa uśmiechem. Oczywiście nie był to pierwszy raz, kiedy widziała go na golasa.

Ruszył dalej, wlepiając wzrok w rozpościerającą się przed nim panoramę centrum miasta. Austin leży na skraju wyżyny Texas Hill Country, gdzie płaski obszar prerii zaczyna się wybrzuszać i marszczyć jak koszula Andy'ego, toteż topografia miasta pełna jest pagórków i dolin. Wśród nich biegną drogi, które wiją się, wznoszą i opadają w zależności od ukształtowania terenu. Newton Street,

wąska aleja w dzielnicy willowej, biegnie z północy na południe, przecinając jedno z takich wzniesień. Z tak dogodnego punktu Andy widział rysujące się na tle błękitnego nieba sylwetki drapaczy chmur oraz ramiona dźwigów, które górowały nad nowo powstającymi blokami mieszkalnymi i hotelami. Wszystko to przysłaniało sylwetkę stanowego Kapitolu i dopiero trzeba było stanąć na środku Congress Avenue, żeby go zobaczyć. Był to jawny rozbój, którego deweloperzy dopuszczali się za cichym przyzwoleniem ratusza. Austin stało się ziemią obiecaną dla inwestorów, którzy wietrzyli zysk, toteż przedsiębiorcy budowlani i władze miasta, niegdyś śmiertelni wrogowie, teraz połączyli siły, aby zagrabic jak najwięcej dla siebie. Matka Andy'ego często mawiała, że z powodu pieniędzy dobrzy ludzie zaczynają robić złe rzeczy.

Newton Street ciągnęła się wzdłuż płotu otaczającego zabudowania szkoły dla niesłyszących, po czym ostro skręcała na wschód. Za tym zakrętem, który Andy właśnie pokonywał, ulica zmieniała nazwę na Nellie Street. Opadała ona pod ostrym kątem na krótkim odcinku zakończonym skrzyżowaniem z Congress Avenue, która biegła dnem jednej z dolin.

Andy mocniej nacisnął pedały. Gnając w dół Nellie Street, można było doświadczyć niezgorszego dreszczyku emocji. Podczas jednego z takich zjazdów nawaliły mu hamulce i przemknął w szalonym pędzie przez skrzyżowanie, by z hukiem zatrzymać się w ogródku baru Doc's Motorworks. Teraz nie omieszkał sprawdzić hamulców, które działały bez zarzutu.

Wsunął golarkę do kieszeni spodni, poprawił kask i okulary, po czym spojrzął na sygnalizator świetlny u podnóża wzniesienia. Właśnie zapaliło się czerwone na przejściu dla pieszych. Miał dokładnie dwadzieścia cztery sekundy.

Congress Avenue jest szeroką pięciopasmową aleją, która prowadzi z północy na południe i stanowi wielką arterię komunikacyjną. Panował na niej poranny ruch i samochody właśnie ruszały ze skrzyżowania. Zniecierpliwieni kierowcy SUV-ów nie mieli nastroju, aby czekać na spóźnionych przechodniów ani dzielić zatłoczone pasy z jednośladami, więc ostro dodawali gazu. Oficjalnie Austin okrzyknięto miastem przyjaznym dla rowerów, jednak zmotoryzowani najwyraźniej nic sobie z tego nie robili. Wjeżdżając im w drogę na dwóch kółkach, należało się spodziewać, że zostanie się staranowanym z bezwzględnością godną zawziętej teściowej. Do tego wielu kierowców było spóźnionych do pracy i zmagало się z kaczem, zatem jakiś wlokący się przed nimi jednośladowy zawalidroga mógł tylko pogłębić frustrację poniedziałkowego ranka. Stąd też każdy cyklista, który był na tyle głupi, by zmagać się z ruchem samochodowym na Congress Avenue w porannych godzinach szczytu, powinien uprzednio spisać swoją ostatnią wolę.

Andy wiedział, że jeśli uda mu się idealnie zgrać wszystko w czasie, wpadnie na skrzyżowanie dokładnie w momencie, gdy światło nad pasami ruchu zmieni się z czerwonego na zielone. Znajdzie się wtedy przed samochodami, które ruszą na południe, i pojedzie na czele kawalkady, zamiast czekać na włączenie się do ruchu. Oczywiście jeżeli spóźni się choćby o sekundę, uderzy w bok pierwszego z brzegu pojazdu, a jego ciało wyrzucone siłą bezwładności zatoczy łuk w powietrzu i wyląduje na dachu samochodu ruszającego na zewnętrznym pasie. O ile to przeżyje, będzie mocno pokiereszowany.

Andy nie zapewnił jeszcze swemu organizmowi codziennej dawki kofeiny, toteż pomysł był umiarkowanie ryzykowny. Max wydawał się jednak niezupełnie do tego przekonany i dotrzymywał mu kroku, w bezpiecznej odległości biegnąc po chodniku.

Andy zjechał na lewą stronę ulicy i przyspieszył, ale lekko naciskał hamulce, aby dopasować się do światła.

Od skrzyżowania dzieliło go czterdzieści metrów i miał jeszcze dziesięć sekund.

Trzydzieści metrów i siedem sekund.

Dwadzieścia metrów i pięć sekund.

Dziesięć metrów i trzy sekundy... dwie... jedna...

Wpadł na Congress Avenue, gdy przed samochodami zapaliło się zielone światło, wchodząc w ostry przechył, skręcił w prawo i szerokim łukiem wjechał na pas ruchu. Za jego plecami rozległo się wściekle trąbienie klaksonów, ale nim SUV-y zdążyły opuścić skrzyżowanie, Andy mijał już kolejną przecnicę. Wyprostował się na siodełku i chciał wyrzucić ręce w górę niczym Lance Armstrong wjeżdżający na metę Tour de France, ale skrzywił się z bólu. Jego prawe ramię wciąż odmawiało posłuszeństwa, więc poprzestał na uniesieniu pięści.

Tego ranka wygrał, jeśli coś warte było jego zwycięstwo. Przemknął obok modnej galerii handlowej, w której znajdował się Austin Motel, ulubiony sklep Julii Roberts, po czym zahamował, wchodząc w gwałtowny skręt naprzeciwko kawiarni Jo's Hot Coffee. Oparł rower o jeden ze stojaków na gazety, które ciągnęły się wzdłuż krawężnika, zdjął kask i zaczął przerzucać lokalne dzienniki i „New York Timesa”, by sięgnąć po bezpłatny numer „Austin Chronicle”, biblię mieszkańców SoCo.

- Kretyn! - krzyknął przejeżdżający obok kierowca jednego z SUV-ów i pokazał mu środkowy palec.

- Idź spać - odkrzyknął Andy w odpowiedzi.

Jego riposta nie należała do powalających, ale nie był w stanie wymyślić nic lepszego przed wypiciem porannej kawy. Max szczerknął na znak poparcia, choć najprawdopodobniej zamierzał w ten sposób napomknąć przy okazji, że ma ochotę na muffinę. Jak

na inteligentnego psa przystało, całą drogę do kawiarni przebył, biegnąc po chodniku.

- Chcesz ciasteczko, chłoptasiu?

Max podskoczył radośnie i wyszczał radosne: „Tak! Tak! Chcę!”.

Dog niemiecki rozmiarów niewielkiego konia stał w kawiarnianym ogródku obok jednego ze stolików, przy którym siedziała jego przewodniczka - w przyjaznym psom Austin czworonogi nie mają właścicieli, tylko przewodników. Z gardła olbrzyma wydobył się głuchy warkot i wystraszony Max przywarł do nóg Andy'ego. Stanęli na końcu kolejki, która zakręcała na środku chodnika. W Jo's nie było przedsiönka ani pasa dla klientów rowerzystów. Kawiarnia mieściła się w niewielkim zielonym budynku stojącym przy chodniku na parkingu modnego hotelu San José. Zaglądali do niej ci mieszkańcy Austin, którzy kochali dobrą kawę, a nienawidzili korporacyjnych sieci, więc nie byliby nawet w stanie przestąpić progu Starbucksa. W Jo's ceny były takie same, lecz Andy wolał ten lokal, gdyż należał on do miejscowego właściciela, podawano w nim mocniejszą kawę, a zamawiając dużą porcję, nie trzeba było mówić „venti”.

- Duża kawa - powiedział Andy, podchodząc do okienka.

- Jakbym nie zdążył się nauczyć przez te dziesięć lat - obruszył się Guilermo Garza.

Odkąd Andy zamieszkał w SoCo, co rano wstępował do Jo's na dużą kawę z muffinką, a gdy ojciec powierzył mu opiekę na Maxem, zaczął zamawiać dwie.

- Dla mnie z kremem bananowym, a dla...

Max gapił się uporczywie na widoczne w oknie wystawowym ciastka, a czując odurzający zapach świeżych wypieków ślinił się trochę bardziej niż Andy.

- Max, wolisz z bananami czy z jagodami? - spytał Andy, a w odpowiedzi usłyszał szczeknięcie. - Z jagodami? - Pies szczeknął ponownie, a Andy zwrócił się do Guillerma. - Dzisiaj Max wybiera jagodową.

Guillermo zapakował ciastka i kiwnął głową w stronę zaparkowanego na chodniku BMX-a.

- Ukradłeś go jakiemuś dzieciakowi?
- Rozwaliłem schwimma.
- Wylądowałeś na twarzy?
- Kilka razy.

Guillermo wskazał palcem na ulicę.

- Widziałem twój wyczyn przy wjeździe na skrzyżowanie. Jeden z tych wozów kiedyś cię stuknie i przejdziesz do historii.

Andy wzruszył ramionami.

- Nie ma nic lepszego na początek dnia od małego zastrzyku adrenaliny.

- Przyznaj Andy, że jesteś świrem, a to już pierwszy krok do uzdrowienia.

- Nigdy się tego nie wypierałem.

- Bracie, masz jaja większe od mózgu. - Guillermo Garza wiedział, co mówi, gdyż miał tytuł magistra nauk politycznych. - Jakiś krok w stronę slammera?

- Sam widzisz. - Andy pokazał kciukiem swój zastępczy pojazd.

- Nie trać wiary, bracie - odparł Guillermo i wyciągnął rękę przez okienko, by przybić żółwika z Andym.

Andy zapłacił, wziął kawę i ciastka, po czym skierował się w stronę zacienionego przez drzewa kawiarnianego ogródka. Max przemknął chyłkiem obok olbrzymiego doga, starając się nie rzucać mu w oczy. Usiadłszy przy stoliku, Andy położył na ziemi muffinę

Maxa umieszczoną na zdjętej z papierowego kubka przykrywcę, do której nalał odrobinę kawy. Pies skosztował trochę i szczeknął z uznaniem.

Andy rozparł się na krześle, pociągnął duży łyk i poczuł, jak pod wpływem kofeiny jego ciało wraca do życia. Kawa w Jo's była dwa razy mocniejsza niż gdzie indziej. Wbił zęby w ciastko i rozejrzał się dookoła.

Oficjalny slogan miasta brzmiał: „Spraw, by Austin było niezwyczajne”. Położona na północnym brzegu część śródmieścia spełniała funkcję maszyny marketingowej, ale po drugiej stronie rzeki toczyło się codzienne życie i jedyną ostoją niezwykłości była kawiarnia Jo's.

Młodzi mężczyźni i „kobity” - powiesz „kobieta” w SoCo, a wykastrowują cię jak beżpańskiego psa - siedzieli w ogródku, delektując się poranną kawą. Ray stukał zawzięcie w klawiaturę laptopa. Miał doktorat z antropologii i pisał epokową powieść, kiedy nie siedział za kierownicą taksówki. Darla, magister psychologii, o ciele pokrytym tatuażami i włosach ufarbowanych na wszystkie kolory tęczy, ubrana w długie pończochy w stylu Pippi Langstrumpf i staromodne czerwone trampki sięgające za kostkę, pracowała w lodziarni po drugiej stronie ulicy. Oscar, artysta plastyk, pił dużą latte przed rozpoczęciem zmiany w oddalonym o dwie przecznice barze Güero's. George brzdąkał na gitarze i kończył kawę, by potem usiąść na krawężniku i grać przez dwanaście godzin za garść drobniaków. Dwight pochylony nad laptopem uzupełniał wpis na swoim blogu, dzieląc się z całym światem każdą myślą, jaka przychodziła mu do głowy. Czytały to średnio dwie osoby dziennie. Prócz nich odwiedzało to miejsce wielu innych wytatuowanych i kolczykowanych odmieńców.

SoCo była siedliskiem najrozmaitszych świrów. Na szczęście tego ranka zabrakło najwybitniejszego z nich, Królowej Leslie. Widok mężczyzny w średnim wieku chodzącego na wysokich obcasach i ubranego w czarny stanik nie był odpowiednią atrakcją na początek dnia i zawsze przyprawiał Andy'ego o mdłości. Leslie był nieszkodliwym bezdomnym transwestytą i nieodłącznym elementem krajobrazu dzielnicy. Regularnie kandydował w wyborach na burmistrza i raz udało mu się nawet zdobyć trzy tysiące głosów, mimo że podczas kampanii występował w damskiej bieliźnie. Sama jego obecność sprawiała, że SoCo mogłoby osiągnąć szczytową pozycję w rankingu najbardziej dziwacznych dzielnic.

Jednak na obszarze SoCo, wyznaczonym przez trzynaście przecznic krzyżujących się z South Congress, dziwactwo było rzeczą normalną. Ludzie, sklepy, muzyka, tatuaże. Zwłaszcza to ostatnie. Ozdobienie skóry tatuażem miało dla mieszkańców tej dzielnicy rytualną wymowę, podobnie jak u Majów, którzy znacząc ciała bliznami, manifestowali swą plemienną przynależność. Jeżeli ktoś nie miał tatuażu, uchodził w tym kolorowym ekstrawaganckim świecie za cudzoziemskiego turystę, za przybyłego z zewnątrz bezbarwnego obserwatora. Andy należał do tego plemienia. Na jego ramieniu widniała stalowoszara głowa konia, emblemat marki amerykańskiego motocykla Iron Horse. Ramon wytatuował mu go pewnego wieczoru, kiedy Andy po pijanemu dostał głupawki.

Ponadto SoCo kojarzyło się z rozlazłością. Austin zawsze było miastem leni i próżniaków, ale ci z SoCo mieli szczególne referencje w postaci licencjatów, magisteriów i doktoratów otrzymanych na miejscowej uczelni. Uniwersytet stanu Teksas co roku nadawał tytuły dziesięciu tysiącom studentów, ale żaden z nich nie zamierzał wyjeżdżać, wskutek czego lokalny rynek pracy był skąpy

niczym przydzwiewek Królowej Leslie. W rezultacie absolwenci prowadzili taksówki, obsługiwali stoliki w restauracjach i pisali powieści, które nie miały żadnych szans na publikację. I wszyscy przesiadywali w kawiarni Jo's.

Andy wstał, wziął „Chronicle” ze stolika i podszedł do okienka, gdzie znów sięgnął po portfel.

- Na razie, stary. - Guillermo wręczył mu papierową torebkę i przyjął od niego kilka monet.

Andy wskoczył na siodełko, zwinął gazetę i wsunął ją do szetki na biodrach, włożył kask i zagwizdał na Maxa. Kierował rowerem, trzymając w lewej ręce pakunek, a w prawej kawę. Wspinając się łagodnym wzniesieniem, minął hotel San José i bar Güero's, gdzie Ronda właśnie zamiatała ogródek. Przeciął Elizabeth Street i sunąc chodnikiem, przejechał obok sklepu i wypożyczalni kostiumów Lucy In Disguise With Diamonds, którego fasadę zdobi wielkie malowidło wypełnione twarzami różnych postaci, począwszy od Jezusa aż po Beatlesów. Chwilę później minął galerię osobliwości Uncommon Objects, gdzie nad markizą wisiała metalowa rzeźba przedstawiająca kowboja jadącego na zającu.

Andy zahamował przed stojącym przy South Congress budynkiem z numerem 1514, w którego oknie widniał neonowy napis: „Body Art by Ramon”. Drzwi były zamknięte na głucho, gdyż Ramon nie otwierał do południa. Warunkiem niezbędnym do otrzymania tatuażu było wprawienie się w stan upojenia, toteż większość klienteli zaglądała tutaj między dziesiątą wieczorem a drugą w nocy, kiedy już zamykał. Dlatego Ramon Cabrera nie pracował rano, chyba że miał jakieś zlecenie. Na podeście schodów siedział Floyd T, i pisał coś w notatniku.

- Dzień dobry, Floyd. - Andy zsiadł z roweru i wyciągnął gazetę.

- Cześć Andy. Jak dzisiaj obchodzi się z tobą świat?
- Zeszłego wieczoru wlałem w siebie o parę piw za dużo.
- Czuję twój ból.
- A jak ty się miewasz?
- Jak to bezdomny. - Floyd wzruszył ramionami.

Floyd T, był jednym z rezydujących w okolicy bezdomnych. Przygarnęli go właściciele firmy, którzy opiekowali się nim i płacili za jego leki nasercowe, a raz w tygodniu ktoś zawoził go do schroniska, aby mógł wziąć prysznic. Andy miał nadzieję, że właśnie nadszedł ten dzień, ponieważ Floyd zdążył już dojrzeć w sierpniowych upałach. Miał zmierzwiłone włosy i gęstą brodę, a jego błękitne oczy spoglądały na Andy'ego znad okularów do czytania, które wygrzebał z kontenera na śmieci.

- Powinieneś się ostrzyc, żołnierzu - stwierdził Floyd.
- A ty wykapać.

Floyd zmarszczył brwi i pociągnął nosem.

- Czyżby minął już tydzień?

Andy podał mu papierową torbę. Floyd zatrzasnął notes i wrzucił go do sklepowego wózka na zakupy, który stał obok, po czym wyciągnął z torebki kubek kawy i muffinkę.

- Bananowa. Moja ulubiona. Dzięki, Andy.

Floyd T. - nikt nie wiedział, od czego pochodziło owo T. - był jednym z tysiąca ludzi, którzy nazywali ulice Austin swoim domem. Miał sześćdziesiąt dwa lata i walczył w Wietnamie, podobnie jak ojciec Andy'ego. Jednak jego ojciec nie odniósł na wojnie żadnych obrażeń, natomiast Floyd T, wrócił do domu bez lewej nogi i uzależniony od heroiny. Od paru lat był czysty i trzeźwy, ale jego świat nie wykraczał poza tych kilka przecznic South Congress Avenue. Wciąż chodził w zielonej kurtce mundurowej,

wyświechtanej po czterdziestu latach noszenia, i w wojskowych butach.

- Znów się wywaliłeś? - zapytał Floyd z ustami wypełnionymi ciastkiem.

- Taaa.

- Zbadał cię lekarz?

- To tylko powierzchowne obrażenia.

Floyd T, wskazał obgryzioną muffinką na gazetę, którą Andy trzymał w rękę.

- Wciąż szukasz w tych ogłoszeniach miłości swego życia? - spytał.

- Raczej przygody na jedną noc.

- Przeżyłem wiele takich przygód w Namie. Ale nigdy nie miałem kobiety, która poszłaby ze mną do łóżka z miłości. A mężczyzna potrzebuje czuć się kochany. - Floyd T, zawiesił głos, jak gdyby rozmyślał nad własnymi słowami. - Chce mi się sikać. Jeżeli Ramon zaraz nie otworzy, będę musiał iść za dom. Podasz mi moją nogę?

Andy sięgnął do wózka i wydobył z niego odzianą w stary wojskowy but protezę, którą podał Floydowi, a ten przytroczył ją sobie do kikuta poniżej lewego kolana.

- I znów jestem w pełni mężczyzną.

Do leżącego na dnie wózka pudelka po cygarach, w którym Floyd T, przechowywał Purpurowe Serce i fotografie rodziców, Andy włożył banknot pięciodolarowy.

- Miłego dnia, Floyd.

- Tobie też. - Floyd zasalutował.

Obok sąsiednich drzwi oznaczonych numerem 1514^{1/2} znajdowało się małe okienko. W jego górnej części widniał namalowany

czarnymi literami napis „1514^{1/2}-A Lekcje skrzypiec”, z kolei umieszczony na dole czerwony napis głosił: „1514^{1/2}-B Mandaty drogowe”. Andy zdjął kask i wsunął klucz do zamka. Nie uczył gry na skrzypcach. Był prawnikiem.

Andy Prescott nie praktykował w sądzie stanowym ani apelacyjnym, a z całą pewnością nie w sądzie federalnym. Nie reprezentował interesów wielkich korporacji, nie zajmował się sprawami rozwodowymi bogaczy, ani nawet pozwami o odszkodowania wnoszonymi przez ofiary wypadków. Praktykował w sądzie grodzkim w Austin, gdzie występował w imieniu wzburzonych kierowców, którzy odwoływali się od mandatów wystawionych przez miejscową drogówkę.

Nadzorował swoje prawne imperium z ciasnego biura położonego nad salonem tatuażu. Podnajmował od Ramona połowę piętra, które dzielił z nauczycielem muzyki. Na szczęście większość młodych skrzypków, którzy ćwiczyli za ścianą, opanowała grę w stopniu zaawansowanym.

Andy oparł rower o ścianę korytarza tuż za drzwiami, tymczasem Max popędził na górę po schodach. Andy podążył w ślad za nim i po chwili znalazł się w biurze, które miało tylko trzy metry na trzy, ale roztaczał się z niego przyjemny widok na Congress Avenue. Na koszty też nie mógł narzekać. Płacił zaledwie dwieście dolarów czynszu, w który były wliczone media, a Ramon pozwalał mu korzystać ze swojej poczekalni i komputera.

Andy otworzył okno. Nie miał w biurze klimatyzacji, ale za to mógł się cieszyć dobiegającymi z zewnątrz odgłosami. Usiadł na obrotowym krześle przy składanym stoliku turystycznym, który służył mu za biurko. Przed czterema laty ukończył na uniwersytecie stanowym studia prawnicze z przeciętnym wynikiem, podobnym

do tego, jaki osiągnął w koledżu. Został przyjęty na ten kierunek tylko dlatego, że był zdolny, ale status cudownego dziecka nie był w stanie zapewnić mu pracy. Po otrzymaniu dyplomów jego koledzy z roku znaleźli zatrudnienie w dużych kancelariach adwokackich w Houston lub w Dallas, albo ulokowali się na intratnych państwowych posiadach w Austin.

On też dostał dyplom. Zawiesił go sobie na ścianie. Uniwersytet Stanu Teksas, Wydział Prawa. Andrew Paul Prescott. Juris Doctor. Prawnik. Zdołał jakoś zaliczyć egzamin adwokacki za trzecim podejściem - jak zawsze mawiał jego ojciec, „nawet ślepiej kurze czasem trafi się jakieś ziarno”.

Jak na razie w ciągu tego roku zarobki Andy'ego przekroczyły zaledwie trzynaście tysięcy dolarów. Uliczny grajek George kwalifikował się do wyższego przedziału w skali podatkowej niż on. Klienci płacili mu gotówką, a Andy księgował każdego centa swoich przychodów, od których odliczał tylko 15,9 procent składki na ubezpieczenie społeczne. Jednak i tak pochłaniała ona znaczną część jego zarobków, tymczasem Andy przy swoich rowerowych wyczynach nie spodziewał się żyć na tyle długo, aby wpłacanie na fundusz emerytalny miało jakiś sens.

Rozłożył gazetę i popijając kawę, zaczął przeglądać anonse towarzyskie. Kobiety szukające mężczyzn. Mężczyźni szukający kobiet. Kobiety szukające kobiet. Mężczyźni szukający mężczyzn. W milionowej populacji Austin wszyscy chcieli kochać i być kochani. Jedno pół miliona szukało drugiej połówki. Młodzi i starsi, samotni ludzie. Tacy, którzy nie mieli przy kim się budzić, do kogo wracać, na kogo czekać. Tacy jak Andy.

Owszem, zdarzyło mu się do tej pory zawrzeć kilka znajomości, ale żadna z nich nie rokowała szans na związek w pełnym tego

słowa znaczeniu. Floyd T, miał rację, mężczyźni potrzebują miłości. Ale Natalie również nie mijala się z prawdą, twierdząc, że kobiety potrzebują mężczyzn z ambicjami. Kogoś, kto zdołałby zapewnić im takie życie, o jakim marzą. Andy nie był w stanie. Nie potrafił nawet spełnić marzeń Maxa. Miał za to świetnych przyjaciół i dobrego psa. Miał obydwójce rodziców, przynajmniej na razie. Miał swoją rowerową pasję, choć został bez roweru. I miał swoją pracę. Marną, bo marną, ale miał.

Niemniej wydział ruchu drogowego wspierał jego pasję i marzenia o slammerze. Spojrzał na przybity do ściany plakat przedstawiający motocykl American Iron Horse. Niemal czuł pod sobą vibracje potężnego silnika i powiew wiatru na twarzy, gdy wyobrażał sobie, jak dodaje gazu i pędzi na zachód, jak pochyla się na zakrętach i wspina na wzniesienia, a wielka maszyna pochłania drogę, niosąc go w dal. To by dopiero była adrenalina, to by było życie.

- Andy, spóźnisz się - dobiegł z zewnątrz głos Floyda.

Andy zerknął na zegarek. Za cztery dziesiąta. Rozprawy przed kolegium odwoławczym zaczynały się punktualnie o dziesiątej, tymczasem on znów śnił na jawie. Poderwał się z krzesła, wsadził do plecaka plik dokumentów, po czym sięgnął po znoszoną sportową marynarkę w niebieskim kolorze, która wisiała na gwoździu, i włożył ją. Resztę jego stroju dopełniły kask i okulary. Zbiegł na dół po schodach i wyprowadził rower na zewnątrz. Max wybiegł za nim.

- Sędzia nie pochwali cię za spóźnienie! - krzyknął za nim Floyd.

Andy jechał chodnikiem, a Max biegł obok niego. Kiedy zbliżali się do Güero's, pies wyrwał się do przodu i wpadł do ogródka

przed barem, gdzie siedział Oscar, paląc papierosa.

- No co? Wolałbyś zjeść burrito, niż iść ze mną do sądu, prawda?

Max szczerknął w odpowiedzi.

- Wykaż odrobinę lojalności. Przecież jesteś najlepszym przyjacielem człowieka.

- Zajmę się nim - odezwał się Oscar i wskazał papierosem na rower Andy'ego. - Obrabowałeś jakiegoś dzieciaka?

- Długa historia. Jeżeli Max cię zmęczy, odeślij go do Ramona. I nie dawaj mu fasoli, bo ma po niej wzdęcia.

Andy popędził w stronę śródmieścia.

Rozdział 4.

Andy był spóźniony. Gnał jak szalony na północ wzdłuż Congress Avenue, przeciął na czerwonym świetle skrzyżowanie z Riverside i stanął na pedałach, by jeszcze bardziej się rozpedzić, gdy zjeżdżał ze wzniesienia w stronę mostu na rzece Kolorado.

Po zielonej powierzchni wody, która płynęła przez Austin z zachodu na wschód, śmigły żaglówki, kajaki i żeńskie osady wioślarskie z miejscowej uczelni. Mieszkańcy miasta nazywali rozlewisko rzeki Lady Bird Lake, na cześć Lady Bird Johnson. Cześć tę oddawali byłej pierwszej damie ci sami ludzie, którzy w latach sześćdziesiątych protestowali przeciwko wojnie w Wietnamie i jako studenci ubliżali jej mężowi, prezydentowi Johnsonowi, ilekroć ośmielił się postawić stopę w Austin. Matka Andy'ego była jedną z takich protestujących.

Obecnie rzeka dzieliła Austin tak samo wyraźnie, jak wtedy wojna podzieliła Amerykę.

Andy przekroczył Cesar Chavez Street, która biegła wzdłuż północnego nadbrzeża, i pogrążył się w mroku śródmieścia. Był to nie tylko metaforyczny mrok trefnych interesów, za pomocą których bogaci inwestorzy, szemrani politycy i ich cwani prawnicy nabijali sobie kabzy, wystawiając obywateli do wiatru - centrum miasta było dosłownie ciemnym miejscem. Drapacze chmur, hotele i mieszkalne wieżowce wznosiły się nad ulicami niczym ściany głębokiego kanionu i blokowały im dostęp światła równie

skutecznie, jak zaćmienie słońca, toteż poza jedną godziną w ciągu dnia, kiedy promienie słoneczne padały pionowo, śródmieście Austin spowijał cień. Jedyne budynki stanowego Kapitolu wzniesiony z różowego granitu na niewielkim wzgórzu dziesięć przecznicy dalej na północ, gdzie Congress Street kończyła się ślepo, dobiegając do Jedenastej ulicy, był wolny od mroku. Jego skąpana w porannym słońcu kopuła wyglądała jak światełko na końcu tunelu.

Z jakiegoś powodu widok ten zawsze napawał Andy'ego nadzieją.

Prace remontowe na Drugiej ulicy zatamowały ruch, więc Andy wskoczył na krawężnik i dalej jechał chodnikiem. Wymijał pracowników biurowych ubranych w garnitury lub garsonki, nieszczęśników oczekujących na przystankach, włóczęgów dźwigających na plecach cały swój dobytek i śpiących na ławkach pijaków. Cudem uniknąwszy zderzenia z autobusem i trójkołową rykszą, przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle.

Gdyż już przeciął Drugą ulicę, zeskoczył z powrotem na jezdnię, aby ominąć wlokącą się po chodniku grupę turystów. Znow unióś się na pedały i lawirował między samochodami jadącymi na północ. Słyszał za sobą trąbienie klaksonów. Poirytowani kierowcy posuwali się naprzód w żółwym tempie, tymczasem on śmigał między nimi na czerwonym rowerku. Spaliny były tak gęste, że mógł poczuć smak globalnego ocieplenia. Gdzieś w oddali rozległo się wycie syreny. Zbliżając się do Czwartej ulicy, natknął się na kolejny korek, więc znow wskoczył na chodnik i przemknął obok potężnej bryły Frost Bank Tower, która wyglądała jak żywcem wyjęta z *Raportu mniejszości* Spielberga. Obok Mexic - Arte Museum ostro skręcił w Piątą ulicę i pojechał dalej na wschód. Spojrzał na zegarek. Było dwanaście po dziewiątej.

W lewym kolanie czuł przenikliwy ból, ale znów nacisnął mocniej pedały i rozpędzony przemknął przez skrzyżowania z Brazos, San Jacinto i Trinity - biegnące z północy na południe ulice po obu stronach Congress Avenue noszą nazwy teksańskich rzek - po czym odbił na północ i jadąc Neches Street, minął bar Lovejoys po lewej i Coyote Ugly na rogu Szóstej. Gdy dotarł do Siódmej ulicy, skręcił na wschód i przemknął obok gromady bezdomnych, którzy siedząc na krawężniku nieopodal schroniska, czekali na śniadanie. Zostawił za sobą stojący na przystanku i obłączony przez wsiadających pasażerów staromodny zielony autobus Dillo, przeciął Red River Street i Sabine Street, a następnie przejechał na drugą stronę ulicy i efektownym ślizgiem zatrzymał się przed wejściem do budynku sądu, nad którym wznosiła się estakada drogi międzystanowej.

Andy przypiął swój pojazd do stojaka na rowery. Nie miał zamiaru przekonać się po powrocie, że jakiś bezdomny koleś pożyczł sobie własność Tresa, aby dla frajdy pojeździć po mieście. Wtedy czekałby go długi spacer z powrotem. W pośpiechu wpadł do środka, przekopując plecak w poszukiwaniu czerwonego krawata. Znalazł go w końcu i przypiął do kołnierzyka koszuli, po czym wepchnął kask do plecaka i przeczesał palcami długie włosy. Był gotów do rozprawy.

Sędzia Judith Jackson spojrzała surowo znad wąskich okularów, kiedy Andy przestąpił próg sali rozpraw numer trzy.

Andy był cały spocony. Wbiegł do budynku, opróżnił kieszenie przed bramką kontrolną przy wejściu i wskoczył do windy.

- Sędzia nie będzie zadowolona - przestrzegali go delikwenci, którzy stali w holu, czekając w kolejce do kasy, by zapłacić swoje

mandaty. - Teraz wszedł numer dwieście pięćdziesiąty czwarty.

Wybiegł z windy na drugim piętrze i podszedł do wywieszonej na ścianie obok drzwi do sali rozpraw wokandy, aby dowiedzieć się, że dwie z prowadzonych przez niego spraw zostały wyznaczone na godzinę dziewiątą.

Andy usiadł w ławce. W sektorze dla publiczności oprócz dwóch strażników w niebieskich mundurach tłoczyło się ponad dwadzieścia osób, które były ubrane tak, jakby przyszły oglądać walkę zapaśniczą. Sala rozpraw była dużo ciasniejsza od tych w sądzie okręgowym Travis County, gdzie rozpatrywano sprawy poważnych przestępstw. W tym budynku na próżno by szukać malowniczych klatek schodowych o lśniących drewnianych poręczach, korytarze nie były wyłożone boazerią, a ich ścian nie zdobiły stare portrety szacownych sędziów. Za to na ścianie wisiał zegar, który pokazywał 9.24. Sprawiedliwość wymierzano tutaj oszczędnie i bez ozdobników, w sali wykończonej przez najtańszego wykonawcę, którego wyłoniono drogą przetargu. To był sąd grodzki.

Minęło parę chwil, zanim Andy uspokoił oddech. Gdy dochodził do siebie, zauważył obok siebie parę gołych nóg, opalonych i umięśnionych, które wystawały spod zadartej wysoko dzinsowej minispódniczki. Zerknął ukradkiem na ich właścicielkę, która okazała się piękną i młodą blondynką. Wiedział, że się na nią gapi, więc odwrócił wzrok, ale nie mógł się oprzeć i spojrział jeszcze raz. Tym razem jego oczy przesunęły się w górę. Spódniczka kończyła się pod pępkiem odsłaniając dobre kilkanaście centymetrów gładkiej naprężonej skóry, którą od góry zakrywała czarna bluzeczka na ramiączkach. Była obcisła, a głęboko wykrojony dekolt wypełniały bujne kształty.

Andy wziął głęboki wdech. Zapach jej perfum działał bardziej odurzająco niż sześciopak piwa. Pomalowane na połyskliwe czerwony kolor usta i paznokcie wydawały się wilgotne i nęciły jak źródło ożywczej wody w upalny letni dzień. Andy rozpaczliwie zapragnął wpić się w jej usta, zanurzyć w tej wilgotności, poczuć przy sobie jej miękkość. Wtem zauważył, że blondynka miętosi w palcach mandat, jakby wyrabiała ciasto, co na powrót uprzytomniło mu fakt, iż jest prawnikiem i specjalizuje się w wykroczeniach drogowych.

Ale odjechałeś, chłopie! - pomyślał.

Zanurzył rękę w plecaku i znalazł wizytówkę, którą podała młodej kobiecie. Przyjęła ją i obejrzała dokładnie, a potem równie badawczym wzrokiem omiotła jego znoszoną marynarkę, krawat przypinany na klips, wymiętą koszulę, dzinsy i tenisówki.

- Jesteś prawnikiem? - zapytała.
- Tak.
- Adwokat mojego taty chodzi w garniturze.
- Jesteś z Dallas czy z Houston?
- Z Dallas.
- Tu jest Austin.
- Co ci się stało w twarz?
- Miałem wypadek na rowerze.
- Adwokat mojego taty...
- Nie rozbija się na rowerze.
- Jeździ mercedesem.
- A jakżeby inaczej.
- Zajmujesz się mandatami?
- To moja specjalność. - Wyciągnął rękę w jej stronę. - Andy

Prescott.

- Britney Banks. - Poczul dotyk jej miękkiej dłoni, którą od razu delikatnie cofnęła.

- Studiujesz tu?

- Na drugim roku. - Kiwnęła potakująco.

- Mandat za przekroczenie prędkości?

Znów pokiwała głową.

- I to w pobliżu szkoły.

- Ojej.

- To mój piąty. Tato się wścieknie, bo podniosą mi stawkę ubezpieczenia... po raz kolejny. Powiedział, że jeszcze jeden mandat, a odbierze mi samochód. A jeżdżę zetką.

- Coupe?

- Roadster. Prezent na koniec szkoły.

- Przecież jesteś dopiero na drugim roku.

- Na koniec liceum.

Dumni rodzice podarowali jej wartego czterdzieści tysięcy dolarów nissana Z za to, że zdołała przebrnąć przez szkołę średnią, a ona rozpaczliwie starała się zatrzymać swój wspaniały prezent. Stawiało to Andy'ego w obliczu dylematu etycznego. Mógł reprezentować Britney nieodpłatnie, doprowadzić do umorzenia jej mandatu i spróbować umówić się z nią na randkę. Mógł też obsłużyć ją za standardową opłatą stu dolarów, które przybliżyłyby perspektywę wymiany roweru. Z jednej strony byłaby to najpiękniejsza dziewczyna, z jaką kiedykolwiek się umówił, z drugiej zaś wiedział, że nie wytrzyma długo bez szaleńczej jazdy po wertepach i już w najbliższą niedzielę poczuje się odstawiony na boczny tor. Przez chwilę rozważał te możliwości. Nic nie przemawiało za tym, że Britney faktycznie się z nim umówi. Ona jeździła zetką, a on dziecinnym rowerem, ona najprawdopodobniej regularnie odwiedzała modne kluby w centrum miasta, do których on nawet nie

zostałby wpuszczony, ona miała bogatego ojca, a on ledwie wiązał koniec z końcem. Westchnął i postanowił podwoić swoje honorarium. Dla jej ojca to drobiazg.

- Unieważnię twój mandat. Za dwieście dolarów, płatne gotówką.

Obróciła olśniewającą twarz w jego stronę.

- Mógłbyś to zrobić?

- Tak.

- A jeżeli ci się nie uda?

- Nic nie płacisz.

- Dobra. - Uśmiechnęła się.

- Kiedy dostałaś ten mandat?

- W semestrze wiosennym. Nie mogłam dopuścić, żeby tato się dowiedział, więc zadzwoniłam pod numer podany na druczku i zapytałam, czy mogą odroczyć rozprawę. Policjantka, która mi go wystawiła, poszła na urlop macierzyński, więc się zgodzili.

- Czy rozpoznałabyś tę policjantkę?

- Oczywiście.

- Widzisz ją tutaj?

- Nie. To co mam teraz zrobić?

Andy znów wyciągnął do niej prawą rękę. Dziewczyna ujęła ją w prawą dłoń i uśmiechnęła się do niego, jakby byli parą zakochanych trzymających się za ręce. Cóż, Britney najwyraźniej nie figurowała na liście dziekańskiej.

- Nic. Zapłać mi dwie stowy.

Dziewczyna sięgnęła do torebki, z której wyjęła wypchany zielonymi banknotami portfel. Wręczyła mu dwie nowiutkie studolarówki o tak ostrych krawędziach, że można by nimi kroić szponder. Wsunął pieniądze do kieszeni spodni. Właśnie zbliżył się o dwieście dolarów do nabycia nowego roweru.

Za to ona miała niesamowite nogi.

Britney Banks natknęła się przypadkowo na szansę skutecznej obrony przed mandatem, której sekret Andy odkrył kiedyś z konieczności. Na pierwszym roku studiów, jadąc beemką Tresa, dostał mandat za przekroczenie prędkości. Podobnie jak ojciec Britney Tres wpadłby w furję, dowiedziawszy się o tym, a Andy nie miał pieniędzy na zapłacenie kary. Przystudiował więc dokładnie regulamin sądu grodzkiego w Austin. Potem złożył wniosek o rozpoznanie wykroczenia na drodze sądowej, a wtedy poinformowano go, że z powodu dużego nagromadzenia spraw będzie musiał czekać co najmniej rok. Dowiedział się również, że na rozprawy z ławą przysięgłych czeka się dwa lata, więc natychmiast wybrał tę możliwość. Kiedy jego sprawa weszła wreszcie na wokandę, był już na trzecim roku studiów. Idąc do sądu, nastawiał się na przegraną, ale policjant, który wlepił mu mandat, nie pokazał się na rozprawie. Wobec braku jego zeznania powództwo nie mogło zostać rozpatrzone. Mandat umorzono.

Tak narodziła się kariera Andy'ego.

Teraz za sto dolarów Andy gwarantował klientom umorzenie mandatów, a w razie przegranej zobowiązywał się zapłacić za nich karę. Za każdym razem domagał się rozprawy z ławą przysięgłych, pisał wnioski o odroczenia i grał na zwłokę tak długo, jak tylko się dało. Kiedy po dwóch latach nadchodził wreszcie termin rozprawy, funkcjonariusz drogówki będący wystawcą mandatu nigdy się na niej nie pojawiał. Przyczyn było wiele - mógł już nie żyć albo odejść na emeryturę, zmienić pracę albo być w tym dniu na zwolnieniu, wyrabiać nadgodziny, pracując nad jakimś prawdziwym przestępstwem, czy też po prostu zapomnieć. Nie ma świadka, nie ma zeznania, nie ma wyroku, nie ma grzywny, klient nie ma mandatu na koncie, a ubezpieczyciel nie podnosi mu składki. Sprawa

umorzona. W ten sposób Andy doprowadził do oddalenia ponad sześciuset mandatów. Ani razu policjant nie przyszedł na rozprawę. Ani razy nie zdarzyło mu się zapłacić kary za klienta. A wszystko to za jedyne sto dolarów. Nie były to wielkie pieniądze, ale za to łatwo zarobione.

- Urząd Miejski Austin przeciwko Doris Sullivan.

Była to pierwsza ze spraw Andy'ego w tym dniu.

- Czekaj tutaj, dopóki nie zostaniesz wyczytana. - Nachylił się do Britney.

Wstał i podszedł do pulpitu. Po drodze puścił oczko do siedzącej za biurkiem oskarżyciela Denise L. Manning. Pomyślał, że inicjał przed jej nazwiskiem pochodzi zapewne od słowa „lubieżna”. Ukończyła prawo przed dwoma laty, była atrakcyjna i rokowała nadzieję na pełne namiętności miłosne uniesienia. Zignorowała Andy'ego. Sędzia wręcz przeciwnie.

- Znów się pan spóźnił, panie Prescott.

- Muszę przyznać, że Wysoki Sąd wygląda dzisiaj olśniewająco.

- Proszę sobie darować pochlebstwa, panie Prescott, to na mnie nie działa - odparła Judith Jackson, ale na jej ustach pojawił się lekki uśmiech, na który nic nie mogła poradzić.

Sędzia Judith miała pięćdziesiąt kilka lat, czarną skórę i była ostra jak brzytwa. Miała jednak słabość do nieudaczników życiowych, którzy przewijali się każdego dnia przed jej obliczem, a Andy nie był wśród nich wyjątkiem.

Zasłoniła ręką stojący przed nią mikrofon.

- Znowu spadłeś z roweru, Andy?

- Tak, proszę pani.

- Nic ci się nie stało?

- Wstrząs mózgu, o ile jeszcze go nie zgubiłem, ale to nic poważnego - wyjaśnił, a uśmiech na twarzy sędzi stał się jeszcze szerszy. - Gdy tylko Wysoki Sąd się zdecyduje, zapraszam na przejażdżkę.

- Nie w tym życiu, Andy - odparła Judith Jackson, po czym zdjęła dłoń z mikrofonu. - Panie Prescott, czy pański klient jest obecny?

Andy spojrział w kierunku zgromadzonej cizby, jak gdyby oczekiwał, że wyłoni się z niej Doris Sullivan i wyjdzie na środek sali. Oczywiście nic takiego nie nastąpiło. Żaden z jego klientów nie stawiał się w sądzie. Andy nigdy tego od nich nie wymagał ani nawet nie informował ich o terminach rozpraw. Byłaby to strata czasu. Skoro policjant nie przychodził, miasto nie mogło domagać się swego i sąd oddalał powództwo, to zeznania pozwanego nie były nikomu potrzebne. Gdyby jednak policjant się pojawił, Andy musiałby wywiązać się z gwarancji danej klientowi.

- Wysoki Sądzie, chyba pozostaje nam oddać głos oskarżeniu.

Sędzia Jackson spojrzała w stronę Denise L. Manning, która wzruszyła drobnymi ramionami.

- Mój świadek się nie stawiał.

- Sprawa do umorzenia.

Pierwsze cztery sprawy Andy'ego przebiegły według takiego właśnie scenariusza. Scenariusz piątej, z powództwa Urzędu Miejskiego Austin przeciwko Donnie Faulkner, uległ zmianie, o czym nikt go nie powiadomił.

- Wysoki Sądzie - oznajmiła atrakcyjna pani prokurator. - Obecny jest funkcjonariusz, który wystawił mandat.

- Policjant przyszedł? - Zdziwiony Andy odwrócił się w jej stronę.

- Nie do wiary, prawda? - Denise L. Manning uśmiechnęła się szeroko.

Faktycznie, nie mógł w to uwierzyć. Spojrzał w stronę sektora dla publiczności, gdzie właśnie podnosił się z ławki łysy i brzuchaty jegomość w niebieskim mundurze lokalnej policji.

- A więc przyszedł pan?

- Zawsze przychodzę. - Mężczyzna obdarzył go ciepłym uśmiechem stróża prawa, po czym uniósł książkę *Harry Potter i Zakon Feniksa*. - Siedzę tu sobie i czytam przez cały dzień. Łatwy pieniądz.

Andy miał ochotę powiedzieć: „Ja ci dam łatwy pieniądz” i wyrznąć gliniarza przez łeb książką, co zważywszy na jej masę, mogło mieć śmiertelny skutek.

Sędzia nakazała funkcjonariuszowi złożyć przysięgę, a potem prokurator Manning uzyskała od niego zeznanie, że przed dwoma laty wystawił mandat Donnie Faulkner, która rozpedziła się do stu kilometrów na godzinę w terenie zabudowanym, gdzie maksymalna dozwolona prędkość jest o połowę niższa, a także nie zatrzymała się przy znaku stopu. Stosowna kara za te wykroczenia wynosiła pięćset jeden dolarów.

Andy'ego oblał zimny pot i to nie dlatego, że nigdy dotąd nie przesłuchiwał świadka. Pocił się, ponieważ cały majątek, jakim dysponował, wynosił dwadzieścia siedem dolarów. Miał szansę na dodatkowe dwieście, jeżeli uda mu się wybronić Britney od mandatu. Nie miał pięciu stów, żeby wywiązać się z gwarancji danej klientce. Nie mógł sobie pozwolić na przegranie tej sprawy.

- Świadek jest do pańskiej dyspozycji, panie Prescott. - Sędzia Judith Jackson spojrzała na Andy'ego ze współczuciem, on jednak nie zamierzał oddać bez walki pieniędzy, których nie miał.

- Funkcjonariusz Bobby Joe Jack... na co panu aż trzy imiona?
- Co proszę?
- Czy przypomina pan sobie okoliczności wystawienia tego mandatu?
- Oczywiście.
- Ile mandatów wystawił pan w ciągu ostatnich dwóch lat?
- Setki.
- Dwa lata i setki mandatów, ale zapamiętał pan dokładnie akurat ten, który otrzymała pani Faulkner?
- Owszem.
- A to dlaczego?
- Z powodu pewnej bardzo charakterystycznej cechy.
- Jaka to cecha?
- Jej reflektory.
- Reflektory? Czemu właśnie one zapadły panu w pamięć?
- Bo były naprawdę wyjątkowe.
- Wyjątkowe reflektory? Czy to jakieś bi-xenony?
- Co proszę?
- Panie Jack, nie rozumiem pańskiego zeznania. W momencie zatrzymania jechał pan za panią Faulkner, zgadza się?
- Tak.
- Potem wysiadł pan z radiowozu i podszedł do jej samochodu od strony kierowcy, czy mam rację?
- Tak było.
- Zatem kiedy zobaczył pan jej reflektory?
- Kiedy opuściła szybę.
- Jak pan mógł widzieć reflektory, stojąc w takim miejscu?
- Patrzyłem na nie z góry.
- Patrzył pan z góry na...?

Funkcjonariusz Bobby Joe Jack uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem. - Andy potrząsnął głową. - Używa pan określenia reflektory w odniesieniu do piersi pani Faulkner, zgadza się?

- Miała na sobie bardzo wydekoltowaną bluzkę.

- Widział pan jej twarz?

- No jasne.

- W jakim była wieku?

- Z prawa jazdy wynikało, że dwadzieścia dwa - odparł policjant, zerkając w dokumenty.

- Jakiego koloru miała włosy?

- Było napisane, że brązowe.

- A co pan ma na ten temat do powiedzenia? - dopytywał Andy.

- Musiała mieć brązowe.

- Panie Jack, jak często odnawiane są prawa jazdy w Teksasie?

- Co sześć lat.

- Czy jest pan żonaty?

- Tak.

- Czy pańska żona farbuję włosy?

- Cały czas.

- Częściej niż raz na sześć lat?

- Średnio raz na dwa tygodnie.

- Zatem to możliwe, że pani Faulkner miała brązowe włosy, kiedy wystawił jej pan mandat, ale obecnie jest blondynką?

- No pewnie. - Gliniarz wzruszył ramionami.

- Wysoki Sądzie. - Andy odwrócił się w stronę stołu sędziowskiego. - Czy teraz może podejść moja klientka?

Sędzia Jackson przyzwalająco kiwnęła głową, a wtedy Andy podszedł do ławek dla publiczności i skinieniem ręki przywołał Britney Banks. Studentka rozejrzała się dokoła, jakby nie była

pewna, czy chodzi o nią, ale w końcu wstała i wyszła na środek sali. Spoglądała na Andy'ego spode łba.

- Proszę stanąć naprzeciwko świadka - polecił jej Andy, po czym zwrócił się do policjanta: - Panie Jack, oto moja klientka. Czy to tej kobiecie wystawił pan mandat?

Andy nie skłamał. Britney faktycznie była jego klientką, aczkolwiek nie miała żadnego związku z tą sprawą. Tymczasem Bobby Joe Jack gapił się na jej piersi niczym wygłodzony osesek.

- Tak, to ona - oznajmił. - Ponad wszelką wątpliwość.

- Panie Jack, czy identyfikacji mojej klientki dokonał pan na podstawie oględzin jej refleksi... jej piersi?

- A czy tak można?

- Panie Jack, czy jest pan pewien, że jest to ta kobieta, której wystawił pan mandat?

- Absolutnie pewien. - Policjant znów wlepił wzrok w dekolt studentki.

Andy odwrócił się w stronę Judith Jackson.

- Wysoki Sądzie, ta kobieta jest moją klientką, lecz akurat z tym mandatem nie ma nic wspólnego. Nazywa się Britney Banks, a nie Donna Faulkner - wyjaśnił Andy, po czym zwrócił się do funkcjonariusza drogowki: - Przykro mi, ale to nie ten zestaw reflektorów.

- Jest pan pewien? - zdziwił się Bobby Joe Jack, ale sędzia miała już dość.

- Sprawa do umorzenia - ogłosiła.

Przechodząc obok Britney, policjant nie odrywał wzroku od jej biustu. Dziewczyna posłała mu pogardliwe spojrzenie. Miał szczęście, że nie znalazł się w SoCo. Tam wystarczy, że zajrzązysz w dekolt jakiejś kobiecie, a wpakuje ci kolano w jaja z takim

rozmachem, że będziesz śpiewać w wyższej tonacji niż Celine Dion.

Jako że Britney znalazła się już na środku, jej sprawa została rozpatrzona jako następna. Policjantka, która wystawiła jej mandat, nie przyszła na rozprawę i sędzia umorzyła postępowanie.

- Do zobaczenia w przyszły poniedziałek, Andy - powiedziała Judith Jackson z ręką na mikrofonie. - Postaraj się być punktualnie. I odwiedź fryzjera, dobrze?

Miałby obciąć włosy i narazić się na śmierć albo poważne obrażenia na rowerowym szlaku? Nie ma mowy.

- Dobrze, proszę pani - odparł.

Britney podziękowała mu, dostała od niego plik wizytówek dla swoich koleżanek i tanecznym krokiem wyszła z sali rozpraw. Jej zetka była bezpieczna, przynajmniej na razie. W drodze do wyjścia Andy wręczył kilka wizytówek delikwentom oczekującym na swoją kolej. Nie była to ekonomia najwyższych lotów, ale starczało mu na zapłacenie rachunków. Prawie.

Piątka klientów miała za chwilę bardzo się ucieszyć, gdyż Andy zamierzał poinformować ich o umorzeniu mandatów. Sięgnął po komórkę i wybrał numer Doris Sullivan.

Dziesięć przecznic dalej na północ, w biurze Fundacji Russella i Kathryn Reevesów położonym na najwyższym piętrze Instytutu Badawczego Reevesa, który znajdował się na terenie zabudowań uniwersytetu stanowego, Doris Sullivan siedziała za biurkiem, kiedy rozległ się dzwonek jej telefonu. Wyjęła torebkę z najniższej szuflady i wyłowila z niej aparat.

- Halo?

- Czy rozmawiam z Doris Sulivan? - zapytał głos w słuchawce.

- Tak, to ja.
- Pani Sullivan, z tej strony Andy Prescott.
- Kto taki?
- Andy Prescott, pani prawnik.
- Mój prawnik?
- Mandat drogowy na South Congress? Dwa lata temu?
- Och tak, teraz już sobie przypominam.

Przed dwoma laty Doris za bardzo się rozpedziła na Congress Avenue. Za jazdę z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę w miejscu, gdzie obowiązywało ograniczenie do sześćdziesięciu, policjant wystawił jej mandat na dwieście czterdzieści dolarów. Była na tyle nierozsądna, że zapytała go, czemu marnuje czas na takie rzeczy, zamiast ścigać prawdziwych przestępców, a wtedy dołożył jej kolejne dwieście za nieostrożne prowadzenie pojazdu. Gdyby mu powiedziała, dla kogo pracuje, zapewne podarłby mandat i przeprosił, ale jej szef nie byłby zadowolony, gdyby wykorzystala jego nazwisko w takich okolicznościach. Siedziała więc cicho, tymczasem gliniarz wypisywał mandat.

Kiedy odjechał, mogła wreszcie dać upust wściekłości. Czekala ją podwojenie stawki ubezpieczenia. Gdy już ochłonęła, rzucił się jej w oczy napis na drzwiach budynku, przed którym zaparkowała. „Mandaty drogowe”. Wspięła się po schodach do ciasnego biura i wynajęła Andy'ego Prescottta, który za sto dolarów podjął się doprowadzić do umorzenia mandatu i zagwarantował, że jeśli mu się to nie uda, zapłaci za nią karę.

- Dziś rano pani mandat został umorzony.
- I nie będzie figurował w mojej kartotece?
- Nie, proszę pani.
- I nie podniosą mi stawki ubezpieczenia?
- Na pewno nie z powodu tego mandatu.

- Dziękuję panu.
- Polecam się.

Rozłączyła się, wrzuciła telefon do torebki i zamknęła szufladę. Gdy z uśmiechem na twarzy odwróciła się, zobaczyła Russela Reevesa, który stał nad nią z naręczem czasopism medycznych.

- Twój prawnik? Czy coś się stało, Doris?
- Ależ nie, panie Reeves. To tylko mandat.

Powstrzymując się od śmiechu, opowiedziała mu całą historię, opisując w niej lokalne wcielenie Clarence'a Darrowa.

- Nosił dzinsy, tenisówki i krawat na spinkę. Właśnie wybierał się do sądu, na rowerze. Jego biuro, nie większe od garderoby, mieści się nad salonem tatuażu. Tatuaże i mandaty. Za biurko służy mu składany stolik, a na ścianie, obok jego dyplomu, wisi wielki plakat z motocyklem. Nie podejrzewam, żeby był orłem na roku. - Doris Sullivan pokręciła głową. - Ale mój mandat umorzył.

Twarz Russela Reevesa przybrała dziwny wyraz, jak gdyby właśnie doświadczył objawienia.

- Prawnik od mandatów z SoCo?
- Tak, szefie.
- Urzęduje nad salonem tatuażu?
- Tak.
- Nazywa się Andy Prescott?
- Tak.

Spojrzenie Reevesa powędrowało gdzieś w dal.

- On będzie idealny - powiedział i ruszył w stronę swego biura, ale wtem gwałtownie zawrócił. - Dzwon po Darrella. Powiedz mu, że samochód ma być gotowy za dziesięć minut.

Doris Sullivan sięgnęła po słuchawkę. Idealny? Ale do czego? - pomyślała.

Rozdział 5.

Andy nie spieszył się z powrotem do biura. Nigdy nie umawiał się na spotkania, gdyż jego klienci po prostu wstępowali do niego, zazwyczaj bezpośrednio po zatrzymaniu przez drogówkę, albo zostawiali pieniądze i mandat u Ramona. Dwieście dolarów, które dostał od Britney, paliło go w kieszeni, więc postanowił zjeść lunch w barze ze zdrową żywnością, obejrzeć rowery w sklepie REI, a potem złożyć wizytę matce.

Skręcił na zachód w Szóstą ulicę, obok siedziby Loterii Teksasńskiej - hazard był w Teksasie nielegalny, jeśli zyski z niego nie zasilały budżetu stanowego - i szerokim łukiem wyminął jakiegoś psychicznie chorego mężczyznę, który błąkał się bez celu i najwyraźniej dyskutował z Bogiem, ponieważ nikt inny go nie słuchał. Przecznicę dalej pomachał do ładnej młodej kobiety, która jechała na rowerze. Powiew wiatru zadarł jej niebieską sukienkę, odsłaniając zgrabne uda.

Od skrzyżowania z Congress Avenue po obydwu stronach Szóstej ulicy ciągnęły się kluby muzyczne, bary, puby i wytworne lokale - takie miejsca jak Bourbon Rocks, Blind Pig, Agave, Pure i Peckerheads - dzięki którym Austin zajmowało czołowe miejsce wśród najbardziej zapijaczonych miast Ameryki. Rankiem ulica wydawała się cicha i opuszczona, ale wieczorami wypełniał ją hałaśliwy tłum punków, żebraków i balangujących studentów, którzy zarzygiwali chodniki. Kiedy Andy był jednym z takich

studentów, Szósta Ulica wydawała mu się normalna, ale teraz, gdy miał dwadzieścia dziewięć lat, uważał to miejsce za zwariowane. W tym wieku wolał napić się piwa w Güero's.

Zaczynał się starzeć.

Minął pięciogwiazdkowy Driskill Hotel i stojąc na pedałach, przemknął przez Congress Avenue, mając nadzieję, że nie trafi pod koła jakiegoś rozpędzonego pirata drogowego przejeżdżającego na czerwonym świetle. Odetchnął z ulgą, znalazłszy się po drugiej stronie. Od tego miejsca Szósta Ulica zaczynała lekko opadać w dół, toteż Andy przetoczył się siłą rozpędu przez skrzyżowania z kolejnymi teksańskimi rzekami - Kolorado, Lavaca, Guadalupe, San Antonio, Nuences i Rio Grande. Strużki potu spływały po jego ciele, kiedy skręcił na parking przed mającym ponad siedem tysięcy metrów kwadratowych flagowym kompleksem Whole Foods, który wraz z siedzibą korporacji zajmował całą przestrzeń między sąsiednimi przecznicami.

Firma ta dawała próżniakom z Austin nadzieję na sukces. Skoro wydalony z uczelni dwudziestopięciolatek i jego dwudziestojednoletnia dziewczyna mogli założyć w 1978 roku mały sklep ze zdrową żywnością, który w ciągu trzydziestu lat rozrósł się do rozmiarów międzynarodowej sieci o trzystu punktach na całym świecie i przynoszącej siedem miliardów dolarów zysku, czemu Andy'emu miałyby nie poszczęścić się na tyle, aby pewnego dnia wynajął sobie przyzwoity dom w SoCo i kupił najnowocześniejszy rower górski? No dobra, żeby starczyło chociaż na rower. Czy żądał od życia zbyt wiele?

Andy zatrzymał się przy stojaku na rowery i wepchnął marynarkę oraz krawat do plecaka, który zawiesił na kierownicy. Przez rozsuwane przeszkłone drzwi wszedł do części gastronomicznej

i skierował swe kroki prosto do stoiska z meksykańskimi zestawami śniadaniowymi. U Brada (piętnaście lat stażu w zespole, biała marynarka szefa kuchni, zielona firmowa czapeczka i pięćset tysięcy zysku netto z akcji pracowniczych) zamówił to co zwykle, czyli jajecznicę z żółtym serem na bekonie i podsmażaną fasolę na pszennej tortilli z taką ilością salsy, że można by się nią leczyć z zapalenia zatok.

- Chcesz porcję dla Maxa?
- On dzisiaj stołuje się w Güero's.

Błądząc myślami wokół ogródka przed zaprzyjaźnionym barem, Andy przeszedł obok lodziarni Gelato i zatrzymał się przy pijalni soków, gdzie u Charlene zamówił koktajl o nazwie Konik Polny, na który składały się kielki pszenicy, cytryna, limonka, sok jabłkowy, ananas i banan, a wszystko to na bazie odtłuszczonego jogurtu naturalnego. Tacos i koktajl stanowiły jego energetyczny lunch za niecałe dziesięć dolarów. Wrócił do Gelato i zajął miejsce przy stoliku plecami do kontuaru.

Whole Foods zostało założone jako alternatywa do korporacyjnych molochów spożywczych Ameryki. Jego pierwotna nazwa brzmiała „Pewniejsza droga” i na początku działalności klientela tego niepozornego sklepiku rekrutowała się spośród hippisów, takich jak matka Andy'ego, którzy poszukiwali zdrowej i naturalnej żywności. Minęło trzydzieści lat i Whole Foods stało się czymś więcej niż alternatywą żywieniową dla hippisów. Było alternatywnym stylem życia. Sposobem na życie. A jego klienci kierowali się tym stylem.

Byli młodzi i wysportowani, modni i naturalni, ekologiczni i wyzwoleni, wykształceni i spełnieni. Ale przede wszystkim zgrabni. Dotyczyło to zarówno mężczyzn, jak i kobiet, ale Andy

nie przychodził tam patrzeć na mężczyzn. Przyciągały go kobiety. Młode, niespotykane zgrabne kobiety. Wyciskały z siebie siódme poty w siłowniach i relaksowały się we Whole Foods. Szczupłe, doskonale wyrzeźbione i opalone jędrne kobiece ciała, obłędne sylwetki ciasno zapakowane w poliuretan, w cudowne włókna syntetyczne z długołańcuchowych polimerów znane na całym świecie jako spandex lub elastan. Nosiły obcisłe bluzeczki na ramiączkach albo bez ramiączek, krótkie spodenki albo legginsy. Te dziewczyny nie dawały anonsów towarzyskich w „Chronicle”. One przychodziły do Whole Foods.

Miejsce to odwiedzały najpiękniejsze i najzgrabniejsze kobiety w Austin.

Przyglądając się im, Andy po raz kolejny podziękował w duchu Josephowi C. Shiversowi, chemikowi z firmy DuPont, który w 1953 roku wynalazł spandex, ten cudowny materiał. Poświęcił całą dekadę swego życia dla dobra rodzaju ludzkiego. A przynajmniej jego męskiej części.

Andy skończył jedną porcję tacos, wypił połowę koktajlu i zabrał się do drugiej porcji. Uwielbiał przesiadywać w tym miejscu i obserwować przechodzące dziewczęta, ale miało to również swoją ujemną stronę, mógł bowiem wypatrzeć jakiegoś kolegę ze studiów, któremu lepiej się powiodło. Czyli któregośkolwiek kolegę ze studiów, jak choćby taki Richard Olson. Ten to dopiero był bogaty. Ze swą bladą skórą i pulchnym ciałem wyglądał jak specjalista od prawa podatkowego, którym w rzeczy samej był. Rich rozmawiał właśnie z dwiema dziewczętami, które łowiły każde jego słowo i przysuwały się do niego jak przymilne kociaki. Dwie piękności z Whole Foods flirtowały z tym skurwielem Olsonem. Andy aż pokręcił głową.

Cóż on takiego ma, czego mi brak? - zadał sobie w myślach pytanie, chociaż znał na nie odpowiedź. Forse. Rich był jednym z najlepszych na roku. Po czterech latach pracy w jednej z największych kancelarii w Austin zarabiał dwieście pięćdziesiąt tysięcy rocznie, jeździł porsche, miał mieszkanie w śródmieściu i chodził na randki z pięknymi dziewczętami.

Andy pociągnął przez słomkę spory łyk koktajlu i poczuł, jak wzbiera w nim zazdrość, kiedy jakaś zjawiskowa piękność predefilowała parę metrów przed nim. Była to smukła, wysportowana blondynka ubrana w spandex. Liczyła sobie dwadzieścia pięć lat i miała na imię Suzie.

- Cześć, Suzie - zgadnął do niej.

Dziewczyna zatrzymała się, okręciła w miejscu i przybrała wytworną pozę, ale kiedy zobaczyła, że to tylko on, czar jej postawy natychmiast się ulotnił.

- Ach, to ty Andy...

Suzie należała do tych dziewcząt, które zachowują się jak silnik pracujący na wolnych obrotach i tylko czekają, aż jakiś ogier wrzuci bieg i doda gazu. Andy'emu nigdy nie udało się sprawić, by zaskoczyły jej zębatki, nie oznaczało to jednak, że przestał sięgać do przekładni.

- Jestem wolny dziś wieczorem - oznajmił.

- Zbyt wolny, jak dla mnie. Nie stać cię.

- O Chryste, mówisz, jakbyś była z Dallas.

- Andy, dziewczyny z Austin są nie mniej powierzchowne od tych z Dallas. Ale my tutaj jesteśmy w dużo lepszej formie.

Suzie mogła się poszczycić wyjątkową formą. Wyglądała olśniewająco, jak modelka z wyretuszowanego zdjęcia, tylko że jej brakowało jakiegokolwiek skazy. Była ideałem dziewczyny z Whole

Foods. Zanurzyła dłoń w biodrowej saszetce i wyciągnęła znajomo wyglądający kawałek papieru.

- Andy, dostałam mandat za przekroczenie prędkości. - Podała mu druczek. - Czwarty w tym roku. Mógłbyś się tym zająć?

- Jasne. Należy się sto dolarów. Nie stać cię?

Suzie wyrwała mu mandat z ręki i odeszła wzburzona. Wciąż jeszcze miała swoją godność. A przynajmniej coś w tym rodzaju.

Andy wsiadł na rower i przejechał na drugą stronę Szóstej ulicy, kierując się na północ w stronę dużego budynku na planie litery „L”, w którym mieścił się sklep z damską odzieżą Anthropologie, niezależna księgarnia BookPeople, która zyskała w Austin status kultowej, oraz sklep sportowy Recreational Equipment Inc. Nie wybierał się tam, by grzebać w ciuszkach lub w książkach, interesowały go rowery. Zaparkował i wszedł do REI.

Zatrzymał się tuż za progiem i rozejrzał jak dziecko w sklepie z cukierkami. W miejscu tym były zgromadzone wszystkie jego marzenia, brakowało tylko Suzie i slammera. Wszystko, co potrzebne do uprawiania sportów ekstremalnych, stało tam na podłodze, leżało na półkach albo zwisało spod sufitu. REI nie handlowało sprzętem sportowym. Ten sklep spełniał marzenia o przygodzie.

Andy z zachwytem wpatrywał się w zawieszono wysoko nad jego głową rowery górskie, gdy usłyszał znajomy głos.

- Stary, zapisałeś numer? - zagadnął go Wayne ubrany w zieloną kamizelkę, jak reszta personelu.

- Jaki numer?

- Tego tramwaju, co po tobie przejechał - odparł Wayne i parsknął śmiechem. - Widząc twoją twarz oraz ten pojazd, który

zapewne zrabowałeś jakiemuś uczniakowi, pozwolę sobie postawić śmiałą hipotezę, że rozwaliłeś kolejny rower.

- Taaa...

- Trzy miesiące to rekord jak na ciebie. Co się stało tym razem?

Andy w krótkich słowach opowiedział o spotkaniu z trzema starszuchami i upadku ze skarpy. Kiedy skończył, Wayne pokręcił głową.

- Widzę, że lansujesz teorię Samsona.

Wayne zajmował się w REI rowerami. Naprawiał je w warsztacie i sprzedawał w sklepie na piętrze. To u niego Andy kupił każdą ze swoich maszyn, a ta miała być szósta. A może siódma?

- Nigdy nie ścinaj tych włosów. - Wayne poklepał Andy'ego po ramieniu. - Chodź, zobaczmy, co mam na zbyciu.

Przeszli pod nowymi modelami, których Andy pożądał nawet bardziej niż Suzie. Pod sufitem wisiały Novara Method 2.0, Marin Rift Zone XC Quad, Cannondale Prophet, Stumpjumper, czyli najbardziej ekskluzywne z modeli, o których mógł tylko pomarzyć. Już u Suzie miałyby większe szanse.

- Szkoda, że nie jesteś nadziany - odezwał się Wayne. - W ciągu roku kupujesz u mnie więcej rowerów niż moi dellionerzy.

„Dellionerzy” byli pracownikami Dell Computers - spółki założonej w Austin przez Michaela Della, kolejnego studenta wylanego z uczelni - którzy dorobili się milionów na udziałach w swojej firmie. Ich rozrzutność stała się legendarna.

- Różnica polega na tym, że ty kupujesz tanie rowery. A skoro o tym mowa, przyjrzyj się temu. To też jest schwimm na twardym zawieszaniu, ale twój tyłek już do tego przywykł. Miałem w nim ulepszyć parę elementów. Kosztuje cztery i pół stówki, ale jak dla

ciebie spuszcę do czterech.

- Już z ulepszeniami? - Andy wskoczył na siodełko, które od razu wydało mu się trochę za twarde.

- Jasne. Znasz ten model, więc dobrze ci posłuży, przynajmniej przez tych parę miesięcy, dopóki też go nie rozwalisz. Doliczę ci go do tego, co jeszcze jesteś winien. Razem będzie sześćset pięćdziesiąt.

- Po pięćdziesiąt miesięcznie, jak dotąd?

- A mógłbyś spłacać po sto?

- A co powiesz na siedemdziesiąt pięć i... - Andy wyciągnął dwa banknoty studolarowe. - ...dwieście z góry?

- Wygrałeś na loterii?

- Owszem, dopisało mi szczęście, ale w sądzie.

- Ale nie zabraknie ci na jedzenie? - zapytał Wayne, sięgając po pieniądze.

- Wolę jeździć, niż jeść.

- Dobrze kombinujesz, bracie - rzucił Wayne i przybili żółwika. - Jutro możesz go odebrać. Ale tamten rowerek zaparkuj lepiej za rogiem.

W 1839 roku władze Republiki Teksasu udzieliły pozwolenia na założenie uniwersytetu stanowego w Austin i ofiarowały mu prawie tysiąc kilometrów kwadratowych nieurodzajnej ziemi. Minęło trzydzieści siedem lat, podczas których Teksas został wchłonięty przez Stany Zjednoczone, przeżył wojnę z Meksykiem, secesję i wojnę secesyjną, a uniwersytetu nadal nie było.

W 1876 roku stan Teksas uchwalił nową konstytucję, która umożliwiała powstanie „uniwersytetu pierwszej kategorii” i uzupełnił darowiznę o cztery tysiące kilometrów kwadratowych nieużytków na zachodnich peryferiach miasta.

W 1883 roku uniwersytet stanu Teksas rozpoczął swą działalność na szesnastohektarowym skrawku ziemi położonym na północ od centrum, który dzisiaj nosi nazwę College Hill. W jednym budynku uczyło się dwustu dwudziestu jeden studentów pod kierunkiem ośmiu profesorów. Teksasie politycy byli tak dumni ze swej nowej uczelni, że ofiarowali jej kolejne cztery tysiące kilometrów kwadratowych ugorów na zachodzie stanu. W 1900 roku wszystkie te grunty przyniosły dochód nie przekraczający pięciu centów za hektar

Uniwersytet stanu Teksas klepał biedę. I byłoby tak zapewne do dziś, gdyby nie Frank Pickrell i Carl Cromwell, którzy w 1923 roku znaleźli w zachodnim Teksasie złoża ropy naftowej. Pierwszy odwiert nazwali Santa Rita nr 1. Trafili w dziesiątkę. Ogromne pola roponośne basenu permskiego znajdowały się dokładnie na terenie należącym do uniwersytetu. Miliardy baryłek czarnego złota. Nieurodzajna ziemia nie była już bezwartościowa. Uniwersytet stanu Teksas stał się bogaty.

Dziś pierwszy żuraw pompowy używany do eksploatacji tych złóż stoi na terenie kampusu jako pomnik ropy naftowej, której uniwersytet zawdzięcza swoją świetność. Pola roponośne przyniosły uczelni piętnaście miliardów dolarów zysku, dzięki czemu dwa tysiące siedmiuset profesorów może kształcić pięćdziesiąt tysięcy studentów w stu trzydziestu budynkach rozsianych na stu czterdziestu hektarach leżących na północ od Kapitulu stanowego.

Uniwersytet stanu Teksas stał się nieprzyzwoicie bogaty.

Andy kierował się na północ odcinkiem Guadalupe Street zwanym Drag, który okrężał kampus uniwersytetu od zachodu. Kiedyś była to przyjemna aleja handlowa z restauracją Nighthawk Diner, kinem Varsity Theater i wywrotowymi księgarniami, a

demonstranci protestowali przeciwko władzy na każdym rogu. Z biegiem czasu zamieniła się w jeszcze jedno skupisko drogich sklepów, w których zaopatrują się bogaci studenci.

Andy wjechał na teren uniwersytetu obok budynku zwanego West Mail i znalazł się w strefie wolnego słowa, gdzie w przerwach między wykładami studenci aktywiści wygłaszali swoje poglądy polityczne. Mijał długonogie studentki w krótkich spódniczkach, rozrośniętych sportowców, którzy zachowywali się, jakby wszystko dookoła należało do nich, i lewicujących profesorów, takich samych jak ci, którzy na Harvardzie zamienili kadre naukową w republikańską koterię, a którzy tutaj kroczyli z pewnością siebie pełni wiary, że nigdy nie zostaną wygryzieni przez swoich konserwatywnych wychowanków. Podniósł wzrok, by spojrzeć na wznoszącą się przed nim niespełna stumetrową wieżę z zegarem. W 1966 roku obłąkany mężczyzna wszedł na taras widokowy z karabinem snajperskim i zabił trzynaście przypadkowych osób. Matka Andy'ego była wtedy na terenie uniwersytetu.

Wszędzie wyrastały nowe budynki, jakby ktoś obrał sobie za cel, żeby замуrować każdy skrawek zieleni w kampusie. Oczywiście jedyną zielenią, jaka liczyła się w tej instytucji, była ta drukowana przez Departament Skarbu. Można temu zawdzięczać uchwalenie nowych przepisów dotyczących nadawania nazw obiektom. W zamian za darowiznę rzędu pięćdziesięciu milionów dolarów władze uczelni mogły nazwać jakiś budynek na cześć dobroczyńcy. Bogaci Teksaszczyki ustawiali się w kolejce, aby kupić sobie swoje, jak to potocznie określano, „prawa do nazwy”. Budynki uniwersytetu stanowego noszą nazwy firm i nazwiska prezesów, lekarzy, prawników, sportowców oraz polityków.

Klejnotem koronnym stał się Wydział Administracji Publicznej imienia Lyndona B. Johnsona, który zdaniem matki Andy'ego miały tyle samo sensu, co Katedra Polityki Socjalnej imienia Józefa Stalina.

Obok Instytutu Badawczego Reevesa Andy skręcił w bulwar San Jacinto i przejechał obok olbrzymiego Texas Memorial Stadium imienia Darrela K. Royała. Na tym stadionie dziewięćdziesiąt sześć tysięcy kibiców może oglądać mecze drużyny Texas Longhorns, słuchać komentatorów dzięki systemowi nagłośnienia za dziewięć milionów dolarów i śledzić powtórki efektownych akcji na „Godzillatronie”, wartym osiem milionów największym w Ameryce ekranie o wysokiej rozdzielczości o wymiarach siedemnaście na czterdzieści metrów.

A może by tak nadawać prawa do samochwalstwa?

Po upływie stu trzydziestu dwóch lat można by się spierać, czy stan Teksas w pełni wykorzystał konstytucyjny mandat umożliwiający założenie uniwersytetu pierwszej kategorii. Jednak każdy, kto ośmieliłby się twierdzić, że uniwersytecka drużyna futbolowa nie jest pierwszej kategorii, natrafiłby na proste i niepodważalne argumenty. Długie Rogi z Teksasu czterokrotnie zdobyły mistrzostwo kraju.

Andy zaparkował rower przed budynkiem Instytutu Sztuk Pięknych, po czym wszedł do środka i odnalazł salę, w której prowadziła zajęcia jego matka. Drzwi były uchylone. Oparty o ścianę korytarza przysłuchiwał się, jak matka uczy studentów historii sztuki. Całą swą wiedzę na ten temat zdobył, słuchając jej wykładów, co zaczął praktykować już od urodzenia. Matka zabierała go do pracy codziennie, dopóki nie zaczął chodzić do przedszkola. Twierdziła, że uważnie wsłuchuje się w jej słowa. Faktycznie, lubił jej słuchać i przyglądać się jej w takich chwilach jak

ta, kiedy była nie tyle jego matką, ile istotą ludzką wypełniającą swoje życiowe powołanie. Była po prostu Jean Prescott, artystką, doktorem historii sztuki i wykładowcą uniwersyteckim.

Miała sześćdziesiąt jeden lat, była szczupła, piękna i natchniona. W jej czarnych włosach srebrzyły się siwe pasemka. Nosiła kolorową spódnicę, czerwoną koszulę i sandały, a na twarzy promienny uśmiech. Była piękna nawet z oszczędnym makijażem, ale w przeszłości była precudnej urody dzieckiem-kwiatem. Wypełniała ją namiętność do sztuki i do życia, pasjonowała się polityką i edukacją, imigracją i globalnym ociepleniem, wojną i futbolem. Protestowała przeciwko każdej wojnie, w której brała udział Ameryka, od Wietnamu po Irak, i przeciwko każdemu prezydentowi, który ją prowadził. Po dziś dzień była dumna ze swoich licznych aresztowań. Andy żałował, że wtedy jej nie znał i że nie odziedziczył po niej większości zamiłowań. Jego pasje ograniczały się do jazdy na rowerze. Na nim czuł, że żyje. Przez resztę czasu odnosił wrażenie, jak gdyby kroczył przez życie w lunatycznym transie.

Zaczekał, aż skończy wykład i wyjdą wszyscy studenci, a wtedy wkroczył do sali.

- Andy. - Podeszła do niego i wzięła w objęcia, jak gdyby nie widzieli się od lat, a nie zaledwie od kilku dni. Potem odsunęła się i badawczo zlustrowała jego pokiereszowaną twarz, jakby szukała objawów raka skóry. - Rower?

Pokiwał głową.

- Ale nic mi nie jest.

Matka ani razu nie próbowała go nakłaniać, aby przestał jeździć. Rozumiała, co to znaczy pasja.

- Lubię, jak nosisz długie włosy. - Poglaskała go po głowie, po czym podeszła do biurka i zaczęła zbierać książki oraz notatki. - Chodźmy do mojego gabinetu.

- Poniosę twoje rzeczy.

Przekazała mu cały swój bagaż i udali się po schodach na górę. Napotkani po drodze studenci pozdrawiali ją serdecznie. Dzięki swemu etatowi wykładowcy urzędowała w biurze o wymiarach trzy na sześć metrów z oknem wychodzącym na stadion futbolowy. Na uniwersytecie stanu Teksas widok taki był równoznaczny z malowniczą panoramą Central Parku. Mogła się zamienić na biuro z widokiem na wieżę, ale stadion rozbudzał jej emocje każdego ranka. Zanim wybuchła wojna w Iraku, przez trzydzieści lat nie miała przeciw czemu protestować, więc zawzięła się na futbol, biorąc przy tym na celownik nie tylko uniwersytet stanowy, ale cały stan.

- Przeczytaj to. - Wyciągnęła w jego stronę rękę z gazetą.

Andy wziął gazetę, ale nie zaczął jej czytać, gdyż wiedział, że matka zaraz wszystko mu streści. Nie mylił się.

- Piszą tu, że teksańskie uniwersytety wydały w ciągu ostatnich pięciu lat ponad miliard dolarów na budowę stadionów futbolowych. - Pokazała palcem za okno, gdzie właśnie trwała rozbudowa północnych trybun. Robotnicy kręcili się jak mrówki na tej sześćdziesięciometrowej budowli. - To znowu sto osiemdziesiąt milionów przeznaczone na futbol, a rada uczelni zatwierdziła kolejne trzydzieści. Ile oni jeszcze zamierzają wyłożyć na ten nasz Tadż Mahal? Pięćset, sześćset milionów? Żeby rozegrać dwanaście meczy w ciągu roku? To wręcz nieprzyzwoite.

- To jest Teksas, mamó.

- A nasz gubernator zastanawia się, czemu najzdolniejsi uczniowie wybierają studia w Kalifornii albo na uniwersytetach zrzeszonych w Lidze Bluszczowej. To proste. Bo Teksas inwestuje w

futbol, a nie w nauki ścisłe i przyrodnicze.

- Mamo, spotkałaś kiedyś studenta matematyki, który grałby jako tylny obrońca? - zapytał Andy, wprawiając matkę w zakłopotanie. - Tak sobie tylko zażartowałem.

Jednak jego żart nie pozbawił jej animuszu.

- Mamy piętnaście miliardów dolarów dotacji, ale młody człowiek z klasy średniej musi płacić dwadzieścia tysięcy za rok studiów na publicznym uniwersytecie. Tymczasem wydział sportu ma budżet w wysokości stu dwudziestu pięciu milionów i tylko pięciuset zawodników, a taki trener zarabia trzy miliony rocznie. - Jean Prescott potrząsnęła głową. - To nie jest uniwersytet. To jedna wielka drużyna.

Matka Andy'ego protestowała przeciwko wojnie i futbolowi od 1966 roku, kiedy rozpoczęła studia. Od tamtej pory nigdy nie porzuciła uczelni i nie zaprzestała walki. Jej zdaniem rząd znajdował się pod wpływem lobby wojskowo-przemysłowego, a władzami uczelni manipulowało kilku działaczy sportowych i absolwentów.

Andy widział jej zdjęcia z 1970 roku, kiedy to wykładowcy i studenci przykuli się łańcuchami do trzydziestu dębów rosnących wzdłuż Waller Creek, aby ocalić je przed buldożerami, które równały teren pod budowę stadionu. Stojący wówczas na czele rady uczelni Frank Erwin, bliski przyjaciel prezydenta Johnsona i zagorzały fan drużyny Longhorn, który jeździł pomarańczowo-białym cadillakiem w barwach szkoły i został nazwany „cesarzem” przez dziennikarzy magazynu „Times”, wezwał policję. Wszyscy włącznie z Jean Prescott zostali aresztowani. Potem ścięto drzewa i na ich miejscu zbudowano stadion. Matka Andy'ego przegrała tę walkę, jak zresztą wszystkie inne od tamtej pory, ale

nigdy nie okazywała zmęczenia. Teraz również była niezmordowana.

- Co u taty? - Andy postanowił zmienić temat.

Matka westchnęła głęboko.

- Nie rusza się z domu. Nie wychodzi nawet pośpiewać w kościele. Przynajmniej nadal zajmuje się ogródkiem. Musisz do nas wpaść, Andy. Ucieszyłby się z twojego towarzystwa. Może w ten weekend? Zabiorę cię po drodze, kiedy będę w piątek wracała do domu, i odwiozę w poniedziałek.

W jej oczach pojawiła się nadzieja na przychylną odpowiedź.

- Sam przyjadę w sobotę rano - odparł Andy, spodziewając się, że jego rower będzie szybszy od dwudziestoletniego volvo, którym jeździ jego matka.

- To jest sześćdziesiąt pięć kilometrów.

- Bułka z masłem - obruszył się.

- I tort z truskawkami.

- Miałem na myśli drogę w obie strony.

- A ja miałam na myśli tort. Są moje urodziny.

- Twoje urodziny? Przepraszam, mamu. Zapomniałem.

- Ale żadnych prezentów, dobrze? - zastrzegła jak co roku. - A więc w sobotę?

- Przyjadę.

- Obiecujesz?

- Z ręką na sercu. - Podeszedł do niej i cmoknął ją w policzek.

- I zabierz Maxa. Ojciec tęskni za nim. - Wzięła syna w objęcia, a po chwili dodała: - Ach, zapomniałabym o mandatach.

Wręczyła mu dwa mandaty drogowe, a do każdego z nich był przypięty banknot studolarowy. Lewicujący profesorowie jeździli samochodami o napędzie hybrydowym, ale nie przejmowali się

zbytńio ograniczeniami prędkości. Wiedzieli, że syn ich koleżanki potrafi zadbać o ich bezkarność. Tymczasem doktor Prescott zachowywała się tak, jak gdyby nie była ani trochę zakłopotana faktem, że jej jedyne dziecko jest prawnikiem od wykroczeń na drodze. Cóż to była za kobieta.

- Potrzebujesz więcej pieniędzy?
- Daję sobie radę.

Dawał sobie doskonale. Cztery stówki w ciągu jednego dnia stanowiły rekord w całej jego dotychczasowej karierze. Zastanawiał się, na co wydać te dwieście dolarów. Mógł opłacić wynajem biura za następny miesiąc albo zaprosić Suzie na randkę, chociaż na to powinien mieć w zanadru minimum pięćset. Mógł podrasować swój nowy rower, wstawiając do niego amortyzatory i żelowe siodelko, co brzmiało szczególnie kusząco. Ale Andy zwodził samego siebie. Ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że te dwieście dolarów wyda na prezent urodzinowy dla matki.

Rozdział 6.

Andy Prescott zawsze miał słabość do rudowłosych dziewcząt.

Właśnie przyglądał się jednej takiej. Miała długie nogi i zmysłowy uśmiech, pomalowane na czerwono usta i krótką spódniczkę. I chociaż założyła perukę, była niesamowicie seksowna. Jak na manekina.

- Szukasz panienki na randkę, Andy?

Andy nie zauważył, jak Reggie podszedł do niego. Obydwaj stali przed oknem wystawowym Lucy in Disguise with Diamonds. Reggie zachichotał i wszedł do wnętrza. Był naprawdę zabawny jak na białego faceta, który nosi dredy i maluje oczy czarną konturówką.

Andy przyjechał z powrotem na dzieciennym rowerku do SoCo, zapytał w Güeros o Maxa, aby się dowiedzieć, że Oscar odesłał go do Ramona, a potem spotkał Floyda T., który pchał swój wózek sklepowy od śmietnika do śmietnika, szukając różnych skarbów. Andy miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku i mógł zacząć się rozglądać za prezentem dla matki.

Na początek zajrzał do sklepu z upominkami Tesoros, potem odwiedził butik Maya Star, a kiedy pchając rower, przechodził obok Lucy In Disguise, jego uwagę przykuł rudowłosa manekin. Spojrzał na niego po raz ostatni i ruszył dalej chodnikiem w stronę galerii Yard Dog. Tam ujrzał na wystawie coś, co byłoby idealnym prezentem dla Jean Prescott. Była to biała sowa wyrzeźbiona z

niewielkiego kawałka drewna. Małe dzieło sztuki w sam raz do teksańskiego ogródka. Jego matka byłaby zachwycona. Andy spojrzął na etykietkę z ceną, która wynosiła tysiąc dolarów.

Westchnął i pokręcił głową. Nie było go nawet stać, aby kupić matce jakiś przyzwoity prezent na urodziny. Natalie miała rację - brakowało mu ambicji. Powędrował dalej, do galerii Uncommon Objects. Przeszukiwał półki, rozglądając się za jakimś używanym przedmiotem, na który mógłby sobie pozwolić, ale nie znalazł niczego szczególnego poza torebką ze skóry pancernika. Kosztowała sto dwadzieścia pięć dolarów i była niepospolita, ale trochę przerażająca. Jean Prescott była niezwykłą kobietą, ale może nie aż do tego stopnia.

Andy dal za wygraną i wrócił do salonu tatuażu, aby odebrać Maxa i sprawdzić pocztę. Poczta elektroniczną. Nie było go stać na komputer ani łącze internetowe, więc korzystał z uprzejmości Ramona.

W salonie tatuażu unosił się zapach środków dezynfekujących. Żółtaczką typu C była zmorą takich przybytków, ale szczęśliwie dla swych klientów Ramon Cabreira był przeczulony na punkcie czystości i odkażał wszystko kilkanaście razy dziennie. Było u niego sterylnie niczym w szpitalu i nawet wyglądało podobnie - butelki ze spirytusem i zielonym mydłem bakteriobójczym, lateksowe rękawiczki i gaza, autoklaw i pojemnik na zużyte igły. Jedynie fiolki kolorowego tuszu przypominały o prawdziwym przeznaczeniu tego miejsca.

Andy okrążył kontuar i zauważył Maxa, który pochrapywał w kącie, skierował więc kroki w stronę biurka stojącego w głębi, aby skorzystać z komputera, ale zamarł w pół drogi. Na wyścielonym stole Ramona leżała zwrócona twarzą w dół jasnowłosa dziewczyna ubrana w same stringi i czarny podkoszulek. Jej krótkie

spodenki spoczywały na krześle. W blasku silnych żarówek lśniła gładka skóra obnażonych krągłych pośladków. Bez wątpienia była to jakaś studentka, która postanowiła zafundować sobie tatuaż, aby podkreślić swą niezależność od rodziców, przynajmniej dopóki nie zabraknie jej pieniędzy.

- Mandaty leżą na blacie - odezwał się Ramon, nie podnosząc wzroku.

Siedział obok dziewczyny i patrzył uważnie przez silne okulary do czytania, pochylając się nad nią tak nisko, że zaledwie parę centymetrów dzieliło go od jej aksamitnej skóry. Jezu - pomyślał Andy. Najpierw ta Britney w sądzie, potem Suzie we Whole Foods, a teraz goły tyłek u Ramona. Presja codzienności w Austin była czasami nie do zniesienia.

Andy wziął oba mandaty z dołączonymi do nich banknotami studolarowymi i zrobił parę kroków, aby mieć lepszy widok, starając się przy tym nie naruszać sterylnej strefy Ramona. Ramon miał na sobie biały obcisły podkoszulek oraz lateksowe rękawiczki i tatuował Żółtą Różę z Teksasu na lewym pośladku dziewczyny.

- Niegrzecznie tak się gapić - ofuknął Andy'ego, ale uśmiechał się przy tym.

Ramon Cabrera był tylko sześć lat starszy od Andy'ego, ale wyczerpujący tryb życia i tatuaże pokrywające skórę postarzały go jeszcze bardziej. Sam wcielał w życie to, co głosił, i cała górna część jego ciała stanowiła chodzące malowidło poświęcone historii Austin i Meksyku, kulturze latynoskiej i religii katolickiej, azteckiemu bogowi słońca i teksańskiej bogini Serenie. Stanowiło to piękną i jednocześnie dziwną kompozycję. Ramon Cabrera był wirtuozem igły, artystą w swoim fachu.

Maszynka do tatuowania wydawała odgłos podobny do wiertarki dentystycznej, co przyprawiało Andy'ego o mrowienie. Lewą dłonią Ramon naciągał skórę na pośladku dziewczyny, a prawą przesuwiał igłę po obrysie naskicowanej róży, poruszając się w rytm latynoskiej muzyki, która grała w tle. Igła przebijała naskórek setki razy na minutę i docierała do skóry właściwej, gdzie przy każdym nakłuciu pozostawiała kropelkę nierozpuszczalnego tuszu. Bolało to jak cholera.

Dziewczyna miała zamknięte oczy, a w uszach słuchawki iPoda i nie zwracała uwagi na ból ani na otaczający ją świat włącznie z Andym, który podziwiał jej obnażony tyłek. Po długiej chwili Andy odwrócił wzrok i zasiadł przy komputerze. Zalogował się na swoim koncie mailowym i przejrzał wiadomości.

- Jedyne, co dostają, to spam z obietnicami powiększenia penisa. - Pokręcił głową.

- Szkoda twoich pieniędzy - odparł Ramon. - Żaden z tych specyfików nie działa.

Andy zalogował się na stronie „Chronicle” i kliknął na „Ogłoszenia”, potem wybrał „Towarzyskie”, a później „Lovers Lane”. Sprawdził, czy pojawiły się jakieś odpowiedzi na jego anons. Nie było żadnych, zaczął więc przeglądać nowe ogłoszenia „pań szukających panów”. Wszystkie pochodziły od kobiet po czterdziestce, które miały nadzieję znaleźć swego księcia z bajki, a potem żyć z nim długo i szczęśliwie. Andy zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe. Matka kiedyś wyznała mu, że zakochała się w jego ojcu, gdy ten był studentem ostatniego roku. Zobaczyła go na scenie w klubie Broken Spoke i to była miłość od pierwszego wejrzenia. Pobrali się trzy miesiące później i po trzydziestu pięciu latach wciąż byli małżeństwem. Andy wiedział, że tego typu związki nie biorą początku na portalach randkowych, mimo to wciąż szukał.

- Chłopie, nie znajdziesz kobiety w takich ogłoszeniach - rzucił Ramon. - Powinieneś spróbować w tradycyjny sposób i wybrać się do baru.

- Mówisz, jakby tobie się udało - odciął się Andy.

Przed dwoma laty Ramon poznał w barze kobietę, z którą się ożenił. Rok później żona odeszła od niego z mężczyzną, którego poznała w barze. Myśląc o tym, Andy przypomniał sobie, że obiecał Tresowi numer telefonu prywatnego detektywa.

- Kim jest ten detektyw, który śledził twoją żonę?
- Moją byłą żonę - sprostował Ramon.
- Kiedy go wynająłeś, była jeszcze twoją żoną.
- Zdradzała mnie...

Andy nigdy nie był do końca pewien, co bardziej ubodło Ramona - czy to, że żona zdradzała go z innym mężczyzną, czy to, że mężczyzna ów był innym mistrzem tatuażu. Pozwoliła swemu kochankowi dokończyć malowidło, które Ramon zaczął wykluwać na jej ciele. Gdy tylko Ramon zaczynał na nią gadać, nie umiał przestać, podobnie jak matka Andy'ego na temat futbolu.

- Jak się nazywa ten detektyw?
- Lorenzo Escobar. Urzęduje przy Congress, kilka przecznic stąd.

Andy wylogował się, spojrzął po raz ostatni na pupę studentki i ruszył do wyjścia, pogwizdując na Maxa.

- Aha, szukał cię tu jakiś gostek! - zawołał za nim Ramon. - W limuzynie.

Andy przystanął i odwrócił się.

- W limuzynie? Tutaj? Mnie szukał?
- A niby co powiedziałem?
- Co to za jeden?
- Biały, w garniturze. Obejrzał moje wzory na wystawce, a

potem zapytał mnie, czy wiem, gdzie jesteś. Odpowiedziałem mu: „Czy wyglądam na sekretarkę?”.

- To on zostawił te mandaty?
- On niczego nie zostawił.
- Kto to był?

Ramon otarł kropelkę krwi z pośladka dziewczyny i końcówką igły osadzonej w maszynie pokazał w stronę leżącej na kontuarze gazety.

- On.

Andy sięgnął po gazetę. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie trzech elegancko ubranych mężczyzn w średnim wieku, którym towarzyszyła młoda kobieta. Ich twarze były w mieście dobrze znane. Fotografia przedstawiała burmistrza Austin, gubernatora Teksasu oraz słynnego miliardera i jego piękną jasnowłosą żonę.

- Burmistrz tu był?
- Czego, do cholery, mógłby chcieć od ciebie burmistrz? -

Ramon parsknął śmiechem.

- Gubernator? - zdziwił się Andy. Ramon roześmiał się jeszcze głośniejsze.

- Przypaliłeś coś?

Pozostała tylko jedna możliwość, najmniej prawdopodobna ze wszystkich.

- Szukał mnie Russell Reeves?

Ramon pokiwał głową, nie odrywając wzroku od tyłka dziewczyny.

- Kiedy?
- Ze dwie godziny temu.
- Czego chciał?
- Rozmawiać z tobą.
- O czym?

- Nie powiedział. A ja nie pytałem. Nie wtykam nosa w nie swoje sprawy.

- Od kiedy to?

Ramon spojrział na niego znad wąskich okularów i uśmiechnął się półgębkiem.

- Pożyczyłbyś mi tę gazetę? - spytał Andy i ujrzał przyzwalające skinienie głowy. - Na razie, stary.

Andy i Max wspięli się po schodach do biura. Pies okręcił się trzy razy i zasnął zwinięty w kłębek na leżącym w kącie posłaniu, Andy zaś usiadł na krześle i zaczął czytać artykuł w gazecie. Russell Reeves przeznaczył właśnie sto milionów dolarów na fundusz stypendialny, dzięki któremu młodzież z ubogich rodzin może podjąć studia. Gubernator i burmistrz należący do licznego grona polityków, którzy nie szcędzą wyrazów uznania dla Russella Reevesa, okrzyknęli go filantropem-wizjonerem.

Russel Reeves był legendą w Austin, podobnie jak Michael Dell. Mając zaledwie dwadzieścia dwa lata, wynalazł jakieś komputerowe urządzenie, które zrewolucjonizowało Internet, po czym sprzedał je za ciężkie miliony, kiedy na Wall Street panował boom na zaawansowane technologie. Następnie zainwestował w inne spółki informatyczne i zarobił miliardy dolarów, gdy indeks giełdowy NASDAQ przekroczył 5000 punktów. Przewidział jednak, że boom technologiczny się skończy i sprzedał wszystko, zanim w 2000 roku nastąpił krach na giełdzie. Wkroczył w nowe tysiąclecie z ponad dwudziestoma miliardami na koncie. Wszystko, czego dotknął, zamieniało się w złoto. Potem zaczął rozdawać to złoto.

Dawał pieniądze liberalnym politykom i biednym ludziom, przeznaczał je na ochronę środowiska i na badania nad alternatywnymi źródłami energii, na działalność artystyczną i na leczenie chorych na AIDS. Sfinansował budowę tanich mieszkań i szpitali

we wschodniej części Austin, wyposażył szkoły publiczne w komputery i zagospodarował tereny zielone. Nie szczędził funduszy na walkę z globalnym ociepleniem i partią republikańską. Russell Reeves był szczerym dobroczyńcą o złotym sercu i sejfie pełnym złota. Do tej pory Fundacja Russela i Kathryn Reevesów ofiarowała ponad dwa miliardy dolarów, aby mieszkańcom Austin żyło się lepiej.

Reeves miał teraz czterdzieści lat i był mężem byłej Miss Uniwersytetu Stanu Teksas. Patrząc, jak stoi na zdjęciu obok swej pięknej żony, nazywany przez gubernatora bohaterem Teksasu, a przez burmistrza chlubą Austin, a także znając ostatnie rankingi magazynu „Forbes”, według których jego majątek jest szacowany na piętnaście miliardów dolarów, każdy mógłby pomyśleć, że Russell Reeves jest największym szczęściarzem, jakiego nosi ziemia. Gdyby nie wiedział o jego synu.

Jego siedmioletni syn umierał.

Zachary Reeves był chory na rzadką i nieuleczalną odmianę raka. Zawiodły wszystkie znane metody leczenia - chemioterapia, naświetlanie, przeszczep szpiku kostnego. Jego ojciec założył więc na terenie uniwersytetu stanowego instytut badawczy, nowoczesne laboratorium, którego celem było znalezienie lekarstwa na chorobę chłopca. Zatrudnił renomowanych naukowców z całego świata i sprowadził ich do Austin. Nie żałował pieniędzy, ale po pięciu latach i zainwestowaniu pięciu miliardów w badania lekarstwa wciąż nie było. Lekarze dawali jego synowi rok życia.

W efekcie, chociaż Russel Reeves był przez wszystkich uwielbiany i podziwiany, nikt mu nie zazdrościł. Postrzegano go jako tragiczną postać. A teraz właśnie stał we własnej osobie w drzwiach biura Andy'ego.

- Mogę wejść?

Andy upuścił gazetę i wstał, podobnie jak Max, który wyczuł, że coś się dzieje.

- Naturalnie, panie Reeves. Bardzo proszę.
- Czy on gryzie? - Reeves zerknął na Maxa.
- Tylko babeczki od Jo's. Nazywa się Max. - Andy wyciągnął rękę. - A ja jestem Andy Prescott.

Andy nigdy nie ścisnął dłoni miliardera, ani nawet milionera, nie licząc Tresa.

- Andy, jestem Russell Reeves.

Stan konta Russella Reevesa czynił go potężnym, ale w rzeczywistości nie był wyższy od Andy'ego. Szyta na miarę droga marynarka leżała idealnie na jego ramionach. Kiedyś nosił grube szkła, ale przeszedł laserową korektę wzroku, o czym Andy wyczytał w gazecie. Jego czarne kręcone włosy, niegdyś słynące ze swej gęstości, były teraz krótsze i przeredzone, a skronie miał przyprószone siwizną. Żadna z dziewczyn, które przewijały się przez Whole Foods, nie nazwałaby go przystojnym, ale wszystkie poleciałyby do niego jak pszczoły do miodu. Zwłaszcza Suzie. Piętnaście miliardów na koncie poprawia wygląd mężczyzny.

Russell Reeves zmarszczył brwi.

- Ktoś cię napadł?
- Wypadek na rowerze. Spadłem wczoraj ze stoku.

Reeves pokiwał głową i rozejrzał się po ciasnym biurze.

- Nie marnujesz przestrzeni. Podoba mi się to.
- Naprawdę?

Na twarzy Reevesa pojawił się uśmiech.

- Kiedy zaczynałem, mieszkałem w swoim miejscu pracy, starym budynku w dzielnicy przemysłowej. Nie było mnie stać na wynajęcie mieszkania, więc korzystałem z prysznic na basenie. - Pokazał na otwarte okno.

- I klimatyzacji też tam nie było.

Za ścianą rozległy się dźwięki skrzypiec. Uczeń nie był nowicjuszem. Reeves przechylił głowę i wsłuchał się w muzykę.

- Ładnie.
- Wliczone w koszty.
- Czy mogę usiąść, Andy?
- Ależ oczywiście, panie Reeves.

Usiedli naprzeciwko siebie przy turystycznym składanym stoliku. Russell Reeves przyglądał się badawczo Andy'emu przez długą niezręczną chwilę. Ostatni raz Andy czuł się tak zaniepokojony, gdy złożył wizytę dziekanowi wydziału prawa, aby dowiedzieć się, czy został przyjęty na studia.

- Andy, potrzebuję prawnika.
- Ma pan ich na pęczki.
- Ale to wyjątkowa sprawa.
- Przekroczył pan prędkość w terenie zabudowanym?
- Trochę bardziej wyjątkowa niż mandat. - Reeves uśmiechnął się. - Chcę zrobić porządek w SoCo.

- A co stanowi problem?
- Nic, czego nie rozwiązałyby miliard dolarów.
- Nie reprezentuję przedsiębiorców budowlanych.
- Ach, mężczyzna z zasadami.
- Nie o to chodzi. Po prostu nikt mnie o to dotąd nie prosił.
- No cóż, Andy. Chcę wykupić te rudery, stare opuszczone

sklepy, pawilony handlowe, slumsy, a na ich miejscu wybudować porządne i niedrogie domy, aby zwyczajni ludzie mogli sobie pozwolić na zamieszkanie w SoCo. Miejskie bloki z placami zabaw dla dzieci.

- Od lat staramy się nakłonić miasto, aby postawiło domy dla ubogich.

- Władze są biurokratyczne, Andy. A ja mam pieniądze i wpływy, które pozwalają mi się przebić przez biurokrację i

doprowadzić wszystko do końca. Ci sami ludzie mówili, że nic się nie da zrobić we wschodniej dzielnicy, ale my tego dokonaliśmy. A teraz chcę zadziałać tutaj. Austin powinno być dostępne dla każdego, niezależnie od jego zamożności, i chcę, żebyś mi pomógł do tego doprowadzić. Andy, chcę, abyś został moim prawnikiem w SoCo.

- Dlaczego ja?

- Jak powiedziałem, mam pieniądze i wpływy, aby przeferować wszystko w urzędach. Tym, czego mi brakuje, jest zaufanie mieszkających tu ludzi. Będą mówić, że próbuję zagarnąć SoCo i zamienić je w północne Austin.

- Tutejsi ludzie nie zaufają nikomu z północnego brzegu.

- I dlatego potrzebny mi prawnik, który cieszy się zaufaniem na południowym brzegu.

- Zajmuję się mandatami.

- Ale jesteś prawnikiem, czyż nie?

Andy uniósł głowę i jego wzrok spoczął na dyplomie wiszącym obok plakatu z motocyklem.

- Wygląda na to, że tak.

- I znasz tu każdego, a wszyscy znają ciebie?

Andy wzruszył ramionami.

- I każdy ma tu do ciebie zaufanie.

Andy znów odpowiedział wzruszeniem ramion.

- I wynajmujesz biuro nad salonem tatuażu, więc idę o zakład, że sam masz tatuaż.

Andy pokiwał głową.

- Jesteś idealny. - Russel Reeves rozłożył ręce. - Andy, jeżeli przyślesz tu moich prawników ze śródmieścia, którzy noszą garnitury od Armaniego i zachowują się jak dupki, miejscowi zgaszają nas, zanim cokolwiek zaczniemy. A to by była katastrofa.

Trudno było nie przyznać mu racji.

- Panie Reeves, jak pan na mnie trafił?

- Przez moją sekretarkę, Doris Sullivan. Zajmowałeś się jej mandatem.

- Dzwoniłem do niej dziś rano.

- Przypadkiem usłyszałem, co mówiła. Rozmyślałem, jak się z tym uporać, więc kiedy wspomniała o tobie, prześwieciłem cię i spodobało mi się to, czego się dowiedziałem.

- Spodobało się panu?

- Posłuchaj, Andy, obydwaj wiemy, że nie byłeś prymusem na roku. Nie powierzyłbym ci wprowadzenia na rynek nowych akcji, ale do tego zadania jesteś wręcz stworzony. Jaka jest twoja stawka?

- No, hm... - Andy w całej swej karierze nie miał klienta, którego podliczałby według stawki godzinowej. - To może czte...

- Czteryście dolarów? Moi prawnicy cenią się dwa razy drożej.

- Reeves machnął ręką w powietrzu. - Ale ty nie ponosisz takich kosztów jak oni. W porządku, niech będzie czteryście za godzinę.

Czteryście dolarów za godzinę? Andy zamierzał powiedzieć czterdzieści. Serce zaczęło bić mu zwawiej, podczas gdy umysł analizował finansowe następstwa takiej stawki. W godzinę mógłby zarobić na dwumiesięczny czynsz za biuro. Po dwóch byłby w stanie zapłacić za wynajęcie mieszkania. Kolejne dwie godziny pokrywały miesięczne wydatki na życie. A za dwadzieścia godzin... mój Boże, mógłby sobie pozwolić na stumpjumpera!

- No to jak, Andy? Chcesz być moim prawnikiem czy nie?

Andy oczyma wyobraźni widział siebie wdzierającego się stumpjumperem na szczyt Wzgórza Życia, pedałuującego po

szlaku, ścinającego zakręty i gnającego w dół zbrocza.

- Andy?

Andy zamrugał i powrócił do rzeczywistości. Skupił wzrok na siedzącym naprzeciwko miliarderze, który przynosił mu odpowiedź na wszystkie jego marzenia.

- Tak, panie Reeves. Chcę być pańskim prawnikiem.

- Znakomicie. Pierwszym moim nabytkiem będzie teren po starym sklepie spożywczym po tej stronie Oltoft Street.

- Żądali za tę działkę pięć milionów. Powstrzymaliśmy już w ten sposób dwóch inwestorów, którzy chcieli tam postawić biurowce.

- Teraz mówią cztery, a my wybudujemy tam dwieście tanich mieszkań. Powodzenie transakcji jest uzależnione od tego, czy mieszkańcy zaakceptują plan przebudowy. To twoje zadanie. Przekonasz ich do nas i dobijamy targu. Moim prawnicy z centrum przygotowują umowy i zajmą się wszystkimi kwestiami własności. Mamy na oku z tuzin podobnych nieruchomości. Będziesz bardzo zapracowanym prawnikiem, Andy. Mam nadzieję, że masz dużo wolnego czasu.

- Zawsze coś się wykombinuje.

- Bardzo dobrze. - Russell Reeves wstał i wyciągnął wizytówkę. - Oto moje telefony. Możesz dzwonić na komórkę o każdej porze.

Andy wziął do ręki ozdobny bilet wizytowy z wytłaczanymi literami. Swoje wizytówki drukował na komputerze Ramona. Wręczył jedną Reevesowi.

- To moja komórka - oświadczył, jakby dysponował innymi telefonami.

- Witaj na pokładzie, Andy.

Ponownie wymienili uścisk dłoni.

Reeves sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kopertę, którą podał Andy'emu.

- To powinno wystarczyć za pierwszy tydzień - rzekł i ruszył do wyjścia, ale odwrócił się w pół drogi. - Ale musisz się ostrzec.

- Tak jest, proszę pana.

Reeves zniknął za drzwiami. Andy rzucił się do okna i zobaczył, jak jego gość wyłania się z budynku i kroczy chodnikiem w stronę limuzyny, która czekała na niego zaparkowana na jezdni, blokując pas ruchu. Obok potężnie zbudowanego łysego faceta w czarnym garniturze i okularach przeciwsłonecznych stał policjant i wypisywał mandat. Gdy zobaczył Reevesa, jego postawa uległa natychmiastowej zmianie. Wyglądał na skruszonego. Zamknął błączek mandatowy, z uśmiechem uściśnił dłoń miliardera i zmył się.

Łysy olbrzym otworzył przed Reevesem tylne drzwi, potem zajął miejsce za kierownicą i limuzyna odjechała. Andy usiadł i rozerwał kopertę, w której znalazł czek wystawiony na Andrew Paula Prescottta. Na kwotę dziesięciu tysięcy dolarów.

Dziesięć tysięcy dolarów!

Andy był podekscytowany. Wtem poczuł zapach, który mógł oznaczać tylko jedno. Spojrzał na Maxa, który patrzył na niego zaspany.

- Dostałeś burrito z fasolą, zgadłem?

Ledwie limuzyna znikła za zakrętem, Andy zbiegł na dół, zostawił Maxa Ramonowi obrzuciwszy zaledwie pobieżnym spojrzeniem jego dzieło powstające na zgrabnym pośladku, po czym wskoczył na rower i pognał do banku. Podszedł z czekiem do okienka, a serce waliło mu w piersi jak nastolatкови, który po raz pierwszy rozbiera dziewczynę. Gdy kasjerka oznajmiła mu, że środki są dostępne,

miał ochotę wziąć ją w objęcia i wycałować. Zamiast tego podziękował, jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło.

Po wyjściu z banku pojechał prosto do REI. Żałował, że nie ma aparatu, którym mógłby uwiecznić minę Wayne'a, gdy powiedział mu, czego chce.

- Nie traktuj tego osobiście - rzekł Wayne i zadzwonił do banku, aby potwierdzić stan konta, zanim przyjął czek Andy'ego.

Dwie godziny później Andy Prescott jechał ścieżką spacerową wzdłuż brzegu rozlewiska Lady Bird Lake na fantastycznym rowerze górskim Specialized S-Works Stumpjumper. Obok niego truchtał Max.

Zasady obowiązujące na promenadzie nie pozwalały mu na rozwinięcie większej prędkości niż piętnaście kilometrów na godzinę, zresztą i tak było tam wielu popołudniowych spacerowiczów, którzy wylegli po pracy odetchnąć świeżym powietrzem, toteż Andy oswajał się tylko z nową maszyną i rozkoszował tęsknymi spojrzeniami innych rowerzystów. Trudno było im się dziwić - jego rower miał ramę z włókna węglowego i aluminium, pełną amortyzację zawieszenia, hydrauliczne hamulce tarczowe, przerzutki firmy Shimano z kompozytowymi manetkami i koła wyścigowe. Wszystko najwyższej klasy. Inni faceci patrzyli na niego z taką zazdrością, jak gdyby wioził na kierownicy Suzie w tych jej obcisłych krótkich spodenkach i bluzce bez ramiączek.

Długa na szesnaście kilometrów żwirowa ścieżka ciągnęła się wzdłuż brzegu. W każdy dzień tygodnia po siedemnastej, a weekendy od rana do wieczora wylęgali na nią tłumnie biegacze i rowerzyści. Niektórzy trenowali na poważnie, inni dla towarzystwa, ale większość po prostu była wysportowana i popisywała się tym.

Bieganie albo pedałowanie wokół jeziora stało się głównym elementem życia towarzyskiego w Austin. Było to jeszcze jedno miejsce, gdzie można się pokazać i przyjrzeć innym, aktywnie wypocząć i zadbać o kondycję, obcować z naturą i paradować w ciuzzkach ze spandexu.

Andy czuł się wspaniale. Jak prawdziwy mężczyzna. Jak prawdziwy prawnik, który pracuje dla bogatego klienta. Mimo to zastanawiał się nad niezwykłością całej sytuacji. Czemu Russell Reeves, słynny miliarder, przyszedł akurat do biura Andy'ego Prescottta, prawnika specjalizującego się w mandatach drogowych, i zaproponował mu współpracę przy wielomilionowych transakcjach na rynku nieruchomości? To było niepojęte. Spadło na niego jak grom z jasnego nieba. I dlatego czuł się zaniepokojony. Jak zawsze mawiał jego ojciec: „Jeżeli coś wydaje się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, przypuszczalnie takie nie jest”.

Ale z drugiej strony - a Andy przyłapywał się na rozpaczliwym poszukiwaniu tej drugiej strony - Russel Reeves miał rację, mówiąc, że mieszkańcy SoCo będą na każdym kroku rzucać mu kłody pod nogi. Było wśród nich wielu działaczy, którzy rozpętałiby w ratunku istne piekło, byle tylko mu przeszkodzić. Nie mieli zaufania do nikogo z północnego brzegu, więc Reeves potrzebował kogoś z południa, komu by uwierzyli. Kogoś takiego jak Andy Prescott. Nadawał się do tego idealnie.

Jakiś hałas przyciągnął jego uwagę. Andy znajdował się właśnie na odcinku ścieżki biegnącym wzdłuż Cesar Chavez Street. Po przeciwnej stronie ulicy, przed placem budowy należącym do projektu Seaholm, największej inwestycji w dziejach tej części miasta realizowanej przez firmę z Dallas, stała grupka demonstrantów. Zebrani skandowali: „Miejska rada to zdrada! Sprzedali

nas!” i trzymali transparenty z napisami „Nie chcemy tu drugiego Dallas”, „Wstrzymać rozbudowę”, lub bardziej dosadne „Deweloperzy to frajerzy”. Dla rodowitych mieszkańców Austin inwestorzy budowlani byli najbardziej godnymi pogardy istotami, jakie zamieszkiwały ziemię. Nawet mały szalenciec rządzący Koreą Północną mógł liczyć na większą przychylność w lokalnych sondażach niż deweloperzy. A teraz Andy Prescott służył jednemu z nich.

Andy odwrócił wzrok od protestujących i zaczął rozmyślać o zamiarach swego nowego klienta. Russell Reeves nie zamierzał rozbudowywać SoCo, tylko je odbudować, więc Andy nie reprezentował dewelopera, a raczej odnowiciela. Nie czuł się adwokatem diabła, lecz posłańcem anioła. Bogatego anioła, który chce zamienić zrujnowane rudery w nowe, tanie domy mieszkalne. Kto dzisiaj robi takie rzeczy? Na pewno nie miasto. Nie inwestorzy, którym zależy na szybkim zysku. Tylko anioł był zdolny do czegoś takiego. Tylko Russell Reeves. Mieszkańcy SoCo byli wypierani ze swej dzielnicy przez wzrastające czynsze, wysokie ceny nieruchomości i podatki. Oferta Reevesa była tym, czego właśnie potrzebowali. Andy miał szansę im pomóc, gdyby tylko udało mu się ich przekonać, aby poparli plan odnowy. A pomagając im, pomoże samemu sobie.

Czterysta dolarów za godzinę!

Byłby zachwycony, gdyby zdołał zarobić cztery stówy w ciągu dnia. Ale żeby w godzinę? Gdyby przepracował czterdzieści godzin w miesiącu, miałby szesnaście tysięcy dolarów. Na mandatach nie zarobiłby tyle w ciągu roku. Czy powinien się z tego wycofać? Czy powinien zwrócić Wayne'owi tego bajecznego stumpjumpera i przesiąść się z powrotem na schwimma? Czy powinien odnieść rzeźbioną sowę do sklepu Yard Dog i zjawić się na sześćdziesiątych

drugich urodzinach matki bez takiego wspaniałego prezentu? Czy tego chcieliby mieszkańcy SoCo?

Na pewno nie. Jego ojciec mawiał również, że „darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby”.

Dwa i pół tysiąca kilometrów na północ Alvin Adams wbił zęby w wielkiego hamburgera. Siedział w barze w Queens, gdzie zamówił piwo i hamburgera z frytkami. Spędził w pracy kolejny długi i szary dzień, a teraz cierpiał na ból głowy i musiał wypić dwa albo trzy piwa, aby go uśmierzyć. Innymi słowy, minął kolejny dzień w niezmiernie nudnym życiu Alvina Adamsa. Przez osiem godzin ślęczał nad artykułami w czasopiśmie medycznych, które wydawała jego firma, i szukał błędów. Czasem dzwonił do autorów, aby potwierdzić treść odnośnika, przypis albo poprosić o przeliterowanie nazwy jakiejś egzotycznej choroby. Po wszystkich tych poszukiwaniach, jakie przeprowadził w ciągu dziesięciolecia, mógłby ubiegać się o dyplom lekarski, doktorat albo jakiś inny stopień naukowy.

Nienawidził swojej pracy, ale pozwalała mu na regulowanie płatności. Dzięki niej płacił najniższą ratę miesięczną na poczet dziesięciu wykorzystanych do maksimum kart kredytowych. Doliczali mu trzydzieści procent odsetek. Skurwiele. Kiedyś lichwa była zakazana, ale banki kupiły sobie ustawę federalną, która znosiła wszystkie dotychczasowe przepisy. Sprytnie zagranie. Kiedy Alvin ugryzł kolejny kęs hamburgera, jakiś mężczyzna w średnim wieku ubrany w garnitur i z teczką w ręku podszedł do jego stolika i usiadł naprzeciwko. Wyglądał jak prawnik.

- W czym mogę pomóc? - zapytał Alvin, przetykając.

- Możemy pomóc sobie nawzajem - odparł nieznajomy.
- O co chodzi?

Mężczyzna otworzył aktówkę, wyjął z niej kopertę i przesunął ją po stole. Alvin sięgnął po nią, odkładając hamburgera. Była gruba. Zajrzał do środka. Wypełniały ją banknoty studolarowe, bardzo dużo banknotów.

- To kupa forsy - powiedział, odkładając kopertę.
- Piętnaście tysięcy.
- Kim pan jest?
- Nazywam się Smith.
- No dobra, panie Smith. - Alvin uśmiechnął się. - Czego pan chce?

- Potrzebne mi nazwisko.
- Czyje?

Mężczyzna ponownie sięgnął do teczki, z której tym razem wydobył jakiś dokument i położył go na stole. Alvin przeczytał tytuł. *Pacjentka X - wybawczyni?* Rozpoznał ten dokument. Był to artykuł naukowy, który ukazał się w jednym z czasopism wydawanych przez jego firmę. Dwa albo trzy lata temu. Zapamiętał go, ponieważ autor był anonimowy, a treść artykułu...

- To stek bzdur.
- Co?
- To. - Alvin wskazał frytką na leżący przed nim papier.
- Prowadzi pan badania naukowe?
- Coś w tym rodzaju. Przeczytałem setki takich artykułów, ale ten zawiera wyjątkowe brednie. Nikt z branży w to nie wierzy. To jedna wielka mistyfikacja.

- Wie pan, kto to jest?
- Pacjentka X?
- Nie. Ten Anonim.
- Po co to panu?

- Muszę je poznać, a reszty nie musi pan wiedzieć. Wystarczy, jak panu powiem, że to nazwisko jest dla mnie warte piętnaście tysięcy dolarów. Nieopodatkowanych.

Alvin wiedział, kim jest Anonim, ponieważ wymienił z nim kilka e-maili, które zawierały poprawki do tego artykułu oraz następnych.

- Wie pan, że to poufne.
- Jest pan prawnikiem, Alvinie?
- Nie.
- To co pan ma do stracenia?
- Swoją pracę.
- Czemu ktokolwiek miałby się o tym dowiedzieć?

Alvin zastanowił się nad tym. Czemu ktokolwiek miałby się dowiedzieć?

- Nie widzę powodów, ale...

Mężczyzna sięgnął nad stołem i położył dłoń na kopercie, jakby zamierzał ją zabrać.

- Tony Falco - powiedział Alvin. Zapamiętał to nazwisko, ponieważ nigdy dotąd nie miał do czynienia z anonimowymi autorami.

- A kim jest Tony Falco?
- Lekarzem.
- Gdzie praktykuje?
- Tutaj. W Nowym Jorku. Przynajmniej wtedy tak było.

Smith wstał i wyszedł z baru, a Alvin jeszcze raz spojrzął na zawartość koperty, którą wsunął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Zamówił kolejne piwo, chociaż ból głowy dawno mu przeszedł.

Po dwóch godzinach i czterech piwach Alvin, zataczając się, wyszedł z baru. Dochodząc do następnej przecznicy, zauważył wysokiego mężczyznę, który stał, opierając się o maskę zaparkowanego

przy chodniku czarnego sedana. Mężczyzna się wyprostował, gdy Alvin miał go już mijać, po czym podszedł do niego i objął silnym ramieniem.

- Co powiedziałeś temu prawnikowi?
- Jakiemu prawnikowi?
- Temu, który dał ci pieniądze.
- Jakie pieniądze?

Nieznajomy poklepał Alvina po piersi w miejscu, gdzie w wewnętrznej kieszeni znajdowała się koperta.

- Te pieniądze - odparł. - Posłuchaj Alvin, nie chcę ci ich zabrać. Potrzebuję tylko informacji.

- Nic mu nie powiedziałem.

- Daj spokój. - Mężczyzna uniósł połę marynarki, odsłaniając pistolet. - To nie jest coś, za co warto umierać.

Okazał się przekonywający.

- Tony Falco.
- I co jeszcze?
- On jest lekarzem. Tutejszym, z Nowego Jorku.
- Dzięki.

Mężczyzna rozluźnił uścisk na ramieniu Alvina, który odetchnął z ulgą i chwilę później poczuł silne pchnięcie. Zatoczył się i poleciał w boczną uliczkę. Obejrzał się za siebie, by zobaczyć, jak nieznajomy wyciąga pistolet z długą grubą lufą i unosi go, celując mu w czoło. Alvin Adams zdążył jeszcze pomyśleć, że już nigdy więcej nie poczuje bólu głowy.

- Rany boskie, Harmon, czemu zabiłeś Adamsa? - odezwał się głos w słuchawce.

- Żeby go uciszyć.

- A komu miałby cokolwiek wypaplać? Oni go tylko przekupili, na rany Chrystusa. A on podał ci nazwisko. - W słuchawce

rozległo się głębokie westchnienie - Od tej pory niech prawnik wykonuje robotę za ciebie. Żadnych zabójstw na własną rękę, czy to jasne? I pamiętaj, jest tylko jedna osoba, którą chcemy uśmiercić.

Rozdział 7.

Andy Prescott odwrócił się do pasażera, który siedział z tyłu.

- A co byś powiedział na kąpiel w rzece po lunchu?

Max zaszczeakał, jakby chciał powiedzieć: „Tak! Podoba mi się ten pomysł!”.

Był sobotni ranek. Andy jechał stumpjumperem, kierując się na południe drogą numer 12. Drewnianą sowę zapakował do plecaka i teraz jej głowa sterczała nad jego ramieniem, jakby podziwiała krajobraz. Max siedział w foteliku, który Andy przymocował nad tylnym kołem. Obydwaj mieli na głowach kaski.

Andy lubił podróżować wiejskimi drogami. Powietrze było czystsze niż w mieście, oko cieszyły piękne widoki, a ryzyko spotkania z piratami drogowymi znacznie malało. Chociaż zdarzały się wyjątki...

Max warknął ostrzegawczo. Usłyszał coś wcześniej, ale po chwili również do uszu Andy'ego dobiegł ryk potężnego silnika. Obejrzał się za siebie. Zza zakrętu wyłoniła się czarna półciągarówka, która pędziła w ich stronę z zawrotną prędkością. Nie był to standardowy pikap, lecz terenówka z napędem na cztery koła, szerokimi oponami, orurowanym przodem i podniesionym zawieszaniem. Wyglądała jak czołg Abrams pędzący po wąskiej drodze.

Andy odbił kierownicą i spiął się w sobie, stawiając opór silnemu podmuchowi, który uderzył go, gdy samochód przemknął

obok. Kierowca naciskał klakson jak dziecko, które cieszy się z nowej zabawki. Andy musiał podeprzeć się nogą, aby nie upaść. Miał ochotę pokazać szaleńcowi środkowy palec, ale przypomniał sobie, że nowe przepisy pozwalają Tekszańczykom wozić ze sobą broń, przypuszczalnie do ochrony przed złodziejami samochodów. Właściciel tej terenówki był niewątpliwie głupi, ale mógł również być uzbrojony, zatem Andy popedałował dalej.

Licząca niecałe cztery tysiące mieszkańców miejscowość Wimberley leży sześćdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód od Austin, w miejscu, gdzie droga lokalna numer 12 spotyka się z rzeczką Cypress Creek. Jest na tyle oddalona od uczęszczanych szlaków, by uniknąć losu podmiejskiej sypialni, lecz na tyle blisko, by przyciągnąć twórcze osobowości z Austin. Już dawno Wimberley stało się idylliczną osadą zamieszkiwaną przez artystów, którzy parają się rzeźbą, muzyką, pisarstwem, kowalstwem, dmuchaniem szkła i paleniem trawki.

Jane Prescott odziedziczyła dwadzieścia hektarów ziemi na obrzeżach Wimberley, zanim jeszcze miejsce to zostało odkryte przez mieszczuchów, którzy mają dość miasta. Odkąd jednak zaczęli oni wyprowadzać się na wieś, ceny gruntów poważnie wzrosły. Działka matki Andy'ego mogłaby przynieść teraz milionowy zysk, gdyby zechciała ją sprzedać. Ale nie chciała. Handlarze nieruchomości plasowali się na jej liście tuż za trenerami drużyn futbolowych. Niemniej wraz z wartością ziemi podniosła się również stawka podatku gruntowego. Jego dziadkowie hodowali bydło, więc korzystali z ulgi przysługującej rolnikom i płacili zaledwie kilkaset dolarów rocznie. Ponieważ matka Andy'ego odzęgnywała

się od jedzenia wołowiny, założyła wraz z mężem fermę strusi.

Andy pchnął furtkę zwieńczoną drutem kolczastym. Kilka wysokich na dwa i pół metra ptaków o wadze dochodzącej do stu osiemdziesięciu kilogramów ruszyło w jego stronę, aby się przywitać. Odpędził je, przeprowadził rower przez furtkę, którą potem za sobą zamknął, i pojechał żwirową alejką w stronę domu.

W cieniu wysokich dębów stał wiekowy, piętrowy wiejski dom z przestronną werandą, na której Andy bawił się w dzieciństwie. System rynien i zbiorników pozwalał na gromadzenie deszczówki służącej do nawadniania ziemi, a panele słoneczne chłonięły energię płynącą z nieba, wytwarzając energię elektryczną. Ojciec Andy'ego z radością witał nadejście letnich miesięcy, kiedy sprzedawał elektrowni nadwyżkę prądu. W ogródku przed werandą rosły odporne na suszę teksańskie rośliny i to wśród nich Andy widział odpowiednie miejsce dla drewnianej sowy. Za domem matka hodowała warzywa, a pod ogrodzeniem znajdował się kompost. Rodzice Andy'ego byli ekologiczni na długo przedtem, zanim stało się to modne.

Nigdzie nie było mu tak dobrze, jak w domu.

Max ujadał. Kiedy Andy zaparkował rower i postawił psa na ziemi, ten natychmiast zaczął gonić za ptakami i wiewiórkami, a także za strusiami, które nie pozostawały mu dłużne. Na swoich dwupalczastych stopach potrafiły rozpędzić się do ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Cieszyły się więc otwartą przestrzenią na farmie i biegały swobodnie od płotu do płotu, który chronił je od wyjścia na drogę, gdzie mogłyby ponieść śmierć pod kołami przejeżdżającego samochodu. Nawet ważący prawie dwieście kilo ptak nie miał szans w zderzeniu z trzytonową półciężarówką.

Andy zdjął plecak i wyciągnął z niego sowę. Wspiął się po schodach na werandę, pchnął lekkie drzwi z siatki i wszedł do środka. Jego rodzice nawet w lecie unikali korzystania z klimatyzacji, ale dom stał w takim miejscu, że odświeżał go chłodny wiatr znad rzeki. Już od progu Andy wiedział, że matka piekła ciasto.

- Mamo! - zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Wiedział, gdzie jej szukać. Przeszedł przez kuchnię, gdzie na blacie stygł jeszcze ciepły tort truskawkowy. Matka pamiętała, że Max nie może jeść czekolady. Pod chwilę Andy znalazł się na ganku z tyłu domu. Po okapem dachu i na konarach dębu wisiały dzwonki wiatrowe i pod wpływem powiewów wygrywały delikatną symfonię. Na otwartej przestrzeni stały kolorowe dzieła sztuki podwórkowej - blaszane ptaszki, kojoty i wiatraczki. Andy przeszedł trzydzieści kroków i znalazł się w szopie. Z zewnątrz wyglądała jak przydomowy warsztat, ale wystarczyło przekroczyć próg i wypełniająca wewnątrz muzyka klasyczna świadczyła o czymś wręcz odwrotnym.

Był to intymny zakątek jego matki, w którym mogła zatracić się w swej sztuce. Miejsce to miało dla niej takie samo znaczenie, jak dla niego szlak rowerowy. Uwalniała się tu od wszystkich przyziemnych zmartwień i była w swoim żywiole. Jean Prescott była rzeźbiarką, a szopa służyła jej za pracownię.

Andy dostrzegł ją w głębi szopy, w narożniku, który oświetlały wpadające przez okno promienie słońca. Tylne drzwi były otwarte na oścież i delikatna jak szept bryza znad rzeki wpadała do środka. Jego matka była jak pogrążona w transie, który przenikał całe jej drobne ciało ubrane w dżinsy i podkoszulek. Kiedy tak stała naprzeciw swej rzeźby, przypominała lwicę z afrykańskiej sawanny, która tropi ofiarę. Jedni ludzie mają swoje miejsce w biurze na

trzydziestym piątym, inni w kopalni węgla kilometr pod ziemią. Jean Prescott miała takie miejsce w swojej pracowni. Właśnie cyzelowała ostatnie szczegóły glinianej rzeźby przedstawiającej anioła.

- Piękna.

- Andy. - Matka odwróciła się z uśmiechem, który po chwili ustąpił miejsca pochmurnej minie. - Obciąłeś włosy.

Oczy matki wypełnił taki smutek, że Andy omal nie zaczął się kajać, ale gdy zauważyła sowę, którą trzymał pod pachą, jej twarz pojaśniała.

- Andy, mówiłam ci, że żadnych prezentów.

- Wiem. Ale nie sądzisz, że to wyjątkowe cacko? Będzie pasować do twojego ogrodu. Wszystkiego najlepszego, mamó.

- Jest piękna. Ale nie stać cię na takie rzeczy.

- Teraz już stać.

- Jakim cudem?

- Później ci opowiem. Gdzie tato?

- W swoim gabinecie. - Matka wytarła dłonie z gliny. - Powiedz mu, że już pora na lunch. Tofuburgery. Karmię go według grafiku, jak te strusie.

Andy zdusił jęk niezadowolenia. Nie przepadał za tofuburgerami. Postawił sowę na stoliku i opuścił szopę. Minał ogródek warzywny, w którym zaczynały dojrzewać pomidory, i zszedł po pochyłej skarpie na brzeg Cypress Creek. Rzeczka płynęła leniwie w płytkim korycie, obmywając delikatnie spoczywające na dnie kamienie i klucząc między wapiennymi głazami. Z wody wynurzały się pnie cyprysów, wysmukłe i strzeliste niczym ogromne źdźbła słomy. Andy podszedł od tyłu do ojca, który siedział w bujanym fotelu na zacienionej skalnej półce wystającej z brzegu. To był jego gabinet przez ostatnie trzydzieści pięć lat. O pobliskie

drzewo opierała się wędka stojąca tam na wypadek, gdyby w przejrzystych falach wypatrzył suma, na którego byłoby warto zapolować. Brzdąkał na gitarze, podśpiewując cicho, jak gdyby umiłał czas kilku strusiom pasącym się nieopodal.

Paul Prescott był wysoki i chudy jak tyka, siwe włosy spinał w koński ogon, nosił schludnie utrzymaną brodę i był ubrany w dżinsy oraz sfatygowane buty kowbojskie. Można by go pomylić z Krisem Kristoffersonem, zresztą był obdarzony takim samym głębokim głosem i talentem do pisania piosenek. Jednak Paul Prescott nigdy się nie wybił. Nigdy nie natrafił na swą wielką szansę. Nigdy nie dopisało mu szczęście. Dlatego przez czterdzieści pięć lat występował w lokalnych klubach na terenie Austin i w okolicy. Śpiewał, przygrywając sobie na gitarze, a zawsze towarzyszył mu jego nieodstępny kompan José Cuervo.

Andy pamiętał z dzieciństwa sobotnie wieczory w Broken Spoke, w Cheatham Warehouse albo w Gruene Hall, kiedy słuchał, jak śpiewa ojciec, i przysypiał na kolanach matki. Inne dzieci wychowały się, oglądając filmy Disneya, on zaś dorastał w knajpach pełnych podchmielonych kowboi i szalonych kobiet. To było wspaniałe dzieciństwo.

Andy poznał Williego i Waylona, Krisa i Kinky'ego, Raya Price'a i Marle'a Haggarda, największe sławy muzyki country, jakie grywały w teksańskich barach. Paul Prescott rozgrzewał publiczność przez występem każdego z nich, ale przed nim nikt nie wchodził nigdy na scenę. Jego piosenki nigdy nie były gwoździem programu. Kiedy Andy miał dziesięć lat, był niezmiernie dumny ze swego ojca, który w jego oczach uchodził za gwiazdora. W wieku czternastu lat już rozumiał, że jego ojciec nie jest gwiazdorem. Mając osiemnaście, wiedział, że ojciec nigdy gwiazdorem nie

będzie. Andy Prescott zawsze podążał jego śladami, niejako muzyka, ale jako życiowego nieudacznika. Zastanawiał się, czy Russell Reeves będzie dla niego wielką szansą.

Ojciec przestał śpiewać, zaniósł się od kaszlu i splunął krwią. Paul Prescott umierał. Miał sześćdziesiąt pięć lat i, jak sam to ujął, przeżył swoją wątrobę. Faktycznie, zamordował ją tequilą. Lekarze zdiagnozowali u niego alkoholową marskość wątroby. Pokryta bliznami nie była już w stanie należycie przyswajać witamin, wytwarzać białek, które zapewniały mu krzepliwość krwi, ani oczyszczać organizmu z toksyn. Potrzebował nowej wątroby. Bez przeszczepu mogła się u niego rozwinąć jakaś fatalna infekcja prowadząca do zapalenia otrzewnej, mógł paść ofiarą encefalopatii wątrobowej i zapaść w śpiączkę albo nabawić się zakrzepicy żyły wrotnej i umrzeć na skutek krwotoku.

Ojciec Andy'ego był jednym z siedemnastu tysięcy ludzi wpisanych na krajową listę oczekujących na przeszczep wątroby od pośmiertnego dawcy. Trafił na tę listę przed rokiem, a lekarz powiedział, że poczeka jeszcze kolejny rok. Tylko sześć tysięcy osób mogło liczyć na transplantację w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy. Jego ojciec do niech nie należał. Pacjenci z alkoholową marskością wątroby byli umieszczani na samym końcu listy oczekujących.

Wątroby od dawców były w pierwszej kolejności przeznaczane dla pacjentów mających „status nr i”, który oznaczał, że mogą oni nie przeżyć najbliższych siedmiu dni i muszą przebywać na oddziale intensywnej terapii. Jednak w ich przypadku często i tak było za późno i tylko połowa pacjentów ze „statusem nr i” żyła po transplantacji dłużej niż rok. Mogłoby się to wydawać absurdalne, że wątroby otrzymywali ci, którzy mieli najmniejsze szanse na uratowanie.

Mógł jedynie liczyć, że ze względu na inną grupę krwi lub masę ciała wątroba od martwego dawcy nie będzie odpowiednia dla żadnego z pacjentów ze „statusem nr i” na terenie Teksasu. Tylko po ich wykluczeniu szansę na przeszczep zyskiwali oczekujący z dalszych pozycji listy. Najpierw ci, którym nie dawano więcej niż trzy miesiące życia, potem ci, którzy mogli pożyć nieco dłużej, a na samym końcu dopiero pacjenci z alkoholową marskością wątroby. Szanse były nikłe, a do tego Paul Prescott zmagał się z dylematem moralnym, mając świadomość, że jeśli on przeżyje, nie zostanie ocalony ktoś inny.

Ojciec Andy'ego próbował pogodzić się ze śmiercią. Nigdy jednak nie narzekał i zawsze powtarzał, że nie może winić nikogo prócz siebie. Miał przynajmniej ubezpieczenie zdrowotne, dzięki któremu mógł się dostać na listę oczekujących, do czego nie mieli prawa nieubezpieczeni pacjenci. Wypłacalność stanowiła czynnik decydujący, w myśl którego pięcioletnie dziecko bez ubezpieczenia było skazane na śmierć, a siedemdziesięciolatek opłacający składki mógł liczyć na pomoc.

- Życie jest nieuczciwe - stwierdził kiedyś. - Czasem jest po twojej stronie, a przeciw komuś innemu, a czasem trzyma z kimś innym i występuje przeciwko tobie. Ale zawsze jest wobec kogoś nieuczciwe.

Ojciec Andy'ego już dawno pogodził się z faktem, że życie nie jest uczciwe, aczkolwiek jego syn wciąż nie mógł tego zaakceptować.

Andy podszedł bliżej. Słaby głos ojca stał się bardziej wyraźny.

Knajpianych królów gitary już nadchodzi zmiersch.

Wszystko dzisiaj jest towarem i muzyka też.

*Odchodzimy do historii, gwiazd przygasa blask.
Lecz zaklętych w płytach głosów nie pokona czas.*

- Brzmi nieźle.

Palce ojca znieruchomiały na strunach gitary.

- Andy, mój chłopcze. Jak się miewasz? - Odwrócił się i zmrużył oczy, patrząc pod słońce. - Pobiłeś się z kimś?

- To na rowerze. Moja ulubiona trasa.

- Lepiej sobie to zapiszę.

Ojciec Andy'ego robił zapiski w małym notesie, z którym się nie rozstawał. Choroba wątroby odbijała się na jego pamięci.

- Kiedyś śpiewałem po trzydzieści piosenek w ciągu jednego wieczoru. Teraz nie mogę przebrnąć przez jedną od początku do końca.

Ojciec nagrał parę swoich płyt w jakimś studiu w Austin, a potem sprzedawał je w miejscowych sklepach i na swoich koncertach. Nie występował przed publicznością od dwóch lat, ale chciał nagrać jeszcze więcej piosenek, zanim umrze. Skończył notować i znów spojrzał na syna.

- Znalazłeś jakąś porządną pracę?

- Nie.

- A dlaczego ściąłeś włosy?

- No dobra, mam klienta.

- Ostrzygłeś się dla jakiegoś pirata drogowego?

- Później ci opowiem.

Skóra ojca miała żółtawy odcień i połyskiwała w promieniach słońca, które przedzierały się przez baldachim z cyprysowych gałęzi.

- Jak się miewasz, tato? - Andy przykucnął obok niego.

- Nadal śpiewam... tyle że dla ptaków.

Andy poczuł, jak w oczach zbierają mu łzy.

- Nie płacz nade mną, chłopcze. - Ojciec pogładził go dłonią po krótko przyciętych włosach. - Jeśli teraz wszystko się skończy, odejdę bez żalu. Miałem wspaniałe życie. Przeżyłem je po swojemu i śpiewałem po swojemu. Spędziłem trzydzieści pięć lat z najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, i dwadzieścia dziewięć lat z najwspanialszym synem, jakiego mógłbym sobie wymarzyć. Mam tylko nadzieję, że poznasz kobietę tak dobrą jak twoja matka i dochoacie się takiego syna jak ty.

- Tato, ale ja jestem prawnikiem od mandatów drogowych.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Andy. Masz dobre serce - odparł ojciec, a Andy otarł łzy. - Nie jestem ani sławny, ani bogaty, ale nie było mi to potrzebne. Chciałem śpiewać swoje piosenki, ale nie musiałem być gwiazdą, żeby czuć się szczęśliwy. Szczęścia nie kupisz w sklepie. Trzeba je przeżyć. Mnie się udało. Każdego dnia robiłem dokładnie to, co chciałem. Kochałem i byłem kochany. Lepiej nie mogłem przeżyć tego życia.

Andy czuł, że zaraz wybuchnie płaczem i aby temu zapobiec, przerwał ojcu.

- Mama powiedziała, że pora na lunch. Będą tofuburgery.

- Cholera, tylko nie tofu - jęknął ojciec. - Chcę mięsa.

- Nie w tym domu.

Paul Prescott podniósł się z krzesła, co kosztowało go trochę wysiłku. Andy był gotów podać mu rękę, ale to zawsze drażniło ojca. Nigdy nie oczekiwał pomocy.

- Andy, a co byś powiedział na to, gdybyśmy obaj wymknęli się do miasta i zamówili sobie po dużym cheeseburgerze z frytkami?

- Bardzo smaczne, Jean - rzekł ojciec Andy'ego, przełykając kolejny kęs.

Matka spojrzała na niego z miną, która mówiła: „Kogo ty chcesz szukać?”.

- Czytałem o przeszczepach wątroby w Indiach. Nie musiałbym tam długo czekać. I byłoby taniej.

Siedzieli na werandzie od strony podwórza, jedli tofuburgery z frytkami i popijali mrożoną herbatą. Andy nigdy nie napił się piwa w obecności ojca.

- Wygląda na to, że ostatnio wszyscy ciągną do Indii. Założyć centrum obsługi telefonicznej, wynająć macicę, kupić wątrobę...

- Wynająć macicę? - Matka Andy'ego zmarszczyła brwi.

- Natalie zamierza tam wynająć matkę zastępczą, żeby urodziła za nią dziecko. To o wiele tańsze.

- Globalna ekonomia - powiedział ojciec. - Amerykanie podbijają świat w poszukiwaniu taniej siły roboczej.

- Naprawdę myślisz o przeszczepie w Indiach?

- Nie. Nie jesteśmy potrzebni tym biedakom, gdy tam przyjeżdżamy i wykorzystujemy ich nędzę, kupując za półdarmo ich narządy, jak podzespoły do samochodów w Chinach.

Prescottowie byli niepoprawnymi liberałami i uroczymi strażnikami. Głosowali na McGoverna, Humphreya, Mondale'a, Gore'a, Kerry'ego i Kinky'ego, a ich głosy dawały kandydatom gwarancję przegranej.

Ojciec połknął garść witamin i popił je mrożoną herbatą.

- Psiakrew, znowu muszę iść. - Powoli dźwignął się z krzesła. Zniknął we wnętrzu domu. Andy spojrzał pytająco na matkę.

- Środki moczopędne - wyjaśniła. - Dzięki nim jego organizm produkuje więcej moczu i w ten sposób pozbywa się płynu z jamy otrzewnowej.

- Jego skóra i oczy są o wiele bardziej żółte niż ostatnim razem, kiedy go widziałem.

- To żółtaczka. - Matka pokiwała głową. - Lekarz powiedział, że zanim nastąpi koniec, będzie wyglądał jak dynia.

- Podpisałem na odwrocie prawa jazdy zgodę na pobranie moich narządów.

- Twoja twarz wygląda lepiej.

Ojciec wrócił na werandę.

- Zarobiłem stówę w tym miesiącu, odsprzedając prąd tym łajdakom - oświadczył, zajmując miejsce na krześle, po czym wskazał widelcem stojącą obok drzwi rzeźbioną sowę. - Cóż to jest, do cholery?

- To dzieło sztuki podwórkowej, Paul - odparła matka.

- Kupiłeś to w Austin?

- Tak.

- Musiałeś się wykosztować. Tak samo jak na ten wypasiony rower.

- Zdobyłem nowego klienta w tym tygodniu - powiedział i odczekał, aż w pełni skupią na nim swą uwagę. Czuł się jak dziecko, które za chwilę zaskoczy swych rodziców wzorowymi ocenami. - Zatrudnił mnie Russell Reeves.

Rodzice wpatrywali się w niego, jak gdyby oświadczył, że Dick Cheney zjawi się u nich na kolacji. W końcu matka jako pierwsza odzyskała głos.

- To dlatego się ostrzygłeś?

Tylko ona mogła zadać takie pytanie. Andy z zalem pokiwał głową.

- Russell Reeves zlecił ci umorzenie mandatu? - zapytał ojciec.

- Nie. Chce wybudować w SoCo tanie mieszkania.
- Andy - odezwała się Jean Prescott. - Czy ty reprezentujesz dewelopera?
- Nie, mam. Reprezentuję renowatora.
- A co ty masz z tym wspólnego? - Ojciec nie krył zdumienia.
- Potrzebny mu jest prawnik z SoCo. Płaci mi czterysta dolarów za godzinę.
- Dlaczego to robi?
- Wybudował już tanie osiedle we wschodniej...
- Nie. Dlaczego ci płaci te cztery stowy?
- Potrzebuje mnie.
- Russell Reeves cię potrzebuje?
- Cieszę się zaufaniem w SoCo.
- A on?
- On nie. To dlatego jestem mu potrzebny.
- Jest dziesięciokrotnym miliarderem.
- Piętnasto.
- Zatem istnieje piętnaście miliardów powodów, aby mu nie ufać.

Jego rodzice od urodzenia aplikowali mu prócz marchewek i kabaczków z naturalnych upraw codzienną porcję demagogii politycznej. Jeden z punktów tego programu głosił, aby nigdy nie ufać „tym na górze” - ludziom, którzy nieodmiennie są bogaci i wpływowi. Jak Russell Reeves.

- Tato, Russell Reeves zrobił wiele dobrego dla Austin. I nie przeznaczył ani centa na uniwersytecką drużynę futbolową, mam. Założył laboratorium badawcze i... ma chore dziecko.

Teraz Andy przyłapał się na tym, że broni człowieka „z góry”. Mina jego matki złagodniała.

- Jego syn umiera, Paul - powiedziała.

- Ale dlaczego Andy - dziwił się ojciec. - Nie bierz tego do siebie, synu, ale w Austin jest dziesięć tysięcy prawników, którzy...

- Radzili sobie na studiach lepiej ode mnie?

- Specjalizujesz się w mandatach drogowych. Jak dla mnie, to świetnie, ale co w tym widzi Russell Reeves?

- Tato, on po prostu chce ułatwić zwyczajnym ludziom zamieszkanie w SoCo.

- Tak samo politycy mówią, że chcą pomagać biednym, podczas gdy to bogaci wynoszą ich na urzędy. - Ojciec potrząsnął głową. - Andy, jeżeli sprawa wydaje się trefna, zazwyczaj taka jest.

- Ale tato...

- Pewnego dnia miliarder przychodzi do twojego biura i ot tak sobie angażuje cię do wielkiego interesu?

Czy to według ciebie trzyma się kupy?

- Nie martw się, tato. Wszystko jest w porządku.

Ojciec nie był jednak do tego przekonany. Sprawiał wrażenie, jakby przeżuwał tę nową wiadomość wraz z kawałkiem tofu.

- Zostałbyś na noc, synu? Wybierzemy się do miasteczka na kolację, zjemy tego cheeseburgera, a może zobaczymy, co grają w Corral...

Kino Corral Theatre wyświetlało filmy pod gołym niebem i przychodziło się do niego z własnym krzesłem.

- A może jutro rano pójdziemy do kościoła? - ciągnął ojciec. - Mam ochotę najeść się mięsa w sobotę wieczorem, a w niedzielę rano pośpiewać gospel.

Andy przeniósł wzrok na matkę, która kiwała głową, jakby chciała odpowiedzieć za niego.

- Możemy iść na cheeseburgera, mammo?

- Ty i ojciec możecie.

- Dobrze tato, zostanę - odparł. Wprawdzie obiecał Tresowi, że wybierze się z nim na rower następnego dnia rano, ale

postanowił, że przełoży chrzest bojowy stumpjumpera. - Ale pod jednym warunkiem.

- Chcesz zamówić również frytki?
- Chcę, ale to nie ten warunek.
- I koktajl czekoladowy?
- To też, ale musisz się zgodzić, żebym kupił ci te buty na sześćdziesiąte szóste urodziny.

Jego ojciec od dawna marzył o kowbojkach szytych ręcznie przez tego samego szewca, który robił buty dla Clint Eastwooda i Kevina Costnera, gdy kręcili w Austin *Doskonały świat*, jego ulubiony film. Nie były to tanie buty, ceny zaczynały się od tysiąca dwustu dolarów. Akurat kiedy Paul Prescott postanowił zawiązać się i sobie je zamówić, zdiagnozowano u niego chorobę wątroby. Wtedy ochota mu przeszła.

- Przy takim kliencie mogę sobie na nie pozwolić. Z jakiej tylko skóry zechcesz. Byle nie strusia.

Kowbojskie buty ze skóry strusia były dla Teksaszczyków przedmiotem pożądania, lecz Andy wychował się wśród tych wielkich ptaków. Strusie dożywają siedemdziesięciu lat i te same, które chodziły po zagrodzie, były jego pupilkami w dzieciństwie, więc nie byłby w stanie przerobić ich na buty.

- Może z łosia, tato? To bardzo miękka skóra, będzie leżeć na twoich stopach jak rękawiczki.

- Andy, na zrobienie takich butów trzeba czekać sześć albo siedem miesięcy.

- To znaczy, że musisz z nami zostać, dopóki nie będą gotowe.
- Kto tak powiedział?
- Ja - odparł Andy. - I jeszcze jedno. Będę przez jakiś czas bardzo zajęty, kiedy zacznę pracować dla Reevesa. Czy mógłbyś wtedy zająć się Maxem?
- Jesteś pewien? - Pożółkłe oczy ojca zabłysły.

Andy przytaknął i spojrzał na psa.

- Max, chcesz zostać na trochę z dziadziusem?

Nachylił się i dał mu kawałek tofuburghera. Pies przeżuł go i wypluł. On też wolał mięso. Jean Prescott pocałowała syna w policzek i podeszła do blatu, na którym stał tort truskawkowy.

- Max, masz ochotę na tort i lody? - zagadnęła psa, który podskoczył i zaszczekał radośnie, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do swoich intencji.

- Spotykasz się z kimś? - zapytał ojciec.

- Z Curtisem i z Dave'em. Tres jest zajęty.

- Na pewno jakaś na ciebie czeka - dobiegł z kuchni głos matki. - Pewnego dnia odwrócisz się, a ona będzie stała przed tobą.

- Na pewno, mamó.

Jego matka była artystką, niepoprawną romantyczką i przypuszczalnie dlatego była teraz z tymi dwoma beznadziejnymi straceńcami. Andy pomyślał o swoim życiu u boku ojca. Paul Prescott nie był bogaty, ale nigdy nie zależało mu na pieniądzu. Zawsze najważniejsza była dla niego muzyka. Pewnego dnia dzieci Andy'ego, jeśli kiedykolwiek się ożeni i dochowa dzieci, będą słuchać z dumą piosenek dziadka. Andy znów poczuł, że wilgotnieją mu oczy.

Poświęciłby wszystko, aby ocalić ojcu życie. Chciał nawet oddać mu swoją wątrobę. Ponieważ jest to jedyny ludzki narząd zdolny do regeneracji, wchodzi w grę przeszczep od żywego dawcy. Gdyby ojcu wszczepiono połowę jego wątroby, w ciągu dwóch miesięcy każda z połówek rozrosłaby się do pełnych rozmiarów, jak w jakimś filmie science fiction. Jednak Andy miał grupę krwi A, a ojciec grupę B, więc jego organizm odrzuciłby wątrobę syna.

Andy Prescott nie mógł zrobić nic więcej dla ratowania ojca.

W wartej dwadzieścia milionów dolarów posiadłości w śródziemnomorskim stylu, z której rozpościerał się widok na odcinek rzeki Kolorado zwany Lake Austin, Russell Reeves siedział w fotelu z konsolą do gier naprzeciwko wielkiego ekranu zajmującego niemal całą ścianę. Obok siedział jego syn. Grali w Guitar Hero III.

Zach dawał fory ojcu. Chłopiec był ciągle przeziębiony, więc w jego pokoju panowała temperatura jak w saunie. Pomarańczowo-biała włóczkowa czapeczka okrywała jego łysą głowę, a przewieszane za uszami rurki z tlenem sięgały do nosa. Wystający z piersi wenflon zakrywała bluza z godłem drużyny Dallas Cowboys. Zach uwielbiał sport, choć nigdy nie mógł go uprawiać. Nigdy nie był zwyczajnym dzieckiem. Zawsze chorował.

Odpowiedzialny za to był Russell Reeves. To po nim chłopiec odziedziczył zmutowany gen, który doprowadził do powstania rzadkiego nowotworu w jego organizmie. Gen nie był groźny dla samego Russella, ale przekazany Zachowi wywołał u niego raka. Człowiek, który kochał to dziecko ponad życie, sam poniekąd skazał je na śmierć.

Russell Reeves uśmiercił własnego syna.

W swoim życiu więcej czasu Zach spędził w szpitalu niż w domu. Tak często odwiedzał oddział onkologii dziecięcej szpitala w Austin, że ojciec zarezerwował mu tam luksusowy apartament na cały rok. Kiedy zostawał w szpitalu, Russell nie odstępował go na krok.

A kiedy wracał do domu, mogłoby się wydawać, że wciąż jest w szpitalu. W swym pokoju miał szpitalne łóżko, za którym pod ścianą stała aparatura medyczna, a obok bez przerwy dyżurowała pielęgniarka. Unosił się tam nawet szpitalny zapach, ta nieunikniona woń śmierci.

Otworzyły się drzwi i do wnętrza weszła Kathryn. Miała tylko

trzydzieści osiem lat, ale przez ostatnich sześć znacznie się postarzała. W czasach studenckich była królową piękności uniwersytetu stanowego i tak też wyglądała, gdy przed czternastu laty wychodziła za mąż. Teraz miała twarz kobiety, która traci swoje jedyne dziecko. Nigdy jednak nie dopuszczała, aby Zach dostrzegł jej przygnębienie. Russell spojrział w jej stronę, gdy właśnie przybierała zadowoloną minę.

- Zach! - Podeszła do syna i pocałowała go. - Wygrywasz, kochanie?

Chłopiec pokiwał głową, nie odrywając wzroku od ekranu. Kathryn spojrziała na kartę, gdzie pielęgniarka co pół godziny wpisywała tętno, ciśnienie krwi i temperaturę. Zach wprawnie przebierał palcami po konsoli w kształcie gitary, gdy wtem przechylił się gwałtownie i zwymiotował. Tego ranka miał chemioterapię.

Russel wziął ręcznik i otarł synowi usta, a potem sprawdził jego ubranie. Było czyste. Wziął na ręce słabowitego chłopca i zaniósł do łazienki, a gdy Zach wypłukał usta i umył zęby, wrócił z nim do pokoju i delikatnie położył go do łóżka. Pielęgniarka zmierzyła mu puls, ciśnienie i temperaturę, tymczasem matka wezwała służącą.

- Dobrze się czujesz, synku?

- Jestem tylko zmęczony.

- No dobra, przyjacielu, odpocznij trochę. - Pocałował syna w czoło. - Później dokończymy grę.

Zach opuścił powieki. Był tak blady, że gdy zamykał oczy, Russell czuł się, jakby jego syn już umarł. Wiedział, że ten moment nie jest aż tak odległy.

Pielęgniarka wróciła na swój fotel. Russell przyciemnił światło i wraz z Kathryn wyszedł z pokoju chłopca. Gdy zamknął za sobą drzwi, żona stanęła na wprost niego.

- Zostało mu mniej niż rok - powiedziała.

- Wiem.

- Mamy piętnaście miliardów dolarów, a nie jesteśmy w stanie ocalić własnego dziecka.

Rozpłakała się. Znowu. Teraz płakała bez przerwy. Chodziła nerwowo po domu w dzień i w nocy. Często Russell budził się i odkrywał, że nie ma jej obok. Zawsze znajdował ją w pokoju Zacha, gdzie klęczała koło łóżka i modliła się do Boga, aby oszczędził jej dziecko. Przerazało go to. Lekarz, który prowadził Zacha, poradził skorzystanie z pomocy psychiatry. Kathryn odmówiła. Tracił ich oboje.

- Pracuję na okrągło od sześciu lat, aby go ocalić. Wydałem pięć miliardów dolarów na laboratorium, naukowców i badania.

- Wszystko na próżno.

- Nie, Kathryn. Nie na próżno. Nie pozwolę mu umrzeć. Obiecuję ci. I obiecuję jemu.

Chwycił ją za ramiona i poczuł, jak wychudła. Prawie nic nie jadła, jak gdyby umierała wraz z synem. Jak gdyby cała rodzina umierała wraz z nim.

- Przysięgam na Boga, że go ocalę.

Kathryn poszła przed siebie korytarzem, a on udał się do swego biura położonego w tylnej części domu. Stanął przed wielkim oknem zajmującym niemal całą ścianę, za którym rozciągał się cudowny widok na jezioro i położone za nim wzgórza. Powierzchnia wody była usiana białymi żaglami. Wyobraził sobie, jak ludzie siedzący na jachtach patrzą na jego posiadłość i myślą, że ten, kto tam mieszka, musi wieść idealne życie. Jakże się mylili. Russell Reeves miał wszystko, co można było kupić za pieniądze, ale jego życie nie było idealne. Jego jedyny syn umierał. Wiedział, że jeżeli mu nie pomoże, czeka go śmierć.

Usiadł za biurkiem i otworzył gazetę na nekrologach. Stało się to codziennym rytuałem, a być może obsesją. „Kenny Johnson,

żył siedem lat, zasnął w Panu po ciężkiej walce z rakiem. Osierocił własnych rodziców”.

Rozmyślał o tym, jak rodzice przeżywają śmierć swoich dzieci. Patrzył na fotografie młodych twarzy i czytał o ich krótkim życiu. Potem przeszedł do nekrologów dorosłych. „Połączył się w niebie ze swym synem Henrym” albo „...z córką Janice”. Zawsze się zastanawiał, jak radzi sobie z życiem ktoś, kto pochował własne dziecko.

A potem oczyma wyobraźni zobaczył nekrolog swego syna. „Zachary Reeves, lat siedem. Pozostawił nieutulonych w żalu rodziców, Russella i Kathryn Reevesów”.

Jak przeżyłby śmierć swego syna? Jak przeżyłaby to Kathryn?

Podtrzymywał swój niewzruszony wizerunek zamożnego filantropa, który pomaga innym, podczas gdy jego syn jest bliski śmierci. Ale życie publiczne stało się dla niego prywatną torturą, osobistym piekłem. Było podporządkowane bez reszty jednemu celowi - znalezieniu lekarstwa dla syna. Poświęcił na to ostatnie sześć lat, wydawał każdego dolara ze swej fortuny i spędzał każdy dzień, walcząc o jego ocalenie.

Wiedział wszystko na temat tej rzadkiej odmiany raka - ostrej białaczki limfoblastycznej z obecnością chromosomu Filadelfia. Przeczytał każdy artykuł, jaki kiedykolwiek napisano na ten temat i rozmawiał ze wszystkimi naukowcami, którzy badali tę chorobę. Był nią dotknięty mniej niż jeden procent ogółu dzieci chorujących na raka. Niemal zawsze kończyła się śmiercią.

Bezpośrednio po postawieniu diagnozy Zach rozpoczął chemioterapię, ale remisje nigdy nie trwały długo. Jediną nadzieją na wyleczenie był przeszczep komórek macierzystych hemopoezy od

dawcy, którego łączą z pacjentem więzy pokrewieństwa. Mogłby to być brat lub siostra, ale Zach był i miał pozostać jedynakiem. Nawet gdyby miał jakieś rodzeństwo, istniało tylko dwadzieścia pięć procent szans na dopasowanie. Ale jego rodzice nie mogli pozwolić sobie na drugie dziecko, którego komórki macierzyste uratowałyby pierworodnego. Również i ono mogłoby odziedziczyć po ojcu ów fatalny gen. Russel nie miał prawa podejmować takiego ryzyka, nie miał prawa skazywać na śmierć dwójki dzieci. Dlatego założył instytut badawczy. Wybudował zaplecze, zatrudnił specjalistów i wydał ponad pięć miliardów dolarów na poszukiwanie lekarstwa dla swojego syna.

Jak na razie bez żadnych efektów.

Potem rozesłał swoich naukowców po całym świecie, aby szukali niespokrewnionego pasującego dawcy, mimo że szanse na przyjęcie takiego przeszczepu były bardzo nikłe. Nie szczędził wydatków, ale nie znaleziono nikogo, kto spełniałby wymagania.

Aż wreszcie...

Chyba. Być może. Prawdopodobnie. Był jakiś cień nadziei. Jakaś szansa. Ale trzeba było rozważyć pewne kwestie. Rozwiązać problemy. Podjąć decyzje. Przewyciężyć trudności. Trzeba było działać.

Trzeba było poczynić pewne kroki, aby ratować Zacha.

Russell stał przy oknie i patrzył na świat. Co by się stało, gdyby ów świat poznał jego zamiary? Gdyby wyszły na jaw jego czyny? Co by się stało, gdyby zdemaskowano go jako człowieka, który jest zdesperowany do tego stopnia, że nie zawaha się przed popełnieniem zbrodni, aby ocalić swoje dziecko? Co powiedziałby, stojąc przed kamerami reporterów, którzy wykreowali go na swego ulubieńca? Bez wątpienia rozszarpaliby go z lubością.

Russell Reeves stanąłby twarzą w twarz ze światem, jak stał teraz, i powiedziałby to, co mówił do świata za oknem.

- Co zrobisz, jeżeli twoje dziecko umiera na rzadką i nieuleczalną chorobę?

Jeżeli jesteś zwykłym obywatelem o ograniczonych możliwościach finansowych, pozostaje ci powierzyć dziecko lekarzom i modlić się. Musisz wracać do pracy, bo jej potrzebujesz, aby zachować ubezpieczenie, z którego opłacane jest leczenie dziecka. To wszystko, co możesz zrobić. To wszystko, na co stać zwykłego śmiertelnika.

A jeżeli nie jesteś zwykłym śmiertelnikiem?

Jeżeli dysponujesz nieograniczonymi zasobami finansowymi?

Jeżeli twój majątek jest wart piętnaście miliardów dolarów?

Jeżeli wydałeś już pięć miliardów na badania, które nie przyniosły żadnego efektu?

Jeżeli chwyciłeś się każdej nadziei, każdej szansy na ocalenie, nieważne jak bardzo naciąganej, ale wszystko kończyło się fiaskiem?

A jeżeli przetrząsnąłeś cały świat w poszukiwaniu odpowiedniego dawcy, ale wróciłeś z pustymi rękami?

Co byś zrobił, jeżeli właśnie wtedy, gdy wszystko wydawało się stracone, dowiedziałbyś się, że jest jakaś nadzieja na wyleczenie? Nadzieja na życie dla twojego dziecka? Dziecka skazanego na pewną śmierć?

Co byś wtedy zrobił?

Czy stałbyś bezczynnie i patrzył, jak twoje dziecko cierpi i umiera? Czy chciałbyś je ratować?

Ja postanowiłem ratować mojego syna. I po raz drugi też podjąłbym taką decyzję.

Każdy z was podjąłby właśnie taką decyzję, gdyby miał piętnaście miliardów dolarów.

Właśnie tak odpowiedziałby Russell Reeves. I właśnie tak zamierzał postąpić. Był gotów zrobić wszystko, by ocalić syna.

Rozdział 8.

Tony Falco wierzył w Boga, ale również w naukę. Nie twierdził, że owe wierzenia wzajemnie się wykluczają i każdy, kto wierzy w Boga, musi negować naukę i na odwrót.

Był wierzącym naukowcem. Zawsze podążał tam, dokąd prowadziła go nauka, nie przejmując się ograniczeniami natury moralnej, etycznej, religijnej bądź politycznej, żywił bowiem przekonanie, iż owe ograniczenia są stworzone przez człowieka, a nie przez Boga. O znużenie przyprawiała go amerykańska doktryna polityczna, która trzymała naukę w ryzach. Zbyt wielu Amerykanów wyznawało poglądy naukowe o religijnym zabarwieniu, jak gdyby Bóg dał nam dociekliwy umysł, ale zażądał, abyśmy ignorowali otaczający nas świat - ten sam świat, który stanowił jego bezpośrednie i pośrednie dzieło. Był zmęczony ludźmi, którzy posługiwali się politycznymi wpływami, aby narzucić nauce swe moralne i religijne pęta.

Leczenie za pomocą komórek macierzystych mogłoby zyskać miano przełomu stulecia w dziedzinie medycyny, ale raczej religijne zyskały polityczne wpływy, za których sprawą wstrzymano w Ameryce badania nad tą terapią. A wszystko to dlatego, że naukowcy użyli określenia „embrionalne komórki macierzyste”. Przeciwnicy aborcji uczepili się słowa „embrion” z zaciekłością dobermana, który wbija zęby w stek, i zamienili cały obszar badań

naukowych w debatę na temat ochrony życia, nie zwracając uwagi na fakt, że niczyje życie nie było zagrożone.

Naukowcy uzyskiwali embrionalne komórki macierzyste, pobierając naskórek chorego pacjenta, z którego wyodrębniali jądro komórkowe. Następnie wszczepiali je do niezapłodnionego ludzkiego jaja. Takie jajo, czyli embrion, rozrastało się i ulegało podziałom, dopóki nie wykształciła się blastocysta, pojedyncza warstwa komórek o sferycznym kształcie. Wyhodowane w ten sposób komórki macierzyste usuwali z zarodka i wprowadzali do organizmu pacjenta, gdzie za sprawą jakiegoś cudownego procesu przekształcały się one w zupełnie inne rodzaje komórek - krew, mięśnie, nerwy - i naprawiały uszkodzone przez chorobę tkanki. Pozwalało to ratować ludzkie życie.

Co zatem stanowiło podłoże problemu natury politycznej? Bez komórek macierzystych zarodek umierał. Nie była to konkretna istota ludzka, lecz sklonowane komórki pacjenta, aczkolwiek te dwa słowa - klonowanie i embrion - wzbudzają ostatnimi czasy silne emocje. A kiedy odkryto, że większość funkcjonujących w Stanach Zjednoczonych szczepów komórek macierzystych jest skażona, a tym samym bezużyteczna dla medycyny, zastąpienie ich nowymi okazało się niemożliwe. Tak oto badania nad embrionalnymi komórkami macierzystymi w Ameryce zostały stłumione w zarodku.

Jednakże Tony Falco poświęcił swoje życie ratowaniu życia innych. Nie musiał się długo zastanawiać, dokonując wyboru między uśmiercaniem sklonowanych komórek - czy też jajeczek lub embrionów, jak zwał, tak zwał - na szalce Petriego a ratowaniem dzieci chorych na raka. Ani dla niego, ani dla rodziców tych dzieci nie stanowiło to żadnego dylematu moralnego. A Tony Falco

nie zamierzał do późnej starości przeprowadzać doświadczeń na szczurach, czekając, aż rząd Stanów Zjednoczonych zaaprobuje tę metodę leczenia. Chciał już teraz leczyć umierających pacjentów. Chciał wykorzystać naukę, aby ofiarować im dłuższe życie.

Dlatego przeniósł się do Chin.

W Chinach nie nakładano politycznych ograniczeń na badania nad embrionalnymi komórkami macierzystymi, a wręcz zachęcano do nich, promowano je i wspierano finansowo. Wykształceni na Zachodzie naukowcy mieli do dyspozycji światowej klasy zaplecze, a doświadczenia i leczenie pacjentów szły pełną parą bez kontroli ze strony władz. Chiny zajmowały pod tym względem czołową pozycję na świecie. Tam rządziła nauka. Amerykanie mogli przynieść ze sobą swoją wiarę, ale Tony Falco wolał leczyć za pomocą nauki.

A Amerykanie rozpaczliwie potrzebowali nauki. Tłumnie przybywali do chińskich instytutów na eksperymentalne leczenie za pomocą komórek macierzystych, które w ich ojczyźnie było nielegalne. Płacili nawet po pięćdziesiąt tysięcy dolarów za terapię. Owszem, byli królikami doświadczalnymi, ale kiedy człowiek spogląda śmierci w oczy, nie ma nic do stracenia i jest gotów podjąć każde ryzyko, a pieniądze nie grają roli. Falco przekonał się, że istota ludzka chce po prostu przetrwać.

W Stanach koledzy po fachu publicznie skrytykowali jego praktyki jako nieetyczne, nazywając je na lamach czasopism medycznych „turystyką tkankową”, jednak prywatnie zazdrościli mu swobody, z jaką mógł prowadzić badania bez politycznych uwarunkowań. Zdawali sobie oni sprawę, że skoro komórki macierzyste pomagają zwalczać nowotwory krwi, jak białaczka, mogą

również przynosić efekty w leczeniu wielu innych chorób. Byli jednak skłonni czekać dwadzieścia lat, aby się o tym przekonać.

Tony Falco nie miał na to ochoty.

Wstrzykiwał embrionalne komórki macierzyste w rdzeń kręgowy pacjentów chorych na stwardnienie rozsiane, epilepsję, zaburzenia koordynacji ruchowej, porażenie mózgowe, niedorozwój nerwu wzrokowego i wiele innych upośledzeń układu nerwowego oraz po urazach mózgu i kręgosłupa. Już w Stanach prowadził eksperymenty, zanim odkryto skażenie szczepów komórek macierzystych, ale jego działania nie mogły wykroczyć poza sferę prób, gdyż Urząd do spraw Żywności i Leków nie zezwolił na stosowanie tej metody w leczeniu ludzi. Wyniki, jakie osiągał, oscylowały od rozczarowujących do olśniewających, co każdego dnia przyciągało do Chin coraz więcej jego rodaków.

Falco przypuszczał, że Amerykanin, który siedzi naprzeciwko niego, przybył do Pekinu, aby poddać się leczeniu za pomocą rewolucyjnej metody. Jego przypuszczenia okazały się błędne.

- Zatem chce pan ofiarować mojemu laboratorium badawczemu pięćdziesiąt milionów dolarów, panie Smith?

- Tak.
- Żadnych warunków?
- Tylko jeden.
- Jaki to warunek, panie Smith?
- Nazwisko.
- Czyje nazwisko?
- Pacjentki X.

Falco odchylił się na oparcie krzesła i splótł ręce na piersi.

- Pacjentka X to mit.

Smith sięgnął do aktówki, wyjął z niej kilka dokumentów i rzucił je na biurko. Falco rozpoznał nagłówek artykułu *Pacjentka X- wybawczyńi?*

- Panie Smith, czytuję artykuły w prasie.
- Pan pisze te artykuły.
- Autor jest anonimowy.
- Pan jest autorem, doktorze Falco. Dotarliśmy do pana poprzez spółkę wydawniczą, a dokładnie Alvina Adamsa.

Falco przypomniał sobie, że przy każdym artykule wymieniał z Adamsem kilka e-maili.

- Potrzebne nam tylko nazwisko tej kobiety - powiedział Smith, po czym wziął kartkę z artykułem i odczytał fragment wstępu. - Pacjentka X to biała kobieta w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu...

- Ach tak. A na co panu jej nazwisko?
- Ona ma coś, czego potrzebujemy.
- Owszem, zgadza się. Coś, czego każdy potrzebuje. Coś, czego i ja od niej chciałem. Ale ona nie zgodziła się podzielić swym darem ze światem.

Pacjentka X była największą zawodową porażką Tony'ego Falco. Minęły trzy lata, a on wciąż jeszcze się z niej nie otrząsnął.

- Przykro mi, panie Smith, nie mogę panu pomóc.
- Sto milionów.
- To pan jest ofiarodawcą?
- Mój klient.
- A pan jest jego adwokatem?
- Tak.
- A kim jest pański klient?
- To poufne. Zostałem zobowiązany do dochowania tajemnicy. Przywilej klienta.
- Tak samo ja nie mogę zdradzić tożsamości pacjentki.

- Prawo nie uznaje czegoś takiego, jak przywilej pacjenta.
- Ale ja uznaję.
- Dwieście milionów. Proszę mi tylko podać nazwisko tej kobiety.
- Czy mam rozumieć, że pracuje pan dla koncernu farmaceutycznego? - zapytał Falco, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. - Na Pacjencie X można by ubić niezły interes, prawda? Cóż, ale nie ze mną. Przykro mi, panie Smith, ale staram się wyeliminować z branży pańskiego klienta. Żegnam pana.

Harmon Payne siedział przy biurku naprzeciwko Tony'ego Falco. Lekarz był w średnim wieku i miał szczupłą sylwetkę, przypuszczalnie trenował biegi. Nosił okulary w drucianych oprawkach, a jego przerzedzone włosy pokrywała siwizna. Wyglądał na inteligentnego. Harmon nie przybył do Chin, aby zamordować doktora Falco, ale przekupić go lub zastraszyć, aby ujawnił nazwisko. Z doświadczenia wiedział, że coś takiego rzadko przynosi rezultaty. Zabójstwo było o wiele skuteczniejszą metodą, ale on tylko wykonywał polecenia i musiał dbać o to, aby zadowolić swego pracodawcę. Te korporacyjne zwyczaje były takie skostniałe.

- W czym mogę panu pomóc, panie Payne? - zapytał Falco.
- To raczej ja mogę pomóc panu, doktorze.
- A w jakiz to sposób?
- Pieniądze.
- W ciągu dwóch dni dwaj Amerykanie proponują mi pieniądze. - Lekarz uśmiechnął się. - Czy to zbieg okoliczności?
- Co pan powiedział Smithowi?

- Pomijając fakt, że to nie pańska sprawa, nic mu nie powiedziałem. Nie pomagam producentom leków.

- Smith pracuje dla koncernu farmaceutycznego?

- Taki wysnułem wniosek.

- Dla którego?

- Tego mi nie wyznał.

- Czego od pana chciał?

- Powtarzam, panie Payne, że to nie pańska sprawa.

- Pytał o Pacjentkę X?

- Panie Payne, nie powiedziałem nic panu Smithowi i nie powiem również panu.

- Nie chce pan pieniędzy?

- Nie chcę pańskich pieniędzy.

- Są inne metody.

Doktor Falco nacisnął guzik interkomu.

- Ling Su, proszę wezwać ochronę - powiedział, po czym zwrócił się do Harmona. - Panie Payne, za niecałe dwie minuty będą tutaj ochroniarze. Może pan wyjść teraz albo zostać aresztowany i spędzić resztę życia w chińskim więzieniu. Oni tutaj inaczej do tego podchodzą.

Harmon wstał.

- Zobaczmy się jeszcze, doktorze Falco, kiedy pan wróci do kraju.

Rozdział 9.

Na wystrój sali składały się żyrandole o ramionach w kształcie liści kaktusa, metalowe stoliki i krzesła, neonowa reklama Budweisera, plakaty z meksykańskich filmów i co najmniej sześć oprawionych w ramki fotografii Billa Clintona. Clinton uchodził w Güero's za swoistego bohatera, co wydawało się Andy'emu dziwne jak na miejsce, w którym serwowano meksykańskie jedzenie.

Bill Clinton podpisał porozumienie NAFTA.

Północnoamerykański Układ Wolnego Handlu (North American Free Trade Agreement) zachęcał firmy w Stanach Zjednoczonych do zwalniania pracowników zarabiających piętnaście dolarów na godzinę i zlecania produkcji *maquiladoras*, czyli fabrykom położonym po meksykańskiej stronie Rio Grande, które płaciły miejscowym pół dolara za godzinę. Zarobki rzędu pięciu dolarów dziennie nie wystarczały na zakup żywności i opłacenie czynszu, więc meksykańscy robotnicy mieszkali w kartonowych budach, a rzeka zastępowała im kanalizację. Przed kilkoma laty Andy wybrał się z matką w tamte okolice w ramach misji humanitarnej zorganizowanej przez artystów. Przedostał się na drugi brzeg rzeki i trafił do slumsów. Widział dzieci, które bawiły się bosy nad brzegiem rowu odprowadzającego ścieki. Zrobił im parę zdjęć. Zawsze miał ochotę umieścić jedną z fotografii meksykańskich dzieci, które

bawią się w cieniu *maquiladoras* obok uśmiechniętego Billa Clintona na ścianie restauracji.

Ale trzeba podziwiać polityków oraz ich posunięcia. Robotnicy w Stanach stracili swoją pracę i domy, Meksykanie zyskali pięćdziesięciocentową stawkę i mogli mieszkać w kartonowych pudełkach, amerykańskie korporacje oszczędziły miliardy na cięciu kosztów produkcji, a Bill Clinton zarobił sto milionów dolarów od momentu opuszczenia Białego Domu. A przecież był demokratą. Pomyśleć, co mógłby narobić republikanin.

Andy Prescott odwrócił wzrok od Billa Clintona i omiół spojrzeniem siedzących przy stolikach ludzi. W sali było gwarno od rozmów, podzwaniały butelki piwa, a sztucce z brzękiem uderzały o białe porcelanowe talerze, na których piętrzyły się enchilady i tacos, flauty i fajity, podsmażana fasola i hiszpański ryż. Tego wieczoru stłoczyło się tam całe SoCo - właściciele domów i bezdomni, wynajmujący i najemcy, sklepikarze i mistrzowie tatuażu, studenci i profesorzy, mężczyźni i kobiety, hetero i homo, biali, brązowi, czarni i Azjaci, a każdy ze swoim tatuażem. Zbieranina wariatów i dziwolągów, a przynajmniej tak nazwałby ich ktoś z północnego brzegu rzeki.

Andy nazywał ich przyjaciółmi.

Minęły dwa tygodnie, a wszyscy zebrani przyszli zapoznać się z planami Russella Reevesa co do ich dzielnicy oraz posłuchać wyjaśnień Andy'ego Prescottta, który zamierzał ich przekonać, że owe plany są korzystne dla SoCo, a Reeves nie jest deweloperem, tylko renowatorem. Przyszli również napić się piwa i najeść za darmo. Sekretarka Reevesa przysłała do restauracji czek in blanco na pokrycie kosztów tego wieczoru.

Na jednej sztaludze wisiała artystyczna wizja nowej zabudowy, a na drugiej architektoniczny plan. Zgromadzeni oglądali plany i

dyskutowali na temat przyszłości swej dzielnicy, jednak na ich twarzach malowało się przeświadczenie, że nie mają już wpływu na dalsze losy SoCo. O wszystkim decydowały pieniądze.

Andy zastukał widelcem w butelkę piwa, a potem zagwizdał głośno, aby wszystkich uciszyć.

- No i co o tym myślicie? - odezwał się, kiedy ustał zgiełk.

- Andy, a jeżeli Reeves zmieni zdanie i zamiast tanich domów będzie chciał postawić nam tu biurowiec? - zapytał Rodney, doktor anglistyki, adiunkt na uniwersytecie stanowym, który pracował w księgarni. - Co go przed tym powstrzyma?

- Miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego. Zaszeregowanie gruntu zostanie zmienione z komercyjnego na wielorodzinną zabudowę mieszkalną z klauzulą specjalnego przeznaczenia, które dopuszcza tylko budowę tanich domów.

- A jak będziesz decydować, kto w nich zamieszka? - zabrała głos LuAnn, wytatuowana magister socjologii z kolczykiem w nosie.

- To nie ja, a my będziemy o tym decydować. Założymy spółdzielnię, aby zachować to miejsce w należytym stanie. Organizujemy losowanie wśród obecnych mieszkańców, którzy się kwalifikują. Będziemy ich sprawdzać pod kątem niekaralności, czy nie nadużywali narkotyków albo nie popełniali brutalnych przestępstw. Wszyscy chcemy, aby to było bezpieczne miejsce.

- Ile będzie wynosił czynsz? - zapytała Zelda, wojująca artystka, która dorabiała sobie jako masażystka.

- Od trzystu do tysiąca dolarów, w zależności od twoich dochodów.

- Zauważyłem, że przyjechałeś tu nowym rowerem - zagadnął Gustavo, kierowca limuzyny z dreadami na głowie i Matką Boską

z Guadalupy wytatuowaną na plecach. - Kupiłeś go za pieniądze Russella Reevesa?

- Gus, nie sprzedałbym SoCo za rower górski.
- A co z iron horse'em? Sprzedałbyś nas za slammiera?
- Za slammiera zaprzedałbym duszę. - Odpowiedź Andy'ego wywołała głośny śmiech. - Ale nie SoCo. To również mój dom.
- Ale sprzedałeś swoje włosy, Samsonie.
- Moje włosy nie są dla mnie tak ważne, jak dla ciebie dredy,

Gus.

- Rzecz w tym, że jego pieniądze cię zmieniły. I jego pieniądze zmienią SoCo.

- Masz rację, zmienią, ale na lepsze.
- Deweloper zmieni SoCo na lepsze? Nie mogę uwierzyć, że

wysługujesz się komuś takiemu.

- On nie jest deweloperem. To renowator.

- Andy, trudno nam zaufać komuś z północnego brzegu, kto twierdzi, że chce w SoCo zmian na lepsze - powiedział Ray, odrywając się na chwilę od epokowej powieści amerykańskiej. - Ilekroć tacy tutaj przychodzili, to jedynie po to, żeby się obłowić.

- I właśnie dlatego ramię w ramię z wami odpierałem ich ataki. Ale Russell będzie tu działał poprzez swoją fundację. To organizacja dobroczynna. Nie wszyscy bogaci ludzie mają złe zamiary.

- Nie wtedy, kiedy ci płacą.
- Owszem, dostaję od niego pensję.
- Od dewelopera.
- Od renowatora.
- Od bogatego faceta z północnego brzegu.

- Fakt, Russell Reeves mieszka po północnej stronie rzeki. Ale sami zobaczcie, czego dokonał we wschodniej części Austin. Zobaczcie, ile zrobił dla całego Austin. W jego branży wydaje się

wielkie pieniądze i teraz on zamierza wydać je tutaj, w SoCo, a ty chcesz, żebyśmy mu odmówili? Od lat próbowaliśmy nakłonić miasto do tego samego, a teraz, kiedy ktoś chce nam pomóc, stajesz okoniem? Wolałbyś, żeby dalej tu stał ten opuszczony sklep. Ludzie, nie przekonywałbym was do niczego, gdybym sam w to nie wierzył. I nie kryje się w tym żaden haczyk.

Pomagając im, pomagał jemu.

- Andy ma rację - stwierdziła LuAnn. - Już przez to przechodziliśmy. Czysze w SoCo sięgają tysiąca pięciuset za jednopokojowe mieszkanie i dwóch tysięcy za dwupokojowe. W przypadku typowych przedsiębiorców miasto stara się uzyskać dziesięć procent od inwestycji przewidzianych jako tania zabudowa mieszkaniowa, a tyle wynosi osiemdziesiąt procent dochodu przeciętnej rodziny. Trochę to mętne. Ale deweloperzy zawsze się opierają i miasto zawsze się wycofuje. To przedsięwzięcie to w stu procentach tanie mieszkania, a czynsz będzie równy piętnastu procentom średnich zarobków. Któż inny zechciałby wejść w taki interes, jak nie miliarder, któremu nie zależy na zbijaniu kasy?

Wśród zebranych rozległ się pomruk uznania.

- Russell Reeves chce nam dać domy na naszą kieszeń, czyli coś, czego zawsze potrzebowaliśmy. Czy zamierzacie zaprzepaścić tę szansę tylko dlatego, że człowiek ten mieszka na północnym brzegu? Dlatego że jest bogaty? Ludzie, on nienawidzi republikanów! I zastanawia się nad zrobieniem sobie tatuażu. Jest jednym z nas.

- Z taką tylko różnicą, że on ma miliardy, a my nie - skomentował Gus.

Ramon Cabrera zastukał butelką piwa o małą miseczkę na chipsy.

- Dajcie spokój, nie ma co dzielić włosa na czworo. Odpowiedź jest prosta. Ufacie Andy'emu? Bo ja tak. Jestem za Russellem Reevesem i jego rozbudową.

- Renowacją - poprawił go Andy.

- Niech ci będzie.

- I podziękuj im za jedzenie - wtrącił Floyd T.

Godzinę później zebrani przegłosowali jednomyślnie plan Russella Reevesa dla SoCo.

- Dobrze są, chcesz trochę?

Prawnik ze śródmieścia siedzący po przeciwnej stronie stołu podniósł wzrok i obdarzył Andy'ego Prescottta dobrotliwym uśmiechem, po czym pokręcił głową i wrócił do rozłożonej przed nim sterty dokumentów. Andy wzruszył ramionami i pomyślał: „Tylko nie zjedz za dużo”.

Przymierzał się do czekoladowych herbatników, które firma pośrednicząca w transakcji umieściła w małej miseczce na środku stołu konferencyjnego. Poczęstunek był gratis. Żałował tylko, że nie ma szklanki mleka, w której mógłby umaczać ciasteczka.

Tydzień po spotkaniu z mieszkańcami dzielnicy Andy Prescott siedział w miękkim skórzanym fotelu za długim drewnianym stołem w jednym z luksusowych biur kancelarii położonej w centrum Austin. Pachniało tam jak we wnętrzu nowego samochodu, świeżo wyprawioną skórą i bogactwem. Andy chrupał ciastka i właśnie miał sfinalizować pierwszą w swej prawniczej karierze transakcję na rynku nieruchomości.

Pracujący dla Russella Reevesa prawnicy ze śródmieścia przygotowali dokumenty, przestudiowali akt własności i plan geodezyjny, a także uzyskali zgodę urzędu miasta na zabudowę.

Jego księgowy przelał cztery miliony dolarów na nowe konto operacyjne Andy'ego. Andy nigdy dotąd nie dysponował takim kontem, ponieważ zaliczki, jakie otrzymywał, nigdy nie przekraczały stu dolarów. Ludzie Russella zajęli się stroną prawną, ale Andy reprezentował całe przedsięwzięcie. Był twarzą SoCo. Był prawnikiem Russella Reevesa z południowego brzegu.

Pomimo faktu, że teraz znajdował się po północnej stronie rzeki.

Prawnik poprzedniego właściciela ziemi siedział po drugiej stronie stołu naprzeciwko Andy'ego. Był jednym ze współników jakiejś śródmiejskiej kancelarii, nosił elegancki, dopasowany garnitur, a na jego twarzy malował się wyraz pewności siebie, kiedy przerzucał dokumenty. Andy miał na sobie strój, w którym zwykle występował w sądzie grodzkim - niebieską sportową marynarkę, dżinsy, pomietą koszulę, krawat na wsuwkę i converse'y.

Reeves i jego kontrahent już złożyli podpisy, teraz wystarczyło tylko, by prawnicy postawili kropkę nad „i”, wymieniając się tytułami zobowiązań finansowych. Andy czuł, że powinien czymś się zająć, zaczął więc również przerzucać leżące przed nim papiery. Dokumenty wyglądały profesjonalnie, zawierały klauzule dotyczące roszczeń odszkodowawczych, zastrzeżeń i rękojmi. Wprawdzie miał na studiach zajęcia z prawa nieruchomości, nigdy jednak nie zawierał żadnej umowy.

Odrobina czekolady, którą miał na palcach, zostawiła ślad na szczycie śnieżnobiałej kartki. Andy rozejrzał się, wypatrując jakiejś serwetki, ale niczego takiego nie zauważył. Poślinił więc palec, aby zetrzeć czekoladę, ale udało mu się tylko jeszcze bardziej ją rozmazać.

- Andy, czy masz jakieś zastrzeżenia co do deklaracji o braku zadłużenia i prawie własności? - zapytała agentka pośrednika.

Andy nie przypominał sobie nawet, czy widział dokument o takim tytule.

- Oczywiście żadnych.

Nie miał pojęcia, na co właśnie się zgodził. Zarówno on, jak i ona zdawali sobie z tego sprawę, ale żadne z nich się tym nie przejmowało. Ją obchodziło, aby jej firma zainkasowała 22 777 dolarów z tytułu ubezpieczenia transakcji, on zaś myślał o ośmiu stówkach, które miał dostać za to, że przez dwie godziny siedział przy stole konferencyjnym i podjadał ciasteczka. Boże, czyżby właśnie tak zarabiali prawnicy ze śródmieścia? Taki godzinowy system rozliczania był jak jakiś pieprzony taksometr. Tylko prawnik mógł coś takiego wymyślić.

Andy musiał dopiero się do tego przyzwyczaić, nauczyć się być prawnikiem pełną gębą.

Godzinę później wyszedł z kancelarii, niosąc w kieszeni marynarki garść ciastek dla Floyda T, i Ramona, przystanął na chodniku i przez chwilę rozkoszował się ciepłem wrześniego słońca. Przed chwilą przelał cztery miliony dolarów ze swojego konta operacyjnego na konto bankowe firmy pośredniczącej i wziął akt własności ziemi. Miał za sobą pierwszą poważną transakcję.

Po raz pierwszy w życiu Andy Prescott czuł się jak człowiek sukcesu.

Rozdział 10.

Kelly Fitzgerald wymknęła się ze szpitala tylnymi drzwiami na szybkiego dymka. Zawsze było jej trochę głupio, że jako pielęgniarka pali w pracy. Kiedyś próbowała rzucić palenie, ale uzależnienie okazało się silniejsze od niej. Mimo to potrafiła się ograniczyć do dwóch papierosów podczas dyżuru i nigdy nie pozwalała, aby nałóg przeszkadzał jej w opiece nad pacjentami.

Była trzecia nad ranem i wszyscy na oddziale spali, uznała więc, że jeśli zejdzie na pięć minut z posterunku, nikt na tym nie ucierpi. Dopalała już papierosa, kiedy za jej plecami otworzyły się drzwi i wyszedł z nich odziany w garnitur mężczyzna.

- Pani Fitzgerald?
- Tak, to ja.
- Jestem agent Smith z FBI. - Mężczyzna błysnął odznaką.
- A ja jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych. - Kelly roześmiała się.

- Co?
- Tę blaszkę ze sklepu z zabawkami może pan sobie wsadzić.

Nie ze mną te numery.

- Proszę?
- Proszę wypróbować inną zagrywkę.
- O czym pani mówi?
- Mówię o tym, że jestem Irlandką, która wyszła za gliniarza.

Dwaj moi bracia są gliniarzami w Nowym Jorku i mój ojciec był

gliniarzem. Pan nie. Pan jest prawnikiem.

Mężczyzna wyglądał na zawiedzionego.

- Jak się pani zorientowała?

- Gliniarze nie mówią „proszę?”.

- Od razu wiedziałem, że to nie wypadło najlepiej. - Mężczyzna westchnął. - No dobra, jestem prawnikiem.

- I proszę sobie wymyślić lepsze nazwisko niż Smith.

- Ale ja naprawdę się tak nazywam.

- Aha. No cóż, mecenasie Smith, czego pan sobie życzy?

- Pełniła pani nocny dyżur w zachodnim skrzydle przed trzema laty?

- Tak.

- Opiekowała się pani pacjentami doktora Falco?

- Czemu pan o to pyta?

- Szukamy jednej z jego pacjentek.

- Której?

- Pacjentki X.

Kelly wolno zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym, który zawisł niczym szary obłok w powietrzu chłodnej nocy.

- Domyślam się, że ktoś mógłby jej szukać. Dziwi mnie tylko, że tak długo to trwało.

- Ona się ukrywa.

- Nietrudno się domyślić.

- A więc trzy lata temu ot tak sobie stąd wyszła? Jaką wy tu macie ochronę?

- Taką, że i pan się tu dostał bez większego trudu.

- I nikt jej od tamtej pory nie widział?

Tamtej nocy miała dyżur. Doktor Falco nie był zachwycony, gdy rano okazało się, że jego bezcenna pacjentka zniknęła.

- Nie.
- Nie chcemy jej skrzywdzić.
- Chcecie ją wykorzystać, jak Falco.
- Potrzebne mi tylko nazwisko tej kobiety.
- Nazwisko tej kobiety? - Kelly odwróciła się do prawnika.
- Tak.

Myślała gorączkowo. Zaciągając się głęboko papierosem, grała na zwłokę.

- Nie poznałam jej prawdziwego nazwiska. - Znów wypuściła z płuc kłęby dymu. - Falco to paranoik.

- Pani Fitzgerald, nie jej nie grozi. Musimy tylko ją odnaleźć i porozmawiać z nią. Dobrze jej zapłacimy. I pani również, za jej nazwisko. Milion dolarów, pani Fitzgerald, za jedno nazwisko.

- Ale ja nie wiem, jak ona się nazywa.
- Dwa miliony.
- Żegnam pana.

Kelly zdusiła żar na metalowej poręczy, rzuciła niedopałek do ogrodu i wróciła do środka. Co tu jest grane? - pomyślała.

Następnego ranka Dennis Lott zasiadł za biurkiem. Wkrótce miał stracić posadę administratora szpitala i nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Zatrudniono go przed dwoma laty, za ledwie pół roku przed tym, jak Tony Falco przeniósł się do tego chińskiego instytutu badawczego. Jakby załapał się na ostatnią koję na *Titanicu*.

Stracili Falca, a wraz z nim dotacje na prace badawcze. Dennis zarządzał teraz kliniką pozbawioną środków na prowadzenie badań. Pieniądze poszły w ślad za cieszącym się renomą naukowcem, jak fanki za gwiazdą rocka. Falco był gwiazdorem. Dennis Lott wręcz przeciwnie.

Jego próby pozyskania nowych badaczy i funduszy dla szpitala zakończyły się kompletnym fiaskiem, toteż rada nadzorcza rozglądała się za nowym administratorem, który okazałby się bardziej skuteczny. Denis spodziewał się, że pozostały mu co najwyżej dwa miesiące. To był jego piąty szpital. Na szósty nie miał co liczyć.

Rozległo się delikatne pukanie i do biura weszła Ellen, jego sekretarka, po czym zamknęła drzwi za sobą.

- Panie Lott, ktoś chce się z panem widzieć. Niejaki pan Smith.

- Czego chce?
- Mówi, że chce ofiarować szpitalowi pieniądze.
- Daj mu informator i powiedz, na kogo ma wypisać czek.
- Ale on chce nam dać pięćdziesiąt milionów.

Dennis wyprostował się na krześle.

- Pięćdziesiąt milionów?

Ellen pokiwała głową.

- Dawaj mi go tu - polecił, wstając, i okrążył biurko, podczas gdy Ellen otworzyła drzwi.

- Panie Smith, zapraszam do środka.

Na progu stanął mężczyzna w średnim wieku ubrany w garnitur. Dennis spotkał swego czasu dość prawników, by rozpoznać jednego z nich.

- Panie Smith. - Wyciągnął rękę i wymienili uściska dłoni. - Jestem Dennis Lott. Proszę spocząć.

Smith usiadł przy biurku, a Dennis zajął miejsce po przeciwnej stronie.

- Zatem chce pan przeznaczyć na nasz szpital pięćdziesiąt milionów?

- Zgadza się, panie Lott.

- Proszę mówić mi Dennis. No cóż, to wspaniale, panie Smith. A mogę zapytać, czemu możemy zawdzięczać pańską szczerą dobroć?

- Ponieważ masz coś, czego ja potrzebuję, Dennis.
- Co to takiego?
- Nazwisko.
- Czyje nazwisko?

Smith wyjął z aktówki plik papierów i położył je na biurku Lotta, który spojrzał na pierwszą z góry kartkę i parsknął śmiechem.

- Co, pracuje pan dla firmy farmaceutycznej? - zapytał, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. - Myśli pan, że Pacjentka X istnieje naprawdę?

- A ty nie?

- Nie. Myślę, że wszystko to było mistyfikacją, którą spreparował Falco, żeby narobić szumu wokół swoich badań i przyciągnąć więcej funduszy. Badacze tak robią, sam pan wie. Cholera, i to zadziałało. Chińczycy zapłacili mu miliony, żeby przeniósł się do nich ze swoimi badaniami.

- Rozmawiałem z doktorem Falco.
- Był pan w Chinach?
- Tak. Naprawdę potrzebuję tego nazwiska.
- Falco go panu nie wyjawiał?
- Nie.
- A zaproponował mu pan darowiznę?
- Owszem.

- Cały Tony. No cóż, panie Smith. Przyjąłbym od pana te pieniądze i podałbym panu to nazwisko, ale na nieszczęście dla nas obu nie dysponuję rejestrem pacjentów doktora Falco.

- Nie ma ich w aktach szpitala?

- Nie, Falco dbał o absolutną prywatność swoich pacjentów. Tylko on znał ich nazwiska.

- Ale to ty zarządzasz tym szpitalem.

- Nie tak to działa, panie Smith. - Dennis uśmiechnął się krzywo. - Falco pozyskiwał dla nas setki milionów na badania.

Zachodnie skrzydło było jego królestwem.

- Cóż, Dennis, mam ci do zaoferowania pięćdziesiąt milionów dolarów, jeżeli ujawnisz mi nazwisko tej kobiety.

- Jakiej kobiety?

- Pacjentki X.

Dennis rozparł się na krześle i zaczął się zastanawiać, co Smith wie, a czego nie wie. Uśmiechnął się, uświadomiwszy sobie, że jego posadę ocaliło to, z czego Smith nie zdawał sobie sprawy.

- Panie Smith, mam coś o wiele cenniejszego niż nazwisko owej kobiety. Ale to będzie kosztowało pańskiego klienta sto milionów dolarów.

Larry Smith pocił się obficie. Zastanawiał się, jak mógł tak skończyć. Jak mogło do tego dojść, że właśnie klęczał na betonowej posadzce w jakimś opuszczonym magazynie w Ithaca w stanie Nowy Jork, a jeden ze stojących nad nim zbirów przykładął mu pistolet do głowy? Ukończył prawo w Yale z najwyższą lokatą i zabiegały o niego renomowane kancelarie prawnicze od Nowego Jorku do Los Angeles. Po dziesięciu latach był jednym z partnerów w firmie i zarabiał osiemset tysięcy rocznie. Oczywiście wymagało to, aby od czasu do czasu przyjął jakieś szemrane zlecenie, ale przecież nawet szemrani klienci również mają prawo do adwokata. Oczywiście pod warunkiem, że ich na niego stać.

- Co ci powiedziała pielęgniarka?

- Nic, przysięgam.

- A co z Lottem? Podał ci jej nazwisko?

- Nie mogę wam tego wyjawić. Mój Boże, to informacja chroniona tajemnicą adwokacką.

- To jest Glock, kalibru dziewięć milimetrów. - Harmon przycisnął mocniej lufę pistoletu do jego głowy. - On nie uznaje tajemnicy adwokackiej, panie mecenasie.

Pieprzyć przywileje klienta - pomyślał Smith.

- W mojej teczce - powiedział.

- Otwórz ją.

Larry wykonał polecenie, a mężczyzna wyjął dokumenty otrzymane od Lotta i zaczął je przeglądać.

- Bardzo dobrze. Czy to wszystko, co od niego dostałeś?

- Tak.

To było kłamstwo.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Nie mogę powiedzieć.

- Podaj mi nazwisko.

Larry próbował zebrać myśli. Zdążył już wysłać ekspresowym kurierem swemu klientowi to, co dał mu Dennis Lott, a więc wykonał zadanie. Gdyby zdradził temu bandzirowi tożsamość swego klienta i gdyby ten został zabity, jego kariera byłaby skończona, gdyż straciłby najbogatszego zleceniodawcę. Z drugiej strony, gdyby podał nazwisko klienta, a ten by przeżył, też byłby skończony, gdyż za naruszenie tajemnicy adwokackiej groziło mu usunięcie z palestry. Straciłby pracę bez dwóch zdań. Tak czy owak, mógł się pożegnać z zarobkami rzędu ośmiuset tysięcy. Nie widział zatem nic korzystnego w ujawnianiu tożsamości swego klienta, ale musiał podać temu człowiekowi jakieś nazwisko. To była jego jedyna szansa na przeżycie. Postanowił więc wybrać kogoś, kogo życie mógł bez oporów przehandlować za własne.

- Andy Prescott.

- Kim jest Andy Prescott?

- To prawnik z Austin. - Larry uniósł wzrok na uzbrojonego mężczyznę. - Proszę mnie nie zabijać.

- Wniosek oddalony, panie Smith.

Rozdział 11.

Bogaty klient potrafi zmienić życie prawnika.

Po sześciu tygodniach od dnia, w którym Russell Reeves wszedł do małego biura nad salonem tatuażu, Andy Prescott obudził się z grzywą jasnych włosów na twarzy i smukłą ręką na piersi. Nie były to ani jego włosy, ani jego ręka. Uśmiechnął się i uświadomił sobie, że ostatnimi czasy robi to często.

Sfinalizował trzy umowy, przepracował sto pięćdziesiąt godzin i otrzymał od Rusella Reevesa honorarium w wysokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Ten poniedziałkowy poranek nie zastał go już w domu za sześćset dolarów miesięcznie przy Newton Street, choć wciąż go jeszcze wynajmował, sam nie wiedział czemu. Obudził się w wielkim łóżu na najwyższej kondygnacji trzy-poziomowego apartamentu przy Piątej ulicy w śródmieściu, za który płacił trzy tysiące dolarów czynszu. Obok niego leżała dziewczyna. Piękna dziewczyna. Jedna z tych pustych, ale nieziemsko zgrabnych dziewcząt z Whole Foods w stylu Suzie.

W rzeczy samej była to właśnie Suzie.

Oparł się na łokciu i spojrział na nią z podziwem. Była obłądna. Miała idealną twarz, idealne ciało, idealny zapach. I nie chrapała. Była jak senne marzenie. Delikatnie musnął jej nagie pośladki, by przekonać się, czy nie śni. Dotykając jej skóry, szczególnie w tym miejscu, czuł się nawet lepiej, niż w dniu, gdy po raz pierwszy

gładził dłońmi nowego stumpjumpera. Suzie poruszyła się i otworzyła błękitne oczy.

- Wspaniale się bawiłam zeszłej nocy, Andy.

Byli w Qua, modnym klubie, gdzie pod podłogą pływają rekiny.

- Miałś rację - odparł.

- Z czym?

- Z tym, że trudno za tobą nadążyć.

Randka kosztowała go osiemset dolarów. Zaledwie dwie godziny pracy.

- Ale jestem tego warta.

Przeturlał się i położył na niej.

- O tak.

Andy Prescott był najszczęśliwszym facetem na świecie.

Z sypialni na samej górze roztaczał się malowniczy widok na rozlewisko Lady Bird Lake. Łazienka była wyposażona w granitowe blaty, wannę z hydromasażem, dwuosobową kabinę natryskową z czterema dyszami i bidet. Na drugim poziomie znajdowały się kuchnia i salon, a dolna kondygnacja mieściła garaż. Mieszkanie było w pełni umeblowane, a wszystko to za siedem i pół godziny jego pracy miesięcznie. Właściciel, który był przyjacielem Tresa, musiał wyjechać na jakiś czas i Andy przedłużył umowę z miesiąca na miesiąc. Ale kto wie, gdyby właściciel nie wrócił, być może Andy kupiłby od niego ten apartament. Życie w centrum miasta było naprawdę rozkoszne. Godzinę później Suzie już poszła, a Andy ubrał się w stylową sportową marynarkę, koszulę z niemnącej tkaniny, wiązany krawat, luźne spodnie i skórzane buty, po czym wsiadł na rower i popedałował do położonego dwie przecznice dalej Whole Foods. Nie był w stanie przekonać się do kupna samochodu z powodu zanieczyszczeń środowiska i wysokich cen

paliwa, ale nosił nowe ubranie, jeździł na nowym rowerze górskim, mieszkał w nowym miejscu i spotykał się z nową dziewczyną. Andy Prescott stał się nowym człowiekiem. Zawsze marzył, aby takim zostać. Dzięki Russellowi Reevesowi marzenie się spełniło.

Zaparkował przed Whole Foods, przypiął rower do stojaka i wszedł do środka, aby zamówić sobie tacos na śniadanie. Zanim jednak dotarł do baru z meksykańskim jedzeniem, coś go zatrzymało.

- Cześć Andy - usłyszał kobiecy głos.

Głos należał do Bobbi, ciemnowłosej studentki czwartego roku, która robiła specjalizację z nocnego życia, a według programu studiów - z dziennikarstwa. Jeszcze jedna doskonała, zgrabna i odziana w obcisłe ciuszki dziewczyna z Whole Foods.

- Och, cześć Bobbi, wyglądasz tego ranka szczególnie apetycznie.

Uśmiechnęła się i podeszła bliżej, a Andy poczuł ogarniające go podniecenie.

- Gdzie jest Suzie?

- Kto? Ach, Suzie... no tak, gdzieś chyba jest.

- Widziałam was zeszłego wieczoru w Qua - oznajmiła. - Wybieram się tam dzisiaj. Gdybyś przyszedł sam, moglibyśmy się umówić... albo coś.

To „albo coś” brzmiało obiecująco. Ale przecież był umówiony z Suzie. Miała zadzwonić do niego później i powiedzieć, jakie ma plany na wieczór. Mógł po prostu nie odebrać telefonu, ale obawiał się, że potem złoży mu niespodziewaną wizytę w domu. Ta śmieszna zaborczość kobiet była dla Andy'ego nowym i fascynującym doświadczeniem. A może spróbowałby...

Bobbi zrobiła krok do przodu, by przepuścić kobietę pchającą wózek, a jej pierś ukryta jedynie pod cienką warstwą spandeksu

otarła się o pierś Andy'ego, wymazując skutecznie z jego głowy wszystkie myśli o Suzie.

- To spotkajmy się dziś wieczorem, Bobbi.
- Więc do wieczora. - Ścisnęła go za ramię.

Kiedy odchodziła, powiódł za nią wzrokiem. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Bobbi miała nienaganne ciało.

Andy stał się nowym człowiekiem, ale wciąż pijał kawę w Jo's.

- Pan modniś we własnej osobie - powiedział Guillermo Garza, gdy Andy podszedł do okienka. - Stylowo wyglądasz, bracie. Duża kawa i muffinka?

- Tylko kawa. Jadłem już we Whole Foods. Ale daj mi porcję dla Floyda.

- Odjazdowa maszyna. - Guillermo pokazał głową jego rower.

- Stumpjumper.
- Ile cię to cacko kosztowało?
- Sześć i pół stówki.
- Nieźle sobie teraz żyjesz.
- Wciąż jestem tym samym facetem.

Guillermo roześmiał się.

- Gdyby Russell Reeves mnie zatrudnił, z pewnością nie byłbym taki sam. - Wskazał palcem ponad ramieniem Andy'ego. - Zapomniałeś o czymś.

- O czym?
- „Chronicle”.
- Nie.

- Ach, już nie musisz wertować tych ogłoszeń w poszukiwaniu miłości, co?

- Znalazłem lepsze miejsce. - Andy uśmiechnął się. - Whole Foods. - Guillermo odpowiedział mu uśmiechem.

- Nic dodać, nic ująć. Przybili żółwika.
- Nie trać wiary, bracie.

Andy zapłacił i pojechał do swego biura. Na schodach prowadzących do salonu Ramona znalazł Floyda T, i wręczył mu śniadanie, a potem wrzucił banknot dwudziestodolarowy do jego pudełka po cygarach.

- Wysoka stawka. - Floyd aż zagwizdał. - Dzięki Andy.

Andy Prescott nadal pozostał tym samym facetem, aczkolwiek był lepiej ubrany i przemieszczał się bardziej luksusowym środkiem lokomocji. Wciąż urzędował w małej klitce nad salonem Ramona, wciąż korzystał z jego komputera i wciąż uczęszczał na rozprawę do sądu grodzkiego.

Tkwiał w pułapce mandatów drogowych, w którą sam się wpędził. W przypadku każdego klienta wnioskował o rozprawę z ławą przysięgłych, w efekcie miał zaplanowane sprawy na każdy poniedziałek przez najbliższe dwa lata. Gdyby nie stawiał się w sądzie, urząd miasta wygrałby dzięki jego nieobecności, a on musiałby wywiązać się z gwarancji dawanych klientom. Po pięćset dolarów kary za każdego dawało sporą sumę. Na ten poniedziałek miał wyznaczonych pięć spraw, więc stałby się lżejszy o dwa i pół tysiąca. A właśnie urząd skarbowy uwolnił go od piętnastu tysięcy z tytułu kwartalnego rozliczenia podatku dochodowego oraz składek ubezpieczenia społecznego i zdrowotnego. Przerazająca kwota. Sześć tygodni ciężkiej pracy i po odliczeniu opłat zostało mu w kieszeni tylko czterdzieści pięć tysięcy. Teraz rozumiał, czemu bogaci ludzie narzekają, że państwo ograbia ich z pieniędzy.

Nie mógł sobie pozwolić na płacenie mandatów za swoich klientów. Dlatego tuż przed dziewiątą Andy Prescott wszedł do

budynku sądu grodzkiego. Arturo pomachał do niego ze stanowiska ochrony i nawet nie kazał mu opróżnić kieszeni. Andy wjechał windą na drugie piętro i kiedy tylko przekroczył próg sali rozpraw, sędzia Judith natychmiast dała mu ręką znak, aby podszedł. Kiedy stanął obok stołu sędziowskiego, uśmiechnęła się do niego jak matka, której syn marnotrawny wrócił do domu i znalazł dobrą pracę. Położyła rękę na mikrofonie.

- Andy, wyglądasz dzisiaj bardzo profesjonalnie. I masz bardzo ładną fryzurę.

- Dziękuję. A Wysoki Sąd jak zwykle ośniewa swoją urodą.

- Wiem, że jesteś zajęty pracą dla pana Reevesa, więc twoje sprawy rozpatrzemy na początku.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Kwadrans później wszystkie pięć pozwów zostało oddalonych, a kiedy Andy kierował się w stronę wyjścia, prokurator Manning zastąpiła mu drogę i wręczyła swoją wizytówkę.

- Wpadnij do mojego biura, Andy. - Nachyliła się do niego i wyszeptała: - Zamknij drzwi na klucz i zabawimy się w dobrowolne poddanie karze.

Zrobiła figlarną minę i puściła do niego oczko. Pod zapiętą na ostatni guzik garsonką skrywała boskie ciało. Zamykając za sobą drzwi sali rozpraw, Andy uśmiechał się szeroko.

Z tym samym uśmiechem na twarzy przyjechał z powrotem do swego biura, gdzie zastał Floyda T., który siedział na chodniku oparty plecami o ścianę budynku i pisał coś w swoim notesie. Przed wejściem stała zaparkowana limuzyna, a stojący przy niej Darrell, goryl i kierowca Russella Reevesa, wskazał kwadratową szczęką w stronę drzwi do salonu Ramona.

- Szef czeka w środku.

Andy przekroczył próg i zastał swego pracodawcę pochłoniętego rozmową z Ramonem Cabrera.

- Czy to boli?

- Oczywiście. - Ramon roześmiał się. - Ból jest częścią całego doświadczenia.

- Nie wiem, Ramon. Miałbym wielką ochotę wytatuować sobie na plecach podobiznę mojego syna, ale nie jestem zbyt odporny na ból.

- Russell, mój drogi, cierpienie fizyczne to próg, który musisz przekroczyć, aby znaleźć się po drugiej stronie życia.

- A co jest po tamtej stronie?

- Oświecenie.

- Dotarłeś na drugą stronę?

Ramon ściągnął podkoszulek przez głowę, odsłaniając wytatuowaną górną część ciała. Rozpostarł ramiona i obracał się powoli.

- Ja jestem drugą stroną.

Russell Reeves patrzył z podziwem na żywe malowidło, którym był Ramon Cabrera we własnej osobie.

- Mój Boże, jesteś dziełem sztuki.

- Jestem twórcą i zarazem dziełem - odparł Ramon.

- Zastanowię się nad tym - powiedział Russell po chwili milczenia.

- Koniecznie.

- To na razie.

Ramon uniósł zaciśniętą dłoń, a Russell stuknął w nią pięścią, po czym obrócił się i wyszedł.

- Mandaty - zwrócił się Ramon do Andy'ego.

- Co tu robisz tak wcześnie?

- Mam umówioną wizytę. - Ramon spojrział na zegarek. - Spóźnia się.

Andy wziął dwa mandaty z kontuaru i wyszedł za Russellem na zewnątrz, gdzie zobaczył, jak Darrell szturcha czubkiem buta Floyda T.

- Złaż mi z drogi, ty śmierdzący lumpie.

Andy jednym susem doskoczył do Darrella i pchnął go z całej siły w pierś. Małpołud nawet się nie zachwiał.

- Zostaw go, ty spasiony bucu.

Spasiony buc złapał Andy'ego za ramiona i zacisnął grube palce, które zdawały się miażdżyć kości. Andy poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Kiedy myślał, że już zemdleje, usłyszał spokojny głos Russella Reevesa.

- Puść go.

Darrell przeniósł wzrok z Andy'ego na swego szefa.

- No już.

Goryl posłusznie rozluźnił chwyt i Andy omal nie osunął się na chodnik.

- Przeprós.

Darrell westchnął i zwrócił się do Andy'ego.

- Przepraszam, że cię tak...

- Nie jego. Floyda T.

- Co?

- Przeprós Floyda T.

- Mam przeprosić tego bezdomnego lumpa? - zdziwił się Darrell, pokazując palcem na Floyda.

- Kombatanta.

- On jest kombatantem?

- Tak. To odznaczony inwalida wojenny i bohater. Stracił nogę, walcząc za ten kraj. Należy mu się szacunek.

Darrelowi zrzędła mina. Spojrzał na Floyda T.

- Ej, stary, no przepraszam. Za to, że nazwałem cię lumpem.

Floyd T, odwrócił w jego stronę pozbawioną wyrazu twarz.

- Dupek - wycedził.

- Remis. - Russell Reeves roześmiał się.

Darrell pokręcił głową i z powrotem zajął miejsce obok tylnych drzwi limuzyny, a jego szef wręczył Floydowi T, banknot studencki.

- Nie gniewaj się, Floyd.

- Dzięki, Russell. - Weteran przyjął banknot. - Ale nie powinien zatrudniać dupków. Nie można na nich polegać.

- Chyba masz rację.

Andy w towarzystwie swego klienta wspinał się po schodach do biura. Otworzył okno i wyrzwał na ulicę, by sprawdzić, czy Darrell znów nie prześladowuje Floyda.

- To, co dla niego zrobiłeś, było miłe.

- To tylko stówka.

- Nie, chodzi o to, że kazałeś Darrellowi przeprosić.

- Floyd T, na to zasłużył.

- Nie wiedziałem, że się poznaliście.

- Już podczas mojej pierwszej wizyty, kiedy cię nie zastałem.

Pogawędziliśmy przez chwilę. On też jest istotą ludzką, i to bardzo interesującą.

- Darrell miał szczęście, że Floyd siedział. Gdyby stał, mógłby odpiąć nogę i zdrowo przetrzepać mu skórę.

Russell westchnął.

- Darrell to... po prostu Darrell.

- Czemu ktoś taki dla ciebie pracuje?

- Ponieważ trudno jest znaleźć oddanego ochroniarza. W takim świecie żyjemy. Mam piętnaście miliardów, więc jestem narażony na porwania. Tak samo moja żona. Dlatego potrzebuję ochrony. Bogactwo niesie wiele korzyści, ale również ograniczenia. - Russell pokręcił głową i zmienił temat. - Odwiedziłem właśnie punkty rozbudowy.

- Renowacji - poprawił go Andy.

- Prace rozwijają się pomyślnie. Wiedziałem, że doskonale dasz sobie radę.

- Dziękuję.

- I myślę, że jesteś prawnikiem stworzonym również do tego zadania, Andy.

- Jakiego zadania?

Russell Reeves odchylił się na oparcie krzesła.

- Chcę wnieść pewne poprawki.

- Do czego?

- Do mojej przeszłości. Przyjrzałem się mojemu życiu i zobaczyłem, jak wiele w nim brakuje.

- Czego brakuje? Jesteś miliarderem.

- Brakuje tego, czego nie można kupić za pieniądze. Spokoju. Nie ze wszystkiego, co zrobiłem, jestem dumny. Pewnych moich czynów bardzo żałuję.

Brzmiało to, jak oświadczenie senatora, który został przyłapany z opuszczonymi spodniami w damskiej toalecie na lotnisku.

- Wiem, co masz na myśli, Russell. - Andy pokiwał głową. - Na szczęście mój umysł odciął mnie od wspomnień.

- Z powodu cierpienia psychicznego?

- Z powodu kilku piw.

- No cóż, zrobiłem coś zbyt poważnego, żeby wystarczyło się upić i powygłupiać. - Russell Reeves nie sprawiał wrażenia człowieka, który wie, co to wygłupy. - Andy, ja...

Andy próbował rozładować atmosferę, ale na Russella to nie działało. Był śmiertelnie poważny. Andy nabrał przekonania, że jego klient zamierza mu się zwierzyć z popełnienia morderstwa.

- Nie traktowałem dobrze kobiet w moim życiu.

Andy zdał sobie sprawę, że w napięciu wstrzymuje oddech. Wypuścił powietrze i zaczął się zastanawiać, co to miało oznaczać. Być może znęcał się nad nimi, aczkolwiek każda kobieta z SoCo

bez trudu skopałaby mu tyłek. Russell Reeves był zbyt wątpliwy, aby zniżać się nad kobietami.

- Swojej żony?

- Moich dziewczyn. - Miliarder westchnął. - Kochałem je i porzucałem.

- Znaczy, chcesz powiedzieć, że z nimi zrywałeś?

Russell pokiwał głową.

- Ale nie skrzywdziłeś ich... fizycznie?

- Nic z tych rzeczy. Po prostu odchodziłem, nie przejmując się ich uczuciami. Myślałem tylko o sobie.

- Zatem masz poczucie winy wobec dziewczyn, z którymi byłeś jakiegoś piętnaście, dwadzieścia lat temu? Russell znów przytaknął.

- Ile ich było? Jedna, dwie?

- Siedemnaście.

- Miałeś siedemnaście partnerek? Zanim jeszcze dorobiłeś się bogactwa?

- Miałem bogatą osobowość. - Reeves wzruszył ramionami.

- Myślę, że nie tylko... - Andy pokręcił głową. - Siedemnaście, to imponujące!

- Nie myślisz czasem o swoich byłych dziewczynach? Nie zastanawiasz się, gdzie są i jak sobie radzą?

- Miałem tylko jedną dziewczynę, w czwartej klasie podstawówki. Mary Margaret McDermott. Wyszła za lekarza, ma czwórkę dzieci.

- Skończyłaś dwadzieścia dziewięć lat i ostatni raz miałaś dziewczynę w czwartej klasie?

- Aż do tej pory. Dzięki tobie.

- A co ja mam do tego?

- Dajesz mi dobrze zarobić.

- No tak, domyślałam się, że dziewczęta z Whole Foods to nie jest tania impreza. - Reeves uśmiechnął się.

- To już wiesz o Suzie?
- Wstąpiłem tam kiedyś na koktajl i widziałem, jak rozmawiasz z jakąś młodą kobietą. Blondynką. Pomyślałem, że to twoja dziewczyna. Jest całkiem ładna.
- Jest cudowna. - Andy powrócił myślami do porannego przebudzenia u boku Suzie, o jej wspaniałym nagim ciele, o ich...
- Andy?
- Ach tak, twoje były partnerki.
- Chcę im to wynagrodzić.
- W jaki sposób?
- W jedyny, jaki mogę. Finansowo.
- Chcesz dać swoim byłym dziewczynom pieniądze, bo zerwałeś z nimi dawno temu?
- Ponieważ wykorzystałem je seksualnie dla własnej przyjemności.
- Russell, mężczyźni tak robią. Kobiety zresztą też. Tutaj w SoCo prosimy tylko takich, żeby nie robili tego na ulicy. - Andy potrząsnął głową. - Czy rozstawialiście się za obopólną zgodą?
- Oczywiście.
- To na czym polega problem?
- Czuję się winny.
- Jesteś katolikiem?
- Nie.
- No to o co chodzi? - jęknął Andy.
- Odszukaj je. Daj im pieniądze. Spraw, aby żyło im się lepiej.
- Chcesz, żebym znalazł twoje były partnerki i dał im pieniądze? Tak po prostu?
- Tak po prostu.
- Każdej z nich mam wręczyć czek i powiedzieć: „Z pozdrowieniami od Russella Reevesa”?
- Nie. Chcę to zrobić anonimowo.

- Dlaczego.

- Któraś z tych siedemnastu kobiet mogłaby pobiec z tym do prasy. Wyobrazasz sobie coś takiego w brukowcach. Mieliby używanie.

- W końcu z tego żyją.

- Andy, chcę, żebyś odnalazł moje partnerki sprzed lat. Jeżeli któraś jest zadłużona, spłcę jej długi. Jeżeli jest chora, pokryję koszty leczenia. Jeżeli jest bezdomna, kupię jej dom. Chcę wszystko wyprostować ułatwiając im życie. Ale to zadanie musi pozostać w całkowitej tajemnicy. Nie wolno ci mówić o tym nikomu, nawet Suzie.

- Czemu po prostu nie wynajmiesz prywatnego detektywa?

- Detektywi są zbyt rozmowni. Sprzedają informacje, a ponadto mogą zeznawać. Ty nie możesz.

Andy rozparł się na krześle.

- Przywilej klienta.

Russell Reeves pokiwał głową.

- Tajemnica adwokacka - powiedział Andy. - Nikomu nie mogę niczego ujawnić. Nie mogę nawet składać zeznań w tej sprawie przed sądem.

- Właśnie. A gdybyś opowiedział o tym swojej dziewczynie i sprawa trafiłaby do gazet?

- Zostałbym wykluczony z palestry.

Miliarder znów przytaknął.

- Absolutna tajemnica, Andy. - Russell wyciągnął ponad stołkiem zadrukowaną z obu stron kartkę.

- To wszystko, co masz?

- Ich nazwiska i ostatnie znane mi adresy.

- Nawet nie wiem, jak się do tego zabrać.

- Na końcu listy znajdziesz namiar. Hollis McCloskey. Jest prywatnym detektywem ze śródmieścia, byłym agentem FBI. Z

tych wyższych rangą. Moi prawnicy korzystają z jego usług w sprawach gospodarczych. Zazwyczaj nie tropi ludzi, ale zgodzi się za odpowiednią cenę.

- Myślałem, że nie chcesz wynajmować prywatnego detektywa.

- Bo nie chcę. Chcę, żebyś to ty go wynajął. Daj mu tę listę i tyle. Nie wspominaj mojego nazwiska. Powiedz mu, żeby je odszukał i prześwietlił. Niech dowie się wszystkiego o ich majątkach, długach, mężach, dzieciach i zbierze dossier każdej z nich. Ale na tym kończy się jego rola. On nie będzie nawiązywał kontaktu z tymi kobietami. To twoje zadanie. Ustalisz, czego potrzebują i jak mogę im pomóc, a potem wszystko mi przekażesz.

- Skąd będę wiedział, że trafiłem na właściwe osoby?

- Zrobisz zdjęcia. Ja je rozpoznam.

- Nie mam aparatu.

- Kupisz. Na mój rachunek.

- To nie byle jaki detektyw. Nie będzie tani.

- Przelałem pięćdziesiąt tysięcy na twoje konto operacyjne dziś rano, kiedy byłeś w sądzie grodzkim. Zapłacisz za wszystko, co trzeba.

- Dlaczego to mnie wybrałeś do tego zadania? Rozumiem interesy w SoCo, ale tym mogliby się zająć twoi prawnicy ze śródmieścia. Mógłbyś im zlecić wynajęcie tego McCloskeya.

- Nie chcę, żeby moi regularni prawnicy o tym wiedzieli.

- Dlaczego?

- Bo znam Hollisa, a on zna mnie. Gdyby to moi prawnicy go wynajęli, zorientowałby się, że to ja jestem klientem. A jeżeli on się dowie, dowiedzą się jego pracownicy, a potem ich żony, mężowie... Wszyscy będą wiedzieć, a na to nie mogę sobie pozwolić.

- To ty jesteś szefem. - Andy wzruszył ramionami.

- Dobra. Takie są podstawowe zasady. Rozmawiamy na ten temat tylko osobiście. Żadnych telefonów ani e-maili. Nic na piśmie. Kiedy będziesz coś miał, zadzwonisz do mnie na komórkę, a ja tu przyjdę.

Andy przyjrzał się liście.

- Są tu adresy w Houston, Chicago, Nowym Orleanie, Miami, Los Angeles, Denver... Czy one wszystkie studiowały wtedy na tutejszej uczelni?

- Nie - odparł Russell. - Poznałem je, podróżując w interesach.

- Leciłeś do Chicago albo do Miami, poznawałeś tam dziewczynę, a ona szła z tobą do łóżka? Za darmo?

W odpowiedzi miliarder tylko uniósł brwi, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie chciałbym się przechwalać, ale...”.

- Chcesz, żebym latał po całym kraju i szukał tych kobiet?

- Pierwszą klasą.

- Mogę podróżować pierwszą klasą?

- Oczywiście.

Andy nigdy nie leciał pierwszą klasą.

- I wynajmować luksusowe samochody - dodał Reeves. - Czy potrafisz kierować czymś innym niż ten rower?

- Jasne.

- Pięciogwiazdkowe hotele, śniadania do łóżka, cokolwiek zechcesz.

- Będę mógł oglądać w pokoju filmy za dopłatą?

- Pewnie. Byle nie porno.

- Aha. - Andy starał się nie okazać rozczarowania.

- I tutaj za godzinę dostaniesz pięćset dolarów. Dlatego że będziesz musiał dużo podróżować i opuścić słodką Suzie, dopóki nie wykonasz zadania. Myślisz, że dasz radę?

- Ma się rozumieć - zapewnił Andy, nie wspominając ani słowem o ponętej Bobbi. - A co z resztą interesów w SoCo?

- Odłożymy je na potem. Zajmiesz się tą sprawą od zaraz, dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu. Chcę, żebyś dotarł do tych kobiet tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Ty tu jesteś szefem.

Bogatym szefem. Andy wyprostował się na krześle. Wszystko to wydawało mu się trochę dziwne. W swej Skali Popieprzonych Dziwactw Tego Świata przyznał tej sprawie siedem punktów, ale przypomniał sobie, że jego matka zawsze mówiła „Bogaci ludzie są inni, niż ty i ja”. A Dave mówił, że czytał o jakimś czarnym rapercie, który codziennie kąpie się w pianie, o irlandzkim aktorze, który smaruje się miodem, a potem wchodzi pod prysznic, i o gwiazdach, które odbywają regularne głodówki, żeby utrzymać szczupłą figurę. W porównaniu z nimi Russell Reeves, który postanowił uszczęśliwić kilkanaście swoich dawnych partnerek, wydawał się prawie normalny. Prawie.

Andy zdał sobie sprawę, że jego szef przygląda mu się badawczo.

- Czy coś cię gnębi, Andy?

Coś go gnębiło.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście, pytaj.

- Czy za tą sprawą kryje się coś więcej, o czym mi nie powiedziałeś?

Russell zamyślił się na chwilę, po czym wstał i podszedł do okna. Wyglądał na zewnątrz w milczeniu, zanim się odezwał.

- Czytasz nekrologi w gazetach, Andy?

- Nie, a ty?

- Codziennie.

- Dlaczego?
- Z powodu mojego syna. Wiesz o nim?
- Tylko tyle, co przeczytałem w gazetach.
- To wspinały dzieciak. I bardzo odważny. Jest umierający, ale każdy dzień wita z uśmiechem. - Russell zawiesił głos. - Ja zabiłem swego syna, Andy.

- Zabiłeś swego syna? Jak to?
- Jestem nosicielem.
- Czego?
- Zmutowanego genu, który powoduje raka. Przekazałem go Zachowi.

- Russell, to nie twoja wina. Przecież nie wiedziałeś, że masz taki gen, prawda?

- Nie wiedziałem, ale to nie zmienia faktu, że Zach umiera przeze mnie. To ja wydałem na niego wyrok śmierci.

- Twoi naukowcy... Czy oni nie mogą mu pomóc?
- Nie, Andy, nie mogą. Mój jedyny syn umrze.

Andy czuł się jak skończony ignorant. Przez sześć tygodni, odkąd pracował dla Russella Reevesa, ani razu nie pomyślał o jego osobistym cierpieniu. Postrzegał swego klienta jedynie przez pryzmat honorariów, które od niego dostawał i miał dostać. Russell Reeves dał mu Suzie i stumpjumpera, luksusowy apartament i wstęp do ekskluzywnych lokali, wysoką pozycję w sądzie grodzkim i we Whole Foods, a Andy nie poświęcił mu nawet chwili refleksji. Traktował go wyłącznie jako źródło dochodu. Andy Prescott stał się prawnikiem z prawdziwego zdarzenia.

- Tak mi przykro.

Myślał, że jego klient się rozplacze, ale Russell powstrzymał łzy.

- Mnie też bardzo przykro z powodu twojego ojca, Andy.

- Wiesz o jego chorobie?

Reeves pokiwał głową.

- Słucham w samochodzie jego płyt. Jest dobry. Powinien był zostać wielką gwiazdą.

Teraz Andy omal się nie rozplakał.

- Nigdy nie natrafił na swój wielki moment - powiedział.

Adwokat i jego klient przyglądali się sobie nawzajem. Każdy z nich dźwigał podobny ciężar.

- Tak więc czytam o ludziach, którzy zmarli. - Russell westchnął. - O ich życiu. O tym, co zrobili, kogo kochali i przez kogo byli kochani. Nakłania mnie to do refleksji nad moim życiem... nad moimi dokonaniem, osobami, które kochałem i które mnie kochały. Nad tym jak traktowałem innych. Chciałem naprawić pewne rzeczy... związane z moim synem, tamtymi kobietami i moim życiem, zanim sam...

Russell Reeves sprawiał wrażenie, jakby uszły z niego wszystkie siły.

- Pomożesz mi Andy? - zwrócił się do swego prawnika.

- Oczywiście, Russell. Pomogę ci.

- Dziękuję.

Miliarder ruszył w stronę drzwi, ale przystanął w pół drogi.

- Andy, mogę liczyć, że zachowasz to wszystko w tajemnicy, prawda?

Andy pokiwał głową.

- Jestem twoim adwokatem.

Rozdział 12.

Prawnicy dochowują tajemnic. Tajemnic swoich klientów. Fachowo nazywa się to tajemnicą adwokacką. Uczą się o tym już na pierwszym roku studiów prawniczych. Na trzecim roku, nawet się nad tym nie zastanawiając, przyjmują za pewnik, że adwokat musi zachować w tajemnicy wszystko, czego dowie się o swoim kliencie. To jego zawodowy obowiązek.

A Andy Prescott był prawnikiem Russella Reevesa.

Przeczytał pierwsze nazwisko na liście. Sue Todd. Ostatnio zamieszkała w Houston. Wyciągnął komórkę i zadzwonił do tamtejszego biura informacji telefonicznej. Poprosił o numer Sue Todd i podał jej adres operatorce, która po chwili oznajmiła, że żadna Sue Todd nie figuruje pod tym adresem. Rozłączył się. No i jak tu kogoś znaleźć?

Agencja detektywistyczna Hollisa McCloskeya zajmowała biuro w budynku Frost Bank Tower na rogu Czwartej ulicy i Congress Avenue. Kiedy McCloskey wszedł pewnym krokiem do holu, Andy poczuł się, jakby musiał przyjąć odpowiednią pozycję - stanąć twarzą do ściany z rękami na głowie i szeroko rozstawionymi nogami - aby detektyw mógł go przeszukać.

Człowiek ten miał onieśmielającą powierzchowność. Wyglądał w każdym calu jak były agent FBI. Miał pięćdziesiąt kilka lat, szerokie ramiona i kwadratową szczękę, nosił elegancki garnitur i

wypolerowane na wysoki połysk buty. Jego idealnie ufryzowane włosy były na skroniach przyprószone siwizną. Nawet pachniał jak gliniarz - Andy domyślał się, że płynem po goleniu Brut.

- Hollis McCloskey. - Detektyw wyciągnął do niego wielką dłoń. - W czym mogę panu pomóc?

- Jestem Andy Prescott. Muszę znaleźć siedemnaście osób.

- Nie zajmujemy się szukaniem ludzi. - odparł McCloskey. -

Tropimy przestępstwa gospodarcze.

Przestępstwa gospodarcze? Andy ledwie sobie przypominał to zagadnienie ze studiów.

- Panie McCloskey, jaka jest pańska standardowa stawka?

- Dwieście dolarów za godzinę.

- Zapłacę panu czterysta.

Były agent zmierzył Andy'ego wzrokiem.

- Porozmawiajmy w moim biurze.

Poprowadził Andy'ego korytarzem do okazałego narożnego gabinetu, z którego roztaczał się wspaniały widok na Kapitol i wieżę w kampusie uniwersytetu stanowego. Ściany zdobiły dyplomy i certyfikaty FBI, jak również zdjęcia przedstawiające McCloskeya w towarzystwie różnych polityków. Na jednym z nich Andy rozpoznał samego prezydenta. Na półkach stały różne egzemplarze broni krótkiej zamknięte w szklanych gablotkach, a na ścianie wisiał pistolet maszynowy Thompson, taki sam, jakim posługiwał się agent specjalny Elliott Ness w filmie *Nietykalni*.

- Proszę siadać - rzucił detektyw rozkazującym tonem, któremu Andy odruchowo się podporządkował. - Zatem jest pan prawnikiem?

- Tak. Został mi pan szczerze polecony przez jednego z naszych klientów.

- Którego?

- To poufne.

McCloskey splótł ramiona na szerokiej piersi.

- Pański klient chce ustalić miejsce pobytu siedemnastu osób?

- Kobiet. Tak szybko, jak to tylko możliwe.

- To będzie wymagało pracy po godzinach.

- Zapłacę panu pięćset za godzinę. Pracuje pan całą dobę, siedem dni w tygodniu. - Andy czuł się jak polityk, który lekką ręką wydaje cudze pieniądze bez większego zmartwienia.

- Po co pan chce znaleźć te kobiety?

- To nie ja. Mój klient chce.

- Kim jest pański klient?

- To również poufne.

- A dlaczego pański klient chce odnaleźć wszystkie te kobiety?

- Przykro mi, ale tego też nie mogę wyjawić.

- Nie podobają mi się te wszystkie tajemnice.

Andy sięgnął do kieszeni koszuli, z której wyciągnął czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów wypisany na Hollisa McCloskeya. Położył go na biurku. Były gliniarz spojrzął na czek, a potem przeniósł wzrok na Andy'ego.

- Mów mi Hollis.

- Hollis, na tym koncie czeka jeszcze dużo kasy, ale musisz całkowicie skupić się na tej sprawie. Potrzebne mi pełne dossier każdej z tych kobiet. Jej życie osobiste, sprawy zawodowe, kolizje z prawem, kondycja finansowa, problemy rodzinne... wszystko.

- Andy, żeby wszystko było jasne, działam zgodnie z przepisami. Nie zamierzam przekraczać pewnych granic. Czy to zrozumiałe?

- Oczywiście. - Andy wruszył ramionami. - Kiedy zbierzesz wszystkie informacje, dostarcz je do mnie na South Congress Avenue pod numer 1514^{1/2}B.

- To twoje biuro w SoCo? Wyślę tam kuriera.
- Gdyby mnie nie zastał, niech zostawi wszystko w salonie tatuażu na dole.

- W czwartek odbywa się sesja jogi na golasa - oznajmił Dave. -
Chcecie się wybrać?

- Miałbym cię oglądać nagiego w pozycji lotosu? - Andy
skrzywił się. - Wolę sobie tego oszczędzić.

- Posłuchajcie, co pisze o sobie ta dziewczyna - wtrącił Curtis,
który znów studiował anonse towarzyskie. - „Pracuję nad dokto-
ratem z dziedziny kosmologii i poznania, skupiając się szczególnie
na połączeniu między czasem a wiecznością z perspektywy fizyki i
subiektywnych doświadczeń. Dążę do tego, aby moje życie nie
było oderwane od rzeczywistości”.

Dave spojrział na Curtisa z kamienną miną.

- To znaczy, że ma ochotę na seks czy nie?

- Chłopaki, nie znajdziecie w tych ogłoszeniach prawdziwej
miłości - powiedział Andy.

Obydwaj wlepili w niego wzrok. Dave potrząsnął głową.

- Tak szybko zapomniałeś o tych z nas, którzy wciąż usychają
na tej seksualnej pustyni.

- Seksualna pustynia. - Tres parsknął śmiechem.

- Nieźle to ująłeś, Dave.

- Dzięki. Ale ja mam już plan, jak uciec z tej pustyni.

- Jaki to plan? - zaciekawiał się Andy.

Dave wyjął grzebień i zaczesał sobie włosy do tyłu.

- Zrobię sobie tatuaż - oświadczył. - Taki wielki.

- Po co?

- Dziewczyny uwielbiają tatuaże.

- Ale one są bolesne.

- Dziewczyny?

- No cóż, one również. A ty nie lubisz, jak cię boli.
- Przedtem zaaplikuję sobie znieczulenie.
- To się nazywa alkohol. Myślisz, że wytatuowany pośrednik nieruchomości zdoła przyciągnąć wielu klientów?
 - Nie ma znaczenia. I tak muszę sobie poszukać innej pracy. Ten rynek jest wypalony. Mam jedno zlecenie. Dom w okolicy pasa zieleni zajęty w poczet zadłużenia, hipoteka na pięć milionów. Kredytobiorcy właśnie się wynieśli.
 - Sprzedasz go za milion, sześć procent prowizji daje ci sześćdziesiąt patoli.
 - Do podziału z agentem nabywcy.
 - No to trzydzieści.
 - Jeszcze doła dla mojego biura.
 - Piętnaście patoli, starczy ci na piwo przez jakiś czas.
 - To prawda, ale szanse na sprzedaż są marne. Nikt nawet tam nie zajrzał.

Ronda podała do stolika sześć butelek corony, a Andy poprosił ją, by zapisała wszystko na jego rachunek. Był wieczór i wszyscy siedzieli przy tym stoliku co zwykle, w ogródku przed barem Güero's. W Oak Garden koncertowała Erin Jaimes ze swoim zespołem Bad Habits. Piwo było zimne, muzyka świetna, a typowa dla wczesnego października pogoda idealna.

Podobnie jak ona.

Kiedy wysiadła z telewizyjnej furgonetki, ucichł gwar, a wszystkie oczy zwróciły się w jej kierunku, mężczyźni gapili się oniemiałymi, a kobiety łypały spode łba. Natalie Riggs, prezenterka lokalnej stacji, kroczyła po chodniku, przyciągając wygłodniałe spojrzenia, a zachodzące słońce rysowało kontur jej sylwetki pod żółtą sukienką. Widać było, że pod spodem nie nosi bielizny.

Miała lśniące białą zęby gwiazdy filmowej, oszałamiającą figurę, a pierścionek zaręczynowy z diamentem musiał kosztować fortunę. Podeszła do Tresa, nachyliła się i pocałowała go, szepnęła mu coś na ucho, a potem wyprostowała się i zwróciła do jego towarzyszy.

- Witajcie chłopaki.

Żadnego: „Cześć wam”. Urodzona i wychowana w stutysięcznym miasteczku Odessa na zachodzie stanu Natalie dokładała usilnych starań, aby wyeliminować ze swego języka wszelkie teksańskie naleciałości.

- Stacje telewizyjne nie potrzebują już gadających przez nos ślicznotek z Teksasu - twierdziła. - Nie po kadencji Busha.

Tres odprowadził ją do furgonetki. Pomachał do kierowcy, po czym zanurzył rękę w kieszeni, wyciągnął kilka banknotów i wręczył narzeczonej. Natalie znów go pocałowała i wskoczyła do samochodu, który odjechał, a Tres wrócił do stolika odprowadzany zazdrosnymi spojrzzeniami.

- Widzieliście? - Opadł na krzesło. - Nie miała bielizny.

Wszyscy sięgnęli po swoje piwa. Wszystko szybko wróciło do normalnego stanu i ogródek przed barem znów wypełnił gwar rozmów. Andy miał nadzieję, że Dave będzie miał na tyle wycucia, aby oszczędzić sobie komentarzy. Okazało się, że się mylił.

- Tres - zagadnął Dave. - Myślisz, że Natalie zdradziłaby cię ze mną? To znaczy, kocham cię jak brata, ale... cholera. Ona jest obłądna.

Andy zastanawiał się, czy Tres skwituje to uśmiechem, czy Dave dostanie w zęby. Po chwili wygrała pierwsza opcja.

- No bo jest, prawda?

Tres Thorndike potrafił się odnaleźć w roli partnera atrakcyjnej dziewczyny, która nie nosi bielizny. Wtem w ogródku rozległo się głośne westchnienie. Spojrzeli w stronę ulicy, gdzie jakiś nieostrożny przechodzień cudem uniknął śmierci pod kołami autobusu.

- Odpowiedziałem na ten anons - oznajmił Curtis.
- Jaki anons?

Curtis położył na stoliku zadrukowaną kartkę. Andy wziął ją do ręki i spojrzał na zdjęcie dziewczyny. Nie wyglądała powalająco.

- No cóż... jest, hmmm... no... całkiem miła.
- Poczytaj, czym się interesuje.
- Zobaczymy. Jej zainteresowania oscylują od badań genetycznych do fizyki kwantowej. Jasne, teraz już wiem, dlaczego odpowiedziałeś na ten anons.

- Czytaj dalej.
- Lubi chodzić do Amy's i Whole Foods... jest poganką i popiera liberałów... segreguje odpadki... Curtis, ale ona ma czterdzieści lat.

- Zająłem się starszymi, jak radził Dave.
- Ale ja żartowałem - wtrącił Dave.
- A ja byłem samotny.
- No i jaka ona jest?
- Nie wiem. Podkręciła mnie.
- Od kiedy ona się ogłasza?
- Od dwóch lat.
- Kiepsko to widzę, stary.
- Z dziewczynami nie ma lekko - stwierdził Curtis.
- Powiedziałbyś coś bardziej odkrywczego - rzucił Dave.

Niewiele brakowało, by Andy nabawiłby się poczucia winy, że sam spotyka się z Suzie i Bobbi, a jego przyjaciele nie mają nikogo. Nie czuł jednak wyrzutów, wiedział bowiem, że unosi się na wielkiej

fali jak surfer i zawsze musi się liczyć z tym, że nadejdzie koniec dobrej passy. Mógł tylko się zastanawiać, kiedy to nastąpi i w jaki sposób. Przeczytał ogłoszenie czterdziestolatki do końca i od razu natrafił na problem.

- Curtis, ona szuka faceta o ciele Christiana Bale'a.
- Myślę, że w jej wieku musi trochę zaniżyć standardy.
- Ona chce Christiana Bale'a i kiedy stuknie jej pięćdziesiątka, wciąż będzie na niego czekać.

Curtis pokręcił głową i razem z Dave'em pochylił się nad ogłoszeniami.

Andy pociągnął łyk piwa i zwrócił się do Tresa.

- Ile miałeś dziewczyn, tak na oko?
- Od kiedy?
- Odkąd zacząłeś zadawać się z dziewczynami.
- Dziesięć - odparł Tres po chwili namysłu. - Nie licząc znajomości na jedną noc, takich na studenckich imprezach.
- I przez cały ten czas byłeś bogaty?
- No tak. - Tres wzruszył ramionami.
- A jak myślisz, ile dziewczyn w swoim życiu mógł mieć taki facet jak Russell Reeves?
- Jak już został miliarderem, czy wcześniej?
- Wcześniej.
- Zero. Bez kasy ma mniej do zaoferowania niż Curtis.
- A te dziesięć twoich byłych... Zastanawiałeś się kiedyś, jak im się teraz powodzi?
- Pewnie. Mam nadzieję, że te dwie, które puściły mnie w trąbę, są teraz samotne i nieszczęśliwe. A pozostałym życzę jak najlepiej.
- Ale odpowiedz poważnie.
- Poważnie? Nie myślę o nich.
- Czuleś się kiedyś winny wobec nich?

- Winny? Z jakiego powodu?
- Ze sypiałeś z nimi, a potem odszedłeś.
- A czemu miałbym czuć się winny?
- Sam nie wiem, ale czułeś się?
- Absolutnie nie.
- A dałbyś im pieniądze?
- Za co?
- Aby pozbyć się wyrzutów sumienia, że je porzuciłeś.
- Ale ja nie mam z tego powodu wyrzutów. Wręcz przeciwnie.

Andy pociągnął łyk z butelki.

- Lorenzo, ten detektyw, śledził Bruce'a - zmienił temat Tres.
- Jakiego Bruce'a?

- Tego prezentera sportowego.

- Myślałem, że chcesz, aby śledził Natalie.

- Chciałem i śledził ją przez miesiąc. A potem zajął się Bruce'em i trafił do... Oilcan Harry's.

- Więc to pedzio? - zdziwił się Andy.

- Najwyraźniej.

Oilcan Harry's był popularnym klubem dla gejów położonym w śródmieściu Austin.

- Czy on nie grał w drużynie uniwersyteckiej jako wspomagający obrońca?

- Myślę, że wszystkie te lata spędzone w szatniach pełnych nagich osiłków zrobiły swoje.

- Więc Natalie nie zdradza cię z nim?

- Nie ma takiej opcji.

- To z kim?

- Z nikim.

- Może powinieneś zacząć jej ufać, Tres, skoro zamierzasz się z nią ożenić? Niezależnie od tego, czy nosi majtki czy nie.

- Może zacznę.
- A co tam nowego w sprawie waszej indyjskiej surogatki?
- Ma na imię Prisha. Osiemnaście lat, nie była mężatką, żadnych narkotyków, żadnych wykroczeń, żadnych chorób... dziewica.
- To będzie dla niej brutalna inicjacja.
- Prawdopodobnie nigdy potem nie będzie uprawiała seksu. A skoro już o tym mowa, wybierasz się potem do Qua?
- Czemu nie?
- Umówiłeś się z Suzie?
- Z Bobbi.
- Bobbi jest miła.
- Nawet bardzo.
- Praca dla Russella Reevesa odmieniła twoje życie. - Tres trącił przyjaciela w ramię. - Przedtem wertowałeś te ogłoszenia i nie mogłeś sobie pozwolić na Pangea czy Qua, że już o Suzie czy Bobbi nie wspomnę. A teraz, patrzcie go.
- Nadal jestem tym samym facetem.
- Nie, Andy. - Tres dopił resztę piwa. - Nigdy już nie będziesz taki sam. Kiedy raz poczujesz smak pieniędzy, kiedy przekonasz się, ile możesz dzięki nim zdziałać i jak zmieniły podejście ludzi do ciebie, już nie zawrócisz z tej drogi. Nie będziesz chciał zawrócić. Zrobisz wszystko, co się da, aby do tego nie dopuścić. I już nie będziesz taki jak dawniej.

Rozdział 13.

Kiedy następnego ranka Andy przyjechał do biura, na schodkach przed drzwiami do salonu Ramona zastał młodzieńca ostrzyżonego jak komandos z militarnymi tatuażami na ramionach. Chłopak trzymał na kolanach jakąś paczkę, a obok siedział Floyd T, i wymachując protezą lewej nogi, snuł wojenne wspomnienia.

- Pan McCloskey kazał mi zostawić tę paczkę w salonie ta-tuażu, gdybym pana nie zastał, ale tam też jest jeszcze zamknięte.

- Ramon pracuje do późna, dlatego późno wstaje.

- Mówiłem mu - wtrącił Floyd.

Andy wręczył weteranowi torebkę ze śniadaniem, pokwitował odbiór paczki i poszedł na górę. Rozsiadł się na krześle i wyjął z koperty zabindowany plik kartek zawierający szczegółowe informacje na temat Sue Todd. Dossier było podzielone na przegląd spraw osobistych, karierę zawodową i historię karalności.

Sue Todd nie miała konfliktów z prawem, jej kariera zawodowa nie należała do bogatych, a życie osobiste było nieciekawe.

Miała trzydzieści sześć lat, była niezamężna i bezrobotna. Mieszkała w domu czynszowym w Pasadenie, robotniczej dzielnicy na przedmieściach Houston. Jeździła dwunastoletnią hondą i miała dwunastoletniego syna imieniem Ricky.

Andy spojrzął na zegarek. Był kwadrans po dziewiątej. Spakował do plecaka aparat z teleobiektywem, który kupił dzień wcześniej, i zadzwonił po taksówkę.

Po czterdziestu pięciu minutach lotu na południowy wschód Andy wylądował na lotnisku imienia Hobby'ego położonym na obrzeżach Houston. Samoloty do Houston odlatywały z Austin co dwie godziny i stanowiły równie dogodny i niemal tak samo reprezentacyjny środek komunikacji jak autobus.

Dotarł do miasta o wpół do dwunastej i wynajął cadillaca CTS z systemem nawigacji satelitarnej, która była bezużyteczna, gdyż bez pomocy Curtisa nie potrafiłby jej nawet uruchomić. Skorzystał więc z planu Houston, który znalazł w schowku. Bez trudu znalazł miasteczko Pasadena, które leżało na wschodzie oddalone o kilka kilometrów od lotniska po drugiej stronie drogi międzystanowej numer 45. Jego północne obrzeża przylegały do Houstonskiego Kanału Żeglugowego, który stanowił część portu Houston.

Port ten zajmuje w Stanach Zjednoczonych drugie miejsce pod względem ruchliwości, czego nie umniejsza fakt, iż Houston leży w odległości ponad osiemdziesięciu kilometrów od najbliższego akwenu, czyli zatoki Galveston. W 1900 roku, kiedy wielki huragan spustoszył miasto Galveston, zabijając siedem tysięcy mieszkańców i niszcząc tamtejszy port, zwolennicy rozwoju Houston dostrzegli wielką szansę dla swego miasta. Udali się do Waszyngtonu i przekonali władze federalne, że kraj potrzebuje bezpiecznego portu położonego w głębi lądu, w miejscu takim, jak dajmy na to, Houston. Pogłębili więc rozlewisko rzeki Buffalo i w ten sposób powstał kanał żeglugowy, który zaczyna się na wschodnim krańcu śródmieścia, a kończy nad zatoką Galveston.

Podczas II wojny światowej rafinerie ropy naftowej i zakłady petrochemiczne rozkręciły interes nad brzegami kanału, dostarczając paliwo i zapewniając dostawy dla walczącej armii. Nikt nie przejmował się zanieczyszczeniami, kiedy ważyły się losy wojny. Sześćdziesiąt lat później nadal nikt nie przejmował się zanieczyszczeniami. Obecnie kanał żeglugowy stanowi jedno wielkie skupisko ośrodków przemysłu naftowego, woda jest skażona dioksynami i polichlorowanymi bifenylami, a powietrze jest tak gęste od zanieczyszczeń, że nie tyle się je wdycha, ile połyka.

Andy wjechał do Pasadeny. Masy robotników ściągnęły tu za pracą w rafineriach i fabrykach, więc wzdłuż wybrzeży kanału rozrastały się osiedla mieszkalne. Miasteczka takie jak Deer Park, Galena Park i Pasadena przeżywały swój rozkwit, lecz obecnie tylko biedota mieszkała nad kanałem i wdychała gęste powietrze. Przedstawiciele klasy średniej wyprowadzili się stamtąd, a wyższe sfery zawsze mieszkały po drugiej stronie Houston.

Tuż przed południem Andy zajechał pod dom Sue Todd. Kobieta wciąż mieszkała pod ostatnim znanym adresem, jaki figurował na liście dostarczonej przez Russella Reevesa. Jej telefon wciąż był zarejestrowany na nazwisko chłopaka, który ją opuścił. Mały domek stał w cieniu kominów fabrycznych, które górowały nad okolicą, wyrzucając w powietrze kłęby dymu i pary. Na podjeździe przed domem stała wiekowa honda, więc Andy zaparkował przy ulicy, skąd miał lepszy widok. Zastanawiał się, czy Russell kupi Sue nowy samochód i dom w lepszej części miasta.

Zostawił włączony silnik i podkręcił klimatyzację. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i zaczął przeglądać dossier, gdy z budynku wyszła kobieta ubrana w dżinsy i podkoszulek. Andy zdążył zrobić

jej kilka zdjęć, zanim usiadła za kierownicą i odjechała. Ruszył za nią. Zatrzymała się przed szkołą i zaparkowała w zatoczce. Ze szkoły wyszedł chłopiec w czapce włóczkowej i wszedł do samochodu. Andy śledził ich aż do kliniki, gdzie stanęli na parkingu i wysiedli. Chłopiec zdjął czapkę. Był łysy.

Andy nabrał złych przeczuc. Zrobił jeszcze kilka zdjęć i wszedł za nimi do wnętrza budynku, a potem do windy. Kobieta obdarzyła go ponurym uśmiechem. Gdy wyszli na korytarz, śledził ich dalej, aż dotarli pod drzwi, na których wisiała tabliczka z napisem „Onkolog”.

Ricky Todd miał raka.

Cholera. Kiedy Andy podejmował się tego zadania, spodziewał się, że będzie latał po całym kraju pierwszą klasą, nocował w pięciogwiazdkowych hotelach i jadał wymyślne potrawy. Miał żyć jak panisko na koszt bogatego klienta. Jako prawnika nie mogło go spotkać nic lepszego. Miał się spotkać z byłymi partnerkami swego pryncypała i wręczyć im pieniądze, aby mogły spłacić długi, kupić nowy dom albo pojechać na wymarzone wakacje, opłacić dziecku studia, wstawić aparat ortodontyczny albo wyprawić wesele. Ale nigdy nie przypuszczał, że zobaczy ciężko chore dziecko.

Andy stał w korytarzu. Nie cierpiał gabinetów lekarskich. Przykre zapachy, przykre myśli, przykre wiadomości. Przemógł się jednak i wszedł do poczekalni, w której nie było nikogo poza kobietą i chłopcem. Usiadł naprzeciwko nich. Kobieta spojrzała na niego, a jej ponury uśmiech ustąpił teraz miejsca zmieszanej minie. Już nabrał powietrza, aby zacząć wszystko wyjaśniać, ale w tym momencie otworzyło się szklane okienko w jednej ze ścian i jakiś głos wywołał jej nazwisko. Sue Todd podeszła do okienka i do uszu Andy'ego dobiegł fragment rozmowy.

- Nadal nie ma pani ubezpieczenia? - zapytał głos.

- Nie mam.

- A kartę kredytową?

- Proszę spróbować tę. - Sue podała kartę przez okienko.

Po minucie z wnętrza wychyliła się ręka i zwróciła jej kartę.

- Ma pani jakąś inną?

- Żadnej, którą można by obciążyć.

- Pani Todd, trzeba uregulować tę należność - odezwał się głos, a ręka znów wychynęła z okienka, aby pokazać zawieszony powyżej napis, który informował, że „w razie braku potwierdzonego ubezpieczenia wymagana jest pełna opłata za świadczenie”.

- Proszę. Ja to jakoś ureguje. Jemu jest potrzebna chemioterapia.

- Skontaktuję się z kierownikiem finansowym.

Szybka w okienku zasunęła się, a Sue oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy.

- Kierownik finansowy będzie decydował, czy moje dziecko dostanie chemię - powiedziała do siebie, jak gdyby nie wiedziała, czy ma się roześmiać czy rozplakać.

Andy zerknął na Ricky'ego i ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, po czym chłopiec opuścił oczy i wlepił wzrok we własne dłonie. Okienko w ścianie otworzyło się ponownie.

- Powiedział, że jeszcze tylko tym razem, pani Todd - przemówił głos z wnętrza. - Przed następnym zabiegiem musi pani wszystko uregulować.

- Dziękuję.

Okienko zamknęło się, a w drzwiach obok stanęła pielęgniarka.

- Będę tu na ciebie czekać, kochanie - zwróciła się Sue do syna.

Chłopiec wstał i ruszył w stronę gabinetu, jakby robił to już wiele razy. Pielęgniarka zamknęła za nim drzwi, a Sue opadła na krzesło i westchnęła głośno, jakby wydawała ostatnie tchnienie.

- Staram się nie płakać przy nim. - Zaczęła szlochać. - Dają mi chemię, ale to nie powstrzyma chłoniaka na długo. Parę lat temu w klinice poddano go eksperymentalnej terapii za pomocą komórek macierzystych, ale bez efektu. Nic nie pomaga.

- Od jak dawna to trwa?

- Cztery lata.

- Nie ma pani ubezpieczenia?

Kobieta potrząsnęła głową.

- Straciłam pracę w zeszłym roku. - Otarła łzy. - Teraz nikt mnie nie zatrudni, bo przez jego chorobę wzrastają składki ubezpieczenia zdrowotnego.

- A jego ojciec?

- Odszedł. Postawiłam na niewłaściwego mężczyznę.

- Jak pani sobie radzi?

- Korzystam z kart kredytowych. Jestem już zadłużona na sto tysięcy i dostaję nieprzyjemne listy. - Machnęła ręką w stronę okienka. - Nie wiem, skąd wezmę na lekarza. A teraz wywnętrzam się przed nieznanym. Oto, co rak potrafi zrobić z człowieka. Zabija na wszystkie możliwe sposoby. Wysysa pieniądze, odziera z dumy, odbiera chęć do życia i wdeptuje w ziemię.

- Jakie szanse ma pani syn?

- Nie najlepsze. To wszystko wina tych rafinerii i zakładów chemicznych.

- Jego choroba?

Sue pokiwała głową.

- Dzieci w okolicy cały czas kaszlą i mają krwotoki z nosa. Kiedy mieszkasz w okolicy kanału, dwukrotnie wzrasta prawdopodobieństwo, że twoje dzieci zachorują na raka z powodu tych

toksycznych chemikaliów, które wypuszczają fabryki. Poziom stężenia substancji rakotwórczych jest dwadzieścia razy większy niż gdziekolwiek indziej w kraju. Tak pisali w gazecie. To świństwo zabija nasze dzieci, a rząd nic z tym nie robi.

- Czemu nie wyjedziecie?

- Jeżeli się stąd wyprowadzimy, będziemy mieszkać w samochodzie.

Sue Todd wyglądała na dwadzieścia lat starszą, niż była w rzeczywistości. Nieszczęście przytoczyło ją, pozbawiając najlepszych lat życia. Z młodej dziewczyny stała się od razu przedwcześnie postarzałą kobietą. Nie była jedną z tych, które szukają kochanków na Lovers Lane. Musiała się troszczyć, jak przeżyć kolejny dzień. I jak ocalić swoje dziecko.

Trzy godziny później Andy siedział w swoim biurze przy składanym stoliku naprzeciwko miliardera, którego syn umierał na białaczkę. Rak okazał się zabójcą, wobec którego wszyscy byli równi.

Andy przyleciał z powrotem do Austin, wziął taksówkę z lotniska i udał się do zakładu fotograficznego, aby zamówić odbitki. Zdjęcia, które zrobił Sue Todd i jej synowi, leżały teraz na stoliku.

- Rozpoznajesz ją? - zapytał.

Russell Reeves przyglądał się badawczo fotografiom.

- Wygląda o wiele starzej. Ten chłopiec ma raka?

Andy pokiwał głową.

- Pojechałem za nimi do kliniki onkologicznej i rozmawiałem z Sue. Nie ma ubezpieczenia, więc wykorzystwała limit ze wszystkich kart kredytowych i jest zadłużona na sto kawałków. W klinice nie chcieli podać chłopcu chemii, bo nie miała czym zapłacić. Musiała błagać.

Russell pocierał palcami skronie, jakby bolała go głowa.

- Przeleję pięćset tysięcy na twój rachunek operacyjny. Wystawisz czek na jej nazwisko - oświadczył, po czym zamilkł na moment. - Nie, przeleję milion. Skierujesz ją na oddział dziecięcy w klinice onkologicznej Andersona. Zadzwoń tam wcześniej. Jej syn będzie miał najlepszą opiekę, jaką można mu zapewnić. Za darmo.

- Byłeś tam?

- Tak, Andy. Z moim synem.

Russell Reeves wstał i wyszedł bez słowa. Andy mógłby przyśiąć, że widział łzy w jego oczach.

Następnego dnia Andy znów poleciał do Houston. W czasie rejsu nie pił piwa ani nie flirtował ze stewardesą. Rozmyślał o Sue i Rickym oraz o czeku, który spoczywał w jego kieszeni. Czy pieniądze zdołają ocalić życie tego chłopca?

Pojechał prosto do domu Sue Todd. Honda stała na podjeździe. Właśnie zastanawiał się, co jej powiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi frontowe i stanęła w nich Sue. Podeszła do furtki i wyjęła ze skrzynki pocztowej gruby plik listów. Bez wątpienia musiały to być wezwania do zapłaty. Usiadła na ławeczce przed werandą i zaczęła rozdzierać koperty, a po każdej następnej zdawała się coraz bardziej kurczyć w sobie. Gdy przejrzała wszystkie, ukryła twarz w dłoniach. Andy wysiadł z samochodu i ruszył w jej stronę.

- Sue.

Kobieta otarła łzy z twarzy.

- Spotkaliśmy się wczoraj w klinice. Czy mogę usiąść?

Sue pokiwała głową i Andy zajął miejsce obok niej.

- Nazywam się Andy Prescott. Jestem prawnikiem.
- Nie mam z czego oddać.
- Nie przyszedłem tutaj, żeby egzekwować twoje długi, tylko żeby je spłacić.

Wyciągnął z kieszeni kopertę, w której znajdował się czek wystawiony na jej nazwisko. Podał go jej drżącymi rękami.

- Co to jest? - kobieta znów wytarła oczy.
- Czek gotówkowy.
- Milion dolarów? Na co to?
- Dla ciebie. I dla Ricky'ego.
- Dlaczego?
- Tytułem rekompensaty.
- Za co?
- Za przeszłość.
- Od kogo to?

- Nie mogę tego ujawnić. Ale mój klient poczynił odpowiednie kroki, aby Ricky został przyjęty do kliniki Andersona. - Andy wręczył jej wizytówkę z nazwiskiem lekarza i numerem telefonu zapisanym na odwrocie. - Czeka ją tam na ciebie. Za nic nie musisz płacić.

- Mogę go tam zawieźć już dziś?
- Tak, ale najpierw zrealizuj czek.
- Czy to nie jest jakiś kawał? - Kobieta obracała czek w palcach, jakby chciała się upewnić, czy nie jest fałszywy.
- Nie, to nie jest kawał.

Łzy spłynęły po jej twarzy, ale uśmiechnęła się i od razu jakby trochę odmłodziła. Obydwoje wstali z ławki.

- Dziękuję ci, Andy. I dziękuję twojemu klientowi.
- I jeszcze jedno, Sue. Wyprowadźcie się stąd.

Sue Todd objęła go i rozplakała się z twarzą wtuloną w jego ramię. Płakała tak długo, aż całkiem przemoczyła mu koszulę. Kiedy Andy wracał do samochodu, również nie mógł powstrzymać łez.

Rozdział 14.

Dwa dni później Andy Prescott leciał pierwszą klasą do Chicago i miał nadzieję, że tym razem poszukiwania okażą się prostsze. Liczył, że w piątkowy wieczór zje porządny stek w restauracji Morton's, w sobotę odnajdzie bogatą kobietę ze zdrowymi dziećmi, a w niedzielę obejrzy mecz Chicago Bears.

Wynajął lexusa, zameldował się w hotelu Ritz, zjadł stek na kolację, a następnego ranka znalazł Amandę Pearce. Miała trzydzieści osiem lat i wyglądała na zdrową. Kiedy wyszła z domu, by wyjąć ze skrzynki poranną gazetę, zrobił jej kilka zdjęć. Mieszkała w miłej podmiejskiej okolicy, a na podjeździe stał jeden z nowszych modeli buicka. Ludzie ci nie byli bogaci, ale też nie biedni. Po kilku minutach z domu wyszedł mężczyzna w średnim wieku, a za nim kilkunastoletnia dziewczynka w stroju cheerleaderki. Oni też wyglądali na zdrowych. Andy wykonał kolejną serię zdjęć. Z dossier wynikało, że Amanda ma jeszcze czternastoletniego syna.

Był już przekonany, że z rodziną Pearce'ów wszystko jest w porządku, dopóki nie otworzyły się drzwi garażu. Ze środka wyjechała furgonetka i zatrzymała się na podjeździe. Nie był to rodzinny minivan ani van do przewożenia ładunków, ani też przeroziony samochód kempingowy. To była specjalnie wyposażona furgonetka. Wysiadła z niej Amanda i wróciła do garażu. Po chwili

wyszła stamtąd, pchając wózek, na którym siedział chłopiec.

W samochodzie był zamontowany podnośnik, za pomocą którego Amanda umieściła wózek w środku, po czym siadła za kierownicą, wycofała i odjechała. Andy ruszył w ślad za nią. Kilka przecznic dalej kobieta zaparkowała na miejscu dla niepełnosprawnych przed szkolnym stadionem futbolowym, weszła z wózkiem na teren obiektu i ustawiła go przy niskim siatkowym ogrodzeniu, które otaczało boisko. Andy przystanął parę metrów dalej, oparł się o płotek i patrzył na mecz. Po kilku minutach uśmiechnął się do Amandy i chłopca.

- Nieźle im idzie - zagadnął. - Czy pani syn tam gra?

- Nasza córka jest cheerleaderką. - Wskazała na przeciwległy kraniec boiska. - Tamta po prawej, ma na imię Becky. A to nasz syn, Carl.

- Cześć Carl.

Chłopiec miał drgawki. Próbował odpowiedzieć „dzień dobry”, ale nie był w stanie wyartykułować całego słowa. Amanda nachyliła się w stronę Andy'ego.

- Jest chory na porażenie mózgowie. Nie może już chodzić. Obustronna spastyczna parapareza - wyjaśniła i zamilkła na chwilę. - Patrzę na tych chłopców biegających po boisku i wciąż się zastanawiam, dlaczego Carla to spotkało.

Następnego ranka Andy wrócił do Austin, a po południu spotkał się ze swym klientem. Miliarder czytał dossier i studiował zdjęcia Amandy oraz jej syna.

- Dlaczego jeździ na wózku? - odezwał się w końcu.

- Ma porażenie mózgowie. Obustronna spastyczna para... parapara...

- Parapareza. Częściowy paraliż.

Russell Reeves oparł łokcie na stoliku i długo siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Zdawał się nie być zaskoczony wieścią, że Amanda Pearce również ma chore dziecko.

- To normalna rodzina z klasy średniej - dodał Andy. - Mają ubezpieczenie, ale opieka nad takim dzieckiem i tak stanowi poważne obciążenie finansowe. Gdy zapytałem o to Amandę, uśmiechnęła się tylko i powiedziała, że jest tego wart.

- Matczyna miłość.

Następnego ranka Andy znów poleciał do Chicago i zastukał do drzwi Amandy Pearce. Wręczył jej czek na milion dolarów i oświadczył, że Carl ma opłacone koszty leczenia na oddziale dziecięcym Memorial Hospital. Kobieta nie mogła powstrzymać łez.

Dzień później Andy leciał pierwszą klasą do Nowego Orleanu i modlił się, by nie natrafić na kolejne chore dziecko. Jego modlitwa została wysłuchana, aczkolwiek czekało go coś o wiele gorszego.

Wynajął chevroleta corvette, zatrzymał się w hotelu French Quarter i zjadł kolację w K-Paul's. Tego samego dnia odnalazł Tamekę Evans. Ta czarnoskóra trzydziestopięciolatka, której nie powodziło się najlepiej, była samotną matką wychowującą trzech chłopców i dziewczynkę, a przynajmniej tak wynikało z dossier. Jej atrakcyjny wygląd wskazywał na to, że przed piętnastu laty musiała być piękną kobietą. Andy obfotografował ją z samochodu, a potem usiadł na ganku małego drewnianego domku, który przetrwał atak huraganu Katrina, ale wciąż nosił ślady zniszczeń. Długo rozmawiał z Tameką Evans o jej życiu i życiu jej dzieci, a potem długo siedział w samochodzie, zanim odjechał.

Wrócił do Austin, by następnego dnia spotkać się z Russellem. Jego klient przeczytał dossier, przejrzał zdjęcia i zaczął wypytywać o Tamekę i jej dzieci.

- Ile lat mają jej synowie?
- Siedemnaście, piętnaście i trzynaście.
- Wszystko z nimi w porządku? - zapytał, jak gdyby spodziewał się jakichś problemów.
- Tak. Są zdrowi.
- A jej córka?
- Miałaby dziesięć lat.
- Miałaby? - Russell podniósł wzrok znad papierów.
- Ona nie żyje.
- Nie żyje? Nie ma tu nic na ten temat.
- Hollis musiał przeoczyć akt zgonu. To pewnie z winy huraganu, kiedy zaginęło wiele dokumentów. Była chora na anemię sierpowatą. Przed kilkoma laty próbowano ją leczyć eksperymentalnymi metodami, ale zmarła w zeszłym roku. Na udar.

Russell pokręcił głową.

- Trzy kobiety - ciągnął Andy. - I troje chorych dzieci. Trochę to dziwne, nie sądzisz?

- Nieszczęścia chodzą po ludziach.
- Russell, czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?
- Co masz na myśli?
- Te kobiety.
- To znaczy?
- To znaczy, że Tameka Evans jest ubogą Murzynką, którą nie ukończyła dziewiątej klasy. A ty jesteś genialnym miliarderem. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że umawiacie się na randkę.

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem, po czym na twarzy Russella pojawił się wyraz rezygnacji.

- Nie chodziliśmy na randki. - Westchnął ciężko. - Zapłaciłem jej, żeby spędziła ze mną noc, kiedy bawiłem w Nowym Orleanie.

Byłem wtedy młody. Nie czuję się z tego dumny.

Andy nie brał pod uwagę takiej ewentualności.

- Posłuchaj mnie, Andy - ciągnął Russell. - Wiem o tych kobietach tylko tyle, że przed laty miałem styczność z każdą z nich. A teraz one potrzebują mojego wsparcia. A ja im go udzielę. Czy chcesz mi w tym pomóc?

Andy przypomniał sobie Tamekę Evans, która siedząc na gan-ku, oplakiwała zmarłą córeczkę. Następnego dnia poleciał znów do Nowego Orleanu i wręczył jej czek na milion dolarów.

Co drugi dzień Andy przyjeżdżał do biura, gdzie czekało na niego kolejne dossier przesłane przez Hollisa McCloskeya. Poleciał do Seattle, aby odnaleźć Beverly Greer, która przeniosła się tam z Denver. Zrobił jej zdjęcia, wrócił do Austin i spotkał się z klientem.

- Ile ma lat?
- Trzydzieści pięć.
- A jej syn?
- Dziewięć.
- Co mu dolega? - zapytał Russell, jakby już się czegoś spodziewał.

- Hipoplazja nerwu wzrokowego. Jest niewidomy.

Andy poleciał do Dallas, gdzie znalazł Pam Ward wcześniej zamieszkałą w Los Angeles. Zrobił jej zdjęcia i spotkał się z Russellem Reevesem.

- Ma trzydzieści dwa lata.
- A dziewczynka?
- Jedenaście.
- Co jej jest?
- Choroba Battena.

W Miami Andy odnalazł Sylvie Gutierrez. Z jej zdjęciami wrócił do Austin na spotkanie z Russellem.

- Ma trzydzieści osiem lat, a jej syn piętnaście.
- Co z nim?
- Miewa ataki padaczki po urazie głowy, którego doznał podczas gdy w piłkę.

Andy latał pierwszą klasą, wynajmował luksusowe samochody i nocował w pięciogwiazdkowych hotelach, korzystając z wszelkich wygód. Odnajdywał kolejne kobiety, które okazywały się matkami chorych dzieci, a potem dostarczał każdej z nich czek na milion dolarów. Obdarowane płakały i on też płakał. Andy Prescott był hojnie opłacany za czynienie dobra. Czuł się jak Robin Hood, tyle że nie musiał nikogo okradać. Bogacz dobrowolnie rozdawał pieniądze.

Jednak z każdym dniem taki wystawny tryb życia stawał się coraz mniej ekscytujący. Andy wzdrygał się przed kolejnym spotkaniem z jakąś zdesperowaną kobietą i jej chorym dzieckiem. Sześć byłych partnerek i... sześcioro chorych dzieci. To nieprawdopodobne. Gdy tego ranka Reeves zadzwonił w sprawie opóźnienia z odnalezieniem siódmej kobiety, Andy postanowił, że najwyższy czas wyjaśnić, co jest do cholery grane. Klient posłał po niego limuzynę.

Przez całą drogę Darrell nie odezwał się ani słowem. Nie wyskoczył też zza kierownicy i nie okrążył samochodu, aby otworzyć Andy'emu drzwiczki. Zatrzymał się tylko przed otoczonym kolumnadą wejściem do rezydencji miliardera, zaczekał, aż Andy wysiądzie, po czym odjechał.

Właśnie minęło południe. Andy podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Otworzyła mu Latynoska w średnim wieku.

- Pan Prescott? - zapytała.
- Tak, to ja.
- Zapraszam do środka.

Andy znalazł się we wspianym, wyłożonym marmurem holu.

- Pan Reeves prowadzi teraz telekonferencję. Powiedział, że wkrótce do pana przyjdzie. Czy poczęstuje się pan czymś?

- Dziękuję, nie jestem głodny.

- Przyszedłeś zobaczyć się z moim tatą?

Do holu wszedł szczupły chłopiec. Był ubrany w bluzę z emblematem drużyny Boston Celtics, a na łysej głowie miał czapkę nowojorskich Jankesów włożoną daszkiem do tyłu. Kolejne chore dziecko.

- Tak. Jestem Andy Prescott.

- A ja Zach. - Chłopiec wyciągnął zaciśniętą dłoń i przybili żółwika. - Umiesz grać w Guitar Hero?

- Zach, ja sam jestem Guitar Hero.

- Proszę, nie rób sobie wielkich nadziei.

- No to dawaj, kolego. - Andy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Dzieciak grał świetnie. Był naprawdę dobry. Andy nie miał z nim szans.

- Wykańczasz mnie, kolego - jęknął Andy. - Poddaję się.

Obydwaj opadli na oparcia foteli. Pokój Zacha był większy od całego domu, który Andy wynajmował przy Newton Street, i znajdowały się w nim wszystkie elektroniczne gadżety i gry, jakie tylko sprzedawano. Chłopiec musiał zauważyć zazdrosne spojrzenie swego gościa.

- Spędzam tutaj większość czasu. Dzięki, że ze mną zagrałeś. Mojemu tacie nie najlepiej to wychodzi.

- A nie grywasz z kolegami ze szkoły?

- Nigdy nie chodziłem do szkoły. Tata zatrudnił nauczycieli. Asystentów z uniwersytetu. To oni uczą mnie angielskiego,

przyrody, hiszpańskiego. *Le gustaria una revancha, por favor?*

- Podoba ci się to?
- Hiszpański?
- Nauka w domu.
- Nauczyciele są w porządku, ale wolałbym chodzić do szkoły

jak inne dzieci.

- No to kim chciałbyś zostać, kiedy dorośniesz, Zach?
Chciałbyś zawodowo grać w Guitar Hero?

- Chciałeś powiedzieć, jeżeli dorosnę.
- Chciałem powiedzieć kiedy.
- Albo środkowym łapaczem u Jankeśów, albo rozgrywającym w Celtics, albo napastnikiem u Kowbojów.

Andy spojrział na chłopca, który wlepił wzrok w przestrzeń, jakby rozważał szanse, czy zostanie gwiazdą sportu, czy w ogóle dorośnie.

- A ty, Andy? - spytał Zach. - Kim będziesz, jak dorośniesz?
- Jeszcze się nie zdecydowałem.
- Kim pan jest? - rozległ się surowy kobiecy głos.

Andy odwrócił się i rozpoznał Kathryn Reeves. Zerwał się z fotela, a kobieta podeszła do Zacha i stanęła obok niego jak matka, która własnym ciałem zasłania dziecko przed obcym psem.

- Witam, pani Reeves. Nazywam się Andy Prescott i pracuję dla Russella.

- W jakiej branży?
- Prawniczej.
- Jest pan kurierem w jego kancelarii?

Andy miał na sobie dzinsy, tenisówki i podkoszulek z napisem „Austin jest do dupy - nie wprowadzaj się tu”. Nie był to ani dzień podróży, ani rozpraw w sądzie grodzkim.

- Nie, proszę pani. Jestem prawnikiem, we własnej firmie.

Cóż, z tą firmą było trochę naciągane, ale miałby powiedzieć prawdę? Bez wątpienia Russell nie wspomniał żonie o poszukiwaniach siedemnastu swoich byłych partnerek.

- Nigdy mi o panu nie wspominał. A co dokładnie robi pan dla Russella?

- Zajmuję się specjalnymi przedsięwzięciami - odparł wymijająco Andy, ale w tym momencie jego klient przyszedł mu z odsieczą.

- Andy to moja tajna broń - oświadczył miliarder z uśmiechem, po czym wskazał na wielki ekran i zwrócił się do syna. - Wygrałeś?

- Oczywiście.

- Liczę na rewanż - wtrącił Andy.

- *Revancha*. Na moim przyjęciu urodzinowym, w piątek, dobra?

- Jasne. Przyjdę, tutaj czy dokądkolwiek.

Zach obdarzył Andy'ego szerokim uśmiechem i uniósł rękę, by stuknąć się z nim pięścią.

- Chodźmy do mojego gabinetu - powiedział Russell Reeves.

- No to na razie, kolego. - Andy pożegnał się z chłopcem i spojrzał w stronę Kathryn. - Było mi bardzo miło panią poznać, pani Reeves.

- Mnie pana również - odparła bez przekonania.

Andy wyszedł za swoim klientem z pokoju Zacha.

Gdy tylko znaleźli się na korytarzu, z twarzy Russella Reevesa znikł uśmiech.

- Kathryn nie wie, co dla mnie robisz.

- Domyśliłem się.

Szli korytarzem w kłopotliwym milczeniu.

- Zach to miły chłopiec - rzekł wreszcie Andy.

- Chemia powstrzymuje raka, więc kiedy dojdzie do siebie po kuracji, ma dobry okres. Ale za każdym razem remisja jest coraz krótsza.

- Powiedział, że chciałby chodzić do szkoły i być normalnym dzieckiem.

- Żałuję, że tak nie jest. Zawsze był na to zbyt chory. Dlatego wynajmuję nauczycieli. A tak swoją drogą potrzebuję nowego matematyka. Myślisz, że twój przyjaciel Curtis zechciałby podjąć się takiego zadania?

Andy zaczął się zastanawiać, czy było coś, czego Russell Reeves nie wiedział na jego temat.

- Curtis Baxter jest matematycznym geniuszem. Za siedem miesięcy uzyska doktorat. Nie sądzisz, że to lekka przesada jak dla siedmiolatka?

- Zach ma iloraz sto sześćdziesiąt pięć.

- Dam ci numer Curtisa.

Weszli do przestronnego gabinetu. Wyglądał on dokładnie tak, jak Andy wyobrażał sobie gabinet miliardera. Kiedy podszedł do przeszklonej ściany, jego oczom ukazał się zapierający dech w piersiach widok na Lake Austin.

Russell okrążył biurko i ciężko opadł na fotel. W ciągu trzech tygodni ofiarował sześć milionów dolarów sześciu różnym kobietom. Było to zadośćuczynienie najwyższej próby, ale nie czyniło go szczęśliwszym.

- Tak naprawdę teraz one też nie są szczęśliwe - oświadczył Andy. - Twoje dawne dziewczyny.

- Wiem.

- Co się dzieje, Russell?

- Z czym?

- Z tymi kobietami. Ty masz chore dziecko, one też mają chore dzieci. Jak to możliwe?

- Już ci mówiłem. Nieszczęścia chodzą po ludziach.

- W sześciu przypadkach na sześć? Jakie jest prawdopodobieństwo?

- Jeden na milion. Takie były szanse, że mój syn zapadnie na ostrą białaczkę limfoblastyczną z obecnością chromosomu Filadelfia. Ale jeśli chodzi o choroby, rachunek prawdopodobieństwa jest bez znaczenia. I mówimy tu o sześciu przypadkach na siedemnaście, a nie na sześć kobiet. Jeszcze ich wszystkich nie znaleźliśmy - tłumaczył Russell. - Tak naprawdę chorych było szescioro spośród wszystkich ich dzieci, szesnastu jak dotąd, a pewnie doliczymy się ich trzydziestu lub czterdziestu, gdy dotrzemy do ostatniej z kobiet.

Trudno było nie przyznać mu racji.

- Ale czemu wciąż mam wrażenie, że jest coś, o czym mi nie mówisz?

- Po co miałbym cokolwiek przed tobą ukrywać? Jesteś moim prawnikiem i masz obowiązek strzec moich tajemnic - odparł miliarder, po czym zamilkł na moment. - Widzisz Andy, zdaję sobie sprawę, że nie jest ci łatwo patrzeć na te wszystkie chore dzieci. Nie jesteś z tym oswojony na co dzień, jak ja. Ale pomagamy im i to się liczy. Aczkolwiek jeśli nie możesz podołać temu zadaniu, powierzę je komuś innemu.

Andy gapił się przez okno i myślał o wszystkich tych niezszczęśnych matkach oraz ich chorych dzieciach, których los uległ poprawie dzięki Russellowi Reevesowi. Bez względu na to, co jego bogaty klient przed nim zatajał - a Andy był całkowicie pewny, że czegoś mu nie mówi! - koniec końców pomagali tym kobietom i dzieciom. I to było ważne. To był dobry uczynek. Andy Prescott nie był w stanie uratować swego ojca, ale mógł przynajmniej pomóc tym dzieciom.

- Dam radę.

- Dzięki, Andy. Kto jest następny?

- Hollis mówi, że ma problemy z siódmą.
- Jakiego rodzaju problemy?
- Ze znalezieniem jej.
- Nie może jej znaleźć?
- Najwidoczniej.
- Spotkaj się z tym McCloskeyem i zapłać mu, ile trzeba, ale niech odszuka mi wszystkie te kobiety.

Russell odprowadził Andy'ego do drzwi wejściowych, przed którymi czekała limuzyna. Darrell przejechał przez bramę i kierował się w stronę miasta, tymczasem Andy wyjął listę byłych partnerek swego klienta i spojrzął na nazwisko siódmej z kobiet. Tej, której Hollis nie mógł znaleźć.

- Gdzie się podziewasz, Frankie Doyle?

Karen James miała wielką ochotę na papierosa, ale konsekwentnie rzucała palenie. Zjechała starą toyotą do zatoczki przed szkołą i ustawiła się w kolejce. Samochód przed nią przesunął się parę centymetrów do przodu, więc również podjechała kawałek. Na chodnik wybiegły dzieci i z wawo wskakiwały do samochodów swoich rodziców. Objuczone wielkimi plecakami przypominały alpinistów wyruszających na wspinaczkę.

Nigdzie nie widziała Jessie.

Rozejrzała się dookoła, omiatając wzrokiem innych kierowców - matki, babcie, kilku ojców i meksykańskie opiekunki do dzieci. Były nawet w takim małym miasteczku. Otaczały ją samochody osobowe, terenówki i pikapy, luksusowe modele i stare graty. Szkoła publiczna przyjmowała wszystkich niezależnie od statusu majątkowego, rasy, narodowości, obywatelstwa czy stażu zamieszkania w dzielnicy. To im odpowiadało, gdyż wprowadziły się tu zaledwie dwa miesiące temu, tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego.

Karen dotarła już do końca zatoczki, ale jej córka się nie pojawiła. Za to podeszła do niej nauczycielka wychowania fizycznego, która czuwała nad opuszczającymi szkołę dziećmi i sprawiała wrażenie, jakby była w stanie bez większego trudu unieść jej toyotę. Wetknęła głowę przez okno po stronie pasażera i kazała jej udać się na parking po drugiej stronie budynku. Karen odjechała sprzed szkoły. Skręcając na parking, minęła czarną furgonetkę z przyciemnianymi szybami, która właśnie stamtąd wyjeżdżała. Spojrzała na kierowcę i zauważyła, że on też patrzy na nią. Przeszedł ją dreszcz.

Gdzie jest Jessie?

W jej głowie zaczęły rodzić się czarne scenariusze. Wsiadła z samochodu i odprowadziła wzrokiem znikający za zakrętem tajemniczy samochód. Idąc korytarzem w stronę sali, w której Jessie miała lekcje, nawet nie zdawała sobie sprawy, że przyspiesza kroku. Pani Nash, wychowawczyni trzeciej klasy, siedziała za biurkiem i porządkowała jakieś papiery. Była sama.

- Przepraszam...
- Ach, witaj Karen. - Pani Nash uniosła głowę.
- Gdzie jest Jessie?
- Wyszła już.
- Nie było jej przed szkołą.
- Nie było?
- Nie.
- No to może...

Karen już biegła wzdłuż korytarza i zaglądała do wszystkich sal. Pani Nash dogoniła ją pod gabinetem dyrektorki.

- Karen, ona na pewno gdzieś tu jest.
- Czy coś się stało? - W drzwiach stanęła dyrektorka.
- Nie możemy znaleźć Jessie - wyjaśniła pani Nash.

- Wezwę policję.
- Nie! - zaprotestowała Karen.
- Jessie wyszła wraz z innymi dziećmi - tłumaczyła wychowawczyni. - Karen mówi, że nie było jej przed szkołą.

- Zobaczmy w klasach.

Przeszukały każdą klasę w korytarzu biegnącym przez zachodnie skrzydło. Jessie nigdzie nie było. Zbiegły po schodach do sali gimnastycznej, gdzie dzieci grały w siatkówkę i koszykówkę. Jessie nie było wśród nich. Zajrzały do szatni.

- Jessie! Jessie!
- Lepiej zawiadomię policję. - Na twarzy dyrektor Stephens malował się strach.

- Sprawdźmy jeszcze wschodnie skrzydło - zaproponowała Karen.

W pośpiechu ruszyły wzdłuż korytarza. Jessie nie było ani w laboratorium chemicznym, ani w bibliotece, ani w pracowni plastycznej. Karen była już na skraju paniki, gdy wtem przez uchylone drzwi sali muzycznej zauważyła rudowłosą główkę.

- Jessie! - krzyknęła.

Jej ośmioletnia córeczka z uśmiechem na twarzy kręciła się na obrotowym taborecie stojącym przy pianinie.

- Cześć, mamó. - Spojrzała w stronę Karen, ale kiedy zauważyła panią Nash i dyrektorkę, mina jej zrzedła. - Ojej, nie powiedziałam nikomu, gdzie będę. Przepraszam.

- Przeszukałyśmy całą szkołę.
- Chciałam tylko trochę poćwiczyć.

Karen westchnęła ciężko i odwróciła się do nauczycielek.

- Przepraszam.

Obydwie z wyrozumiałością pokiwały głowami i poklepały ją po ramieniu. One też miały dzieci.

- Czy będę miała kłopoty? - zapytała Jessie, gdy wyszły już na parking.

- Nie, kochanie. Wracajmy do domu.

Karen marzyła, żeby zapalić.

Mieszczący się przy South Lamar Boulevard zakład szewski Texas Custom Boots dzielił niewielką przestrzeń z pracownią taksydermiczną. Można było tam za jednym zamachem obstalować buty robione na zamówienie i wypchać martwego jelonka. Paul Prescott ubrany w białe skarpetki stał na arkuszu grubego kartonu, podczas gdy szewc notował wszystkie życzenia - długość czubków, wysokość obcasa, wykończenie cholewki, ozdobne przeszycia, rodzaj skóry i kolor. Następnie obrysował jego stopę i skrupulatnie ją wymierzył.

- Czarny łoś - powiedział Andy. - Będą elastyczne, ale nie do zdarcia.

- Jak twoja matka.

Doktor Jean Prescott uśmiechnęła się jak oczarowana nastolatka. Andy musiał przyznać, że jego ojciec był w tym dobry. Miał w swych błękitnych oczach ten błysk, który urzekał kobiety bez względu na wiek i być może to właśnie dlatego żona i syn towarzyszyli mu podczas tak wielu knajpianych koncertów. Pewnego dnia, przed ośmiu czy dziesięciu laty, gdy byli razem nad strumieniem, Andy żartem napomknął o wielbicielekch snujących się po barach.

- Andy, jesteś już na tyle dorosły, by poznać prawdę o swoim starym - odparł wtedy jego ojciec. - Jestem pijakiem, ale wiernym pijakiem. Wiernym Josému Cuervo i twojej matce. Nigdy nie zawiodłem jej miłości.

A Jean Prescott trwała u boku swego męża.

Tego popołudnia przywiozła go do miasta na comiesięczne badania związane z kwalifikacją do przeszczepu. Odbył wiele wizyt u hepatologa, hematologa, kardiologa, gastrologa i psychiatry, a także odwiedził pracownika socjalnego, aby zapewnić, że nadal jest ktoś, kto otoczy go opieką po ewentualnej transplantacji. Musiał również spotkać się z pośrednikiem finansowym i potwierdzić, że ma aktualne ubezpieczenie, które jest w stanie pokryć koszty operacji i leków. Na koniec przeszedł serię testów, aby zachować miejsce w kolejce oczekujących. Cały zespół specjalistów stwierdził, że Paul Prescott jest absolutnie trzeźwy, gdy wystarczyłaby kropla alkoholu, aby skreślono go z listy i pozostawiono własnemu losowi.

Szewc skończył pomiary i Andy zapłacił połowę ceny w charakterze zaliczki, po czym wraz z rodzicami wyszedł na zewnątrz. Było po osiemnastej.

- A co powiecie na kolację w Threadgill's? - zapytał. - Ja stawiam.

Spodziewał się, że ojciec będzie próbował się wykręcić. Jego skóra miała teraz pomarańczowy odcień i dlatego niechętnie pokazywał się w miejscach publicznych. Tym razem jednak go zaskoczył.

- Cholera, przecież sobie nie odmówię kurczaka z rusztu. To jedyna okazja, kiedy mogę zjeść mięso.

Andy schował rower do przestronnego bagażnika samochodu matki - Jean Prescott była piekielnie dumna, kiedy licznik jej volvo station wagon z 1989 roku doszedł do pięciuset tysięcy kilometrów - a sam zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Szybko przejechali krótki odcinek dzielący ich od restauracji położonej przy East

Riverside Drive, nieopodal miejsca, gdzie kiedyś znajdowało się Armadillo.

- Serce mi pęka, ilekroć widzę ten biurowiec - powiedział ojciec. - To były dobre czasy. Willie zaczynał w najlepszym okresie.

- Ile on teraz ma lat? - spytał Andy. - Dziewięćdziesiąt?

Ojciec zachichotał. Andy uwielbiał, kiedy to robił.

- Dożyje dziewięćdziesiątki jak nic, ale w kwietniu skończył dopiero siedemdziesiąt pięć.

Willie Nelson był poetą, piosenkarzem, kompozytorem i żywym symbolem Teksasu. Mieszkał na ranchu na obrzeżach Austin.

- Wciąż koncertuje w mieście.

- Willie będzie śpiewał i pisał piosenki aż po kres swych dni.

Taki właśnie on jest. Tacy my wszyscy jesteśmy, Willie, Billy Joe, Jerry Jeff, Kris... tworzymy swoje piosenki od początku do końca. - Przerwał i wyciągnął mały notes oraz długopis. - Od początku do końca. Może uda mi się to gdzieś wykorzystać.

Ojciec i syn zamówili słynną na cały świat specjalność zakładu - smażony filet z kurczaka. Matka Andy'ego wybrała sałatkę.

- Jak ci się mieszka w nowym miejscu? - spytała syna.

- Cudownie.

- A twoja dziewczyna?

- Ta blondynka czy brunetka?

Ojciec rozparł się na krześle i parsknął śmiechem.

- Posłuchaj go tylko. Dwa miesiące temu umawiał się z Cur-tisem i Dave'em, a teraz musi opędzać się od pańienek.

- Ta blondynka - odparła Jean.

- Gdzie nas widziałas?

- We Whole Foods. Nie wkłada na siebie zbyt wiele.

- Chciałabyś zakryć takie ciało?

- Kurde, synu! - odezwał się ojciec. - Lepiej zjedz oba te ko-
tlety. Potrzebujesz dużo białka. Ten Reeves zmienił twoje życie.

- Na lepsze.

- Andy...

- Tak?

- Ale nie przyzwyczajaj się zbyt do tego nowego życia.

- Wciąż zajmujesz się tą rozbudową SoCo? - spytała matka.

- Odnową - poprawił Andy. - W trzech miejscach uzyskałem
zgode mieszkańców i prace już ruszyły. Inne muszą poczekać, bo
ostatnio trochę podróżowałem.

- Dokąd? - zainteresował się ojciec.

- Houston, Dallas, Nowy Orlean, Seattle, Miami, Chicago.

- Na polecenie Reevesa?

Andy pokiwał głową.

- Jakież interesy na rynku nieruchomości?

- Niezupełnie.

- To co?

- Tato, nie mogę tego powiedzieć. To poufne informacje. Ale
wszystko jest w porządku.

- Skoro tak mówisz. - Paul Prescott westchnął. - Cholera,
zimne piwo jest idealne do tego kurczaka.

- „Szukam przyjaciela. Nie możesz być kłamcą i musisz mieć
pracę”. - Curtis uniósł wzrok znad anonsu towarzyskiego. - To
brzmi dosyć szorstko.

Andy zapłacił Rondzie za następną kolejkę piw, które podała do
stolika. Rodzice podrzucili go do Güero's, gdy wracali do Wim-
berley. Tres dostał od Natalie przepustkę na wieczór z kolegami,
Curtis czytał na głos ogłoszenia, a Dave stał przy drzwiach

wejściowych i czekał na dziewczynę, z którą się umówił. Był zdenerwowany jak prawnik przed badaniem na wykrywaczu kłamstw.

- Nie do wiary, że ktoś odpowiedział na jego anons - nie mógł się nadziwić Tres.

- Napawa mnie to nadzieją - rzekł Curtis.

- Ty lepiej poszukaj sobie dziewczyny na portalu mensy.

- Dave włożył kowbojki, żeby wyglądać na wyższego - zauważył Andy.

- Musiałby chyba stanąć na krześle.

Curtis przeszedł do kolejnego ogłoszenia.

- Ta dziewczyna pisze: „Pragnę odnaleźć w życiu równość i sprawiedliwość”.

- I szuka przygodnego seksu?

- Jak na to wpadłeś?

- Długo cię nie było. - Tres zwrócił się do Andy'ego. - Reeves?

- Tak.

- Gdzie cię nosiło?

- Po całym kraju.

- Za czym?

- Poufna sprawa. Zobowiązałem do zachowania tajemnicy.

- Ale w nic się nie wpackowałeś, prawda, Andy?

- Nic z tych rzeczy, naprawdę. Bawię się w Robin Hooda.

- Przyszła - przerwał im Curtis.

Wszyscy spojrzeli w stronę drzwi wejściowych. Do Dave'a właśnie podeszła bardzo atrakcyjna blondynka. Wprawdzie daleko jej było do Suzie czy Bobbi, lecz on nie pracował dla Russella Reevesa. Zamienili parę słów, a potem ona pocałowała go w policzek.

- O ja cię... - Curtis jęknął.

Dave i blondynka weszli do środka i zasiedli przy stoliku w pierwszej sali, w której znajdował się bar. Z ogródka przed lokalem było ich wyraźnie widać przez okno. Ronda przyjechała od nich zamówienie i wróciła z dwoma margaritami. Rozmawiali, śmiali się i jedli jakieś meksykańskie danie. Dave zapłacił muzykom, żeby zaśpiewali przy ich stoliku.

- Ona je fajitas - zauważył Curtis. - Z wołowiną.
- No i co z tego?
- To, że on ma u niej szanse. Też jest mięsożerna.
- Wygląda, jakby nieźle się bawiła - dodał Tres.
- O w mordę... - Curtis nie krył zdumienia.

Dave zamówił następną kolejkę, a po chwili wstał i przez podwójne drzwi przeszedł do głównej sali. Dziewczyna uśmiechnęła się i pomachała mu palcami.

- Idzie do toalety - stwierdził Curtis. - Margarita już go pogoniła.

Toalety znajdowały się w tylnej części restauracji. Kiedy tylko Dave znikł z pola widzenia, z twarzy blondynki znikł uśmiech. Wyjęła telefon, coś do niego powiedziała, wstała i dopiła swojego drinka, po czym złapała torebkę i wyszła. Spieszyła się. Niemal przebiegła obok nich przez ogródek, a potem, idąc chodnikiem, minęła Oak Garden, gdzie koncertowali Los Flamos. Na Congress Avenue zatrzymał się przy niej jakiś samochód, a ona wskoczyła do niego i odjechała.

Wszyscy trzej znów skierowali wzrok przez okno do wnętrza. Dave, który właśnie wrócił do stolika, rozglądał się dokoła ze zmieszaną miną. Kiedy spojrzął w ich stronę, Andy przywołał go skinieniem ręki.

- Ona też poszła do toalety?

Tres i Curtis spuścili wzrok, pozostawiając Andy'emu przekazanie tej przykrej wiadomości.

- Ona dała nogę.
- Wyszła?

Andy pokiwał głową. Dave sprawiał wrażenie, jakby uszło z niego powietrze.

- Myślałem, że nieźle się bawi. - Opadł ciężko na krzesło.

Andy uniósł pustą butelkę, dając Rondzie znak, by podała im następną kolejkę.

- Przesrane, stary. - Curtis poklepał przyjaciela po ramieniu.

Dave potrząsnął głową.

- Człowieku, jak ona cudownie pachniała.

Rozdział 15.

- Czemu nie możesz znaleźć Frankie Doyle?

- Ponieważ ona nie chce, aby ją odnaleziono.
- Przecież dotarłeś do pierwszych sześciu kobiet.

Gdy następnego ranka wybiła dziewiąta, Andy siedział przy biurku naprzeciwko Hollisa McCloskeya. Detektyw rozparł się w fotelu.

- Widzisz Andy, Amerykanie to ruchliwe społeczeństwo. Co roku sto milionów ludzi przeprowadza się na drugi koniec ulicy lub na drugi koniec kraju, zazwyczaj po to, żeby zamieszkać w większym domu albo podjąć lepszą pracę. Ale oznacza to również, że dwa miliony nie ruszają się z miejsca. Sue Todd, Tameka Evans i Sylvia Gutierrez mieszkały pod starymi adresami. Amanda Pearce przeniosła się, ale do innego domu w Chicago. Z tą czwórką poszło mi łatwo.

- A jak znalazłeś Beverly Greer i Pam Ward?

- Beverly wyprowadziła się z Denver do Seattle, więc zadzwoniłem do jej starych sąsiadów. Zdobyłem ich nazwiska z dokumentacji podatkowej, która jest uporządkowana według adresów. Potem zadzwoniłem do informacji i zdobyłem ich numery telefonów. Pierwsza z sąsiadek zamieszkała tam już po wyjeździe Beverly, ale druga ją знаła i podała mi jej nowy adres w Seattle.

- A co z Pam Ward?

- Wyniosła się z Los Angeles do Dallas. Nie mogłem skontaktować się z jej sąsiadami, więc zadzwoniłem do nowej właścicielki mieszkania, które przedtem zajmowała.

- Skąd wzięłeś telefon?

- Z wykazu łączonego. Możesz szukać po adresie i otrzymać numer telefonu, jeżeli to linia stacjonarna. A taka była. W każdym razie Pam sprzedała swoje mieszkanie na raty, które nowa właścicielka jej wysyłała. To od niej dostałem ten adres w Dallas.

- Nie zdawałem sobie sprawy, jak łatwo jest kogoś namierzyć.

- Łatwo, jeżeli wiesz, jak się do tego zabrać - odparł Hollis. - I jeżeli ktoś się nie ukrywa. Człowiek zawsze pozostawia za sobą papierowy trop. Kredyty, dzierżawy, umowy, rachunki. Ale Frankie Doyle znikła bez śladu. Zależy jej, aby nie zostać znalezioną.

- A przez kogo konkretnie?

- Przez byłego męża. - McCloskey usiadł prosto i otworzył leżący na biurku skoroszyt. - Trzy lata temu mieszkała w Bostonie. To jej ostatni znany adres. Miała wtedy dwadzieścia pięć lat i była żoną niejakiego Michaela vel Mickeya Doyle'a, ojca jej córki, pięcioletniej wówczas Abigail. Pracowała jako kelnerka w barze eleganckiego hotelu w centrum miasta, Boston Grand. Potem rozwiodła się z mężem, zabrała dziecko i przepadła.

- Jak myślisz, czemu się przed nim ukrywa?

- Bił ją. Mickey, eksbokser, który nadal mieszka pod tym samym bostońskim adresem, był dwa razy skazany za pobicie. Nie jej, ale każdy, z kim rozmawiałem na ich temat, mówi, że ją też bił. Przypuszczam, że miarka się przebrała, więc odeszła od skurwiela i znikła z dzieckiem. - Detektyw wzruszył ramionami. - To tak, jakby Frankie Doyle już nie istniała.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że ślad urywa się na sprawie rozwodowej. Przypuszczalnie zmieniła nazwisko, aby Mickey nie mógł jej znaleźć. Niestety my też nie możemy.

- Ale musiała złożyć wniosek o zmianę nazwiska w sądzie rejonowym właściwym dla jej obecnego miejsca zamieszkania. Poszukaj takich śladów.

- Przejrzałem te, które są dostępne w sieci. Problem w tym, że w Stanach jest ponad trzy tysiące takich sądów, a te mniejsze, czyli chyba połowa z nich, nie publikują swoich archiwów w Internecie. Jeżeli Frankie jest sprytna, a myślę, że jest, przeniosła się do jakiegoś małego hrabstwa na końcu świata, prawdopodobnie na zachód, gdzie nie ma zbyt wielu ludzi, i tam zmieniła nazwisko, unikając rozgłosu. Jedyne, co nam pozostaje, to ręcznie wertować akta sądowe we wszystkich tych hrabstwach. A jest ich półtora tysiąca.

- Igła w stogu siana.

- Dokładnie. I nawet gdyby twój klient był skłonny sypnąć kasą, abym wynajął ludzi do poszukiwań w każdym z tych hrabstw, trwałoby to miesiące. Przez ten czas mogłaby znów zamieszkać gdzie indziej pod zmienionym nazwiskiem, a wtedy trzeba by zaczynać wszystko od nowa.

- Czyli po prostu zapadła się pod ziemię?

- Takie życie w podziemiu jest trudniejsze, niż większość ludzi sobie wyobraża. Nie możesz mieć komórki ani karty kredytowej na własne nazwisko, nie możesz kupić samochodu ani domu, zamieszkać w przyzwoitym apartamentowcu, założyć konta w banku czy posługiwać się prawem jazdy. Niektórzy mówią, że chcieliby zapaść się pod ziemię, ale tak to właśnie wygląda. Więc to tylko takie gadanie.

- Jak ją znajdziesz?

- Chyba mi się to nie uda, Andy. Sprawdziłem wszystkie możliwe tropy, na jakie udało mi się natrafić. Przeszukałem wszystkie rejestry dostępne w Internecie. Urzędy skarbowe, komisje wyborcze, ewidencje pojazdów, indeks małżeństw, wykazy licencji zawodowych. Nie jest prawnikiem, księgową, lekarzem, pielęgniarką, fryzjerką, prywatnym detektywem ani inspektorem sanitarnym. Nie pracuje w żadnym z zawodów, do którego wykonywania potrzebna jest licencja. Nie głosowała w żadnych stanowych ani lokalnych wyborach, przynajmniej niejako Frankie Doyle.

- A co z jej prawem jazdy? Musi przecież jeździć samochodem.

- Nie mam już wglądu do rejestru. Prawo federalne ograniczyło dostęp z powodu częstych przypadków kradzieży tożsamości.

- Coś jeszcze?

- Przeszukałem wszystkie płatne bazy danych zastrzeżone dla detektywów. - McCloskey rozłożył ręce. - I nic. Zwykle szukam adresu, wykorzystując numer telefonu, lecz w tym wypadku nie miałem żadnego, ani stacjonarnego, ani komórkowego.

- Ale jeżeli zmieniła nazwisko, numer nie będzie zarejestrowany na Frankie Doyle.

- Właśnie. Przeszukałem federalny system PACER. To krajowy wykaz sądowych spraw cywilnych, karnych i gospodarczych. Sprawdziłem dostępne w sieci stanowe rejestry skazanych, ale potrzebna mi jej data urodzenia, żeby przeprowadzić dokładniejsze poszukiwania. Zajrzałem nawet do ewidencji osadzonych...

- Więźniów?

- Nigdy nic nie wiadomo. - Hollis wzruszył ramionami.

- No i co?

- Nie figuruje w systemie federalnym ani też w większości systemów stanowych, bo nie do wszystkich mam dostęp. Cholera, zadzwoniłem nawet do Mickeya. - Detektyw pokręcił głową. - Teraz to nie byle kto. Mieszka w domu, który odziedziczył po zmarłych rodzicach, jeździ ich samochodem, pracuje w warsztacie ojca. Założę się, że nosi też bieliznę po nim.

- I co powiedział?

- Nic. Kiedy zapytałem o Frankie, rzucił słuchawką. Zadzwoniłem więc do jej ostatniego miejsca pracy i zamieniłem parę słów z barmanem imieniem Benny. Dowiedziałem się, że pracowała tam przez siedem lat i pewnego wieczoru nie przyszła na zmianę. Nigdy więcej się nie pokazała ani nie dzwoniła. Nie odebrała nawet ostatniej wypłaty.

- Może nie żyje?

- W głównym spisie zmarłych prowadzonym przez zakład ubezpieczeń nie znalazłem jej nazwiska. Ale to niczego nie wyklucza. Benny powiedział mi, że Frankie mieszkała niedaleko matki, więc zadzwoniłem do niej. Numer był w spisie. Coleen O'Hara. Miła pani, ale sama nie potrafiłaby podać własnego miejsca pobytu, a co dopiero córki. Ma alzheimera.

- Skąd się o tym dowiedziałeś?

- Zadzwoniłem do sąsiadów Mickeya. Znają panią O'Harę i opiekują się nią, ale też nie mają pojęcia, gdzie może być Frankie. Jej ojciec nie żyje, nie miała rodzeństwa. I powiedzieli, że Mickey ją bił. - Hollis zamilkł na moment. - Ale to nie on jest twoim tajemniczym klientem, prawda?

- Mickey? Absolutnie.

- To dobrze. Była mądra, że prysnęła od niego w porę, by nie powiedzieli o niej w wiadomościach jako o kolejnej nieszczęsnej

kobiecie zamordowanej przez obłąkanego męża.

- A jej historia kredytowa?

- Są z tym dwa problemy. Po pierwsze, gdybym ją wyciągnął w celu nieuzasadnionym prawnie, popełniłbym przestępstwo federalne. A poszukiwanie byłej dziewczyny nie jest uzasadnionym prawnie celem. A poza tym to ślepy zaułek, bo ona nie będzie korzystać z karty kredytowej.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ wie, że można w ten sposób wpaść na jej trop. W takiej historii zostaje ślad, ilekroć bank, pracodawca albo właściciel domu zasięgają informacji. Dlatego nie zaciągnie pożyczki, nie podejmie oficjalnej pracy ani nie wynajmie mieszkania, w każdym razie jakiegoś przyzwoitego.

- A na czym polega drugi problem?

- Biura kredytowe już nie udostępniają swoich dokumentów prywatnym detektywom. Były zaskarżane za ujawnianie takich informacji.

- Kurczę. A co z numerem jej polisy ubezpieczeniowej?

- Takie imię i nazwisko noszą tysiące osób. Mając jej datę urodzenia ograniczyłbym zakres poszukiwań do kilkuset. Numer polisy pozwoliłby mi trafić na tę jedną. Sprawdziłem akta sprawy rozwodowej, ale ten numer został z nich usunięty. Problem polega na tym, że w naszych czasach jest prawie niemożliwością uzyskać legalnie czyjś numer polisy ubezpieczeniowej. Nikt nie chce go ujawniać.

- Byłeś agentem FBI. Może twoi starzy kumple mogliby go zdobyć. Albo wyciągnąć jej deklarację podatkową.

Hollis potrząsnął głową.

- To mi pachnie pierdłem. W tym kraju obowiązują przepisy o ochronie prywatności, nawet jeżeli rząd czasem o tym zapomina. Jak ci już mówiłem, Andy, działał zgodnie z literą prawa.

- Tę literę trzeba trochę naciągnąć.
- Niektórzy detektywi mają układy z handlarzami danych, którzy przekraczają tę granicę. Ja nie korzystam z takich znajomości.

- Dlaczego nie?
- Bo nie potrzebuję tyle kasy.
- Zapłacę ci tysiąc za godzinę.
- Andy, przez dwadzieścia pięć lat wsadzałem ludzi za kratki. Nie zamierzam teraz stać się jednym z nich. Ani dla ciebie, ani dla twojego tajemniczego klienta. Mam kontynuować poszukiwania innych kobiet?

Andy kiwnął potakująco głową.

- Daj mi wszystko, co masz na temat Frankie Doyle.

Tego samego popołudnia Andy poleciał pierwszą klasą do Bostonu. Wcześniej zadzwonił do Russella Reevesa, aby złożyć mu relację z rozmowy, którą odbył z Hollisem McCloskeyem.

- Leć do Bostonu, Andy - polecił mu miliarder. - Znajdź ją.

Podczas lotu przeczytał jej akta. Hollis skompletował informacje o jej życiu, poczynawszy od urodzenia aż do momentu zniknięcia. Andy podejrzewał, że kobieta nie żyje.

Na miejsce dotarł późno. Wypożyczył bmw i zarezerwował apartament za pięćset dolarów w hotelu Boston Grand, tym samym, w którym kiedyś pracowała Frankie. Zameldował się i poszedł do baru, gdzie zamówił piwo. Obsłużył go Benny. Mógł mieć koło czterdziestki i był łysy, ale nie wyglądał tak złowrogo jak Darreil.

Andy przedstawił się i oświadczył, że usiłuje odnaleźć Frankie Doyle.

- Parę dni temu dzwonił tu irlandzki detektyw z Austin, niejaki McCloskey, i pytał o nią.

- Pracuje dla mnie - wyjaśnił Andy. - Ja jestem prawnikiem.

- A po co chcecie odnaleźć Frankie?

- Żeby jej pomóc.

- A co z nią nie tak?

- W zasadzie, żeby pomóc jej dziecku.

- Abby? A jej co dolega?

- Jeszcze tego nie wiem.

Barman obdarzył go zdziwionym spojrzeniem.

- No cóż, jak już mówiłem twojemu człowiekowi, od trzech lat nie mam z nią żadnego kontaktu. Pewnego wieczoru nie przyszła na zmianę. Po siedmiu latach pracy. - Benny zawiesił głos na moment.

- Myślisz, że ona nie żyje?

- Nie wiem. Być może.

Wyglądało na to, że taka odpowiedź mocno przygnębiła Benny'ego.

- To była dobra irlandzka dziewczyna, która wyszła za wszawego irlandzkiego frajera.

- Mickeya?

Barman przytaknął skinieniem głowy.

- On ją bił.

- O tym też słyszałem.

- Kiedy się z nim rozwiodła, poprosiłem ją, żeby za mnie wyszła.

- Spotykaliście się wcześniej?

- Frankie Doyle i romans na boku? Odpada. Taka katolicka dziewczyna nie wybaczyłaby sobie tego do końca życia. - Benny wzruszył ramionami. - Kochałem ją. Ale ona chciała uciec przed Mickeyem.

- Domyślasz się dokąd?

Lysa głowa pokręciła się w przeczącym geście.

- Nigdy nie oddaliła się więcej niż na sto kilometrów od domu. Ale wspominała, że chciałyby wyjechać do Montany albo Teksasu i mieć konie. Mówiłem jej, że jest miastową dziewczyną i nie ma pojęcia o życiu na wsi.

Benny odszedł, aby obsłużyć klienta na drugim końcu kontuaru, a Andy dopił piwo i próbował sobie wyobrazić Frankie Doyle pracującą w tym miejscu. To był sportowy pub, ale urządzonej z klasą - skórzana tapicerka i wielkie lustro za eleganckim drewnianym barem, telewizor plazmowy zawieszony na ścianie i oprawione w ramki koszulki z autografami członków Patriots, Red Socks, Celtics i Bruins. Spośród obrazów o tematyce sportowej wyróżniał się wiszący za barem czarno-biały portret Benny'ego. Andy nachylił się, aby odczytać podpis autora. „F. Doyle”.

- Frankie go narysowała - wyjaśnił Benny, który właśnie wrócił. - Kiedyś tam, jak nie było ruchu.

- Chciała być artystką?

- Była nią - odparł barman, wpatrując się w szkic ołówkiem. - Mam nadzieję, że wciąż jest.

Andy pożegnał się i poszedł do swojego pokoju, gdzie wypił trzy kolejne piwa i obejrzał film na płatnym kanale.

Następnego ranka Andy udał się pod ostatni znany adres, pod którym zamieszkiwała Frankie. Był to ceglany bliźniak, który stał w ciągnącym się przez kilka przecznic rzędzie identycznych budynków w robotniczej dzielnicy na południu Bostonu. Zaparkował samochód, podszedł do drzwi i zapukał. W środku panowała głucha cisza.

- Szukasz Mickeya?

Sąsiad z domu obok, starszy mężczyzna, stał za sięgającym do pasa żywoplotem.

- Wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

- Warsztat Doyle'a. - Staruszek wskazał ręką w głąb ulicy. -

Dwie przecznice stąd.

- Dzięki. - Andy podszedł do żywoplotu. - Znał pan Frankie?

- Pewnie. Wyprowadziła się przed trzema laty, po rozwodzie z Mickeyem. Bił ją, kiedy był pijany, czyli codziennie. Chyba miała już tego dość, więc zabrała małą i zostawiła drania.

- Czy to dziecko było chore?

- Abby? Nic mi o tym nie wiadomo. Prawdziwy urwis był z tej dziewczyny.

Nareszcie matka ze zdrowym dzieckiem - pomyślał Andy. - Może to faktycznie tylko przypadek, jak mówił Russell. Ale to było trzy lata temu.

- Domyśla się pan, dokąd mogła wyjechać?

Starszy mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- A gdzie mieszka matka Frankie?

- Trzy domy dalej. - Sąsiad wskazał mu kierunek niedbałym skinieniem.

Andy podziękował mu i odjechał. Warsztat okazał się niewielki i miał tylko dwa stanowiska. Przed nim stało zaparkowanych kilkanaście aut. We wnętrzu, w którym unosiła się woń smarów, Andy zastał mężczyznę grzebiącego pod maską samochodu.

- Mickey Doyle?

- A kto pyta? - rozległ się głos spod maski.

- Andy Prescott. Jestem prawnikiem z Teksasu.

Mężczyzna się wyprostował. Był kilka lat starszy od Andy'ego, a jego głowę pokrywały krótko przystrzyżone rude włosy. Miał zwalistą sylwetkę boksera, wielkie dłonie czarne od smaru, a jego nos musiał być złamany kilka razy. Nie wyglądał na zadowolonego z nieoczekiwanej wizyty.

- A idź pan w cholerę.

Andy sięgnął po portfel, odliczył dziesięć banknotów studolarnowych i położył je na błotniku samochodu.

- Mam kilka pytań.

- O co chodzi? - mężczyzna wlepił wzrok w pieniądze, a potem spojrzął na gościa.

- Nazywa się pan Mickey Doyle?

- Taaa.

- Próbuję odnaleźć Frankie.

- Odziedziczyła jakiś spadek?

- Jeszcze nie.

- Cóż, nie miałem od niej żadnych wieści od dnia, w którym się ze mną rozwiodła.

- Dokąd mogła się wyprowadzić?

- Pojęcia nie mam. Podaj mi pan ten klucz. - Mickey wskazał w stronę stolika z narzędziami.

Andy podał mu klucz. Teraz sam miał smar na rękach.

- Frankie to było jej prawdziwe imię? - spytał, rozglądając się za jakąś szmatą.

- Tak. - Mickey znów pochylił się nad silnikiem. - Jej stary, Sean O'Hara, prowadził tutaj irlandzki pub. Fajne miejsce, ale zostało już tylko wspomnienie. Chciał mieć małego piłkarza, ale urodziła mu się córka, więc dał jej na imię Frankie. Na cześć Franka Gilforda.

Andy nie miał pojęcia, kim był Frank Gilford.

- Wychowaliście się razem?

- Frankie jest siedem lat młodsza ode mnie. Pobraliśmy się, kiedy skończyła szkołę średnią.

- I urodziła wam się córka. Nie widuje się pan z Abby?

- Musiałem zrzec się praw, żeby nie iść do więzienia. Za rezydowę.

- Czy ona była chora?
- Frankie?
- Pańska córka.
- Nie. - Mickey uśmiechnął się. - Abby nie była chora.
- Ma pan jakieś jej zdjęcia?
- Chcesz pan zdjęcia Abby?
- Nie, Frankie.
- Aha. Spaliłem wszystkie, żeby zapomnieć. - Zamilkł na krótką chwilę. - Ale nie pomogło.
- Czy prócz jej matki mieszka tutaj jeszcze ktoś z jej krewnych?
- Frankie była jedynaczką. Sean wciąż próbował, ale Colleen nigdy nie mogła donosić. W końcu musiał dać sobie spokój z reprodukcją.
- Zastanę ją w domu?
- Zawsze.
- Czy ona może znać adres Frankie?
- Coleen nie zna nawet własnego adresu. Ma alzheimera. Idzie na spacer i nie umie trafić z powrotem do domu. Muszę jej szukać dwa albo trzy razy w tygodniu. - Mickey wynurzył się spod maski. - Dasz mi pan tamtą nasadkę.
- Myśli pan, że Frankie nie żyje - zapytał Andy, wręczając mu narzędzie.
- Nie myślę.
- Dlaczego nie?
- Bo codziennie dzwoni do matki.
- Skąd pan wie?
- Coleen mi mówi, kiedy do niej zaglądam.
- Zagląda pan do swojej byłej teściowej?
- Codziennie rano. Sprawdzam, czy nie zrobiła sobie krzywdy.
- Próbował pan szukać Frankie?

Mickey odłożył klucz nasadkowy i oparł się całym ciężarem ciała o bok samochodu. Nie patrzył w stronę Andy'ego.

- Po co miałbym to robić?
- Żeby nakłonić ją do powrotu.
- Widzisz pan, ja bym chciał, żeby do mnie wróciła, ale ona tego nie chce. Mam sądowy zakaz zbliżania się do niej i do Abby. Jeżeli go złamię, pójdę siedzieć.
- Czy jest ktoś jeszcze, kto mógłby jej szukać?

Mickey spojrzał wymownie na Andy'ego.

- A właściwie po co pan jej szuka?
- Nie mogę tego powiedzieć. Jaka jest jej data urodzenia?
- Siódmy lipca. Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt.
- A numer jej polisy ubezpieczeniowej?
- Nie mogę powiedzieć.
- Zapłacę dwa razy więcej.
- Nie mogę tego powiedzieć, ponieważ nie znam tego numeru.

Ale nawet gdybym znał, tobym nie powiedział. Nie wiem, coś pan za jeden. Przychodzi taki i wypytuje, nie wiadomo po co. - Mickey wskazał na plik banknotów. - Mogę już zabrać forszę?

Andy skinął głową i uwalane smarem palce zgarnęły pieniądze.

- To numer mojej komórki. - Andy wyciągnął wizytówkę. - Proszę do mnie zadzwonić, jeżeli pan sobie coś przypomniał, dobrze? To ważne.

Mickey wziął kartonik i wlepił w niego wzrok.

- Mandaty drogowe i odnajdywanie zaginionych. To musi być opłacalne.

- Bardziej, niż pan myśli.

Mickey wsunął wizytówkę do kieszeni koszuli i zanurkował z powrotem pod maskę samochodu.

Andy zadzwonił do Hollisa McCloskeya i podał mu datę urodzenia Frankie. Potem pojechał do centrum miasta, gdzie znajdował się sąd hrabstwa Suffolk. Znalazł odpowiednie biuro i poprosił o akta sprawy rozwodowej z powództwa Frankie Doyle przeciwko Mickeyowi Doyle'owi sprzed trzech lat. Urzędniczka wprowadziła nazwisko do komputera.

- Te akta zostały odesłane do archiwum. Może pan wypełnić wniosek i zgłosić się w przyszłym tygodniu.

- A ma tam pani dane jej pełnomocnika?

- Marty O'Connor.

Andy otrzymał numer telefonu prawnika i zaraz po wyjściu na zewnątrz wystukał go na klawiaturze swojej komórki. Gdy uzyskał połączenie, przedstawił się i wyjaśnił, że próbuje znaleźć Frankie.

- W jakim celu? - zapytał O'Connor.

- To poufne, Marty.

- No tak. Podobnie jak to, co wiem na temat Frankie.

- Czy wiesz, gdzie ona mieszka?

- Nie. Ale nie powiedziałbym ci, gdybym wiedział. Posłuchaj, Andy, zrób jej tę grzeczność i zostaw ją w spokoju. Dosyć już przeszła.

- Z Mickeyem?

- Tak - odparł O'Connor po chwili wahania. - Z Mickeyem.

- Mój klient chce jej pomóc.

- Wątpię. Po prostu daj jej spokój, Andy.

Zakończyli rozmowę. Andy udał się do urzędu skarbowego, gdzie uzyskał informację, że Frankie Doyle nie miała żadnych nieruchomości na terenie hrabstwa Suffolk. W wydziale rejestracji pojazdów dowiedział się, że na jej nazwisko nie był zarejestrowany żaden samochód w stanie Massachusetts.

Andy pojechał do domu Colleen O'Hary i zapukał do drzwi. Otworzyła mu starsza kobieta.

- Pani O'Hara?
- Kto?
- Czy pani jest matką Frankie?
- Gdzie jest Frankie?
- Nie wiem - odpowiedział Andy. - Próbuję ją znaleźć.
- Chcę się zobaczyć z moim dzieckiem.
- Mogę wejść i porozmawiać?

Na twarzy kobiety pojawił się uśmiech.

- Proszę.

Andy przekroczył próg i znalazł się w połowie lat pięćdziesiątych. Wnętrze wypełniało mdłe światło kilku starych lamp, na podłodze leżał gruby kosmaty dywan, a tapicerka mebli mieniła się brokatem. Andy naliczył siedem kotów, które wylegiwały się w pokoju. Pani O'Hara siedziała w masywnym fotelu naprzeciwko telewizora, który był ustawiony na kanał emitujący opery mydlane. Na ścianach wisiało kilkanaście czarno-białych rysunków sygnowanych „F. Doyle”. Wszystkie przedstawiały surowe i bezludne krajobrazy, które Andy'emu kojarzyły się z zachodnim Teksasem i Nowym Meksykiem.

- Frankie jest artystką - odezwała się Colleen O'Hara.
- Owszem, jest. Czy ma pani zdjęcie córki.

Z małego stolika, który stał obok fotela, staruszka wzięła oprawione w ramkę zdjęcie i podała mu. Widniała na nim młoda ładna kobieta z uroczą dziewczynką. Stały w głębokim śniegu i miały na sobie długie zimowe kurtki z kapturami, które okalały ich twarze. Wyglądały na szczęśliwe. I były żywe.

Andy zastanawiał się, czy nie ukraść tej fotografii, ale poczuł się podle już na samą myśl, że miałby okraść starą kobietę chorą na

alzheimerera. Starał się więc zanotować w pamięci obraz Frankie Doyle. Należała do dziewcząt, na które patrzy się nie bez przyjemności. Włosy skrywał kaptur, lecz Andy uznał, że jak na kogoś o nazwisku O'Hara powinny mieć one miedziany kolor. Być może właśnie tak chciał ją sobie wyobrazić, zważywszy na jego słabość do rudowłosych kobiet, ale miała w sobie coś, co sprawiało, że zapragnął ją odnaleźć. Po to, aby zobaczyć ją na żywo.

Colleen była bez reszty pochłonięta oglądaniem telewizji, więc Andy wszedł do sąsiadującej z salonem kuchni. Na niewielkim stole leżała sterta rachunków. Przejrzał je i natrafił na rachunek za telefon.

- Pani O'Hara, czy Frankie do pani dzwoni?
- Frankie przy telefonie?
- Hmm, no nie...

Andy rozłożył rachunek i zaczął studiować wykaz połączeń, które powtarzały się codziennie. Wszystkie były przychodzące, ale nie dało się na ich podstawie zlokalizować miejsca, z którego zostały wykonane. Wszystkie zaczynały się od trzech ósemek. Hollis miał rację mówiąc, że Frankie jest sprytna. Korzystała z telefonu na kartę i nie sposób było ustalić, czy dzwoni do matki z Nowego Jorku, czy z Los Angeles.

Andy'emu nie przychodziło do głowy nic, czego mógłby jeszcze dowiedzieć się od pani O'Hary, wrócił więc do pokoju i oddał jej oprawioną fotografię.

- Czy wie pani, gdzie zostało zrobione to zdjęcie?

Kobieta założyła okulary do czytania i spojrzała na portret córki.

- To jest Frankie - odparła. - A to Abby.
- Tak. Ale gdzie one są na tym zdjęciu?
- Stoją w śniegu.
- Jaki to stan?

Staruszka odwróciła wzrok, jakby chciała znaleźć odpowiedź wypisaną na suficie. Andy pomyślał o swoim ojcu, którego pamięć również pogorszyła się na skutek choroby. Paul Prescott był tym piekielnie sfrustrowany, lecz pani O'Hara nie zdawała sobie sprawy, że ma powód do frustracji.

- Dziękuję pani. - Andy wyciągnął rękę z wizytówką. - Kiedy Frankie zadzwoni, proszę jej powiedzieć, żeby się ze mną skontaktowała. To ważne.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Trafię do wyjścia - powiedział i już miał zamknąć za sobą drzwi, kiedy usłyszał za sobą to jedno słowo.

- Montana.

Benny twierdził, że Frankie Doyle nigdy nie wyjeżdżała dalej niż sto kilometrów od domu, zatem zdjęcie w Montanie musiało być zrobione po tym, jak przed trzema laty wyprowadziła się z Bostonu. Frankie Doyle wyjechała do Montany. I tam właśnie był teraz Andy Prescott.

Położone we wschodniej Montanie stutysięczne Billings jest największym miastem tego stanu. Hollis McCloskey uważał, że Frankie Doyle mogła wyprowadzić się do małego hrabstwa w którymś z zachodnich stanów i tam zmienić nazwisko. Andy spróbował więc rozumować jak Frankie. Nowych mieszkańców obowiązywał ustawowy okres wstępnego osiedlenia, który zazwyczaj wynosił sześć miesięcy, Frankie musiała więc pomieszkać przez ten czas na terenie hrabstwa, zanim mogła przeprowadzić zmianę nazwiska. Mogła wybrać niewielkie hrabstwo położone w pobliżu większego miasta. Wprawdzie Billings to nie Boston, ale ma swoje zalety. Właśnie tak mogła postąpić, a może nawet tak postąpiła.

Andy poleciał z Bostonu do Billings, gdzie wynajął lincoln navigatora. Przystudiował mapę i znalazł najmniej zaludnione hrabstwa w okolicy - w Golden Valley mieszkało 1021 osób, w Petroleum 497, a populacja Treasure liczyła 735 mieszkańców. Ostatnie z nich leżało sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Billings przy drodze międzystanowej numer 94, która zapewniała łatwy dojazd.

Andy zjechał z autostrady i znalazł się w zamieszkanym przez 330 osób miasteczku Haysam, ośrodkiem administracyjnym hrabstwa Treasure. Przepływała przez nie rzeka Yellowstone, a dookoła jak okiem sięgnąć rozciągał się pagórkowaty teren. Był to taki sam odludny i ponury krajobraz, jaki widniał na jednym ze szkiców wiszących na ścianie salonu Colleen O'Hary.

Andy nabierał przekonania, że trafił do właściwego miasta. Zaparkował przed budynkiem sądu i pędem wpadł do środka, gdyż jego strój nie był odpowiedni na temperaturę, która wynosiła zaledwie trzy stopnie. Zapytał, czy w aktach sprzed dwóch, trzech lat figuruje wniosek o zmianę nazwiska złożony przez niejaką Frankie Doyle. Archiwa nie były opublikowane w sieci i urzędniczka musiała przeszukiwać je ręcznie. Ale znalazła.

Frankie Doyle obecnie nazywała się Rachel Holcombe. Zmiany dokonano przed dwoma laty.

Andy sprawdził jeszcze zeznania podatkowe, ale nie znalazł żadnych nieruchomości ani pojazdów zarejestrowanych na to nazwisko. Nie znalazł też Rachel Holcombe w książce telefonicznej dla obszaru Billings. Zapłacił za wykonanie kopii wniosku o zmianę nazwiska i wyszedł z urzędu. Wybrał numer McCloskeya.

- Frankie Doyle nazywa się teraz Rachel Holcombe - powiedział do telefonu, gdy detektyw odebrał połączenie, po czym przeliterował nazwisko. - Znajdź ją Hollis.

Rozdział 16.

W ostatni dzień października o wpół do siódmej rano obudził Andy'ego dzwonek telefonu.

- Znalazłeś Frankie Doyle? - rozległ się w słuchawce głos Russella Reevesa.

- Odkryłem, że rozwiodła się i wyjechała do Montany trzy lata temu. Zmieniła tam nazwisko.

- Po co?

- Ukrywa się przed byłym mężem. Znęcał się nad nią.

- Więc znalazłeś ją w Montanie?

- Nie. Znów się przeprowadziła.

- Dokąd?

- Nie wiem. Hollis szukał jej pod tym nowym nazwiskiem, ale ustalili, że w Montanie nikt taki nie mieszka, więc zeszłej nocy przyleciałem z powrotem. Jestem z nim umówiony dziś rano.

- Znajdź ją, Andy.

Dwie godziny później Andy wszedł do gabinetu McCloskeya, który uśmiechnął się na jego widok.

- Dzisiaj nie musiałeś się stroić - powiedział sarkastycznym tonem.

Andy miał na sobie dzinsy, tenisówki i podkoszulek z napisem „Odczepcie się - głosowałem na Kinky'ego”.*

* Richard „Kinky” Friedman, pochodzący z Teksasu piosenkarz country, w 2006 roku kandydował w wyborach na urząd gubernatora Teksasu.

- Wszystko inne poszło do prania.

Detektyw pokiwał głową.

- Najlepsze, co może dać ci żona, to czyste ciuchy.

Agent McCloskey okazał się niezwykle romantycznym skurczybykiem.

- Co wiesz o Rachel Holcombe? - zaczął Andy.

- Przestała istnieć rok temu. Ta sama historia.

- Dlaczego?

- Bo jest sprytna. Ona wie, co robi, Andy. Ta dziewczyna nie chce, aby ktoś trafił na jej ślad.

- I to dlatego rozwiodła się z Mickeyem, wyprowadziła do Montany, zmieniła nazwisko, znów się przeprowadziła i znów zmieniła nazwisko?

Hollis przytaknął.

- Musi naprawdę się go bać.

- Nie wyglądał na zbytnio zainteresowanego jej odnalezieniem.

- Takie gnojki zwykle nie dają tego po sobie poznać.

- Ale on codziennie pracuje w swoim warsztacie.

- Prawdopodobnie zrobił to samo co ty. Wynajął kogoś, żeby jej szukał.

- Więc jej szukaj.

McCloskey rozłożył ręce.

- Spójrz na to od lepszej strony. Mickey też jej nie dopadnie. Aha, przejrzałem rejestry kryminalne i żadna Frankie O'Hara, Frankie Doyle czy Rachel Holcombe urodzona siódmego lipca nie była aresztowana ani oskarżona. Jest czysta.

- Nie wpadłeś przypadkiem na numer jej polisy ubezpieczeniowej? Wciąż jej towarzyszy mimo zmiany nazwiska.

- Ona korzysta z fałszywego ubezpieczenia.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo nie zadawałaby sobie tyle trudu tylko po to, aby dało się ją wyśledzić po numerze polisy.

- Hollis, czy ty już nic nie możesz zrobić?
- Wszystko zgodnie z literą prawa, Andy.
- Do jasnej cholery, musimy znaleźć tę kobietę!
- Po co? Czemu twojemu klientowi tak na tym zależy?
- Mówiłem ci już, że to poufne.
- Posłuchaj, Andy, mam złe przeczucia w związku z tą sprawą.

Coś mi tu śmierzdi.

- Ta kobieta?
- Nie ona. Twój klient.
- Mój klient jest w porządku.
- To dlaczego wydaje tyle pieniędzy, żeby znaleźć te kobiety?

Obaj mężczyźni mierzyli się nawzajem wzrokiem, jakby chcieli się przekonać, któremu z nich zadrzy najpierw powieka. Andy zastanawiał się, jak wiele informacji może odsłonić przed byłym agentem FBI, aby ten nie zorientował się, że tajemniczym klientem jest Russell Reeves. Potrzebował Hollisa, aby znaleźć Frankie.

- Te kobiety są byłymi partnerkami mojego klienta - wyjaśnił.
- Kiedyś źle się z nimi obszedł i teraz chce im to wynagrodzić.

- W jaki sposób?
- Dać im pieniądze.
- Ile?
- Milion.
- Każdej z nich?

Andy pokiwał głową.

- Czy według ciebie to się trzyma kupy? - zapytał McCloskey.
- Bogaci ludzie są ekscentryczni.

- Nie, Andy, bogaci ludzie to intryganci, krętacze, oszuści, naciągacze i kryminaliści. Przynajmniej ci, z którymi miałem styczność, kiedy pracowałem w FBI.

- Teraz sam pracujesz dla bogatych ludzi.

- Już nie jestem w FBI. - Hollis wzruszył ramionami.

- Mój klient nie należy do tego typu bogaczy. On jest po prostu...

- Jaki? Ma jakąś manię? Coś sobie uroił? Cierpi na psychozę? Jest chory? - Detektyw opadł na oparcie krzesła. - Ta sprawa mi śmierdzi, Andy. Nie wiem, do czego zmierza twój klient, ale mnie to się nie podoba. Wypisuję się z tego.

- Nie spróbujesz jej znaleźć?

- Nie, dopóki się nie dowiem, co tak naprawdę tu jest grane.

Andy uznał, że nie powinien wspominać o chorych dzieciach. Były agent mógłby nabrać podejrzeń i trafić po nitce do kłębka. Chore dzieci, bogaty człowiek z Austin, który też ma chore dziecko...

- Hollis, tu naprawdę chodzi tylko o to, że bogaty facet szuka swoich dziewczyn sprzed lat, żeby dać im pieniądze. Chce wyrównać stare długi, żeby osiągnąć spokój ducha.

McCloskey potrząsnął głową.

- Nie kupuję tego.

- Dlaczego?

- Bogaci ludzie nie rozdają pieniędzy za nic. Zawsze żądają czegoś w zamian.

- Osobiście wręczałem pierwszym sześciu kobietom czeki na milion dolarów każdy. Od żadnej z nich niczego nie chciał - zapewniał Andy. - Czy przynajmniej będziesz szukał pozostałych?

- To jest dossier tej ósmej. - Detektyw podał Andy'emu teczkę.

- Tylko tyle?
- Na tym koniec.
- Dlaczego?
- Ponieważ myślę, że jestem do czegoś wykorzystywany, Andy. I myślę, że ty też.

Po wyjściu z biura McCloskeya Andy zadzwonił do Tresa i poprosił go o drobną przysługę. Chciał, aby znalazł deklarację podatkową Michaela i Frankie Doyle'ów sprzed trzech lat i wysłedził jej późniejsze oświadczenia, aby uzyskać numer jej polisy ubezpieczeniowej oraz ustalił adres zamieszkania. Tres parsknął śmiechem.

- Andy, czy znów miałeś wypadek i uderzyłeś się w głowę?
- Nie.
- Cóż, prosisz mnie, abym popełnił przestępstwo. Za to grozi wyrok, stary. Mogą wysłedzić mój komputer. Ja wpiszę jej nazwisko, dowie się o tym Wielki Brat i zechce mnie zapytać, po co to zrobiłem. Wybacz, Andy, ale nic z tego.
- Tres...
- Mówiłem ci, Andy.
- Co mi mówiłeś?
- Że jak raz poczujesz smak pieniędzy, nie będziesz chciał wrócić do poprzedniego życia. Że posuniesz się do wszystkiego, byle tylko do tego nie dopuścić. Mówiłem ci.

Tres się mylił. Andy Prescott nie robił tego dla pieniędzy. Mógł porzucić Russella Reevesa i jego pieniądze w każdej chwili. Robił to dla Frankie Doyle. Dla niej i dla jej chorego dziecka. Jasne, dziewczynka mogła nie być chora trzy lata temu, ale prawdopodobnie jest teraz. I żeby ją znaleźć i jej pomoc potrzebował detektywa

obdarzonego większą inwencją niż ten złamas z FBI, który musi wszystko robić po bożemu.

Wskoczył więc na swojego stumpjumpera i prosto spod biura McCloskeya, które mieściło się w centrum Austin, pojechał do SoCo, gdzie urzędował Lorenzo Escobar. Na szybie wychodzącego na ulicę okna było napisane czarnymi literami „Prywatne śledztwa”, a pod spodem „Poręczenia majątkowe”. Andy wszedł do spartańsko urządzonego wnętrza, gdzie za dużym drewnianym stołem siedział przystojny Latynos i stukał w klawiaturę laptopa. Jego przedramię zdobił charakterystyczny tatuaż, w którym nie-trudno było rozpoznać dzieło Ramona. Mężczyzna miał około czterdziestki, kruczoczarne zaczesane do tyłu włosy, schludnie przystrzyżoną czarną bródkę i okulary do czytania, które zsunęły mu się na czubek nosa. Jego smukły tułów i muskularne ramiona opinał czarny podkoszulek, a nadgarstki zdobiły czarne skórzane opaski. Nosił czarne dżinsy i czarne kowbojki, a w przypiętej do czarnego paska czarnej kaburze spoczywał czarny pistolet. Pisał, sprawnie przebierając palcami.

- Mam pozwolenie - odezwał się, nie podnosząc wzroku na Andy'ego.

- Na co?

- Na tę spluwę.

Lokalna kapituła Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego w Austin, zwana również legislatura stanu Teksas, wydała ostatnio wiele przepisów typu „najpierw strzelaj, a potem zadawaj pytania”. Pozwalały one mieszkańcom stanu ukatrupić każdego, kto bezprawnie wtargnął na teren ich posesji, wozic broń w samochodzie dla ochrony przed złodziejami, a nawet nosić ją przy sobie pod warunkiem ukończenia odpowiedniego kursu. Połowa liczącej dwadzieścia cztery miliony populacji Teksasu nosiła spluwę za

pazuchą. Druga połowa powinna dla własnego bezpieczeństwa uzbroić się przeciwko tej pierwszej.

- Lorenzo?

- W czym mogę pomóc? - zapytał mężczyzna, nie przestając pisać na komputerze.

- Ramon mnie do ciebie skierował. Jestem Andy Prescott.

- Prawnik od mandatów - rzucił detektyw i Andy poczuł się sławny. - Podesłałeś mi tego nadzianego gostka.

- Tak, dałem Tresowi twój numer.

- Śliczna laseczka z tej małej. Z przyjemnością deptałem jej po piętach. Czy ty wiesz, że ona nie nosi bielizny. - Lorenzo zagwizdał. Cały czas stukał w klawiaturę. - Facet do usranej śmierci będzie się martwił, czy go nie zdradza. Oczywiście gdyby nie takie jak ona, nie miałbym z czego żyć. Wiarołomne żony to trzy czwarte mojego rocznego dochodu brutto. Łatwy pieniądz, a przynajmniej kiedyś taki był. Odkąd weszło nowe prawo o broni, zrobiło się trochę groźniej, bo niektóre mamuśki potrafią strzelać. Wiesz, o czym mówię?

Andy uznał to pytanie za retoryczne i nic nie odpowiedział.

- No co Andy, żona przyprawia ci rogi?

- Nie mam żony.

- Dziewczyna?

Suzie? Czy Bobbi? Miałyby go zdradzać? Nigdy nawet się nad tym nie zastanawiał. Ani nie przywiązywał do tego wagi.

- Też nie.

- Nie zajmuję się takimi przystojniakami jak ten z telewizji, którego kazał mi śledzić twój kumpel.

- Nie, nic z tych rzeczy.

- Czyli chcesz, żebym wykupił kogoś z pudła? - Lorenzo uśmiechnął się, odsłaniając rząd śnieżnobiałych zębów. - Bo

widzisz, kiedy dostarczam klientowi złe wieści o niewiernej żonie, ten idzie prosto do domu, pierze ją na kwaśne jabłko i zostaje aresztowany. Wtedy ja wpłacam za niego kaucję. Facet wychodzi i zastaje tego niedobrego typka, który posuwa jego ślubną, więc i jemu spuszcza manto i znów trafia do aresztu. A ja go znów wykupuję. Moja działalność opiera się na integracji pionowej, jak w spółkach naftowych.

- Nie potrzebuję poręczenia.

Lorenzo przestał wreszcie pisać, zdjął okulary i spojrzał na Andy'ego.

- Czego zatem ode mnie oczekujesz?

Andy opowiedział o próbach odnalezienia Frankie Doyle, a detektyw słuchał go uważnie, skubiąc hiszpańską bródkę.

- McCloskey jest niezły. Zna się na rzeczy.

- Kurczowo trzyma się przepisów.

- I oczekujesz ode mnie, że posunę się dalej? - Lorenzo zrobił oszołomioną minę. - Czy o to chodzi?

- Oczekuję, że ją znajdziesz, nieważne, w jaki sposób tego dokonasz.

- Ta kobieta nie chce, żeby ktoś trafił na jej ślad. Za taką usługę moja stawka będzie wyższa.

- Pieniądze nie grają roli.

- Czemu tak bardzo zależy ci na jej odnalezieniu?

- Nie mnie, mojemu klientowi.

- A kto jest twoim klientem?

- To poufne.

- A dlaczego twój klient jej szuka?

- To również tajemnica.

- Więc moje honorarium będzie wynosić dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów. Gotówką.

- Dlaczego tyle?

- Współczynnik ryzyka.
- Nie, pytam dlaczego nie równe dziesięć tysięcy.
- Kiedy wypłacasz dziesięć tysięcy, musisz wypełniać formularze i odpowiadać na pytania w banku, żeby fedzie mogli śledzić twoje pieniądze. A to ogranicza moje pole manewru w zakresie planowania podatków, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

Andy wiedział, o co chodzi.

Prawo bankowe w teorii miało za zadanie utrudniać przestępcom pranie brudnych pieniędzy, jak gdyby narkotykowi bossowie byli na tyle głupi, by obracać szmałem przy wykorzystaniu zwykłego rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowego. Tylko polityków było stać na taką głupotę, gdy płacili w ten sposób za usługi luksusowych prostytutek, dzięki czemu federalni mogli przyszpilić byłego gubernatora stanu Nowy Jork.

- Dobrze. Ale nie piśniesz o tym nikomu ani słowa, zrozumiano?

- A komu miałbym powiedzieć? - Lorenzo zaśmiał się.

- Chyba masz rację.

- Wiesz, że mam. Mówisz, że jej ostatni adres to Hysham w hrabstwie Treasure w Montanie. Potem wyjechała. Masz jakiś pomysł dokąd?

Andy miał już powiedzieć, że nie ma pojęcia, ale przypomniał sobie szkice wiszące na ścianie salonu Coleen O'Hary. Jeden z nich przedstawiał krajobraz Montany. Inne przywodziły mu na myśl...

- Nowy Meksyk albo zachodni Teksas.

Lorenzo pokiwał głową.

- To daje mi już jakieś oparcie. Przyjdź za parę godzin, będę miał coś dla ciebie. I przynieś pieniądze.

Andy pojechał do Cissi's Market, gdzie zjadł na lunch kanapkę z wołowiną, którą popił jogurtem waniliowym. Potem udał się do

banku, gdzie podjął dziesięć tysięcy bez jednego dolara. Po dwóch godzinach wrócił do biura Lorenza, który czekał na niego.

- Masz ją?
- Przyniosłeś kasę?

Andy wręczył bankową kopertę detektywowi, a ten przeliczył banknoty wprawnymi ruchami karciarza przeglądającego talię.

- Znalazłem ją. - Uśmiechnął się.
- Jak? Zdobyłeś numer jej polisy? Zeznania podatkowe? Jak to zrobiłeś?

- Teraz oczekujesz, abym zdradził ci moją tajemnicę zawodową, mój zastrzeżony patent, abym ujawnił ci...

- Dobra, nie chcę wiedzieć.
- Prawidłowa odpowiedź. Nie chcesz wiedzieć jak, interesują cię tylko wyniki. A oto one.

Lorenzo położył przed Andym zapisaną kartkę. Z notatek wynikało, że przed dwoma laty Frankie Doyle osiadła w Hysham i zmieniła nazwisko na Rachel Holcombe. Rok temu przeniosła się do Mosquero w hrabstwie Harding w stanie Nowy Meksyk, gdzie znów zmieniła nazwisko na Irma Bustamante...

- Irma Bustamante? - zdziwił się Andy.
- Ta Irlandka ma niezłe poczucie humoru - detektyw uśmiechnął się.

...a od czterech miesięcy nazywa się Karen James i mieszka w Mentone w hrabstwie Jeff Davis w Teksasie.

- Wybiera małe miejscowości - stwierdził Lorenzo. - Mosquero ma stu dwudziestu mieszkańców, a Mentone zaledwie piętnastu.

- Po co tyle razy zmienia nazwisko?
- Nie chce zostawiać śladów w dokumentach, ale zależy jej, by nie schodzić do podziemia. Nie korzysta z kart kredytowych, ale ma konto bankowe. Robi wszystko legalnie, chce wieść normalne życie, ale przed kimś się ukrywa.

- Były mąż ją bił.
- Wystarczająco dobry powód.
- Ale powiedział, że nie stara się jej znaleźć. - Jeżeli gnojek uderzył kobietę, równie dobrze może być kłamcą.

- Chyba masz rację.
- Wiesz, że mam.

Lorenzo położył na stole wydruk teksańskiego prawa jazdy ze zdjęciem Karen James. Andy przyjrzał się uważnie twarzy. Była to ta sama kobieta, którą widział na zdjęciu w domu pani O'Hary.

- To ona. To Frankie Doyle.
- Zobacz adres.

Andy spojrział na wydruk, a potem na detektywa.

- Buda w stanie Teksas? Po co tyle zachodu, skoro mieszka dwadzieścia pięć kilometrów stąd?

- Wynajmuje dom. Ale mierzy coraz wyżej. To pięciotyśięczne miasto.

- Miałaby się ukrywać w odludnych miejscach Montany, Nowego Meksyku i zachodniego Teksasu, żeby potem przeprowadzić się tak blisko Austin?

- Chce się wtopić w tłum. Uznała, że zatarła już ślady i może zamieszkać w pobliżu większego miasta, posłać dziecko do porządnej szkoły, korzystać z wygód. Jest gotowa zacząć nowe życie jako Karen James.

Andy popedałował z powrotem do swego biura. Zajrzał do salonu tatuażu, gdzie zastał Ramona siedzącego przy komputerze.

- Mogę pożyczyć twoje auto?
- Cześć, Andy - rzekł Ramon, nie odrywając wzroku od monitora. - Posłuchaj, jakiego maila dostałem: „Jestem atrakcyjną Rosjanką i nudzę się dziś wieczorem. Miałbyś ochotę porozmawiać

i zobaczyć moje zdjęcia?”. Myślisz, że to kit?

- Jak ma na imię?
- Candi. Z „i” na końcu.
- Rosjanka o imieniu Candi z „i” na końcu? Nie bardzo to widzę, Ramon. Mogę pożyczyć twoje auto?
- Też nie bardzo to widzę.

Ramon Cabrera jeździł żółtym chevroletem corvette z 1978 roku ze składanym dachem, felgami ze stopu magnezu i oponami o białych bokach. Samochód był utrzymany w nieskazitelnym stanie. Miał czerwoną skórzaną tapicerkę i zestaw nagłaśniający z tubą basową, która trzęsła autem przy każdym niskim tonie, a do deski rozdzielczej był przytwierdzony na magnes plastikowy Jezus. Odkąd Ramon rozstał się z żoną, ten Chevrolet był jego oczkiem w głowie. Nie pozwoliłby nikomu usiąść za kierownicą, ale ponieważ nie miał żadnego klienta na to popołudnie, wiozł teraz Andy'ego drogą międzystanową numer 35 w stronę miasteczka Buda. Dach był opuszczony, podmuchy powietrza mierzwiły im włosy, a w głośnikach ryczała muzyka z jakiejś latynoskiej stacji. Siedząc tak obok Ramona Cabrery w tej wypasionej bryce o niskim zawieszaniu, Andy czuł się, jakby występował w jakimś komediowym filmie drogi z lat siedemdziesiątych. Buda przez długi czas była małą prowincjonalną dziurą leżącą między Austin a San Antonio i nie było tam nic poza uprawami bawełny, hodowlą krów i cementownią. Jednak w ciągu ostatniego dziesięciolecia przedsiębiorcy budowlani wykupili tereny rolne, podzielili pastwiska na działki i postawili domy dla mieszkańców Austin, których nie było stać na mieszkanie w mieście. Miasteczko stało się sypialnią dla pięciu tysięcy ludzi, którzy mieszkali na miejscu, ale pracowali w Austin.

Za to ostatnio zaczęły tam ściągać dziesiątki tysięcy obywateli i nie byli to amatorzy rozslawionych na cały świat wyścigów jamników. Przyjeżdżali oni do sklepu w niemal dwuhektarowej hali Cabela's, istnym rajem dla myśliwych, gdzie sprzedawano tyle broni i amunicji, że każdy naśladowca Rambo wyszedłby stamtąd w pełni usatysfakcjonowany. Slogan reklamowy lokalnej izby handlowej brzmiał: „Witaj w Buda i czuj się jak Budda”.

Albo przynajmniej kup sobie gnata.

Andy wydrukował na komputerze Ramona plan miasta. Według prawa jazdy Frankie mieszkała przy Old Black Colony Road, ulicy przebiegającej poza miastem, gdzie zachowało się jeszcze trochę dawnej scenerii. Na podjeździe stała toyota corolla. Nie mogli jednak stanąć na wprost domu i robić zdjęć teleobiektywem, gdyż żółty Chevrolet corvette od razu przyciągnąłby uwagę. Zaparkowali więc kawałek dalej, w miejscu, z którego mogli wszystko wyraźnie obserwować.

Piętnaście minut później Frankie Doyle wyszła z domu.

Andy spisał numer rejestracyjny toyoty, która niewątpliwie była zarejestrowana na jej najnowsze nazwisko. Pojechali za nią. Frankie zatrzymała się pod lokalną szkołą podstawową, z której wybiegła urocza dziewczynka o ogniście rudych włosach i wsiadła do samochodu. Nie wyglądała na chorą. Andy zrobił dziewczynce kilka zdjęć, ale wciąż brakowało mu dobrego ujęcia jej matki.

Przyjechali za nimi z powrotem pod dom i znów zaparkowali w bezpiecznej odległości. Ramon postanowił uciąć sobie drzemkę, Andy zaś pochylił się nisko, by w cieniu deski rozdzielczej obeerzeć wykonane zdjęcia na wyświetlaczu cyfrowego aparatu, gdy wtem...

- Śledzicie mnie?

Andy podskoczył wystraszony i wyrznął głową w pokrywę schowka. Odwrócił się i zobaczył nad sobą Frankie Doyle. Najprawdziwszą.

- Rany boskie, wystraszyłaś mnie.

Ramon otworzył oczy i zsunął na czubek nosa okulary przeciwsłoneczne, po czym omiół Frankie pełnym podziwu spojrzeniem. Pochyliła się, zaciskając dłonie na krawędzi drzwi, a jej twarz była oddalona od twarzy Andy'ego zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów. Jej włosy nie były rude. Miała kruczoczarne włosy, gładką cerę o kremowym odcieniu i zielone oczy, których czarne źrenice sprawiały, że Andy się czuł, jakby spoglądał w lufę załadowanej broni.

- Nazywam się Ramon Cabrera - przemówił jego przyjaciel z latynoskim akcentem. - Masz cudowną skórę. Myślałaś kiedyś o tatuażu?

Kobieta popatrzyła na Ramona i zmierzyła go wzrokiem.

- Nie - rzuciła i z powrotem spojrzała w stronę Andy'ego. - Naprawdę myślałaś, że nie zauważę takiego samochodu?

Nie było sensu kłamać.

- Nameczyłem się jak cholera, zanim cię tu znalazłem.

- Wzywam gliny.

Andy wyciągnął w jej stronę swój telefon.

- Nie wierzysz, że zadzwonię? - spytała.

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie wierzę, że chcesz, aby policja lub ktokolwiek inny dowiedział się, kim naprawdę jesteś... Frankie Doyle.

Kobieta spojrzała na niego z kamiennym wyrazem twarzy, po czym gwałtownie się odwróciła i energicznym krokiem ruszyła w kierunku domu.

- Niczego sobie - stwierdził Ramon. - Ciekawe, w którym barze wysiaduje.

Andy wyskoczył z samochodu i pobiegł za Frankie. Miała na sobie białą bluzę z długim rękawem i dzinsy. Z tyłu prezentowała się całkiem zgrabnie. Oczywiście daleko jej było do Suzie, ale wyglądała nieźle.

- Wiem, dlaczego uciekasz.
- Jak mnie znalazłeś? - rzuciła przez ramię, nie przystając.
- Przez twoją matkę.

Frankie przystanęła i okręciła się w miejscu.

- Widziałeś się z moją matką?
- Byłem w jej domu.
- Kim ty właściwie jesteś?
- Nazywam się Andy Prescott. Jestem prawnikiem z Austin.

Omiotła go spojrzeniem od stóp do głów. Tenisówki, dzinsy i podkoszulek z nadrukiem nie licowały z jego profesją.

- To prawnicy tak się teraz noszą? - Zerknęła w stronę żółtego kabrioletu. - I tak się wożą?

- Ach, to auto Ramona. Wynajmuję u niego biuro. Jest mistrzem tatuażu.

- Wozi cię facet, u którego wynajmujesz biuro?
- Nie mam własnego samochodu. Jeżdżę na rowerze.
- Jesteś prawnikiem, jeździsz na rowerze i masz tatuażystę za szofera? Czy to jakiś dowcip?

- Hmm... no, nie.

- Szukając mnie, wybrałaś się do Bostonu i odwiedziłaś moją matkę?

- Poleciałem tam, żeby zobaczyć się z Mickeyem.
- Widziałeś się z nim?
- Odwiedziłem go w warsztacie.

- Jak on się miewa?
- Chyba tak samo jak wtedy, gdy za niego wysłałaś.
- Boże, muszę zapalić. Widzisz, wymieniłeś jego imię i znowu mam ochotę na papierosa. - Westchnęła ciężko. - Jak się czuje moja matka?

- Tak sobie.

Frankie pokiwała głową.

- Trudno mi było ją opuścić.
- Pokazała mi wasze zdjęcie z Montany.

- Jak nas tu znalazłeś?

- Benny powiedział, że chciałaś wyprowadzić się tak daleko, jak to tylko możliwe.

- Z nim też się widziałeś...

- W barze.

- Co u niego?

- Tęskni za tobą.

- Ja za nim też.

- W każdym razie wiedziałem, że to zdjęcie było zrobione już po twoim wyjeździe, więc poleciałem do Montany i ustaliłem, że zamieszkałaś w najmniejszym z hrabstw w pobliżu Billings, gdzie zmieniłaś nazwisko. Potem przeniosłaś się do Nowego Meksyku, a potem do zachodniego Teksasu, zmieniając nazwisko za każdym razem.

- Skąd wiedziałeś, gdzie szukać?

- Z rysunków w salonie twojej matki. Rozpoznałem krajo-brazy.

- W Montanie i Nowym Meksyku nam się podobało. W zachodnim Teksasie już nie tak bardzo. Wiatr jest tam tak zawzięty jak matka Mickeya.

- Jesteś bardzo dobra. W sztuce rysunku i w sztuce kamuflażu.

- Widać nie do końca. Już wiem, w jaki sposób mnie znalazłeś.

Teraz powiedz mi po co.

- Mój klient chce ci pomóc.
- Jak.
- Chce ci dać pieniądze.
- Ile?
- Milion dolarów.
- Chce dać milion dolarów zupełnie obcej osobie?
- On cię zna.
- Jak on się nazywa?
- Nie mogę tego ujawnić.
- Gdzie spotkałam tego bogatego faceta?
- W hotelowym barze.
- To znaczy, że trzy lata temu obsłużyłam go, podając mu parę drinków, a teraz on chce mi dać milion dolarów?
- Najwyraźniej.
- Dlaczego?
- Ma poczucie winy. Bo źle się z tobą obszedł.
- W barze?
- Kiedy się spotykaliście.
- To nie ten adres. - Frankie pokręciła przecząco głową. - Nigdy nie umawiałam się z żadnym facetem, którego poznałam w barze. Byłam wtedy żoną Mickeya. - Westchnęła. - I jeden taki błąd ciągnie się za mną przez całe życie.
- Mickey powiedział, że pobraliście się, kiedy skończyłaś szkołę średnią.
- Przytaknęła.
- Chciałam uciec od ojca, nawet gdybym miała przenieść się tylko trzy domy dalej. Więc wyszłam za Mickeya i szybko przekonałam się, że jest taki sam. Boże, jaki on był zawsze zazdrosny. Wystarczyło, żeby jakiś facet na ulicy spojrział w moją stronę, a ten już rwał się do bitki.
- Idę o zakład, że często się to zdarzało.

Na jej twarzy pojawił się nikły uśmiech, niczym rysa na tafli lodu.

- Bił również ciebie? - spytał Andy.

Frankie tylko odwróciła wzrok.

- Bił twoją córkę?

- Już by nie żył, gdyby podniósł na nią rękę - odparła poważnym tonem.

- Frankie, wiem, że przed nim uciekasz.

Kobieta znów zaczęła iść w stronę domu.

- W tej chwili uciekam przed tobą.

- Mój klient po prostu stara się pomóc swoim byłym dziewczynom.

Frankie ponownie przystanąła.

- I chce dać swoim byłym dziewczynom po milionie?

- Wszystkim siedemnastu. - Andy pokiwał głową.

- Twój nadziany klient miał siedemnaście panienek? Czy on wygląda jak Robert Redford?

- Redford? Przecież to już dziadek.

- Nie oglądasz starych filmów? - obruszyła się.

- Na przykład *Tacy byliśmy*?

- Czy to jakiś thriller sensacyjny?

- To film o miłości.

- No cóż, Frankie. Ty jesteś numerem siódmym na liście dawnych miłostek mojego klienta.

- To jakaś pomyłka. Nie mam z tym nic wspólnego. - Odwróciła się do niego, kiedy dotarli pod drzwi frontowe jej domu. - Andy, powiedz po prostu swojemu klientowi, że nie udało ci się mnie znaleźć, dobrze?

- Nie mogę go okłamywać.

- Przecież jesteś prawnikiem.

- Frankie, on już ofiarował sześć milionów szczęściu swoim byłym. Jesteś następna w kolejce.

- Dobra. - Wyciągnęła rękę. - Dawaj.

- To nie tak. - Andy pokręcił głową. - Najpierw robię zdjęcia i zbieram wszystkie informacje. Potem spotykam się z nim, przekazuję mu wszystko i on daje mi czek. A ja z tym czekiem wracam do ciebie.

- O jakie informacje chodzi?

- Twój wiek.

- Dwadzieścia osiem - odpowiedziała lekceważącym tonem, jakby sobie z niej żartował.

- Ile lat ma twoja córka?

- Osiem.

- Masz jakieś długi?

- Żadnych.

- Twoja sytuacja ekonomiczna? No wiesz, czy masz jakiś majątek.

- Tak. - Wskazała ręką stary dom, który wynajmowała. - To jest moja posiadłość.

- Masz jakąś pracę?

- Nie mam.

- A z czego płacisz rachunki?

- Jakoś sobie radzę.

- Czy masz jakieś inne problemy?

- Prócz ciebie żadnych.

- Widzisz, to nie było trudne. Masz dwadzieścia osiem lat i jesteś splukana, ale z drugiej strony wszystko jest w porządku oprócz tego, że usiłujesz rzucić palenie i ukrywasz się przed byłym mężem. Masz ośmioletnią córkę, która jest... czy ona jest chora?

Mina Frankie zmieniła się momentalnie. Żarty się skończyły.

- Nie.

- Nie korzysta z opieki medycznej?

- A po co by miała korzystać? - Ton jej głosu stał się podejrzliwy.

- Gdyby jej coś dolegało.

- Nic jej nie dolega.
- Jest całkowicie zdrowa?
- Tak.

Nareszcie zdrowe dziecko. Zła passa minęła.

- No cóż, to świetnie. W końcu jakaś odmiana.
- Odmiana? Od czego?
- Od innych.
- Od tamtych kobiet.

Andy kiwnął potakująco głową.

- Ona mają chore dzieci? - dopytywała się Frankie.
- Tak. A nawet jedno z nich zmarło.
- Ale każda z tych sześciu miała chore dziecko?
- Tak.
- Na co?
- Na raka, porażenie mózgowe, paraliż...
- Czy twój klient też ma chore dziecko?

Andy znów przytaknął.

- Jego syn umiera. Na rzadką odmianę białaczki.

Jej cera nie była już kremowa. Frankie zrobiła się biała, jak gdyby też zachorowała. Przeszła próg swego domu i zatrzasnęła Andy'emu drzwi przed nosem.

Drzwi rozsunęły się i Andy zobaczył klauna.

Kiedy wyszedł z windy, klaun założył mu na głowę szpiczastą czapeczkę, a w usta wetknął rozwijany papierowy gwizdek takim ruchem, jakim świeżo upieczony ojciec rozdaje cygara. Na przeciwległej ścianie wisiał transparent z napisem „Wszystkiego najlepszego Zach”, a spod sufitu zwieszały się serpentyny i kiście kolorowych baloników. Minęły dwie godziny od spotkania z Frankie Doyle, gdy Andy wkroczył na oddział onkologiczny znajdujący się na siódmym piętrze szpitala w Austin.

Inni klauni częstowali słodyczami, malowali twarze, zamieniając dzieci w lwy, tygrysy i niedźwiadki, a magicy i żonglerzy pokazywali swoje sztuczki. Jeszcze inni skręcali z podłużnych baloników najróżniejsze zwierzątka. Ładne pielęgniarki objadały się tortem i lodami wraz ze swoimi pacjentami. Chłopcy i dziewczynki o bezwłosych głowach uśmiechały się najszerzej, jak tylko potrafiły. Jeszcze wczoraj były chorymi dziećmi i jutro znów nimi będą, jednak tego dnia były po prostu dziećmi.

Andy usłyszał owacje i zobaczył Zacha Reevesa siedzącego na szpitalnym łóżku, które klaun pchał po korytarzu. Chłopiec uniósł wysoko ramiona i krzyczał, kiedy na linii mety jego łóżko zderzyło się z łózkami innych dzieci.

Wyścigi szpitalnych łóżek.

Russell stał z boku i przyglądał się temu wszystkiemu. Andy podszedł do swego klienta.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Zach czekał na ciebie.

- Nie mogłem przegapić takiej okazji.

- Powiedziałem mu, że może urządzić swoje przyjęcie urodzinowe, gdzie tylko zechce. Na stadionie Jankesów, w Madison Square Garden, w Disneylandzie. A on chciał tutaj, ze swoimi kolegami.

- Porządny chłopak.

Zach podszedł do nich. Na twarzy miał wymalowane paski ze bry i nosił czapkę bejsbolową daszkiem do tyłu.

- Andy, widziałeś wyścigi łóżek? Wygrałem!

- Wspaniale, kolego.

Przybili żółwika. Zach zdjął czapkę.

- Popatrz, mój tato zdobył dla mnie autografy całej drużyny.

Na czapeczce widniały podpisy wszystkich zawodników drużyny Jankesów.

Andy zdjął z ramienia plecak i wyciągnął z niego małą paczuszkę. Chłopiec rozdarł ozdobny papier, otworzył schowane w środku pudełeczko i wyjął z niego czarną skórzaną bandanę.

- Oj, to jest super.
- Niestety nie miałem od kogo wziąć autografu.

Zach nałożył prezent na głowę, a Andy pomógł mu zawiązać końce chusty.

- Wszystkiego najlepszego, Zach.

- Dzięki, Andy. - Chłopiec uścisnął go i z powrotem przyłączył się do zabawy.

- On cię lubi - zauważył miliarder.
- A ja jego.
- Też próbuję być jego dużym kumplem, ale to nie to samo.
- Dobrze dzisiaj wygląda.
- Dzisiaj. - Reeves pokiwał głową. - Jutro zaczyna chemię.

Milczeli przez kilka chwil. Andy patrzył, jak Zach bawi się z innymi dziećmi, a potem spojrzał na Russella, który obserwował syna. Wiedział dokładnie, o czym myśli jego klient.

- Znaleźliśmy ją - odezwał się w końcu. - Frankie Doyle.
- Chodźmy na górę.

Udali się w stronę wind. Russell specjalnym kluczem otworzył drzwi i weszli do wnętrza, które przypominało apartament w luksusowym hotelu. W gabinecie usiedli naprzeciwko siebie przy stole, a Andy wyjął z plecaka dossier oraz zdjęcia i rozłożył je przed klientem.

- Nie było łatwo ją znaleźć.

Reeves uważnie oglądał dokumenty i fotografie w świetle niewielkiej lampy.

- Wyprowadziła się z Bostonu do Montany, potem do Nowego Meksyku, a potem do zachodniego Teksasu - ciągnął Andy. - Za każdym razem zmieniała nazwisko. A teraz mieszka w Buda.

Miliarder podniósł wzrok.

- Latałeś do Bostonu i Montany, żeby w końcu znaleźć ją kilkadziesiąt kilometrów stąd?

- Tak.

- Opowiedz mi o niej. - Reeves wrócił do oglądania zdjęć.

- Frankie Doyle ma dwadzieścia osiem lat, jest rozwiedziona, ma ośmioletnią córkę.

- Co z jej finansami?

- Nie ma o czym mówić. Jeździ starą toyotą i mieszka w wynajętym domu. Jest bezrobotna.

- Ma jakieś problemy?

- Uzależnienie od nikotyny i były mąż, który został w Bostonie. Bił ją i to przed nim się ukrywa.

- Te nieszczęsne kobiety. - Russell wolno pokręcił głową. - Każda musi dźwigać jakieś brzemie.

- Spotkałem się z tym jej mężem. To były bokser, prowadzi warsztat samochodowy. Kawał buca.

- A co dolega dziewczynce?

- Nic.

Russell Reeves znów podniósł wzrok znad stołu.

- Jej dziecko nie jest chore?

- Nie.

- Jesteś pewien?

Andy wzruszył ramionami.

- Frankie powiedziała, że mała jest całkowicie zdrowa.

- Widziałeś ją? Tę dziewczynkę?

- Tak. Słodki rudzielec. Nie sprawia wrażenia, że coś z nią nie tak.

- Widzisz, Andy, to była tylko kwestia przypadku. - Russell z powrotem pochylił się nad fotografiami. - I ma osiem lat?

Andy potakująco kiwnął głową.

- A Frankie ma dwadzieścia osiem. A to oznacza, że nie mogła być twoją dziewczyną.

Reeves nie zareagował. Nawet nie oderwał oczu od zdjęć.

- Czemu tak twierdzisz, Andy? - zapytał spokojnie.

- Umiem liczyć. Jesteś żonaty od czternastu lat, więc kiedy brałeś ślub, ona dopiero kończyła podstawówkę. A cztery lata później wyszła za mąż.

- Nigdy nie powiedziałem, że była moją dziewczyną, zanim się ożeniłem. - Miliarder powoli uniósł wzrok. - Ani że sama była wtedy panną.

Teraz Andy próbował ukryć zdumienie.

- Byłeś żonaty... a ona miała męża... kiedy się...?

- To się nazywa romans, Andy.

- Przecież Kathryn niczego nie brakuje.

- Zdrada małżeńska to skomplikowana sprawa.

- Wolałbym o tym nie wiedzieć.

- Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Obowiązuje cię tajemnica adwokacka.

- To dlatego tak się wypierała. Była mężatką i miała romans.

Russell Reeves znów zajął się zdjęciami Frankie i jej córki. Studiował je tak uważnie, że w głowie Andy'ego pojawiła się kolejna myśl. Zaczął pojmować, dlaczego miliarder pragnie odnaleźć siedemnaście swoich byłych partnerek.

- Czy to twoje dziecko? - zapytał.

Russell spojrział na niego. Miał surową minę i Andy już pogodził się z tym, że za chwilę straci pracę. Tymczasem jego klient

opadł na oparcie krzesła i westchnął z rezygnacją, jak gdyby uznał, że nadszedł wreszcie czas, by odsłonić przed adwokatem wszystkie karty.

- Być może. - Skierował spojrzenie gdzieś w dal, jakby odświeżał wspomnienia. - Frankie i ja mieliśmy romans dziewięć lat temu, kiedy prowadziłem przez jeden semestr zajęcia w Instytucie Techniki w Massachusetts. Gościnnie, jako miliarder, który zbił majątek na nowatorskich rozwiązaniach. Poznaliśmy się w hotelowym barze. Obydwoje mieliśmy wtedy partnerów.

Z jakiejś nieznaney przyczyny Andy poczuł ukłucie zazdrości na myśl, że jego klient przespał się z Frankie. - W jakim barze?

- Nie pamiętam, jak się nazywał. W bostońskim Grand Hotelu.

To był ten hotel. Został opisany w dossier. Frankie pracowała tam przed dziewięciu laty, gdy miała dziewiętnaście lat. Gdyby dodać do tego dziewięć miesięcy ciąży, poczęte wówczas dziecko miałoby teraz osiem lat. I właśnie tyle miało.

Andy miał już pewność, że Frankie go okłamała.

- Jej były to nieokrzesany typ. Masz szczęście, że wtedy się nie zorientował.

- Nikt nie może się zorientować. - Reeves westchnął ciężko. - Andy, muszę się dowiedzieć, czy ona jest moją córką.

- Po co ci to?

- Ponieważ Zach odziedziczył po mnie ten fatalny gen. Teraz mój syn ma raka, który go zabija. A jeżeli tamto dziecko również skazałem na śmierć?

- Ale ona nie jest chora.

- Jeszcze nie. Ale jeżeli to moja córka, może mieć ten gen i może zachorować w każdej chwili. W przyszłym tygodniu, w

przyszłym miesiącu albo w przyszłym roku. A jeżeli moi naukowcy mogliby temu zapobiec? Poczynili ogromne postępy w badaniach nad terapią genetyczną. A gdyby mogli ocalić ją przed taką samą chorobą, na jaką umiera Zach?

- Ale Russell...

- Andy, jeżeli to dziecko jest moje, nosi w sobie odbezpieczoną bombę zegarową, a my możemy zapobiec eksplozji. A jeżeli możemy oszczędzić jej cierpień mojego syna? Jeżeli możemy ocalić jej życie? Czy nie warto spróbować?

- W jaki sposób?

- Jej DNA.

- Chcesz, żebym zdobył jej DNA?

Russell Reeves pokiwał głową.

- Porównamy jej DNA z moim. W ten sposób poznamy prawdę.

- To trochę nienormalne, żebym się tam zakradał i pobierał jej materiał genetyczny. A nie mógłbyś zwyczajnie porozmawiać z Frankie, przedstawić jej całą sytuację i poprosić o przebadanie dziewczynki?

- Nie widziałem się z nią od dziewięciu lat. Nie wiem, jak do tego podejźcie. A jeżeli ona przeprowadziła się do Teksasu, żeby wymusić ode mnie pieniądze? A jeżeli zechce pójść z tym do telewizji i rozdmuchać całą sprawę? Najpierw muszę wiedzieć, czy ma to dziecko ze mną.

- Masz rację. Ale i tak wydaje mi się to nienormalne.

Russell wstał zza stołu i podszedł do okna. Przez długą chwilę wyglądał na zewnątrz, a potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- O, proszę. - W wyciągniętej ręce trzymał kopertę. - Mam coś dla ciebie.

Andy wziął kopertę i zajrzał do środka.

- Cztery bilety na jutrzejszy mecz? - Nie mógł uwierzyć własnym oczom. - Nasi przeciwko Ohio? Miejsca w samym środku?

- Dostaję je od uczelni, odkąd zbudowałem laboratorium w kampusie. Kilka razy zabierałem Zacha, kiedy miał ochotę, ale sam nie interesuję się futbolem.

- Teksas i Ohio, obie te drużyny są niepokonane. Ten, kto wygra, zostanie bohaterem narodowym. Mógłbyś sprzedać te bilety za dwadzieścia tysięcy.

Miliarder wzruszył ramionami.

- Zaproś Suzie i bawcie się dobrze.

- Wezmę moich kumpli - odparł Andy i już nie mógł się doczekać widoku ich min.

- Powinien być jakiś bonus, Andy - dodał Reeves. - Za to DNA. Dziesięć tysięcy.

Andy spojrział na bilety, które trzymał w ręku. Najlepsze miejsca na stadionie na najgłośniejszy mecz w roku. Tu dwadzieścia tysięcy, tam dziesięć. Ten facet rozrzucał dookoła banknoty, jakby to były papierki z gry w monopol.

- Kiedy Kathryn zaszła w ciążę, nie zdawałem sobie sprawy, że skazuję to dziecko na śmierć - powiedział Russell, stając naprzeciwko Andy'ego. - Muszę to wiedzieć. Jeżeli tamta dziewczynka też jest moja i jeżeli zachoruje na raka z powodu mojego genu, będę miał na sumieniu dwójkę dzieci. Jak ja mam z tym żyć?

- Ona ma rude włosy, tak samo jak były mąż Frankie. A ty nie masz.

- Włosy Frankie są czarne. - Russell wskazał ręką na zdjęcia.

- I co z tego?

- To, że rude włosy są cechą recesywną.

- Co to oznacza?

- Aby dziecko było rude, potrzebne są dwie kopie genów odpowiadających za ten kolor włosów, jedna od matki, a druga od ojca. Jeżeli tylko jedno z rodziców ma rude włosy, istnieje prawdopodobieństwo, że dziecko ich nie odziedziczy. Dominujący jest kolor włosów drugiego rodzica.

- No i?

- No i gen recesywny występuje co drugie pokolenie. Moja matka z domu nazywała się Maureen O'Malley i miała rude włosy, które mnie ominęły, ale jestem nosicielem tego genu. Frankie jest Irlandką, więc też ma ten gen. Gdyby nas połączyć, nasze dziecko mogłoby mieć rude włosy. To prosta genetyka, Andy.

- Prosta.

- Zdobądź jej DNA, a poznamy prawdę.

- To właśnie tego mi nie powiedziałeś, że szukam tych kobiet, aby znaleźć twoje dziecko.

- Żeby sprawdzić, czy nie mam więcej dzieci.

- Czy one naprawdę były twoimi partnerkami?

- Tak... albo przynajmniej łączyły mnie z nimi przelotne romanse.

- Więc chcesz ustalić, czy mają dzieci, których wiek pokrywałby się w czasie z owymi romansami?

- Tak.

- Pierwsza szóstka nie miała?

- Nie. Tamte dzieci nie były moje ani też żadne z ich rodzeństwa.

- Ale ta dziewczynka może być.

- Tak.

- A jeżeli się okaże, że jest twoją córką?

- Spotkam się z Frankie i poproszę ją, aby przyprowadziła małą do laboratorium na badania. Jeżeli ona ma ten gen, poddamy ją terapii genetycznej i ocalimy jej życie. Zrobię dla niej to, czego nie mogę zrobić dla Zacha.

Andy nie chciał, aby dziecko Frankie Doyle umarło.

- Dobrze, zdobędę jej DNA.

- Dziękuję ci, Andy.

- Chcesz, żebym kontynuował poszukiwania pozostałych kobiet?

- Tak. Muszę się przekonać, czy któreś z ich dzieci nie są moje.

Wrócili na przyjęcie. Andy rozegrał rewanżową partię Guitar Hero z Zachem i znów poniósł klęskę. Nie myślał jednak o grze. Jego głowę zaprzętał Russell Reeves. I Frankie Doyle. I ta dziewczynka.

A jeżeli się okaże, że to córka Russella? I jeżeli odziedziczyła po nim ten fatalny gen? Jeżeli naukowcy zdołają uchronić ją przed losem, jaki spotkał Zacha? Czyż Frankie mogłaby tego nie chcieć? Czy nie błagałaby Russella, aby ocalił życie jej córki?

Wszystko to układało się w idealnie spójną całość.

To, że Russell przed spotkaniem z Frankie chciał zdobyć materiał genetyczny dziewczynki, aby sprawdzić, czy jest jego córką, a co za tym idzie, czy przekazał jej wadę genetyczną. Że chciał odnaleźć to dziecko i uratować mu życie. Że nie chciał być odpowiedzialny za śmierć kolejnego dziecka.

Wszystko to miało sens.

Nie wyjaśniało jednak, czemu tamta szóstka dzieci była chora.

Mickey Doyle wpatrywał się w wizytówkę prawnika od mandatów drogowych. Widniał na niej numer jego komórki. Kilka razy omal do niego nie zadzwonił, aby zapytać, czy znalazł już Frankie i Abby. Od trzech lat próbował o nich zapomnieć, aż tu nagle pojawił się ten facet. Teraz nie mógł przestać o nich myśleć.

Wsunął wizytówkę z powrotem do kieszeni koszuli.

Jezusie, Maryjo i Józefie święty. Dotarło do niego, jak bardzo przesrał sobie życie. Został bez żony, bez dziecka, bez przyszłości. Miał trzydzieści pięć lat i czuł, że wszystko już za nim. Zamówił kolejną lufę.

Wychylił kieliszek whisky i popłukał go piwem. Gorący strumień został szybko ugaszony przez falę zimna, a jego ciałem wstrząsnął lekki dreszcz. Jeszcze kilka takich kolejek i da radę zasnąć.

Oczywiście nie miał pretensji do nikogo poza samym sobą. Te jego ataki furii. Jego pięści. Zdarzało mu się trzepnąć Frankie, ale ostatniego razu naprawdę jej przyłożył. Uderzył ją w taki sposób, że mógłby zabić. Jedyłą kobietę, którą kiedykolwiek kochał.

Kochał ją, odkąd skończyła dziesięć lat. Przyglądał się, jak dorasta trzy domy dalej. Kiedy miała szesnaście lat, oświadczył się jej. Dwa lata później się pobrali, zaraz po tym, jak ukończyła szkołę średnią. Była dziewicą i przepojoną poczuciem winy katoliczką, więc ich seks nie miał w sobie wiele polotu. Mickey wcześniej zaczął się włóczyć, co wtedy wydawało się niewinną zabawą, ale odczuwał z tego powodu wyrzuty sumienia, kiedy w niedzielę szedł na mszę. Nie chodził już do kościoła, ale wciąż miał poczucie winy.

I tęsknił za nimi obiema.

Zamówił następną kolejkę. W swoim życiu miał tylko dwie miłości - boks i Frankie. Doszedł do półzawodowych walk, które staczał w sobotnie wieczory po całym tygodniu pracy w warsztacie. Wiedząc, że ze swoimi umiejętnościami nie zrobi większej kariery, odpuścił sobie ring.

Nigdy jednak nie odpuścił sobie Frankie. Na zawsze pozostała miłością jego życia. Oczywiście w ciągu ostatnich trzech lat miał inne kobiety, ale była to tylko rozrywka. Kiedy się z nimi spotykał, myślał o niej. O swojej jedynej prawdziwej miłości, którą

spieprzył. Oddałby wszystko za jeszcze jedną szansę. Sędzia dał mu drugą szansę i trzecią, ale Frankie nie. Ze względu na Abby. Powinien był ją chronić.

Zapłacił rachunek, wyszedł na zewnątrz i ruszył chodnikiem w stronę domu, który był oddalony zaledwie o trzy przecznice. Za najbliższym skrzyżowaniem jakaś pięść wylądowała na jego twarzy, aż zatoczył się, uderzając o ścianę budynku. Jakiś frajer startuje do Mickeya Doyle'a? Walczył najlepiej, kiedy był trochę podchmielony, jak teraz. Odwrócił się w stronę wysokiego mężczyzny, napierając na niego.

- Gdzie jest Frankie? - zapytał nieznajomy.
- Co?
- Twoja była żona. Gdzie ona jest?
- Pracujesz dla tego prawnika?
- Jakiego prawnika?
- Mówiłem mu, że nie wiem, gdzie ona jest.
- Ale mnie tego nie mów, Mickey - warknął mężczyzna. -

Zabiję cię, a potem znajdę Frankie i ją też zabiję.

Całe poczucie winy, jakie zadreęczało Mickeya przez ostatnie trzy lata, wszystkie chwile, w których przeklinał siebie za bicie żony, i cała miłość, jaką darzył Frankie przez ostatnie osiemnaście lat, teraz skupiły się w jego pięściach. Wykonał nieznaczny zwód ramieniem, na który tamten dał się nabrać, a wtedy błyskawicznym lewym prostym rozkwaślił mu nos. Potem wyprowadził prawy hak, który ugodził nieznajomego w podbródek, i poprawił serią ciosów w tułów. Słyszał, jak z faceta uchodzi powietrze. Jeszcze kilka uderzeń i Mickey zagonił go do narożnika, a raczej przyparł do maski samochodu.

- Spróbuj tylko ją tknąć!

Grzmocił go raz za razem i czuł, jak tamtemu pękają zębra. Był gotów zatłuc go na śmierć, żeby ochronić Frankie, gdy wtem poczuł, jak coś twardego rozłupuje mu czaszkę. Osunął się na chodnik. Wybacz Frankie - przemknęło mu przez myśl i spowiała go nieprzenikniona ciemność.

Harmon Payne wyprostował się i splunął krwią.

- Dzięki, Cecil.

Cecil Durant, jego kierowca, uderzył Mickeya łyżką do opon. Harmon dotknął obolałego tułowia. Teraz przez tydzień nie będzie mógł się ruszać, a wszystko przez to, że szef zabronił niepotrzebnych trupów. Strzał w głowę Mickeya Doyle'a byłby zdecydowanie mniej bolesny dla nich obu.

- Kurwa, potrafi facet przywalić.

Harmon ukląkł i sprawdził puls leżącego. Mickey był martwy.

- Raczej potrafił.

Przeszukał zwłoki. W kieszeni koszuli znalazł wizytówkę. „Andy Prescott. Prawnik. Mandaty drogowe. Austin. Teksas”. Pod spodem widniał numer telefonu.

- Cecil, lecimy do Teksasu.

Rozdział 17.

Andy zapłacił Ramonowi pięć stów, by ten wstał wcześniej rano, i drugie pięć, by zawiózł go do domu Frankie Doyle. Musiał zdobyć DNA dziewczynki - choć tak naprawdę nie miał pojęcia, jak tego dokonać - dostarczyć materiał Russellowi, a potem dostać się na stadion uniwersytecki, gdzie o drugiej rozpoczynał się mecz. A poza tym chciał jeszcze raz zobaczyć Frankie Doyle. Ale kiedy Ramon skręcił żółtym kabrioletem na podjazd przed domem w Buda, starej toyoty tam nie zastali.

- One wyjechały, brachu.

Andy zapukał do drzwi, ale odpowiedziała mu głucha cisza. Zajrzał przez okno do środka. Meble stały na swoim miejscu, ale Frankie i dziewczynki tam nie było. Wewnątrz panował porządek, jak gdyby przed chwilą wysprzątno. Okrążył dom, ale nikogo nie znalazł. Ramon miał rację. Wyjechały. Andy wrócił do samochodu, usiadł na fotelu pasażera i milczał.

- Ech, chłopie - odezwał się Ramon.

- Co?

- Ty po prostu chciałeś się z nią zobaczyć.

- No i co z tego?

- Że nie powinieneś mieszać interesów z przyjemnościami.

- Ty ciągle to robisz.

- Nigdy nie podliczyłem mojej byłej żony. Dopóki nie zaczęła mnie zdradzać.

- Dlaczego wyjechały w środku nocy? - dziwił się Andy.
- Bo ją znalazłeś. A ona tego nie chciała.

Ramon wrzucił wsteczny bieg i zaczął wycofywać się z podjazdu.

- Stój! - krzyknął nagle Andy.
- Co jest? - Ramon nadepnął hamulec.

Czarny plastikowy kubek na śmieci stał przy drodze, czekając na opróżnienie. Andy wyskoczył z samochodu i uniósł pokrywę, wyciągnął foliowy worek, rozwiązał tasiemkę i zajrzał do środka.

- Człowieku, będziesz grzebał w śmieciach? - Ramon skrzywił się. - Pozazdrościłeś Floydowi?
- Posprzątała dom, zanim wyjechała.
- To co?
- Coś tu mogło zostać.

Andy nie chciał grzebać w śmieciach gołymi rękami, więc rozejrzał się dookoła i znalazł długi patyk. Wysypał zawartość worka na ziemię, przykucnął i zaczął rozgarniać odpadki. Resztki jedzenia, opakowania po żywności, zabrudzone ręczniki papierowe, skórki z bananów, niedopałki i pusta paczka po papierosach - Frankie znów zaczęła palić - kartony po jogurtach, paczki po chipsach ziemniaczanych, podpaski, skorupki z jajek, plaster opatrunkowy... Andy zamarł w bezruchu. Był to jeden z tych dużych prostokątnych plastrów, jakich sam używał, kiedy mocniej się poobcierał, gdy spadł z roweru. Odwrócił go patykiem na drugą stronę. Na opatrunku widniały rdzawe plamy.

Tylko czyja to krew?

Andy dostarczył plaster Russellowi, który wręczył mu czek na dziesięć tysięcy dolarów. Dwa razy tyle były warte te cztery bilety,

które dostał od niego dzień wcześniej. Zastanawiał się nawet, czy ich nie opchnąć, ale czymże jest dwadzieścia kawalków, jeżeli możesz obejrzeć z przyjaciółmi mecz futbolowy roku, zajmując najlepsze miejsca na trybunach? Uniwersytet Teksasński kontra uniwersytet stanowy z Ohio. Długie Rogi kontra Kasztany. Dwie czołowe drużyny w kraju walczące o mistrzostwo. I oczywiście można było też popatrzeć na...

- Cheerleaderki! - Z wyciągniętym palcem wskazującym Dave wyglądał jak dziecko w cyrku.

Cheerleaderki drużyny gospodarzy, odziane w skąpe, pomarańczowo-białe stroje kowbojek, przebiegły obok nich. Wszystkie były piękne, zgrabne i rozsadała je energia. Andy, Tres i Dave stanęli jak wryci, patrząc na nie z niemym podziwem. Z osłupienia wyrwał ich głos Curtisa.

- Taki nowy wóz kempingowy kosztuje milion dolarów. Ma bezprzewodowe łącze, anteny satelitarne, nawigację...

- Curtis, oglądasz jakieś auta, zamiast patrzeć na cheerleaderki? - zganił go Dave.

- A gdzie są? - Curtis rozejrzał się dokoła.

Szli przez parking przy budynkach Wydziału Administracji Publicznej imienia Lyndona B. Johnsona i tylko jedna przecznica dzieliła ich od stadionu. Na wielkim placu tłoczyły się SUV-y i kampery, a kierowcy chyba hołdowali amerykańskiej tradycji, bo jechali jeden za drugim zderzak w zderzak. Trwała wielka przedmeczowa impreza. Kibice opychali się mięsem i pili piwo, wykrzykiwali wniebogłosy bojowe pieśni i zachowywali się obleśnie. Parking wyglądał niczym konwent grillowiczów, chmury dymu unosiły się z rusztów, na których skwierczały płaty wołowiny polane obfitującym w cholesterol sosem barbecue. Orzeźwiający

wiatr niósł jego słodkawy zapach. Fani teksańskich futbolistów wykrzykiwali: „Weźmiemy ich na rogi” do przechodzących nieopodal ludzi. Każdy, kto w odpowiedzi na to hasło nie złożył dłoni w geście poparcia dla lokalnej drużyny, prostując kciuk oraz mały palec i zginając pozostałe, jakby chciał pokazać rogi, był uznawany za wroga i natychmiast w jego stronę leciały puste puszki po piwie.

Ot, rozrywka w amerykańskim stylu.

Całą czwórkę wchłonął szeroki strumień kibiców ubranych w jaskrawopomarańczowe koszulki, sunący w stronę dwupoziomowego stadionu, który wznosił się na wprost nich.

- Jak Koloseum - stwierdził Curtis, który kiedyś studiował w Rzymie. - To zadziwiające, jak futbol amerykański przypomina starożytne walki gladiatorów. Oczywiście z taką różnicą, że tutajsza publiczność jest bardziej żądna krwi.

- Czuję, że znów nas czeka lekcja historii - powiedział Tres z przekąsem.

- Czy wiecie, że większość gladiatorów była niewolnikami lub biedakami, którzy rozpaczliwie pragnęli wyrwać się z nędzy? Tak samo jak dzisiaj czarni piłkarze z ubogich dzielnic.

Drużyna Uniwersytetu Teksańskiego po raz ostatni w 1969 roku wystawiła do mistrzostw reprezentację złożoną z samych białych. Potem zaczęła rekrutować czarnych zawodników z przedmieść Houston i Dallas. W 2005 roku o mistrzostwo teksańskiej uczelni walczyli głównie czarnoskórzy gracze.

- Gladiatorzy byli niezwykle roslymi mężczyznami, którzy zabijali się ku ucieście zamożnych widzów. Niektórzy stawali się sławni na cały kraj. Nosili tatuaże, firmowali swoim imieniem różne produkty i ciągnęły się za nimi tłumy napalonych fanek.

- Jezu. - Dave westchnął. - Nawet wtedy panienki leciały na sportowców.

- A rozgrywki miały formę publicznych przedstawień, które odbywały się w specjalnie do tego celu budowanych amfiteatrach, podobnie jak dzisiejsze stadiony, na które miasta wydają setki milionów, żeby zwabić do siebie gwiazdy futbolu. Wtedy też były drużyny, które miały swoje maskotki, a ludzie robili zakłady i odsprzedawali sobie bilety, jak...

- ...ja mogłem zrobić - mruknął Andy.

- Koloseum mogło pomieścić pięćdziesiąt tysięcy widzów i miało osobne wejścia oraz specjalne loże dla VIP-ów, tak jak ten stadion. Tamtejsza arena ma niemal identyczne rozmiary jak boisko do futbolu. Gdyby się nad tym zastanowić, to naprawdę intrygujące, jak bardzo nasze społeczeństwo jest podobne do starożytnych Rzymian.

- Czy to imperium przypadkiem nie upadło? - spytał Andy.

- Curtis, jesteś chodzącą encyklopedią - stwierdził nie bez podziwu Tres. - Czy jest coś, na czym się nie znasz?

- Kobiety.

- I tu cię mam, stary.

Dave i Curtis stuknęli się zaciśniętymi pięściami.

- Andy - zagadnął Curtis. - Dzięki za tę fuchę z dzieciakiem Reevesa.

- Poznałeś Zacha?

- Wczoraj. Przesłano po mnie limuzynę. Kierowca to ćwok, ale przejażdżka była świetna. Reeves płaci mi sześć stów.

- Za godzinę? Zarabiasz więcej ode mnie.

- A potrafisz uczyć algebry?

- Nie wiem, czy umiałbym przeliterować to słowo.

- Widzisz. - Curtis wskazał palcem na głowę. - Trzeba mieć tu.
- Andy, a może i mnie załatwisz jakąś robotę u Reevesa? - wtrącił Dave.

- A czego mógłbyś uczyć?

- Mam doktorat z picia piwa.

- Zach wymiata w Guitar Hero - stwierdził Curtis. - I ma tęższą głowę niż większość studentów, których uczę.

- O co chodzi z tym, że rude włosy są cechą recesywną? - Andy zwrócił się do Curtisa.

- To kwestia przypadku. Tak, rudy kolor jest recesywny, co oznacza, że zazwyczaj matka i ojciec muszą mieć takie włosy, aby ich potomstwo też było rude. Dzieje się tak, ponieważ gen odpowiadający za czarny, brązowy lub jasny kolor włosów dominuje nad genem, który odpowiada za rude. Widzisz, ten gen jest receptorem melanokortyny i występuje u każdego, ale żeby włosy były rude, potrzebne są tak naprawdę dwa takie zmutowane geny pochodzące od obydwójga rodziców. Jeśli ojciec i matka mają rude włosy, na sto procent dziecko też będzie rude.

- A jeżeli dziecko jest rude, ale tylko jedno z rodziców ma takie włosy?

- Wtedy może je dziedziczyć po jednym z dziadków. W każdym razie statystycznie. To dlatego tylko dwa do sześciu procent populacji naszego kraju ma rude włosy.

Russell Reeves nie kłamał, za to Andy zaczął się zastanawiać, czemu w ogóle brał taką możliwość pod uwagę.

Po przejściu przez bramki wykrywacza metali znaleźli się na stadionie. Otaczające zieloną murawę trybuny wypełniał prawie stutysięczny rozwrzeszczany tłum. Kibice z Teksasu byli ubrani

na pomarańczowo, a fani Kasztanów, którzy przebyli ponad półtora tysiąca kilometrów z Ohio, mieli czerwone koszulki. Czterej przyjaciele znaleźli swoje miejsca i zasiedli tuż za gubernatorem Teksasu.

- Patrzcie, kto tam stoi. - Tres wskazał palcem w stronę ławki gospodarzy. - To McConaughey.

- Co on robi przy bocznej linii? - zdziwił się Dave. - Nigdy nie grał, kiedy był studentem.

- Blask sławy. - Tres wzruszył ramionami.

Sterowiec reklamujący towarzystwo ubezpieczeniowe krążył nad stadionem niczym sęp wypatrujący rozjechanych zwierząt. Dzięki umieszczonym na nim kamerom można było obserwować mecz z lotu ptaka, a obraz był wyświetlany na Godzillatronie, gigantycznym ekranie umieszczonym nad południowymi trybunami. Patrząc na niego, miało się wrażenia, jakby się oglądało telewizor jakiegoś olbrzyma.

- Większy ekran mają jedynie w Tokio - oznajmił Curtis.

Andy Prescott obejrzał większość meczy, które Texas Longhorns rozegrali na swoim boisku, do czego nigdy nie przyznał się matce. Jednak nie chodził na nie dla futbolu, ale dla dziewczyn. Takie sobotnie popołudnie na stadionie, nawet jeżeli wypadło w pierwszy dzień listopada, miało w sobie coś, co sprawiało, że studentki wkładały najbardziej skąpe kreacje, jakie trzymały szafach. Zawsze uważał, że to zasługa kamer telewizyjnych. Uczelniane piękności miały nadzieję, że zostaną wypatrzone i odkryte podczas transmisji meczu, więc ochoczo prezentowały wdzięki. Samo to było warte, by kupić bilet.

Przez następne trzy godziny kibice z Teksasu, zamożni ludzie z eleganckich dzielnic Dallas i Houston, zagrzewali do boju

zawodników, głównie czarnoskórych biedaków wychowanych w slumsach. Faceci patrzyli na mecz, Andy przyglądał się dziewczynom, a długorogi byk Bevo, maskotka drużyny, wypróżniał się, stojąc w narożniku. Główny rozgrywający Kasztanów z Ohio został zniesiony z boiska na noszach z urazem głowy, cheerleaderki podskakiwały, kręciły się i fikały koziołki przy bocznej linii, jakby chcąc się przypodobać temu parszywemu szczęściarzowi McConaughyowi, i oczywiście wygrali gospodarze.

- Popatrz, grają jakiś mecz tam na stadionie. - Cecil Durant wyrztał przez okienko samolotu. - To pewnie Teksas kontra Ohio.

Harmon pokręcił głową. Podróżowanie z Cecilem było jak wyjazd na wakacje z dziećmi. Można by pomyśleć, że facet nigdy w życiu nie wystawił nosa z New Jersey.

- Pierwszy raz jestem w Teksasie. Możemy zwiedzić Alamo tak przy okazji?

- Cecil, Alamo jest w San Antonio.

- Aha. To może ranczo Southfork? Podobał mi się ten serial.

- Ono jest w Dallas, Cecil - odparł Harmon. - To dlatego film nosi tytuł *Dallas*.

- Faktycznie. - Cecil pokiwał głową. - A NASA?

- Houston.

- To co jest w Austin?

- Andy Prescott.

Cecil Durant z pewnością nie nadawał się do Mensy, ale był dobrym kierowcą i w razie potrzeby służył pomocną dłonią uzbrojoną w łyżkę do opon. Kiedy samolot wylądował, wynajęli czarnego fordą crown victoria i wyjechali z lotniska. Gdy dotarli do drogi

międzystanowej numer 35, skierowali się na południe. Harmon wciąż czuł piekielny ból w żebrach.

- Mogę sobie tu kupić kowbojskie buty? - zapytał Cecil.
- Najpierw kupimy sobie jakieś spluwy.

Jedynym problemem, jaki obecnie wiązał się z podróżowaniem samolotem, oczywiście pomijając płaczące dzieci, utyskujących pasażerów, zaginiony bagaż, opóźnienia lotów i kontrole osobiste podczas odprawy, było przewiezienie broni. Należało wypełnić specjalne formularze i odpowiadać na pytania, a kiedy walizka przejeżdżała przez aparaturę rentgenowską, agenci ochrony zawsze unosili brwi ze zdumieniem na widok tłumika. Dlatego kiedy Harmon wybierał się w podróż do Austin, zostawił broń w domu. Na szczęście w Teksasie łatwiej było się zaopatrzyć w cały arsenał, aniżeli dokonać aborcji.

Najpierw przejrzał lokalną gazetę w poszukiwaniu informacji o targach broni. Na takich targach mógł nabyć, co tylko sobie zażyczył: amunicję, tłumik, karabinek szturmowy, a nawet pistolet maszynowy, zapłacić za to gotówką i uniknąć zbędnych pytań, formalności i sprawdzania dokumentów. Czytał kiedyś, że meksykańskie kartele narkotykowe dozbrają się teraz na targach w Teksasie i przemycają broń przez granicę, ponieważ przepisy w Meksyku uległy zaostrzeniu. Okazało się jednak, że w ten weekend najbliższe targi broni odbywają się w Waco, sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Austin, przejrzał więc na lotnisku książkę telefoniczną i znalazł adres najbliższego sklepu Cabela's, który znajdował się w oddalonym o dwadzieścia pięć kilometrów miasteczku Buda.

Cabela's mieści się w drewnianej hali o rozmiarach hangaru lotniczego. Przed głównym wejściem stoi naturalnej wielkości

rzeźba przedstawiająca kowboja na koniu. Wnętrze zdobi dwupoziomowa ekspozycja, na której można zobaczyć wypchane okazy zwierząt. Jest tam jeleni, łoś, karibu, wół pizmowy, wilk polarny oraz różne gatunki niedźwiedzi, od baribala aż po grizzly. Na ścianach wiszą całe rzędy myśliwskich trofeów, a sklep handluje narzędziami służącymi do uśmiercania wszystkich tych stworzeń. Oferuje on broń wyprodukowaną przez takie firmy jak Browning, Smith & Wesson, Winchester, Ruger, Glock, Savage Arms, Bushmaster, Remington, Colt, Sig Sauer i Beretta. Wokół lady tłoczyli się biali mężczyźni w średnim wieku. Amerykanie z pełnym przekonaniem egzekwowali swoje prawa gwarantowane im przez Drugą Poprawkę.

Harmon stał przy kontuarze i ważył w dłoni półautomatyczny pistolet Glock 21 z magazynkiem na trzynaście naboji, który na wyprzedży kosztował 549,99 dolara. Obok niego stał Cecil i wykonywał gwałtowne zwroty raz w prawo, raz w lewo, mierząc z rewolweru Magnum .44 do niewidocznego celu.

- Nie ruszaj się śmieciu - warczał przez zaciśnięte zęby.

Harmon westchnął.

- Odłóż tę spluwę, bo zacznasz mnie wkurzać. Jesteś kierowcą, a nie cynglem.

To Harmon Payne był od strzelania. Pomimo dwudziestu lat na usługach przestępczego świata New Jersey i ponad dwustu akcji z bronią w ręku nigdy nie był o nic podejrzany, aresztowany ani skazany. Ani razu. Taki był dobry. Dlatego też przez Centralny System Kontroli Kryminalnej, który był stosowany, odkąd ten szaleniec Hinckley próbował zastrzelić prezydenta Reagana, przeszedł bez problemu. Trzydzieści sekund po wprowadzeniu

do komputera jego nazwiska, adresu, miejsca oraz daty urodzenia, numeru polisy ubezpieczenia społecznego, wzrostu, wagi, płci i rasy na ekranie pojawiła się odpowiedź: „Proszę kontynuować transakcję”. Sprzedawca uśmiechnął się do Harmona i oznajmił mu, że został oczyszczony z wszelkich podejrzeń i może nabyć każdą broń, jaką sobie zażyczy.

Życzył sobie Glocka.

W Teksasie zakup broni nie musi być poprzedzony okresem oczekiwania ani też nie jest wymagana licencja na jej posiadanie czy zezwolenie na przewożenie w samochodzie, zatem po piętnastu minutach od wejścia do sklepu Harmon Payne miał już całą transakcję za sobą. Kolejny kwadrans poświęcił na poszukiwanie swego kierowcy, który zaszył się w oceanie kamuflażu na stoisku odzieżowym. Miał na głowie myśliwską czapkę ze spuszczoneymi nausznikami, a w rękach trzymał skąpe bikini w maskującym rzucik.

- Myślisz, że Harriett to się spodoba?

- Twoja żona w maskującym bikini? - Harmon się skrzywił. - Jakoś tego nie widzę.

Harmon i Cecil wyszli na zewnątrz uzbrojeni w dwa nowiutkie Glocki z zapasowymi magazynkami i taką ilością amunicji, że mogliby wystrzelać teksańską Gwardię Narodową.

To było takie łatwe.

Oczywiście Harmon Payne nie zamierzał się zachowywać jak niezrównoważony student, którego wkurzył profesor, bo postawił mu niższą ocenę na świadectwie, i który z tego powodu idzie na uczelnię, gdzie rozpętuje strzelaninę, kładąc trupem pół setki ludzi. Harmon Payne był profesjonalistą i zamierzał uśmiercić tylko jedną osobę.

- Znajdźmy Andy'ego Prescottta.

Cecil wrócił do autostrady międzystanowej i pojechali na północ.

- Jest - mruknął Harmon. - South Congress numer 1514^{1/2}, a na drzwiach napis „Mandaty drogowe”. Zaparkuj trochę dalej.

Cecil ujechał jeszcze kawałek, a gdy znaleźli się przed wejściem do szkoły dla niesłyszących, zawrócił szerokim łukiem i zaparkował po przeciwnej stronie ulicy.

Wysiedli z auta. Jedno szybkie spojrzenie dookoła uświadomiło Harmonowi, że trochę przesadzili, wkładając garnitury. Podróżując w interesach, zawsze ubierali się jak kierownicy średniego szczebla. Teraz zdjęli krawaty i rozpięli górne guziki koszul. Harmon został w marynarce, która zasłaniała glocka wetkniętego z tyłu za pasek od spodni. Pomimo tej zmiany wciąż wyglądali jak dwaj księżowi w średnim wieku.

Zaparkowali trzy przecznice dalej i teraz musieli wrócić do biura Andy'ego Prescottta. Idąc, minęli zakład fryzjerski, butik i salon odnowy biologicznej.

- Moglibyśmy potem wstąpić na masaż - zagadnął Cecil. - Może pomogłoby ci na te żebra.

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, potem wstąpimy na lotnisko, żeby złapać samolot do domu.

- Ale jeżeli zostaniemy na noc, zamówimy sobie kurewki.

- A ty co, zostałeś gubernatorem stanu Nowy Jork?

Przeszli obok małego motelu, minęli kawiarnię Jo's, włączając grającego na gitarze i restaurację meksykańską Güero's. Otaczali ich najdziwniejsi ludzie, jakich Harmon widział poza cyrkową areną.

- Teraz już wiadomo, co się stało z tymi wszystkimi hippisami i bitnikami z lat sześćdziesiątych. - Pokazał na młodą wytatuowaną

kobietę, która wałęsała się przed składem kostiumów Lucy in Disguise with Diamonds, i skrzywił się z niesmakiem. - Ta flądra wygląda jak jakiś jarmarczny dziwoląg.

Cecil kiwnął potakująco głową.

- I Beatlesi - dodał.

- Co?

Cecil wyciągnął palec w stronę fasady, na której widniały wymalowane twarze.

- Mają tu Jezusa, Beatlesów, Marilyn Monroe... Myślisz, że ona naprawdę sypiała z Kennedym?

- Myślę, że żadne z nich nie sypiało.

Dotarli pod numer 1514^{1/2}. Harmon nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Na stopniach prowadzących do sąsiadującego z biurem salonu tatuażu siedział włóczęga i pisał coś w notatniku, jakiego używała najmłodsza z córek Harmona.

- Znasz Andy'ego Prescottta?

- Nie. - Bezdomny nawet nie podniósł na niego wzroku.

Oddalili się parę kroków, aby zaczerpnąć haust świeżego powietrza.

- Pewnie nie pracuje w soboty - stwierdził Harmon.

- Ten lump?

- Prescott.

- Aha. - Cecil przeciągnął się. - Jestem głodny. Chodźmy z powrotem do tej meksykańskiej knajpki i zamówmy coś do jedzenia.

- Dobra. A potem znajdziemy jakiś hotel.

- I kurewki?

- Żadnych kurew, Cecil.

Cofnęli się jedną przecznicę do restauracji Güero's, gdzie w ogródku wychodzącym na Congress Avenue roiło się od

studentów. Harmon i Cecil z trudem przecisnęli się między stojącymi na chodniku stolikami. Przy jednym z nich siedziało trzech facetów, którzy popijali piwo i wygłupami zwracali na siebie uwagę przechodzących dziewczyn. Na koszulce jednego z nich widniał nadruk: „Nie przestawaj trąbić - nikt nie usłyszy wystrzału”. To hasło spodobało się Harmonowi.

- Dave, zamilcz wreszcie człowieku!

- W środku siedzi McConaughy. - Do stolika podszedł jeszcze jeden facet, niosąc cztery butelki corony. - Ronda próbuje się dopchać po autograf, więc kupiłem piwo przy barze. Stawiam tę kolejkę.

- Panisko z ciebie, Tres.

Stuknęli się pięściami nad stolikiem, jak zawodnicy Jankesów, kiedy któryś zdobywa cztery bazy.

- A czym McConaughy nas przebija? - zapytał kościsty cherlak w okularach, którego włosy wyglądały jak przystrzyżone kosiarką żyłkową.

- Wyglądem, pieniędzmi, sławą...

- Ma coś poza tym?

Odpowiedział mu wybuch gromkiego śmiechu, jakby to był telewizyjny show Lettermana.

- Posłuchajcie, co pisze ta dziewczyna - powiedział chudy okularnik. - „Chcę oddać moje serce komuś, komu nie będzie przeszkadzał w łóżku mój pies”.

- Jej pies? - zdziwił się facet z fryzurą przypominającą Elvisa. - To zbyt zboczone nawet dla mnie.

Cała czwórka znów parsknęła śmiechem.

Harmon ze zgorzeniem pokręcił głową. Banda rozpieszczonych studenciaków, którzy przepijają ciężko zapracowane pieniądze swoich starych. Harmon nie poszedł na studia. Miał zaledwie dziesięć lat, kiedy umarł jego ojciec i musiał utrzymać matkę oraz

dwie siostry. Tuż po ukończeniu szkoły średniej zaczął pracować dla bandytów. Chciał być inżynierem, a został gangsterem.

- Wejdzmy do środka. Może tam będzie ciszej.

Nie było. Drużyna futbolowa miejscowej uczelni pokonała gości z Ohio, więc studenci świętowali, upijając się i hałasując. Kelnerka poinformowała ich, że w sąsiedniej sali przesiaduje gwiazdor filmowy, co jeszcze bardziej rozpała emocje gości. Harmon westchnął ciężko. Wyglądało na to, że nie mają co liczyć na miłą kolację w spokojnej atmosferze.

Wewnątrz, naprzeciwko drzwi wejściowych znajdował się bar, za którym na drewnianej podłodze stała fontanna, a na ścianie wisiał wypchany indyk. Był to naprawdę stylowy lokal, a ubrania klientów współgrały z wystrojem wnętrza. Kelnerka, drobna i ładna dziewczyna w krótkiej spódniczce i firmowym podkoszulku ciasno opinającym piersi, zaprowadziła ich do głównej jadalni. Po drodze minęli otwartą kuchnię, w której atrakcyjna Meksykanka przyrządzała tortille na ruszcie. Harmon pochwycił jej spojrzenie i puścił do niej oko, a ona odpowiedziała skromnym uśmiechem. Gdy był kiedyś na robocie w Cancún, którą zainscenizował tak, by wyglądało na nieporozumienie przy zakupie prochów, zaliczył w hotelu meksykańską kelnerkę. Był to jego pierwszy kontakt międzynarodowy.

Wystrój jadalni z meksykańskimi kalendarzami, osobliwościami i dziełami sztuki miał w sobie coś z Cancún.

Dziewczyna usadziła ich w boksie pod ceglana ścianą, ozdobioną czarno-białymi podobiznami meksykańskich bandytów i graffiti podobnymi do tych, które Harmon wykonywał na ścianach szkolnej toalety, kiedy był chłopcem. Koło ich stolika przeszedł wolnym krokiem mariachi w rzemiennym krawacie i brzdąkając na

gitarze, śpiewał jakąś meksykańską balladę. Był niezły. Muzyka i gwar odbijały się echem od betonowej podłogi i ścian, dudniąc w uszach Harmona. Pomyślał, że może piwo uśmierzy ból głowy.

Zamówili meksykańskie dania i piwo Dos Equis. Obsługiwała ich kelnerka wytatuowana i podziurawiona kolczykami od stóp do głów. Musiała popierać demokratów. Całe to miejsce było pełne demokratów.

- Co za posrany zwierzyniec - mruknął Harmon. - Żyją w tym mieście jacyś normalni ludzie?

- Do tej pory żadnych nie zauważyłem.

Ale za to piwo było zimne, a jedzenie smaczne. Już zaczynał odzyskiwać dobry nastrój, gdy wtem zauważył jakiegoś mężczyznę z rodziną i przypomniał sobie, że w tej chwili jego własna żona i dzieci są na meczu piłki nożnej, w którym grał jego syn. Opuścił już dwa takie mecze z rzędu i czuł się jak niewydarzony ojciec. Cecil chyba czytał w jego myślach.

- Harmon, zamówmy sobie jakieś dupy. To ci poprawi humor. I żebra przestaną cię boleć.

Rozdział 18.

Harmon Payne nie zastał nikogo w biurze przy Congress Avenue również przez całą niedzielę, ponieważ rankiem tego dnia Andy Prescott poleciał pierwszą klasą do San Diego, aby odnaleźć tam ósmą kobietę z listy Russella Reevesa. Toteż cały ten dzień Harmon i Cecil spędzili w hotelowym barze, oglądając futbolowe rozgrywki na ekranie wielkiego telewizora.

- Harmon, tutaj piszą, że pod mostem Congress Avenue gnieździ się półtora miliona nietoperzy, które wylatują codziennie o zmierzchu. Może pójdziemy popatrzeć. Tutaj piszą, że to naprawdę fajne.

- Nie.

- To może pójdziemy do ogrodu botanicznego?

- Nie.

- A zobaczymy Kapitol?

- Nie.

- Ale ten jest największy w kraju.

- Nie.

- To może byśmy pojeździli po mieście na segwayu? Ale byłby ubaw. A możemy przynajmniej zamówić kurewki?

- Nie.

Andy spędził cały dzień w wynajętym audi, jeżdżąc po okolicach La Jolla i śledząc Sally Armstrong. Okazała się ona trzydziestoośmioletnią, atrakcyjną i zamożną mężatką, która mieszkała w

wielkim domu z widokiem na Ocean Spokojny. Miała dwoje dzieci. Jej córka miała piętnaście lat i była całkowicie zdrowa, za to syn, dziesiętnastolatek, miał sparaliżowane kończyny. Przed trzema laty Jimmy Armstrong stracił panowanie nad kierownicą swego nowiutkiego mustanga i owinał go wokół słupa telefonicznego. Na resztę życia został przykuty do wózka inwalidzkiego, ale miał zapewnioną najlepszą opiekę, jaką można mu było zapewnić. Nie potrzebował pieniędzy Russella Reevesa.

Andy jechał wzdłuż bulwaru, po którym śmigały na rolkach kalifornijskie piękności odziane w same bikini, choć przecież tutaj też był listopad. Zatrzymał się w hotelu Del Coronado i zjadł na kolację krabowe enchilady, a potem wybrał się na plażę. Spacerował, patrząc, jak zachodzące słońce zanurza się w Pacyfiku, i rozmyślał o chorych dzieciach. Siedmioro z ośmiorga. To się nie trzymało kupy.

Następnego ranka wskoczył w dżinsy i tenisówki, po czym zamówił taksówkę na lotnisko. Zadzwoił do sądu grodzkiego w Austin i oznajmił asystentce sędzi Judith Jackson, że musiał wyjechać z miasta, reprezentując interesy Russella Reevesa. Urzędniczka skwapliwie zgodziła się odroczyć jego sprawy, których termin przypadał na ten poniedziałek. Potem wszedł na pokład samolotu do Austin.

Gdy Andy Prescott przelatywał właśnie nad Wielkim Kanionem, do gabinetu Russella Reevesa w jego instytucji badawczym wszedł doktor Glenn Hall.

- DNA się zgadza - oznajmił. - To ona.

Andy wylądował w Austin o piętnastej i natychmiast zadzwonił do swego klienta, z którym jak zwykle umówił się na spotkanie w biurze. Czarna limuzyna już tam stała, kiedy dojechał na miejsce,

ale zobaczył również zbiegowisko na chodniku przed wejściem do zakładu Ramona. Zapłacił taksówkarzowi i wysiadł. Przepchnął się przez tłum gapiów i zobaczył Floyda T., który leżał na chodniku. Klęczał przy nim Russell Reeves, a obok stał Darrell.

- Co mu zrobiłeś? - Andy pchnął zwałistego kierowcę.

- Nic, przysięgam. Siedział tutaj i nagle po prostu się przewrócił.

- Czy on oddycha?

Russell zbadał puls Floyda.

- Nie.

Ramon zrobił znak krzyża.

- Kurwa. - Andy szybko okręcił się w miejscu. - Czy ktoś umie robić sztuczne oddychanie?

- Ja - powiedział miliarder.

Odchylił do tyłu podbródek leżącego, by udrozić jego krtań, zatkał mu nos palcami, po czym przycisnął usta do jego ust i dmuchnął. Raz, drugi...

- Panie Reeves - odezwał się Darrell. - A bo to wiadomo, co on brał do gęby?

Russell wyprostował się na kolanach, złożył dłonie i ucisnął klatkę piersiową Floyda. Raz, drugi, trzeci. Powtórzył tę operację dwukrotnie, a potem znów przystąpił do sztucznego oddychania.

- Darrell, zanieśmy go do samochodu - rozkazał, podnosząc się z klęczek.

- Ale panie Reeves, ja właśnie sprzątałem.

- Zabieraj go stąd!

Darrell przykucnął, wsunął ręce pod bezwładne ciało i oderwał je od chodnika z taką łatwością, jakby podnosił dziecko. Podeszedł do limuzyny i podczas gdy Russell Reeves przytrzymał tylne drzwi, schylił się i ułożył Floyda na kanapie. Potem zrobił krok w

tył i okrążył pędem samochód, by usiąść za kierownicą.

- Zabierz jego wózek do siebie! - krzyknął Andy do Ramona. Potem wskoczył za Russellem do limuzyny i zatrzasnął drzwi.

Harmon i Cecil obserwowali całe zajście przez przednią szybę wynajętego forda, który stał zaparkowany kilkadziesiąt metrów dalej.

- O jednego bezdomnego mniej - stwierdził Harmon.
- Nigdy nie jechałem limuzyną - odezwał się Cecil. - Założę się, że w środku jest elegancko.
- Jak dla tego lumpa, to nawet bardzo.

Czatowali pod biurem Andy'ego Prescottta przez większość dnia, ale jak dotąd nikt nie wszedł ani nie wyszedł drzwiami pod numerem 1514^{1/2}. Gdzie ten facet się podziewał?

- Nie wiemy nawet, jak ten Prescott wygląda. - Cecil się zasępił.
- Jak prawnik. Widzisz tu kogoś, kto wygląda jak prawnik?
- W całym tym mieście nie widziałem nikogo, kto by wyglądał normalnie, poza tym nadzianym gościem z limuzyny. Myślisz, że to Prescott?
- Prawniki od mandatów woziliby się limuzyną z gorylem? Nie sądzę, Cecil.
- Święta racja.

Russell kazał Darrellowi jechać do położonego w śródmieściu szpitala. Andy wygrzebał z plecaka telefon i uprzedził personel o ich przybyciu, podczas gdy jego klient reanimował Floyda przez całą drogę. Przed wejściem do izby przyjęć czekała już gromada

lekarzy i pielęgniarek. Andy otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu, a potem pomógł Darrelowi wyciągnąć Floyda T, i ułożyć go na przygotowanym wózku. Pielęgniarki i lekarze patrzyli osłupiałym wzrokiem na leżącego, jak gdyby widzieli nielegalnego meksykańskiego imigranta.

- No już, bierzcie go do środka! - ponaglił ich Andy.

- Czy on jest bezdomny? - zapytała jedna z pielęgniarek.

- Tak. I co z tego?

- To, że jesteśmy prywatnym szpitalem. Jeżeli chory nie jest ubezpieczony, musicie go zabrać do publicznej placówki.

- On jest weteranem wojennym! - zaprotestował Andy.

- Więc zawieźcie go do szpitala wojskowego - doradził lekarz.

- A gdzie to jest?

- W San Antonio.

- Toż to sto pięćdziesiąt kilometrów stąd!

- Ten pacjent jest ubezpieczony - rozległ się głos Russella Reevesa, który wysiadał z limuzyny. - Przeze mnie.

Na jego widok miny zgromadzonego przed wejściem personelu nagle się zmieniły.

- Pan Reeves - wykrztusiła pielęgniarka.

- Proszę się zająć tym człowiekiem.

- Bierzemy go na izbę przyjęć - zarządził lekarz. - Migiem!

Cały zespół prężnie przystąpił do działania. Jeden z lekarzy usiadł okrakiem na chorym i przystąpił do reanimacji, podczas gdy inni zaczęli pchać wózek w stronę rozsuwanych automatycznie drzwi. Po chwili wszyscy zniknęli za rogiem.

Andy zarejestrował Floyda, Russell Reeves podpisał formularz odpowiedzialności finansowej za leczenie i trzydzieści minut później obydwaj siedzieli w poczekalni. Czekali i popijali kawę od Jo's, po którą Russell posłał Darrella. Tymczasem Floyd T. przechodził operację wszczepienia bajpasów.

- Dzięki, Russell.

- Rzeczywiście, dobra ta kawa.

- Nie za kawę. Za Floyda T.

- Wiem. - Miliarder pokręcił głową. - To jest prywatny szpital non profit. Nie płacą stanowych ani federalnych podatków, a w zamian za to mają zapewniać bezpłatną opiekę ubogim. Ale tego nie robią. Odsyłają biednych ludzi do szpitali publicznych. A kiedy przyjmą kogoś bez ubezpieczenia, każą mu płacić dwa razy tyle co ubezpieczonemu.

- Dlaczego?

- Bo mają do tego prawo. I dlatego, że firmy ubezpieczeniowe domagają się takich stawek, na jakie normalni ludzie nie mogą sobie pozwolić.

- Różne ceny od różnych ludzi za to samo leczenie? To niesprawiedliwe.

- Owszem, Andy. Należałoby im cofnąć zwolnienie od podatku, ale władze tego nie egzekwują. Polityka. Nie byłem zwolnieniem publicznej służby zdrowia, ale teraz widzę, że to jedyne uczciwe rozwiązanie. W przeciwnym razie już niedługo tylko tacy jak ja będą mogli liczyć na pomoc lekarza. Przynajmniej moglibyśmy zarządzać opieką zdrowotną jako gałęzią gospodarki, a nie polityki. Rząd Stanów Zjednoczonych jest największym na świecie nabywcą leków, ale nie negocjuje zniżek z koncernami farmaceutycznymi. Płaci cenę rynkową. Czyż nie jest to głupie? Ale producenci leków przekupują polityków, współfinansując ich kampanie,

i w efekcie Kongres uchwalił prawo, w myśl którego naszemu obywatelowi nie wolno kupować w Kanadzie tych samych leków za niższą cenę. - Russell Reeves zamilkł na chwilę, aby się uspokoić. - Opowiedz mi teraz o tej ósmej.

Andy wręczył dossier swemu klientowi, który przeglądał notatki, słuchając sprawozdania na temat Sally i Jimmy'ego Armstrongów z San Diego.

- Sparaliżowany w wieku szesnastu lat... - Russell pokręcił głową. - Reszta życia na wózku.

- To już siódmy przypadek na osiem.

- On nie jest moim dzieckiem. I jego siostra też. Poznałem Sally dwanaście lat temu.

- Kolejny romans z mężatką... Kiedy sam też nie byłeś wolny.

- Była wtedy rozwódką. Musiała ponownie wyjść za mąż.

Andy przypomniał sobie, że w dossier faktycznie figurowała wzmianka o rozwodzie i drugim małżeństwie Sally Armstrong.

- Wszystkie te dzieci są chore.

- Dorabiasz do tego ideologię, Andy. Życiem rządzi przypadek. Okrutny przypadek.

- Jimmy przynajmniej ma doskonałą opiekę.

- I tak przeleję milion na twój rachunek operacyjny. Możesz polecieć znów do San Diego i dać jej czek. Ale najpierw znajdź Frankie Doyle.

- DNA się zgadzało?

Russell Reeves pokiwał głową.

- Ta dziewczynka jest moją córką.

- Natalie Riggs jest w ciąży?

Na twarzy Tresa malowało się przygnębienie.

- Lekarz powiedział, że to drugi miesiąc - odparł.

Andy i Tres siedzieli przy swoim ulubionym stoliku w Güero's. Dave poszedł na sesję rozbieranej jogi, a Curtis prowadził wieczorne seminarium ze studentami.

- Jak ona to znosi?

- Jest szczęśliwa. - Tres wzruszył ramionami. - Hormony musiały wziąć górę. Teraz jest razem z matką w Neiman Marcus i wybiera odzież ciężową.

- Teraz chyba znowu zaczniesz nosić majtki.

- Tak, wielkie majtki.

- Niełatwo ci dogodzić, Tres.

- Zabrała ze sobą kamerzystę.

- Żeby kupować z nim bieliznę?

- Żeby kręcił materiał. Chce zrobić program o ciąży i macierzyństwie, od początku do końca na żywo. - Tres pociągnął łyk corony. - Oczywiście to oznacza, że musimy teraz wziąć ślub. Będziesz moim drużbą?

- A dostanę dużo piwa?

Ujęli swoje butelki i pogrążyli się w milczącym rozmyślaniu nad sensem życia, jak gdyby chcieli uczcić minutą ciszy kawalerski stan Tresa.

- Człowieku, jakie ona miała cudowne ciało - powiedział Tres cicho, jakby mówił o zmarłej osobie.

- Odzyska je - pocieszył go Andy. - Natalie nie jest z tych, co długo hodują ciężowe sadełko.

- Sama tak mówi. Ale musiałbyś widzieć, jak wczoraj wieczorem rzuciła się na podwójną porcję lodów czekoladowych.

Znów zapadła cisza, tym razem dla uczczenia wspaniałej figury Natalie.

- Jak się czuje Floyd T.?

- Dobrze. Jest po operacji wszczepienia bajpasów. Powiedzieli, że potrzebuje dużo snu, więc go zostawiłem i przyszedłem

prosto tutaj. Lekarz mówi, że zatrzymają go w szpitalu przez tydzień.

- Reeves zawiózł go tam swoją limuzyną? I zapłacił za jego leczenie?

- I robił mu sztuczne oddychanie.

- Nie mogę powiedzieć, że postąpiłbym tak samo. Naprawdę porządny z niego gość, jak to mówią.

- Tak. Tak przypuszczam.

- Przypuszczasz? - ożywił się Tres. - Mów, co się dzieje.

Andy wahał się przez chwilę.

- Ale nie piśniesz o tym nikomu ani słowa. Nawet Natalie.

- Ją prosiłbyś o to samo względem mnie?

- Wolę sobie nie wyobrażać, co zrobiłby ze mną Reeves, gdyby ta sprawa wyciekła. A Natalie jest dziennikarką.

- Nie wyobrażam sobie, co by Natalie zrobiła ze mną, gdyby się dowiedziała, że kazałem ją śledzić. Nawzajem trzymamy się na muszce, stary.

Andy napił się piwa, aby dodać sobie odwagi.

- Zajmuję się wyszukiwaniem byłych partnerek Russella Reevesa - zaczął. - Jest ich siedemnaście.

- Siedemnaście? Nie może być!

- A jednak może. Rozsiane po całym kraju.

- To dlatego tyle podróżowałeś?

Andy potakująco kiwnął głową.

- Pierwszych sześć kobiet udało nam się znaleźć dosyć łatwo - ciągnął.

- Nam?

- Współpracowałem z prywatnym detektywem, byłem agentem FBI. Russel dał mi jego namiary, ale facet nie wie, kto jest klientem. W każdym razie znaleźliśmy je i Reeves dał każdej z nich po milionie. Anonimowo.

- Dlaczego?

- Bo nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział, że...
- Nie. Dlaczego dał im te pieniądze?
- Żeby odkupić winy, tak powiedział. Ponieważ źle je potraktował, a im niezbyt się powodziło.

- Poczucie winy bogacza. - Tres pokiwał głową. - Czuje się winny za to, że jest nieprzystojnie bogaty, więc oczyszcza swoje sumienie, rozdając pieniądze. To znana przypadłość nadzianych gości, przynajmniej niektórych. - Tres wzruszył ramionami. - Oczywiście dla niego milion to jak dla nas rzucić dolara żebrakowi. No, przynajmniej dla ciebie.

- Dzięki.

- No i rozdaje kupę forsy. Ale w czym problem?

- Mieliliśmy trudności z odnalezieniem siódmej z kobiet. Nazywa się Frankie Doyle. Poleciałem do Bostonu i udałem się pod ostatni jej znany adres, gdzie rozmawiałem z jej byłym mężem, Mickeyem. Facet ją bił, więc rozwiodła się z nim trzy lata temu i zabrała pięcioletnią córeczkę. Przeniosły się do Montany, potem do Nowego Meksyku, potem do zachodniego Teksasu, a teraz do Buda.

- Jak ta Buda kawałek drogi stąd?

- Ta sama. I za każdym razem zmieniała nazwisko.

- Musi naprawdę bać się tego Mickeya.

- Być może. Ale w końcu ją znaleźliśmy. A właściwie Lorenzo.

- A czemu nie ten były agent?

- Zbyt kurczowo trzymał się litery prawa.

- Spotkałeś się z nią?

Andy przytaknął.

- Twierdzi, że nigdy nie spotykała się z żadnym facetem prócz Mickeya.

- Kłamie.

- Jaki miałyby w tym cel?

- One wszystkie tak kłamią.
- Może.
- No dobra, więc ona ukrywa się przed Mickeyem, a Reeves chce jej dać milion. Nadal nie pojmuję, w czym problem.
- Reeves twierdzi, że dziewczynka jest jego córką.
- No pięknie! Ale zaraz. Jak to możliwe?
- Podobno miał z nią romans, kiedy gościnnie prowadził zajęcia w Instytucie Techniki. Dziewięć lat temu.
- Przecież był wtedy żonaty.
- A ona miała męża.
- To faktycznie problem. Russell Reeves i dziecko szczęścia.

A skąd on ma pewność, że to jego córka?

- Zrobił test DNA.
- Jak zdobył jej materiał genetyczny?
- To nie on go zdobywał.
- Ty?

Andy przytaknęła.

- Jak to zrobiłeś? - zaciekał się Tres.
- Wygrzebałem plaster opatrunkowy ze śmietnika.

Tres był pod wrażeniem.

- Czy ona wie, że Russell Reeves jest ojcem jej dziecka?

Andy wzruszył ramionami.

- Kiedy wróciłem po ten materiał DNA, kobieta wraz z dziewczynką już zdążyły zniknąć.

- Dlaczego?
- Ona się boi.
- Czego? A raczej kogo?
- Nie mam pojęcia.
- Więc Reeves kazał ci wyszukiwać swoje byłe partnerki, żeby odnaleźć tę dziewczynkę?

- Tak. I żeby ustalić, czy nie ma też innych dzieci. Ale to jest właśnie dziwne.

Tres parsknął śmiechem.

- Jakby cała reszta nie była.
- Siedem spośród ośmiu kobiet ma chore dzieci, jak Russell.
- Na co chore?
- Rak, paraliż, porażenie mózgowe. Jedyne dziecko, które jest zdrowe, to...

- Nieślubna córka Reevesa.

Andy pokiwał głową.

- Ale Russell obawia się, że też może okazać się chora. Twierdzi, że mógł przekazać jej ten sam fatalny gen co swemu synowi.

- Który umiera.

- Powiedział, że jeżeli odziedziczyła po nim ten gen, jego naukowcy poddadzą ją terapii genetycznej, aby ocalić jej życie.

- A więc ona ukrywa się przed Mickeyem, albo kimkolwiek, ale nie zdaje sobie sprawy, że jej córka może mieć raka... albo dopiero zachorować na raka. A Russell chce, żebyś znów ją odnalazł.

Andy jeszcze raz przytaknął.

- Skomplikowane - stwierdził Tres.

Siedząc w milczeniu, dopijali piwo.

- Tres, możesz mi coś wyjaśnić jako człowiek zamożny?

- To wszystko giełda.

- Czy Russell Reeves jest taki skomplikowany, ponieważ jest bogaty? Czy jest bogaty dlatego, że jest taki skomplikowany?

- Jest bogaty, ponieważ jest geniuszem. Wiedzie skomplikowane życie, bo kiedy jesteś bogaty, wszystko staje się proste. Nie musisz się martwić, z czego opłacisz rachunki, za co kupisz lekarstwa i czy jeszcze wystarczy na chesne. Takie życie może zalatywać

nudą, dopóki czegoś nie zaczniesz komplikować, żeby zrobiło się ciekawie.

- Na przykład wdać się w romans, będąc mężem miss uniwersytetu stanowego?

Tres potakująco skinął głową.

- Jak większość bogaczy Reeves uznał, że zasady go nie dotyczą. Że może pozwolić sobie na wszystko, co zechce. Oczywiście przeszłość zawsze powraca i daje o sobie znać, na przykład pod postacią takiego dziecka szczęścia. Wtedy wszystko się komplikuje.

- Czy tobie się to podoba?

- Chyba zacznie, kiedy stuknie mi czterdziątka.

Zamilkli, obserwując riksę, która przecinała skrzyżowanie z Congress Avenue i cudem uniknęła zderzenia z rozpędzonym samochodem.

- To się mogło źle skończyć - rzekł Tres i spojrzął na Andy'ego. - Miej się na baczności, stary.

Andy roześmiał się na widok poważnej miny przyjaciela.

- Ta sprawa bez wątpienia zasługuje na dziesięć punktów w Skali Popieprzonych Dziwactw Tego Świata, ale nie sądzę, że cokolwiek mi grozi. - Skinął w stronę rikszy. - Za to jeżdżenie czymś takim po Congress jest faktycznie niebezpieczne.

- Czytałeś wczorajszą gazetę?

Andy pokręcił głową.

- Byłem w San Diego.

Tres sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął stamtąd złożoną stronę z gazety. Rozłożył ją na stoliku i wygładził dłonią. Znajdował się na niej artykuł o prawniku z Austin, który został zastrzelony w Ithaca w stanie Nowy Jork. Prawdopodobnie padł ofiarą przypadkowego napadu rabunkowego. Miał zaledwie czterdzieści lat.

- Co to ma wspólnego ze mną?
- Przeczytaj do końca.
- Laurence G. Smith był wspólnikiem firmy Rankin Edwards & Philips - czytał Andy na głos. - Renomowanej kancelarii prawnej z Austin, do której klientów należy... Russell Reeves.

Rozdział 19.

Następnego dnia z samego rana Andy zaparkował rower przed biurem swego ulubionego detektywa i wszedł do wnętrza. Lorenzo Escobar uniósł wzrok znad ekranu laptopa.

- Nie mów, że ją zgubiłeś.
- Obawiam się, że tak.

Lorenzo wyglądał na rozbawionego.

- Sprawdziłem tę Maureen O'Malley Reeves.

Andy poprosił Lorenza, aby ten dowiedział się czegoś o matce Russella Reevesa. Sam nie był pewien, na co mu to było potrzebne.

- Jest w porządku. Mieszka w Kalifornii w ekskluzywnym domu spokojnej starości nad brzegiem oceanu. Tutaj mieszka jej syn, Russell Reeves, ten miliarder.

Zatem jego klient powiedział mu prawdę.

- Jaki ma kolor włosów?
- Niebieski. - Lorenzo skinął ręką na Andy'ego, pokazując mu

ekran laptopa, na którym widniało kolorowe zdjęcie czterech kobiet. Mój współpracownik z Zachodniego Wybrzeża wykonał tę fotografię i przesłał mi mailem. Ta pierwsza z prawej to ona.

- One wszystkie mają niebieskie włosy.
- Starsze panie tak robią. - Lorenzo wzruszył ramionami. - W

każdym razie te białe.

- Chcę, żebyś znowu poszukał Frankie Doyle.
- Ona najwidoczniej nie chce zostać znaleziona.

- Ale ja muszę ją znaleźć.
- Cena taka sama? - upewnił się Lorenzo.

Andy pokiwał głową, po czym usiadł i pogрузzył się w lekturze lokalnej gazety. Tymczasem detektyw zaczął stukać w klawiaturę laptopa.

- Mam jej nowy adres - odezwał się po dziesięciu minutach, zanotował coś na karteczce i podał ją Andy'emu, który od razu zaczął zbierać się do wyjścia - Zapomniałeś o czymś.
- Podejmę pieniądze i przyniosę ci później.
- Podwiozę cię - odparł Lorenzo, sięgając po kluczyki.

Lorenzo Escobar jeździł czarnym cadillakiem escalade rocznik 2005 z przyciemnianymi szybami i tapicerką z czarnej skóry. Z głośników dobiegał łagodny głos Seleny, zjawiskowej latynoskiej piosenkarki, która zginęła w wieku dwudziestu trzech lat zastrzelona przez prezeskę własnego fan klubu. Detektyw najpierw zawiózł Andy'ego do banku, a potem do San Marcos położonego trzydzieści kilometrów na południe od Austin.

San Marcos jest siedzibą teksańskiego uniwersytetu stanowego i domem dla trzydziestu tysięcy studentów. To doskonale miejsce dla kogoś młodego, kto chce rozpląnąć się w tłumie. Dwa dni wcześniej Frankie Doyle wynajęła tam mieszkanie na swoje prawdziwe nazwisko. Podpisała formularz najmu, dokument uprawniający właściciela mieszkania do sprawdzenia jej zdolności kredytowej.

- Musiała nie przeczytać tekstu drobnym drukiem pod umową - stwierdził Lorenzo. - Nie jest głupia i zdaje sobie sprawę, że można ją w ten sposób wyśledzić.

Lorenzo dotarł do jej wyciągów bankowych i znalazł wniosek właściciela mieszkania, na którym widniał adres osiedla przy

Aquarena Springs Road, głównej drodze przecinającej miasto. Była to pierwsza od trzech lat operacja na rachunku kredytowym Frankie Doyle. Kobieta była zdesperowana.

Wiedzieli już, gdzie znajduje się osiedle, ale nie znali numeru budynku, w którym Frankie wynajmowała mieszkanie, więc Lorenzo zatrzymał się przy biurze administratora i wszedł do środka.

- Numer sześćset dwadzieścia jeden - oznajmił, wychodząc. - Na piętrze.

- Jak udało ci się przekonać... - zdziwił się Andy.

Lorenzo spojrzał na niego wymownie.

- Drobnostka.

Przejechali cały parking, zanim znaleźli budynek numer 621. Starej toyoty nigdzie nie było, więc zaparkowali samochód i czekali. Frankie Doyle kłamała - wynik testu DNA okazał się pozytywny, Russell był ojcem dziewczynki. I jak każdy dobry ojciec chciał odnaleźć swoje dziecko, poddać je badaniu na obecność zabójczego genu i ocalić mu życie. Cóż w tym złego? Nic. Absolutnie nic.

Zatem dlaczego Andy nie zmrużył oka ostatniej nocy?

Skulili się na fotelach, kiedy przed dom zajęła toyota i wysiadła z niej Frankie w towarzystwie rudowłosej dziewczynki. Kobieta trzymała w ustach papierosa. Lorenzo sięgnął do schowka i wyjął z niego lornetkę, którą przyłożył do oczu.

- Piękna dama. - Zagwizdał cicho. - I nosi bieliznę.

- Masz rentgena w tej lornetce?

- Wprawne oko. A więc twój klient naprawdę chce tę kobietę? Andy przytaknął.

- Ale ona naprawdę nie chce jego.

Patrzyli, jak Frankie i dziewczynka wspinają się po schodach i wchodzi do budynku.

- Teraz możemy wracać? - Detektyw wyprostował się na siedzeniu.

Gdy wyjeżdżali z parkingu, Andy po raz ostatni spojrzął za siebie i zobaczył Frankie, która wyglądała przez okno.

- Harmon, możemy dziś wieczorem iść na Szóstą ulicę? - spytał Cecil. - Jest tam jakiś koncert.

- Podkręć radio.

Siedzieli w wynajętym fordzie zaparkowanym przed biurem Andy'ego Prescottta. Wtem rozległ się dzwonek telefonu. Harmon wyciągnął aparat, spojrzął na wyświetlacz i odebrał połączenie.

- Tak, szefie?

- Mamy adres jego domu. Prescottta.

- Co tak długo?

- Wynajmuje go.

- Musi być naprawdę wziętym prawnikiem. - Harmon zanotował adres i zakończył rozmowę, po czym zwrócił się do Cecila: - Jedziemy.

Cecil uruchomił silnik i włączył się do ruchu.

Lorenzo odczekał, aż dwóch białych facetów w czarnym fordzie crown victoria wyjedzie z zatoczki przed biurem Andy'ego, a następnie zaparkował na ich miejscu.

- Dzięki - odezwał się Andy.

- A co z twoim rowerem?

- Odbiorę go później.

Andy wysiadł z samochodu i udał się do swego biura. Jeszcze z San Marcos zadzwonił do Russella Reevesa, który pojawił się kilka minut później. Nawet nie usiadł.

- Znalazłeś ją?

- Tak. W San Marcos.

- Jaki jest jej adres?

Andy zapisał adres w notatniku i wyrwał kartkę. Miliarder wyciągnął rękę i Andy wręczył mu ją, choć sam nie wiedział, czemu zawahał się przez chwilę.

- Dobra robota, Andy. Teraz ja się tym zajmę. A jak się miewa Floyd T.?

- Dochodzi do siebie. Co zamierzasz zrobić?

- Zapłacić za niego.

- Nie. Chodzi mi o Frankie.

- Próbuję ratować życie mojej córki.

- O ile ona ma ten gen.

- Tak.

- I jeżeli wynik testu był prawidłowy.

- DNA nie kłamie, Andy - odparł Russell, po czym sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z niej kopertę, którą rzucił na stół, i wyszedł.

Andy zajrzał do środka. W kopercie znajdował się czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów wypisany na Andy'ego Paula Prescottta. Nagle poczuł się, jakby właśnie sprzedał Frankie Doyle.

Obrócił się i wyjrzał przez okno. Jego klient, który właśnie wsiadał do limuzyny, spojrział w górę, a Andy pomachał do niego. Patrzył na odjeżdżający samochód, a potem zbiegł po schodach i wpadł do salonu tatuażu. Ramon pochylał się nad biurkiem czymś bardzo zaabsorbowany.

- Muszę pożyczyć twój samochód.

- Czytałeś to kiedyś? - Mistrz tatuażu uniósł notatnik Floyda T. - Niezły jest. Ta historia z Wietnamu, kiedy...

- Potrzebny mi twój samochód.

- Nic z tego, stary.

- To sprawa życia i śmierci.

Ramon podniósł się zza biurka.

- Ale ja prowadzę.

Cztery przecznice dalej Harmon Payne zastukał do drzwi małego domku przy Newton Street. Wewnątrz panowała cisza.

- Szukacie Andy'ego?

Na chodniku stała całkiem niebrzydka panienka z jakimś kundlem na smyczy. Harmon uśmiechnął się do niej.

- Tak, droga pani. Szukamy go.

- On już tu nie mieszka.

- A dokąd się wyprowadził?

- Jakiś apartament w śródmieściu, ale nie znam adresu. - Kobieta pokręciła głową. - Przykro mi.

Wracając do samochodu, Harmon zatrzymał się i spojrzał w dół.

- Co to za buty? - Westchnął ciężko.

- Kowbojki - odparł Cecil. - Podobają ci się?

- Nie.

- Kupiłem je w sklepie z ciuchami na wagę niedaleko biura Prescotta. Dobra cena.

- Te buty należały wcześniej do kogoś innego?

- Tak. Są już rozchodzone.

- Bo jakiś facet wkładał do nich swoje giry.

- No i co z tego? - Cecil wzruszył ramionami.

- To, że mógł być chory.

- Tak? Na co?

- Na przykład na grzybicę.

- Faktycznie, swędzą mnie stopy.

- No to teraz też ją masz.

Trzydzieści minut później Ramon zajechał żółtym kabrioletem przed budynek numer 621 na osiedlu w San Marcos. Andy nigdzie

nie zauważył toyoty, więc wysiadł z samochodu i wbiegł na schody. Zastukał do drzwi, ale nikt nie otwierał. Zajrzał przez okno. W środku nie było nikogo.

- Jedźmy do administratora - powiedział Ramonowi, wsiadając z powrotem do chevroleta.

Kiedy Andy wszedł do biura, administrator oglądał jakiś teleturniej na małym telewizorku.

- Szukam Frankie Doyle.
- Sympatyczna dziewczyna. Wyjechała.
- Wyprowadziła się?
- Zapłaciła miesięczny czynsz za dwa dni.
- Dokąd wyjechała?
- Nie zostawiła adresu.

Cecil zaparkował samochód naprzeciwko budynku z numerem 1514 przy Congress Avenue. Bezdomny gdzieś znikł, w żadnym z okien nie paliło się światło i nawet salon tatuażu był zamknięty.

- Jak ci ludzie zarabiają na życie - obruszył się Cecil. - Nic dziwnego, że nasza gospodarka jest udupiona.

Nikomu nie chce się już pracować.

- Poza Meksykanami.
- I poza nami.
- Tacy z nas szczęściarze, Cecil. Większość ludzi musi wykonywać pracę, której nienawidzi. Mój ojciec tyrał w tej cuchnącej fabryce aż do śmierci. Ale ty i ja nie sterczymy przy taśmie ani nie gnijemy w biurze. Podróżujemy po świecie, robimy rzeczy, które lubimy robić, i możemy z tego całkiem nieźle żyć. Niewielu mężczyzn może to o sobie powiedzieć.

- Masz rację, Harmon. Czasem jesteśmy zbyt pochłonięci chwilą, by cofnąć się i docenić, jak sprzyja nam los. Powąchać różę, a nie tylko to bagno.

- Święte słowa, Cecil. - Harmon zamilkł na chwilę. - A teraz sprzątnijmy ten obiekt, abyśmy mogli wrócić do naszych rodzin.

Ramon wysadził Andy'ego pod biurzem Lorenza. Andy zabrał rower i pojechał prosto do szpitala, gdzie zastał Floyda T, wypoczywającego na łóżku i wpatzonego w telewizor, który wisiał na ścianie jego izolatki. Miał ostrzyżone włosy i gładko ogoloną twarz. Bez zarostu wyglądał na całkiem przystojnego mężczyznę.

- Dobrze się czujesz, Floyd?

- Jak bezdomny po operacji serca.

Andy wyciągnął z plecaka notatnik Floyda i wręczył mu go.

- Pomyślałem, że będziesz tego potrzebował.

- Dziękuję. Powiniennem znowu się zająć moimi wspomnieniami.

Aha, mówiłem ci, że dwóch takich szukało cię w sobotę?

- Nie. Czego chcieli?

- Widzieć się z tobą. Nie byli stąd.

- Skąd wiesz?

- Mieli eleganckie garnitury i mówili ze śmiesznym akcentem.

- Cudzoziemcy?

- Tak. A może z Nowego Jorku. - Floyd T, wskazał na telewizor. - Właśnie był program o fundacji Reevesa. To dopiero facet. Przykra sprawa z jego synem.

- To dobry dzieciak. - Andy pokiwał głową.

- Wiesz, człowiek bezdomny jest jak niewidzialny. Ludzie rozmawiają przy tobie, jakby cię tam wcale nie było.

- No i?

- No i słyszałem, jak rozmawiałeś z Russellem w swoim biurze. Zostawiłeś otwarte okno. Andy, ja tego nie kupuję.

- Czego?

- Tych siedemnastu dziewczyn. Tego, jak każe ci ich szukać

po całym kraju, żeby dać im po milionie. Mężczyźni tak nie postępują.

- Podśłuchałeś to wszystko?

- Ja tylko siedziałem trzy metry pod twoim oknem.

- No i co?

- Russell jest dobrym człowiekiem, ale dobrzy ludzie czasem błędzą. Widziałem takie rzeczy na wojnie. Kiedy na każdym patrolu giną twoi kumple, kiedy nawet nie widzisz wroga, kiedy z każdym dniem narasta napięcie, w końcu umysł tego nie wytrzymuje. Widziałem to w oczach żołnierzy, gdy coś w nich pękało. A wtedy dobrzy ludzie robili złe rzeczy.

- Russell nie jest taki.

- Każdy człowiek taki jest, jeżeli życie dostatecznie go przyciśnie. Każdy z nas może pęknąć, kiedy ogarnia go desperacja. Widziałem to w jego oczach, kiedy przed kamerą mówił o swoim synu. - Floyd T, wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. - Widziałem to we własnych oczach, zanim i we mnie coś pękło.

- Russell uratował ci życie.

Floyd T, pokiwał głową.

- A teraz ja próbuję uratować je tobie.

Andy podszedł do windy i nacisnął guzik. Myślał o tym, co usłyszał od Floyda T., gdy rozsunęły się drzwi i stanął przed nim Russell Reeves.

- Właśnie byłem z wizytą u Floyda. A ty... Zach?

Miliarder przytaknął.

- Pogorszyło mu się.

- Mogę go zobaczyć?

- Jasne. Jedźmy na górę.

Przemierzyli korytarz oddziału onkologicznego i weszli do sali. Zach Reeves leżał na łóżku w masce tlenowej podpięty do kroplówki

i różnych monitorów, które popiskiwały miarowo. Otworzył oczy i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Cześć, tato. Cześć, Andy - rzekł słabym głosem.

- Cześć, przyjacielu - odpowiedział Russell i podszedł do łóżka, aby obejrzeć kartę z wynikami.

- Witaj, kolego - odezwał się Andy.

Chłopiec wyciągnął rękę w jego stronę i zacisnął dłoń. Andy zrobił to samo i przybili żółwika.

- Tato?

- Tak, synku?

- Czy mogę porozmawiać z Andym? Sam na sam. Tylko przez chwilę.

Russell Reeves przeniósł wzrok z chłopca na swego adwokata, a potem znów spojrzął na syna.

- Oczywiście. - Ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się w pół drogi. - Andy, chcesz coś zjeść?

- Dziękuję, nie jestem głodny.

Kiedy miliarder zamknął za sobą drzwi, Andy zwrócił się do chłopca.

- Co się dzieje, kolego?

- Moja morfologia znów zaczęła szaleć.

- Chłopie, musisz szybko wyzdrowieć, żebyś mógł wreszcie się odegrać w Guitar Hero.

Zach skinął potakująco.

- Andy, jakie to uczucie? - zapytał.

- O czym mówisz?

- Całować się z dziewczyną.

- Całować się z dziewczyną? - zdziwił się Andy. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Chłopiec wskazał palcem wiszący na ścianie telewizor, który był ustawiony na disnejowski kanał dla dzieci.

- Nie sądzę, aby jeszcze było mi dane pocałować dziewczynę - stwierdził Zach.

- Jeszcze będziesz musiał się od nich opędnąć.

Chłopiec potrząsnął głową.

- Moi rodzice nie rozmawiają o tym ze mną.

- O całowaniu się z dziewczynami?

- O umieraniu.

Andy usiadł obok łóżka.

- Nie jestem głupi - ciągnął Zach. - Słyszę rozmowy lekarzy i wiem, co to jest rak. Muszę z kimś o tym porozmawiać.

- Porozmawiam o tym z tobą.

- Czy to boli?

- Nie. Lekarze do tego nie dopuszczają.

- Słyszałem, jak mój tato mówił, że twój ojciec umiera.

Andy przytaknął.

- Musi przejść operację przeszczepu wątroby.

- Mam nadzieję, że mu się uda.

- Ja też mam taką nadzieję.

- Myślisz, że umarli kręcą się tam, no wiesz, gdzie przebywali za życia? Żeby bliscy mogli czuć ich obecność?

- Mam taką nadzieję.

- Ja też.

Rozmawiali przez dłuższą chwilę o życiu i o śmierci. Gdy Andy wyszedł na korytarz, zastał tam Russella Reevesa, który siedział na plastikowym krzeselku z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Dziękuję ci - powiedział, unosząc głowę.

Andy otarł łzę. Russell odprowadził go do windy, nacisnął przycisk i gdy kabina przyjechała, Andy wszedł do środka. Drzwi zaczęły się zasuwają, ale Reeves zablokował je ręką.

- Ona znowu zniknęła. Frankie Doyle.
- Wiem.
- Znajdź ją, żeby ta dziewczynka nie skończyła tak, jak mój syn.

Rozdział 20.

Następnego ranka Andy zastał Lorenzo Escobara rozpartego w fotelu z dłońmi splecionymi za głową, a jego nogi w czarnych kowbojkach spoczywały na biurku. Detektyw oglądał telewizję.

- To najpiękniejsza kobieta w ciąży, jaką kiedykolwiek widziałem. - Wskazał na ekran.

Natalie Riggs prowadziła reportaż na żywo z oddziału położniczego szpitala miejskiego. Stała na tle przeszklonej ściany, za którą widniały dziesiątki małych łózek, a w nich latynoskie noworodki ciasno pozawijane w beciki. Po niej nie było jeszcze niczego widać, a jej figura wciąż prezentowała się olśniewająco pod obcisłą sukienką z dzianiny.

- Widzisz? - Lorenzo zerwał się z fotela. - Nie nosi bielizny.

Spojrzał po raz ostatni na telewizor, po czym wyłączył go i zwrócił się do Andy'ego.

- Znów ci uciekła? - spytał.

Andy przytaknął.

- Muszę ją znaleźć.

- Dla swojego klienta czy dla siebie?

- Mój klient płaci.

- Ta sama stawka?

- Tak, ale musisz mnie do niej zawieźć, gdziekolwiek jest.

- Umowa stoi. - Detektyw usiadł przy komputerze i zastukał w klawiaturę. - Tym razem nie będzie już tak łatwo, bo nasza dziewczyna jest sprytna. Wie, że trafiliśmy na jej ślad po wyciągu z rachunku kredytowego, bo podpisała formularz najmu. Nie popełni więcej tego samego błędu i zamieszka teraz tam, gdzie nie będzie musiała pospisywać żadnych upoważnień.

- W hotelu? W motelu?

- Być może. Ale tam zazwyczaj wymagana jest karta kredytowa, a ona wie, że dzięki niej też możemy ją wysledzić. Nie zasyje się w jakiejś spelunie ze względu na dziecko, więc będzie szukać jakiegoś rodzinnego przybytku, gdzie przyjmą od niej gotówkę.

- Prywatny pensjonat?

- Tak jest.

- W okolicy Austin są setki takich pensjonatów.

- I na tym właśnie polega problem. - Lorenzo zaczął skubać bródkę, co świadczyło o tym, że intensywnie myśli. - Mówiłeś, że ona dzwoni do swojej matki w Bostonie?

- Codziennie.

- Z komórki?

- Z automatu na kartę.

- Spryciara. Ale mamy już jakiś punkt zaczepienia. Zadzwoń do informacji w Bostonie i zdobądź numer jej mamy. Będzie w spisie.

- Dlaczego?

- Bo ona jest stara.

- Nie. Dlaczego chcesz jej numer?

- Bo mam współnika, który pracuje w firmie telekomunikacyjnej.

Frankie Doyle zadzwoniła do swej matki o dziewiątej czasu teksańskiego. O jedenastej Lorenzo zaparkował swego cadillaca przed

pensjonatem w Gruene, gdzie Frankie korzystała z automatu na kartę.

Gruene jest małą miejsciną położoną tuż przy drodze między-stanowej nr 35 pomiędzy Austin a San Antonio. Kiedyś było to miasto z prawdziwego zdarzenia, ale wielki kryzys zamienił je w zapadłą dziurę. Obecnie do Gruene ściągają turyści i amatorzy spływów po rzece Guadalupe, a czekają tam na nich pensjonaty, restauracje oraz sklepy, w których można kupić starocie, wyroby z ceramiki i inne pamiątki. Przyjezdni mogą odnieść wrażenie, że trafili na plan filmowy.

Jedno tylko miejsce w tym miasteczku wie dzie swój autentyczny żywot - Gruene Hall, staroświecki bar muzyczny, który mieści się w budynku wzniesionym pod koniec XIX wieku, przetrwał czasy wielkiego kryzysu i gościł takie sławy, jak Bo Diddley, Jerry Lee Lewis, Kris Kristofferson i Paul Prescott. Andy przypomniał sobie te wieczory, gdy zasypiał z głową na kolanach matki, podczas gdy ojciec występował na scenie. Lorenzo wyrwał go z zamyślenia.

- To ona - powiedział, trącając go łokciem.

W drzwiach pensjonatu pojawiła się Frankie Doyle i jej córka. Andy wysiadł z samochodu i ruszył w ich stronę, a kobieta przystanęła, aby zapalić papierosa. Sprawiała wrażenie, jakby przed chwilą płakała. Kiedy go zobaczyła, jej ramiona opadły.

- To jest szkodliwe dla zdrowia - zagadnął z uśmiechem.

- Sam jesteś szkodliwy dla zdrowia. Już nie paliłam, dopóki się nie pojawiłeś.

- Och, przykro mi.

Frankie zaciągnęła się głęboko i wydmuchała kłęb dymu.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytała.

- Muszę z tobą porozmawiać. W cztery oczy.

Kobieta westchnęła ciężko i nachyliła się do córki.

- Kochanie, zaczekaj przez chwilę na ławce.

Dziewczynka zostawiła ich samych.

- Frankie, okłamałaś mnie.

- Niby jak?

- Że nie miałaś romansu z kimś, kogo poznałaś w barze.

- O czym ty mówisz?

- O niej. - Andy wskazał na dziewczynkę.

- Co ona ma z tym wspólnego?

- Jest jego dzieckiem.

- Kogo?

- Mojego klienta.

- Myślałam, że twój klient chce mi dać milion dolarów.

- On szukał swojego dziecka.

- A powinien sobie poszukać psychiatry.

- Frankie, twoja córka mogła odziedziczyć zabójczy gen, który wywołuje choroby nowotworowe.

- Zabójczy gen?

- Tak. Mój klient jest nosicielem. Przekazał ten zmutowany gen swojemu synowi, który teraz choruje na rzadką odmianę raka. Jej również mógł go przekazać. Frankie, być może twoje dziecko jest umierające.

Kobieta przyjęła tę wiadomość bez zmrżenia oka.

- Ona nie umiera. Nie ma żadnego zabójczego genu.

- Może mieć.

- To wykluczone.

- Skąd taka pewność?

- Bo on nie jest jej ojcem.

- Dlaczego znowu uciekłaś? - zapytał Andy, a Frankie wbiła wzrok w ziemię. - Widziałaś nas w San Marcos?

Pokiwała głową.

- Czy to przez Mickeya? - dopytywał się. - Czy to przed nim się ukrywasz?

- Andy... Mickey nie żyje.
- Co? Jak to się stało?
- Ktoś pogruchotał mu czaszkę, kiedy wyszedł z baru. Dowiedziałam się od matki, kiedy dzwoniłam do niej dziś rano. Myślałam, że coś sobie uroiła, więc sprawdziłam w Internecie bostońską gazetę. To prawda.

Najpierw tamten prawnik z Austin, a teraz Mickey Doyle. Co mogło ich ze sobą łączyć? Osoba Russella Reevesa. A Hollis McCloskey wycofał się, ponieważ uznał, że jest do czegoś wykorzystywany. I twierdził, że Andy również.

- Frankie, słyszałaś kiedyś o Russellu Reevesie?
- Nie.
- To ten słynny miliarder z Austin.
- Czy to on jest twoim klientem?
- Tak.
- I to on twierdzi, że jest jej ojcem? - Frankie odwróciła głowę w stronę córki.

- Potwierdził to test DNA.
- Jakiego DNA?
- Twojego dziecka.
- Skąd wzięłaś materiał?
- Plaster z twojego kosza na śmieci.

Nagle w oczach Frankie pojawił się niepokój.

- Teraz oni tu przyjdą - powiedziała.
- Kto?
- Twój klient. Ludzie, którzy zabili Mickeya.
- Russell Reeves nie jest mordercą. On jest tylko bogaty.

Kobieta spojrzała na Andy'ego jakby był debilem. Być może był.

- Ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia, prawda?
- Pojęcia o czym?

Frankie odrzuciła niedopalonego papierosa.

- Chodź, Jessie! - zawołała do córki. - Wyjeżdżamy.

Chwyciła dziewczynkę za rękę i pociągnęła za sobą.

- Dokąd się wybieracie? - Andy szedł za nimi.

- Tam, gdzie nie znajdzie nas twój klient. - Frankie przyspieszyła kroku.

- Dlaczego musisz się przed nim ukrywać?

- Dlatego, że on nie jest jej ojcem.

- Czemu miałby kłamać. Czemu uważają za swoją córkę, skoro tak nie jest?

- Andy, ja nie znam Russella Reevesa. Nigdy go nie spotkałam ani nie miałam z nim romansu. On nie jest jej ojcem i nie odziedziczyła po nim żadnego zabójczego genu. Moje dziecko nie jest umierające.

- To dlaczego on chce jej pomóc?

- On nie chce jej pomóc. - Frankie zatrzymała się gwałtownie.

- A ta krew na plastrze... to była moja krew.

Ściskając dłoń dziewczynki, skręciła w ścieżkę prowadzącą do pensjonatu. Andy kroczył ich śladem.

- Zaczekaj, Frankie! - krzyknął.

- Nawet nie wiesz, co narobiłeś.

Andy dogonił ją i chwycił za ramię.

- Co takiego? Co narobiłem? - zapytał, ale Frankie nie odezwała się ani słowem. - Porozmawiam z Russellem i wszystko odkręcę.

- On już jest blisko.

- Frankie, pozwól mi sobie pomóc.

- Ty już mi napomagałeś.

Andy Prescott nie poddawał się łatwo strachowi, ale teraz się bał, bo w jej oczach zobaczył przerażenie.

- Frankie, znam takie miejsce, w którym możesz się ukryć - oznajmił. - Będziesz tam bezpieczna.

Paul Prescott przyrządzał sobie lunch, kiedy usłyszał, jak wielkie ptaki skrzeczą w niebogłose. Ktoś zbliżał się od strony bramy. Podszedł do siatkowej zasłony rozpiętej na ramie w drzwiach frontowych domu i zobaczył mały czerwony samochód, który wtaczał się na podjazd. Nie rozpoznał tego auta, więc chwycił dwulufową strzelbę i załadował do niej naboje. Potem wyszedł na werandę. Właśnie minęło południe.

Max z głośnym ujadaniem pognał w stronę intruzów. Samochód zatrzymał się i wysiadł z niego syn Paula. Od razu przykucnął, aby przywitać się z psem, a za moment dołączyła do niego rudowłosa dziewczynka. Zza kierownicy wyłoniła się młoda kobieta.

- Nie poznałem was - rzekł Paul, po czym wyjął naboje ze strzelby, schował je do kieszeni koszuli i zapiął ją na guzik.

- Tato, to jest Frankie, a to jej córka Jessie - oznajmił Andy, wchodząc na werandę. - Muszą gdzieś się zatrzymać na parę dni.

- Zapraszam do mnie.

- Dzięki - odparł Andy, po czym zwrócił się do swej towarzyszki: - Frankie, poznaj moją tatę, Paula Prescottta.

- Witam, panie Prescott - odezwała się Frankie, przyglądając się jego pomarańczowej skórze.

- Po prostu Paul. A to przez żółtaczkę. Mam chorą wątrobę.

- Oczekuje na przeszczep - wyjaśnił Andy.

- Jesteście głodni? Właśnie pichciłem sobie lunch. Twoje dziewczyny lubią grillowane kanapki z serem?

- Ja uwielbiam opiekany ser - odezwała się Jessie.

Paul przytrzymał siatkowe drzwi, gdy Jessie i jej matka wchodziły do środka.

- No chodź, Max, albo ominie cię wyzerka! - zawołał do psa.

Max paroma susami pokonał schody prowadzące na werandę i wbiegł do wnętrza. Andy był ostatni w kolejce.

- Co się dzieje? - Paul zatrzymał syna przy drzwiach.

- Miałeś rację. Praca dla Reevesa nie jest tak całkiem w porządku.

- Masz kłopoty?

- Prawdopodobnie.

- Z prawem?

- Jeszcze nie.

- A co z nimi.

- One uciekają, ale nie przed wymiarem sprawiedliwości.

- To przed kim?

- Najpierw ukrywały się przede mną, a teraz przed Russellem Reevesem.

- Przed twoim klientem?

- Tak.

- A teraz ty pomagasz im ukrywać się przed nim?

- Właśnie.

- Czy to nie jest to, co prawnicy nazywają konfliktem interesów?

- Najwyraźniej.

- To niedobrze. - Paul Prescott podrapał się po brodzie. - No cóż, najpierw trzeba je nakarmić i zakwaterować w pokoju gościnnym. Wprowadź jej samochód do stodoły, a potem zastanowimy się nad tym wszystkim.

- Dziękuję, tato.

Sześćdziesiąt kilometrów na północ Harmon Payne i Cecil Durant szli wzdłuż South Congress Avenue i pytali napotkanych dziwo-
lągów, czy znają Andy'ego Prescottta. Wszyscy odpowiadali, że nie,
co przyprawiało Harmona o irytację, gdyż doskonale wiedział, że
go okłamują. Za to jego kierowca pogwizdywał jak młodzienia-
szek, co było niechybną oznaką, że...

- Sprowadziłeś sobie kurewkę tej nocy, zgadłem?
- Czy to widać? - spytał Cecil.
- Prawdopodobnie będzie za parę tygodni.

Zatrzymali się w kawiarni Jo's i zamówili w okienku dwie latte z
chudym mlekiem i po kanapce z wołowiną oraz sałatą.

- Znasz Andy'ego Prescottta? - Harmon zwrócił się do młodego
Meksykanina, który siedział w okienku.

- Andy Prescott? Pierwsze słyszę.

Chłopiec nie był przekonującym kłamcą.

Zajęli miejsce przy stoliku, ale Harmon stracił apetyt, gdy od-
wrócił się i zobaczył gołe pośladki przechodzącego obok męż-
czyzny. W biały dzień, na chodniku przy Congress Avenue, na
oczach Boga i wszystkich przechodniów.

- To Królowa Leslie - wyjaśnił im meksykański chłopiec. -
Lokalny celebryta.

Ten cały Leslie wyglądał na starszego od Harmona, miał krę-
cone siwiejące włosy spięte w koński ogon oraz szpakowatą bródkę
i był ubrany jedynie w różowe stringi, czarny biustonosz i buty do
biegania.

- Myślisz, że faktycznie truchta sobie w takim stroju? -
mruknął Cecil. - Przecież to mu się wrzyna w dupsko.

Rozległ się dzwonek telefonu. Harmon wyjął aparat i odczytał
numer na wyświetlaczu.

- Cześć, skarbie - powiedział do słuchawki.

Cecil oddalił się kilka kroków, by nie podsłuchiwać jawnie rozmowy towarzysza, ale i tak docierało do niego każde słowo.

- Tak, właśnie konferencja dobiega końca... jeszcze przez kilka dni... jego mecz eliminacyjny w sobotę? W południe? Nie wiem, te negocjacje tak się ciągną... Pewnie, daj go... Jak się masz, młody człowieku? Trzy gole? To wspaniale... Zrobię, co tylko w mojej mocy, żeby tam być, obiecuję... Dobra, to miłej zabawy w szkole... Kocham cię i powiedz bratu i siostrze, że ich też kocham... Cześć.

Harmon próbował tak planować swoje wyjazdy, by pogodzić je z rozkładem sportowych imprez swoich dzieci. Przy czwórce pociech nie było to łatwe, lecz mimo to rzadko opuszczał ich mecze. Cecil zastanawiał się właśnie, czy sam jest tak dobrym ojcem jak Harmon, gdy ten zakończył rozmowę i odwrócił się do niego.

- Musimy szybko znaleźć tego faceta. Kręcę się wśród tych świrów, opuszczam kolejne mecze syna i zaczyna mnie to wkurzać.

Andy zaniósł bagaż Frankie do położonego na piętrze pokoju gościnnego, w którym otworzył okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

- Miło tu jest nocą, kiedy zasypiasz, wsłuchując się w odgłosy natury, i czujesz zapach ciągnący od potoku - powiedział. - Łazienka jest po drugiej stronie korytarza. Ręczniki, pasta do zębów, czegokolwiek potrzebujesz.

- Twój tato jest wspaniały.
- Podzielał tę opinię.
- Jak szybko potrzebuje tego przeszczepu wątroby?
- Szybko.

- Fajną masz skórę - powiedziała dziewczynka, której Paul Prescott pokazywał, jak należy głaskać strusia.

- Tak, wyglądam jak wielka stara dynia.

Ruszyli w stronę potoku. Dziewczynka opowiedziała mu o przeprowadzkach i zmianach nazwiska, a on zaproponował, że zabierze ją nad wodę i pokaże strusie, gdy jej matka poszła się rozpakować w pokoju gościnnym.

- Ale z ciebie szczęściara, Jessie. Ja byłem przywiązany do tego samego imienia przez całe życie.

- Esmeralda była moim ulubionym imieniem. Esmeralda Bustamante.

- A czemu tak?

- Kiedy je wymawiałam, to tak jakbym śpiewała.

- Esmeraldo, Esmeraldo, moja słodka Esmeraldo... - zaśpiewał Paul. - Masz rację, to imię jest jak piosenka. Lubisz śpiewać?

- Uwielbiam. Mam marzenie, żeby zostać piosenkarką country, jak Carrie Underwood.

- No proszę, więc ta panienka umie śpiewać. Bo umiesz, prawda?

- Przyjemnie tutaj - stwierdziła Frankie.

Wyszli na zewnątrz, by zobaczyć, co robi ojciec Andy'ego i jej córka, i aby Frankie mogła zapalić. Andy rzucił Maxowi patyk. Pies popędził za nim i wrócił z patykiem, ale jakimś innym.

- Przez trzy lata nie miałyśmy prawdziwego domu. A przedtem mieszkaliśmy z Mickeyem, co też nie służyło zbytnio żadnej z nas. Miło jest zobaczyć normalną rodzinę.

- My? Normalni? Przepity westernowy śpiewak czekający na przeszczep wątroby, profesorka historii sztuki Bóg jeden wie ile razy aresztowana za udział w demonstracjach antywojennych i

prawnik od mandatów drogowych, który jeździ na rowerze? Co u nas jest normalnego?

- Nikt się nie upija i nikogo nie bije.

- Prescottowie mają łagodną naturę. Chcesz zobaczyć pracownię mojej mamy?

- Jasne.

Po chwili znaleźli się w studiu urządzonej na tyłach stodoły. Frankie przyglądała się z uwagą glinianym rzeźbom aniołów.

- Jest niezła.

- Ty również.

- Zawsze marzyłam, żeby mieć własną pracownię. Takie miejsce, gdzie mogłabym rysować, malować i rzeźbić. Ale najwyraźniej nie było mi to dane.

- Masz dopiero dwadzieścia osiem lat. Jeszcze kawał życia przed tobą.

- Nigdy nic nie wiadomo, kiedy jakiś miliarder depcze ci po piętach.

- Ja tu jestem.

- Tak, jesteś. Ja też. I Jessie. Wszyscy tu jesteśmy.

- Tak mi przykro.

Wyszli na zewnątrz i zobaczyli biegnącą w ich stronę Jessie. Nie wyglądała na dziecko z nowotworową bombą zegarową w środku.

- Mamo, Paul nauczy mnie grać na gitarze!

- To wspaniale, skarbie.

- Ta panienka twierdzi, że umie śpiewać - powiedział ojciec Andy'ego, który właśnie do nich dołączył.

- Marzy o tym, żeby śpiewać.

- Zerwijmy kilka pomidorów na kolację. - Paul Prescott pogłaskał dziewczynkę po głowie. - Moje pomidory są tak czerwone jak twoje włosy. Po kim masz taki kolor? Bo nie po mamie.

- Rude włosy są cechą recesywną - wtrącił Andy.

Ojciec spojrział na niego z rozbawieniem i w towarzystwie Jessie udał się do ogrodu.

- Może lepiej im pomogę - powiedziała Frankie i poszła za nimi.

Andy patrzył za nimi przez chwilę, po czym wrócił do domu. Gdy stanął w progu drzwi od strony podwórza, frontowymi weszła jego matka. Niosła zawieszane na obu ramionach dwie ekologiczne, płócienne torby z zakupami. Andy wziął je od niej i weszli do kuchni.

- Po drodze wstąpiłam do Whole Foods - powiedziała. - Pomyślałam, że moglibyśmy zjeść łososia. Gdzie oni są?

- Zrywają pomidory.

Jean Prescott wyszła na werandę i spojrzała w stronę ogrodu.

- Ile lat ma ta dziewczynka? Osiem, dziewięć?

- Osiem.

- A jej matka?

- Dwadzieścia osiem.

- Aha, widziałam twoją dziewczynę, tę blondynkę. We Whole Foods. Rozmawiała z jakimś facetem.

- Z kim?

- Nie pytałam.

- Czy on wyglądał na prawnika?

- Skoro mi podpowiedziałeś, to owszem, wyglądał.

- Richard Olson. Jeździ porsche.

- O co chodzi, Andy? Z nimi?

- Dał ci bilety na najsłynniejszy mecz roku? - dziwił się Paul Prescott. - Tylko nie przyznawaj się matce. Czego on od ciebie chce?

- Już mu to dałem. To dlatego tu jesteśmy.

Frankie i Jessie poszły na górę, by umyć się przed kolacją, a Andy zaparkował toyotę w stodole i właśnie wracał do domu wraz z ojcem. W kuchni zastali matkę i Andy opowiedział im całą resztę

historii - o podróżach do Bostonu i Montany, o Hollisie McCloskeyu i Lorenzo Escobarze, a także o DNA z plastra znalezione w śmietniku.

- On uważa, że Jessie jest jego córką.

- A jest?

- Z testu DNA wynika, że tak.

- A co na to Frankie?

- Jej zdaniem to wykluczone.

- Myślę, że matka wie najlepiej takie rzeczy.

- A on twierdzi, że dziewczynka mogła odziedziczyć po nim ten sam zabójczy gen, który przekazał swojemu synowi. I że chce ją ratować, aby nie podzieliła losu Zacha. Czemu miałby kłamać?

Odezwał się sygnał komórki Andy'ego. Dzwonił Russell Reeves. Andy wyszedł na werandę i odebrał.

- Znalazłeś ją?

- Jeszcze nie.

- Czemu to tyle trwa?

- Ona jest sprytna, Russell. Wie, że jej szukamy. Jak się czuje Zach?

- Niedobrze.

- Pozdrów go ode mnie.

- Przyjdź go pozdrowić osobiście.

- Zrobię to.

Na linii zapadła cisza.

- Andy, ty mnie nie okłamujesz, prawda?

- Nie. Przyjdę zobaczyć się z Zachem.

- Mam na myśli Frankie Doyle.

- Russell, jestem twoim prawnikiem.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Nie. Nie okłamuję cię.

Właśnie skłamał, mówiąc, że nie kłamie. Tres miał rację, mówiąc, że wszyscy kłamią.

- Pospiesz się - rzucił miliarder i zakończył rozmowę.

Andy wrócił do kuchni.

- Reeves? - zapytał go ojciec.

Andy pokiwał głową.

- Mogę go zwodzić przez dzień lub dwa, ale w końcu zorientuje się, że go oszukuję. A wtedy przyjdzie tu po nią. Wyniesiemy się stąd za parę dni.

- My?

- Teraz za nie odpowiadam. To ja je znalazłem.

- Cóż, tutaj nigdy ich nie znajdzie - mruknął Paul.

- Tato, dowiedziałem się kilku rzeczy na temat szukania ludzi.

Pierwszą rzeczą, jaką robi, jest sprawdzenie rejestru podatków od nieruchomości na nazwisko Prescott.

- Ta ziemia należy do twojej matki, Andy. I jest zarejestrowana na jej panieńskie nazwisko, czyli Warren, nie Prescott. One mogą tu zostać tak długo, jak zechcą. Miło będzie mieć jakieś towarzystwo.

Harmon i Cecil weszli do ozdobionego neonowym szyldem Body Art by Ramon, salonu tatuażu pod numerem 1514 przy South Congress Avenue. Ubrany w obcisły podkoszulek Meksykanin siedział przed komputerem i stukał w klawiaturę.

- Ty jesteś Ramon?

- Ja.

- Szukam Andy'ego Prescottta. Znasz go?

- Nie znam.

- Przecież urzęduje nad tobą.

- Ach, o tego Prescottta chodzi. To prawnik, specjalizuje się w mandatach. Nigdy tu nie zagląda.

- Jak on wygląda, ten Prescott? - dopytywał Harmon.

- Metr dziewięćdziesiąt, czarne włosy, gruby.
- A czym jeździ?
- Buickiem.

Gdy znaleźli się z powrotem na ulicy, Harmon prychnął z niesmakiem.

- Widziałeś tego faceta? Miał tatuaże na całym ciele.
- Cecil pokiwał głową.
- Mógłby grać u Knicksów.

Jean Prescott przyrządzała łososia, Andy i Frankie nakrywali do stołu, a Paul siedział z Jessie na werandzie i uczył ją gitarowych akordów. Ich głosy słysząc było w kuchni.

- Zaśpiewaj to, skarbie. - Ojciec Andy'ego zagrał kilka nut, a potem dał się słyszeć śpiew dziewczynki. Jej głos był silny i melodyjny.

Knajpianych królów gitary już nadchodzi zmiersch.

Wszystko dzisiaj jest towarem i muzyka też.

Do kuchni wszedł Paul Prescott z gitarą w ręku.

- Jean, słyszałaś, jak to dziecko śpiewa? To jest prawdziwy talent. Mamy tutaj piosenkarkę country.

- Paul, ty sobie nie kpisz, prawda? - W kuchni pojawiła się Jessie.

- Z czego miałbym kpić?
- Z tego, że jestem piosenkarką country.
- Kochanie, ja nigdy nie kpię z marzeń. - Uderzył w struny. - Zaśpiewaj to jeszcze raz.

Dziewczynka zaczęła śpiewać, a po chwili Paul dołączył do niej i muzykowali aż do kolacji.

- Musiałyśmy się przenieść - opowiadała Frankie. - Do Montany, Nowego Meksyku, zachodniego Teksasu. Miałśmy nadzieję, że to będzie nasza ostatnia przeprowadzka.

- Cóż, a my mieszkamy tu od trzydziestu pięciu lat. Jean odziedziczyła tę działkę, zanim się pobraliśmy. - Ojciec Andy'ego mrugnął do Frankie. - Ożeniłem się z nią dla tej ziemi.

- A ja wysłałam za niego, żeby miał kto karmić strusie - odparła Jean Prescott. - Andy mówi, że jesteś artystką.

- Chciałabym być.
- Mogę zobaczyć twoje portfolio?
- Naprawdę? Jest na górze.
- To po kolacji.

Paul nachylił się do Jessie.

- Smakuje ci ten łosoś? - zapytał. - Lepiej powiedz, że tak, w przeciwnym razie Jean każe ci jutro jeść tofu.

- Czy to jakaś chińska potrawa?
- Zgadłaś.

Dwie godziny później Andy zastał matkę siedzącą na werandzie z kieliszkiem wina. Ojciec już leżał w łóżku, a Frankie i Jessie szykowały się do spania.

- Będzie mi go brakować - odezwała się Jean.

Andy poczuł, że w oczach znów wzbierają mu łzy, więc nic nie powiedział. Siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w nocne odgłosy, a delikatny powiew znad potoku muskał ich twarze.

- Pamiętam, gdy jako młoda dziewczyna zasiadałam na tej werandzie i rozmyślałam, jaki będzie mężczyzna, którego poślubię. Nigdy nie wyobrażałam sobie kogoś takiego jak Paul. Ale kiedy zobaczyłam go tamtego wieczoru w Broken Spoke, kiedy spojrzałam w te jego niebieskie oczy, zakochałam się w nim. Minęło trzydzieści pięć lat, a ja wciąż jestem zakochana...

- Starzy Dave'a się rozwiedli, a rodzice Tresa są razem tylko ze względu na fundusz powierniczy. Dlaczego tobie i tacie się udało?

- Bo oprócz życia, które ze sobą dzielimy, każde z nas ma własne. Bo nigdy nie próbowaliśmy zmieniać się nawzajem. I obydwójce wiemy, że życie bez namiętności niewiele ma wspólnego z życiem. Jest jak film, namiastka życia. My przeżyliśmy swoje naprawdę.

Andy wziął matkę za rękę i uścisnął, a ona poklepała go po grzbiecie dłoni.

- Wiedziałaś, że tak się stanie.

- Co?

- Że przyprowadzisz do domu dziewczynę, aby przedstawić ją matce - wyjaśniła Jean. - Nie traciłam nadziei, że Mary Margaret nie będzie ostatnią.

- Ech, ale ona była niesamowita... jak na czwartoklasistkę.

- Frankie bardziej do ciebie pasuje.

- Niż Mary Margaret?

- Niż te dziewczyny z Whole Foods.

- To nie tak, mamo. Nic nas nie łączy.

- Widziałam, jak na nią patrzysz. I jak ona patrzy na ciebie.

- Myślę, że to był zew krwi.

Jean uśmiechnęła się.

- Nie sądzę - odparła i sięgnęła po teczkę z pracami Frankie. - Potrafiła to zrobić bez żadnego przygotowania? Ma wrodzony talent.

- Życie nie dało jej zbyt wielu szans.

- Jeszcze wiele przed nią. - Matka Andy'ego pociągnęła łyk z kieliszka. - Dobrze, że one tu są. Od roku nie widziałam twego ojca tak ożywionego. Wrócił mu ten błysk w oczach.

Andy pomyślał o życiu swoim i matki, w którym miałyby zabraknąć Paula Prescottta.

- Mamo, mogę jutro zabrać się z tobą do miasta? Zostawiłem rower w domu.

Matka pokiwała głową.

- Wstąpisz do mojego biura. Mam dla ciebie parę mandatów.

W apartamencie na ostatnim piętrze szpitala w Austin Kathryn Reeves chwyciła męża za koszulę na piersi.

- Ratuj go, Russell! - krzyknęła. - Ratuj go! Nie pozwól mu umrzeć.

Zach właśnie zapadł w śpiączkę, a jego matka przeżywała załamanie nerwowe. Russell zastał ją w sypialni, gdzie zanosiła się szlochem i kurczowo ścisnęła nożyczki. Wyjął je delikatnie z jej dłoni, a wtedy wymierzyła mu policzek.

- Jesteś przeklętym miliarderem! Zrób coś!

- Ocalę go, Kathryn. Znajdę na to sposób.

W całym swoim życiu Russell Reeves nigdy nie czuł się tak zdesperowany.

Rozdział 21.

Rozległ się dzwonek komórki Harmona Payne'a. Dzwonił szef.

- Biuro tego prawnika mieści się przy South Congress Avenue, numer 1514. Lokal należy do Ramona Cabrery, który zna Andy'ego Prescottta. A Prescott był przyjęty na urazówkę w szpitalu miejskim parę lat temu po jakimś wypadku na rowerze. Z karty wynika, że ma metr osiemdziesiąt, a nie metr dziewięćdziesiąt.

- Masz jego zdjęcie?
- Jeszcze nie mam.
- To je zdobądź.

Harmon rozłączył się i westchnął. Właśnie jadł z Cecilem śniadanie w hotelowej restauracji.

- Ten wytatuowany Meksykanin mnie okłamał - oznajmił.
- Niedobrze - stwierdził Cecil, przetykając kęś.

Andy jechał stumpjumperem, kierując się na południe wzdłuż Congress Avenue. Matka wysadziła go pod jego mieszkaniem na Piątej ulicy i pojechała na uniwersytet. Wziął prysznic, zmienił ubranie i zastanawiał się nad zjedzeniem śniadania w Whole Foods, lecz tak naprawdę nie miał ochoty widzieć się z Suzie ani Bobbi. Teraz liczyły się dla niego tylko Frankie i Jessie. Zatrzymał się przy kawiarni Jo's i podszedł do okienka.

- Nadal czekam, aż zajedziesz tu iron horse'em - pozdrowił go Guillermo, po czym wziął bananową muffinkę z wystawy i napełnił duży kubek kawą. - Aż dziw bierze, że jeszcze go nie rozwaliles - dodał, wskazując głową na stumpjumpera.

- Nie miałem czasu, żeby go porządnie rozpędzić.
- Chyba doskwiera ci niedobór adrenaliny.
- Brakuje mi tego.

Guillermo wystawił z okienka zaciśniętą dłoń, w którą Andy stuknął pięścią.

- Nie trać wiary, bracie.

Andy zajął miejsce przy stoliku i wbił zęby w ciastko. Dookoła siedzieli wszyscy stali bywalcy, ale on czuł się w SoCo jak obcy. Jego życie zmieniło się nieodwołalnie, gdy przed dziesięcioma tygodniami złożył mu wizytę Russell Reeves. Przedtem był prawnikiem od mandatów drogowych, teraz został prawnikiem Russella Reevesa. Przedtem był szczęśliwy, teraz miał pieniądze. Przedtem wiódł proste życie, teraz stało się ono skomplikowane. Nie pojmował tego, co się działo. Na plastrze była krew Frankie, więc dlaczego jego klient uważał, że to DNA jego córki? Andy'ego ogarnęło przeczucie nadciągającej katastrofy, takie samo, jakiego doświadczał, ilekroć jego rower zaczynał tracić kontakt z podłożem. Żadna paranoja, po prostu przeczucie. Złe przeczucie.

Rozejrzał się wokół. Ray, Darla, Oscar, George, Dwight - nikt, kogo by nie rozpoznawał. Nikt, kto nie miałby na swym ciele tatuażu. Sami członkowie plemienia. Andy wziął kubek z kawą, wsiadł na rower i udał się w dalszą drogę do swego biura. Była dopiero dziewiąta, ale Ramon już siedział u siebie.

- Co tu robisz tak wcześnie? - zapytał Andy, wchodząc do salonu.

Ramon wskazał na stół, gdzie leżała studentka z Żółtą Różą Teksasu na lewym pośladku. Miała zamknięte oczy, słuchawki w uszach i świeciła gołym tyłkiem.

- Zlecenie - wyjaśnił. - Ma zajęcia po południu, a zażyczyła sobie taką samą różę na prawym półdupku.

- Postaraj się zbytnio nie podniecać.

- Myślę, że ona śpi. Aha, ten gościu cię szukał.

- Reeves?

- Nie, ten małpolud, który go wozi.

- Darrell? Był tu bez swojego szefa?

Ramon pokiwał głową.

- Powiedział „jeszcze tu wrócę”, jak Terminator.

Tego ranka Russell Reeves zostawił Andy'emu trzy wiadomości nagrane na poczcie głosowej. Andy wiedział, że musi do niego oddzwonić, ale nie czuł się na siłach przekonywająco klamać.

- A na ladzie masz mandaty.

Widok leżących na kontuarze czterech druczków z załączonymi banknotami studolarowymi przypomniał Andy'emu, że matka też miała dla niego mandaty.

- I jeszcze wczoraj szukało cię dwóch facetów - dodał Ramon.
- Nietutejszych.

- Skąd wiesz?

- Eleganckie garnitury i akcent. Nakłamałem im, że cię nie znam.

- Dzięki.

- Chcesz, żebym powiedział temu gorylowi, że cię widziałem?

- Nie. I tamtym dwóm też nie mów.

Harmon i Cecil parkowali właśnie przed salonem tatuażu, kiedy jakiś młodzieniec ubrany w dzinsy, tenisówki i podkoszulek wyszedł ze środka, wsiadł na rower i odjechał.

- Ten będzie miał z metr osiemdziesiąt - zauważył Cecil.
- Widziałeś kiedyś prawnika, który jeździ na rowerze?
- Celna uwaga.

Wysiedli z samochodu i weszli do salonu. Meksykanin imieniem Ramon pochylał się nad odsłoniętym tyłkiem jakiejś dziewczyny, a w prawej ręce trzymał igłę.

- W czym mogę pomóc? - zapytał, nie unosząc wzroku.
- Okłamałeś mnie - odezwał się Harmon.

Meksykanin spojrział na gości stojących w progu i mina mi zrzedła.

- Znasz Prescotta. Wynajmujesz mu biuro - mówił Harmon, krocząc w jego stronę. - I nie jest taki wysoki, jak mówiłeś.

- Hej, ja tu pracuję - zirytował się Ramon. - Nie wchodź mi do sterylnej strefy!

- Gdzie jest Prescott?
- Człowieku, czy ja wyglądam jak sekretarka?
- Zaraz będziesz wyglądał jak martwy Meksykanin, jeżeli mi nie powiesz, gdzie on jest.

Ramon patrzył w wylot lufy nowiutkiego glocka Harmona.

- Ej, koleś...
- Koleś? Cecil, czy ja wyglądam jak koleś?

Lorenzo Escobar mknął na południe wzdłuż Congress Avenue z opuszczonymi szybami i popijał kawę z Jo's, rozkoszując się urokiem listopadowego poranka. Nagle zwolnił. Przed salonem Ramona stał zaparkowany czarny ford crown victoria - ten sam, który zwrócił jego uwagę przed dwoma dniami. Przez szybę okna wystawowego widział wewnątrz salonu i dwóch białych, którzy stali

w środku. Nie wyglądali na tutejszych. Lorenzo poczuł, że coś jest nie tak, więc zjechał swoim cadillakiem na wolne miejsce parkingowe przed sklepem Allen's Boots położonym kilka domów dalej.

Zgasił silnik i wysiadł. O tak wczesnej porze na ulicy panował spokój. Po chwili Lorenzo dotarł pod drzwi salonu tatuażu.

- Ej, koleś, schowaj tę spluwę - z wnętrza dobiegał podenerwowany głos Ramona.

Lorenzo zerknął przez szybę i zobaczył wysokiego białego mężczyznę, który mierzył do Ramona z pistoletu. Ten drugi stał obok. Detektyw wyjął berettę, odciągnął zamek, wprowadzając nabój do komory, po czym wszedł do salonu.

- Odłóż to, *hombre*.

Człowiek z pistoletem znieruchomiał. Odwrócił się powoli i zobaczył wylot lufy skierowanej prosto w jego klatkę piersiową.

- Spokojnie - powiedział Lorenzo. - Odłóż broń.

Glock spoczął na kontuarze, a Lorenzo gestem uzbrojonej ręki nakazał obu mężczyznom cofnąć się pod ścianę. Potem, nie odrywając od nich oczu, zwrócił się do Ramona:

- Co tu się dzieje?

- Oni szukają Andy'ego.

- A więc to tak. Czego chcecie od Andy'ego?

- To osobista sprawa - odezwał się ten wyższy.

- Czy warto za nią umierać?

- Chyba nie.

- Dobra. - Lorenzo odsunął się od drzwi. - Teraz możecie wyjść. I nie wracać.

- Czy mogę zabrać swój pistolet?

- Nie sądzę.

Nieproszeni goście skierowali kroki do wyjścia.

- Może się jeszcze spotkamy, Pancho - rzucił wysoki, stojąc w progu.

- To zaprosz kolegów - odpowiedział Lorenzo z uśmiechem. Gdy wyszli na ulicę, wyższy mężczyzna zachichotał.

- Słyszałeś to, Cecil? „Zaprosz kolegów”, tak powiedział. Podobna mi się to.

Obydwaj wsiedli do czarnego forda i gdy odjechali, Lorenzo odwrócił się do Ramona, który ocierał spocone czoło. Dziewczyna leżąca na stole nawet nie drgnęła. Detektyw zauważył, że ma zgrabny tyłek.

- Gdzie, do cholery, podziewa się Andy? - zapytał.

Andy pedałowal na północ, aż dotarł do miejsca, gdzie Congress Avenue kończyła się ślepo przed gmachem Kapitolu stanowego. Zwykle siedmiopasmowe skrzyżowanie z Jedenastą ulicą jest pełne samochodów, autobusów i pieszych, którzy przemykają na czerwonym świetle, rozmawiając przez komórkę i próbując uniknąć rozjechania. W tym dniu jednak po szerokiej pości asfaltu kręcili się robotnicy, którzy rozstawiali wielkie, podobne do cyrkowych, namioty z okazji Teksasńskiego Festiwalu Książki.

Coroczny festiwal książki był największym wydarzeniem kulturalnym, jakie odbywało się w Austin. Na śródmiejskich arteriach zamykano ruch w obydwie strony i kierowano na objazdy, które prowadziły bocznymi ulicami. W ciągu najbliższych trzech dni przewinie się tam czterdzieści tysięcy ludzi, by posłuchać koncertów, wziąć udział w warsztatach, podziwiać występy iluzjonistów i lalkarzy, odwiedzić wystawy kulinarne i posłuchać autorów opowiadających o swoich książkach. Oczywiście jak co roku można było się spodziewać Kinky'ego Friedmana, który paląc długie

cygara, ubiegał się o fotel gubernatora albo promował swą najnowszą książkę. Już dla niego samego warto było zainwestować we wstęp, który był bezpłatny.

Andy ominął żółte barierki i przeciął teren Kapitolu. Szeroki chodnik z płytek ułożonych w szachownicę ciągnął się przez sto pięćdziesiąt metrów, prowadząc w stronę południowego wejścia do gmachu. Przemknął obok pomników upamiętniających poległych ochotników z Teksasu, którzy walczyli po stronie konfederatów, dwóch armat z czasów wojny secesyjnej i kamiennej tablicy z dziesięciorgiem przykazań, które wszakże nie zakazywały niewolnictwa. Okrążył potężną budowlę z różowego granitu i uniósł wzrok w stronę posągu Bogini Wolności stojącej na szczycie kopuły ze złotą gwiazdą w ręku. Jej widok zawsze napawał go nadzieją.

Cztery przecznice dalej dotarł do bulwaru San Jacinto i wjechał na teren kampusu. Minał żuraw pompowy z odwiertu Santa Rita nr 1 i stadion futbolowy, po czym skręcił na wschód w Dwudziątą Trzecią ulicę, a potem na północ w Trinity Street, a stamtąd przejechał po betonowej kładce prowadzącej pod samo wejście do budynku Instytutu Sztuk Pięknych. Zaparkował rower, wszedł do środka i przez hol pobiegł w stronę gabinetu matki. Miała przerwę między zajęciami. Wstała zza biurka i uścisnęła syna na powitanie, a potem wręczyła mu mandaty.

- Wszystko w porządku, Andy?
- Niezupełnie.
- Nie wiesz, komu zaufać, swojemu klientowi czy Frankie?
- Mądra jesteś.
- Ma się ten doktorat. A poza tym Jessie ma rude włosy, a Russell Reeves nie.
- To cecha recesywna.

- To znaczy?
- Russell twierdzi, że Jessie odziedziczyła taki kolor włosów po jego matce.

- A czemu nie po Frankie i jej byłym mężu?
- Mickey miał rude włosy, ale Frankie ma czarne. A żeby dziecko było rude, obydwójce rodzice muszą mieć takie włosy.

- Pytałeś ją?

- Kogo miałem pytać i o co?

- Frankie. O kolor jej włosów.

- Przecież ma czarne. Widziałaś ją.

- My, kobiety, farbujemy włosy. - Jean uśmiechnęła się.

Po wyjściu od matki Andy wyciągnął komórkę, skontaktował się z informacją telefoniczną, aby zdobyć numer bostońskiego Grand Hotelu. Gdy się tam dodzwonił, poprosił o połączenie z barem. Odebrał Benny.

- Z tej strony Andy Prescott z Teksasu.

- Prawnik. Znalazłeś ją?

- Tak, znalazłem.

- Wszystko z nią w porządku?

- Jak na razie. Jaki kolor włosów miała Frankie, kiedy pracowała w barze?

- Jak już mówiłem, to porządna irlandzka dziewczyna. Ma ogniście rude włosy.

Russell Reeves kłamał.

Andy rozłączył się i pędem ruszył przez hol. Wtem rozdzwonił się jego telefon, więc przystanął, aby odebrać. Na wyświetlaczu widniał numer Lorenza.

- Andy, dwóch białych gości wymachiwało pistoletem w salonie Ramona. Szukali ciebie.

- Jezu. Reeves posunął się tak daleko.

- Russell Reeves? To on jest twoim tajemniczym klientem?

On nie żartuje. Ci dwaj cyngle to byli zawodowcy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Andy wiedział.

- Uważaj na siebie - dodał Lorenzo. - Nie chcę stracić klienta, który tak dobrze płaci.

Andy rozłączył się. Włożył kask i okulary przeciwsłoneczne, po czym wypadł na zewnątrz, a wtedy wielka, mięsista łapa Darrella zacisnęła się na jego ramieniu jak żelazne imadło.

- Pan Reeves chce z tobą rozmawiać. Czeka w aucie.

Długa czarna limuzyna stała przy krawężniku na Trinity Street. Szyba w tylnych drzwiach zjechała w dół i ukazała się twarz Russella. Darrell przywłókł Andy'ego do samochodu i puścił, ale stał w zasięgu ręki.

- Wsiadaj. - Reeves pchnął drzwiczki.

Andy nie ruszał się z miejsca. Zauważył, że jego klient wygląda, jakby nie spał od tygodnia.

- Nie przyszedłeś zobaczyć się z Zachem.

- W tej chwili się wybierałem.

Kolejne kłamstwo. I to dotyczące dziecka.

- Andy... Zach jest w śpiączce.

- Kurwa. - Andy oparł się o dach limuzyny. - Czy on z tego wyjdzie?

- Nie wiem. Gdzie jest Frankie?

- Russell, twój syn zapadł w śpiączkę.

- A moja córka może być następna.

- Ona nie jest twoim dzieckiem, Russell. Okłamałeś mnie.

- Dlaczego miałbym cię okłamywać?

- Właśnie tego nie wiem. Ale skłamałeś o tych rudych włosach. Frankie też ma rude, tylko ufarbowała je na czarno, więc dziewczynka odziedziczyła kolor włosów po swoich rodzicach, a nie po twojej matce. A krew na plastrze nie była jej, tylko Frankie.

- Co? To niemożliwe. Badanie genetyczne wykazało pokrewieństwo.

- Ty ścigasz Frankie. Czy zabiłeś Mickeya, żeby ją dopaść?

- Kto to jest Mickey?

- Mickey Doyle. Jej były mąż.

- Czy on nie żyje?

- Został zamordowany w Bostonie.

- I myślisz, że jestem w to zamieszany.

- A nie jesteś?

- Skądże.

- A on? - Andy wskazał na Darrella.

- Też nie.

- A ci dwaj cyngle, których wysłałeś do Ramona?

- Jacy dwaj cyngle? - zdziwił się Reeves.

- Ci, którzy mnie szukali.

- Przecież cię znalazłem.

- A Laurence Smith? On też nie żyje.

- Owszem.

- Czy on też próbował odnaleźć Frankie?

- Tak, ale jego śmierć nie ma z nią nic wspólnego. Ktoś chciał go obrabować. Posłuchaj Andy, znowu za bardzo to wszystko analizujesz. - Russell Reeves wyciągnął rękę w stronę Trinity Street, pokazując na Instytut Prawa znajdujący się w niewysokim budynku. - Pamiętasz, nie byłeś tam prymusem.

- Znowu oblałem test.

Russell Reeves wlepił wzrok w Andy'ego, który w oczach swego klienta dostrzegł coś, czego nie widział dotychczas - desperację.

- Powiedz mi prawdę, Russell.

- Prawda jest taka, że na twoim rachunku operacyjnym znajduje się milion dolarów przeznaczony dla Sally Armstrong z San

Diego. Możesz zatrzymać te pieniądze. Powiedz mi tylko, gdzie jest Frankie, a będziesz mógł odejść w spokoju... lecz o wiele bogatszy.

Andy spozrzał na uniwersytecką wieżę zegarową, której biała piaskowcowa bryła odcinała się na tle błękitnego listopadowego nieba. To był wspaniały widok. U jej podstawy, w południowej fasadzie budynku widniał wyryty napis: „Poznasz prawdę i prawda cię wyzwoli”. Jaka była prawda? Kodeks określał ją jasno - Andy Prescott był prawnikiem, a Russell Reeves jego klientem. Na mocy umowy Andy był zobowiązany powiedzieć mu, gdzie jest Frankie, gdyż otrzymał za to zapłatę. Klient był uprawniony do tego, aby wiedzieć tyle, ile jego prawnik.

A do czego była uprawniona Frankie?

Andy Prescott nie miał żadnych prawnych zobowiązań wobec Frankie Doyle. On nie był jej adwokatem, a ona nie była jego klientką. Stanowiła obiekt pożądania jego klienta, na czymkolwiek ono miałyby polegać. A to, czego wymaga miliarder, zapewnia mu jego prawnik. Na tej zasadzie funkcjonuje system prawny w Ameryce. Przynajmniej ten przeznaczony dla ludzi bogatych, dzięki którym bogacą się ich prawnicy. Obowiązkiem Andy'ego było ujawnienie Russellowi Reevesowi informacji, którą ten chciał od niego uzyskać. Miał za to otrzymać milion dolarów, więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek wyobrażał sobie na swoim koncie. Byłby bogaty. Suzie, Bobbi, luksusowy apartament, wystawne życie - wszystko to znajdowało się w zasięgu ręki. Wszystko, czego zawsze pragnął. Wystarczyło tylko, że powie swemu klientowi coś, co wie.

Zamiast tego rzucił się do ucieczki.

Przebiegł po kładce, wskoczył na rower i popedałował w dół po chodniku, który ciągnął się wzdłuż zachodniej ściany budynku.

Darrell zaczął go gonić, ale nie potrafił tak szybko biegać, więc zatrzymał się w połowie kładki i zawrócił. Tymczasem Andy przeciął parking, dotarł do Trinity Street i skierował się na północ. Wjechał na szczyt wzgórza, po czym skręcił na wschód i minął Instytut Prawa. Ulica zaczęła opadać, więc przyspieszył, a u podnóża wzniesienia gwałtownie skręcił w Robert Dedman Drive i przemknął obok Instytutu Johnsona.

Usłyszał pisk opon. Spojrzał za siebie i zobaczył wyłaniającą się zza zakrętu limuzynę. Wybrał więc drogę na zachód i jadąc chodnikiem wzdłuż Dwudziestej Trzeciej ulicy, minął stadion futbolowy i przeciął San Jacinto Street. Wpadł na teren kampusu przy fontannie na East Mall.

Począwszy od tego miejsca teren wznosił się równomiernie w kierunku wieży zegarowej. Stawianie budynków na tak pochyłym stoku wymagało zastosowania murów oporowych, które dzieliły kampus na terasy. Andy wniósł rower po betonowych stopniach biegnących wzdłuż muru po wschodniej stronie fontanny. Gdy wbiegł na szczyt, obejrzał się przez ramię. U podnóża schodów zahamowała ostro limuzyna, z której wyskoczył Darrell, bezsilnie wymachując do niego rękami.

Tędy nie mógł dalej go ścigać.

Andy wskoczył z powrotem na siodełko i ruszył przez East Mall. I tak nie mógł jechać zbyt szybko, gdyż na chodnikach kłębiło się pięćdziesiąt tysięcy studentów, którzy szli z jednych zajęć na drugie. Próbował zebrać myśli. Powrót do biura nie wchodził w grę, bo tam mogli na niego czekać ludzie Reevesa. Lepiej, by nawet nie pokazywał się w SoCo. Mógł jednak udać się do swojego apartamentu. Russell nie znał tego adresu i nie zdoła go ustalić.

Miał już skręcić na południe i kierować się w stronę centrum miasta, gdy za plecami usłyszał krzyki i jazgotliwe hałasy, które

przypominały odgłos wydawany przez pilę spalinową. Albo silnik motocykla terenowego. Andy spojrzał za siebie.

Dwaj ubrani na czarno motocykliści w czarnych kaskach z przyciemnianymi szybami przedzierali się na czarnych maszynach przez tłum studentów, który rozstępował się przed nimi jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Jechali po niego. Ale Andy Prescott wychował się w tym kampusie, więc znał każdą ścieżkę i każdy przesmyk, każdy chodnik i uliczkę na tym liczącym sto czterdzieści hektarów obszarze.

Nacisnął mocniej pedały i wybrał skrót pomiędzy budynkiem strzelnicy Korpusu Oficerów Rezerwy a starą halą sportową Gregory Gymnasium. Dotarł do Speedway Drive i wskoczył na krawężnik, po czym okrążył gmach szkoły biznesu i przedostał się na drugą stronę Campus Drive. Następnie pokonał dwa kolejne ciągi schodów i znalazł się na szczycie College Hill. Jego mięśnie płonęły żywym ogniem, gdy zatrzymał się u podnóża wieży zegarowej. Otarł pot z twarzy i spojrzał za siebie.

Jeden z motocyklistów podążał za nim. Drugi najwyraźniej starał się odciąć mu drogę, jadąc na południe w kierunku centrum, więc Andy odbił na północ, okrążył wieżę i popędził w stronę West Mail. Słyszał za sobą krzyki i ryk silników. Wbił się pomiędzy dwie grupy protestujących studentów - jedni byli zwolennikami, a drudzy przeciwnikami aborcji - i z całych sił przebiegał nogami. Zamierzał wydostać się z kampusu od zachodniej strony i zgubić pościg na odcinku Guadalupe Street zwanym Drag, ale zbliżając się do zachodniego wyjścia, zobaczył zaparkowaną przy krawężniku limuzynę i Darrella stojącego obok ze splecionymi na piersi grubymi ramionami.

Zawrócił w miejscu i ruszył naprzeciw pędzącym w jego stronę motocyklom. Kiedy od zderzenia dzieliły ich sekundy, skręcił ostro kierownicą w prawo i poszybował w powietrzu. Przeleciał nad ciągiem schodów prowadzących w dół i wylądował ciężko na placu przed budynkiem Goldsmith Hall. Od razu pojechał na zachód aleją, która prowadziła w stronę College Hill. Potem odbił na południe i przemknął przez Wzgórze Konfederatów, obok pomników Jeffersona Davisa, prezydenta Konfederacji, Alberta Sidneya Johnstona, generała konfederackiej armii, oraz jej wodza naczelnego, Roberta Lee. Dotarłszy do Martin Luther King Jr. Boulevard, wyjechał z kampusu, pozostawiając za sobą dwóch motocyklistów w czarnych strojach.

Zadowolony, że ich zgubił, ruszył wzdłuż Guadalupe Street, próbując złapać oddech, lecz nagle z Szesnastej ulicy wypadły dwie czarne terenowe maszyny i przecięły mu drogę.

Zaklął i znów mocniej nacisnął pedały. Oстрыm łukiem skręcił na wschód, a następnie wjechał pod prąd w biegnącą na południe Lavaca Street. Pościg zmierzał jego śladem. Andy znów skręcił na wschód w Piętnastą ulicę, a potem na południe w Colorado. Wyskokiem pokonał krawężnik i jadąc po chodniku, okrążył od północy gmach Sądu Najwyższego, po czym ściał ukosem róg trawnika i przemknął pod kopią Statui Wolności. Za plecami wciąż słyszał narastający jazgot motocyklowych silników.

Przed nim wyrastała ogromna bryła Kapitolu stanowego. Tamci dwaj wciąż siedzieli mu na ogonie, więc pedałuując jak szalony, przemierzył park, ominął barierkę zamykającą wjazd i gnał prosto w stronę rampy dla wózków inwalidzkich przy północnym wejściu do gmachu. Rozpędzony wpadł do środka przez wysokie drzwi,

które usłużnie przytrzymał mu jakiś starszek. Spojrzał za siebie. Motocykle zostały na zewnątrz.

Wnętrze Kapitolu stanu Teksas może się poszczycić marmurowymi posągami, posadzką z terakoty, drewnianymi futrynami o misternych zdobieniach ręcznej roboty, monumentalnymi schodami i dobrze uzbrojoną strażą. Andy chciał się stamtąd wydostać. Najszybciej mógł to zrobić południowym wejściem, więc przejechał przez hol i wpadł do rotundy pod kopułą, której ściany zdobiły portrety wszystkich gubernatorów. Na mozaice przedstawiającej Wielką Pieczęć Stanu Teksas stała dwudziestoosobowa wycieczka szkolna.

- Nasz Kapitol jest największy w kraju - mówił przewodnik.
- Z drogi! - krzyknął Andy.

Wystraszony przewodnik uskokzył na bok.

- Hej, wezwać ochronę.

Ktoś już to zrobił. Dwaj strażnicy nadbiegali od strony południowego holu, blokując Andy'emu drogę na zewnątrz. Andy skręcił w prawo i czmychnął do zachodniego skrzydła. U podnóża wielkich schodów, których nie pokonałby nawet na stumpsjumpe-rze, wykonał kolejny skręt w prawo i zatoczywszy łuk, znalazł się z powrotem w północnym holu. Wyjechałby na zewnątrz tą samą drogą, którą wjechał, lecz przy drzwiach już stało dwóch innych strażników, więc przemknął na wprost przez hol i wpadł do otwartej windy.

Nacisnął guzik pierwszego piętra. Drzwi zasunęły się, zanim strażnicy zdążyli dobiec. Nie wyglądali na zadowolonych. Andy wydał z siebie westchnienie ulgi i wtedy zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Prócz niego w kabinie było dwoje starszych ludzi.

- To taki skrót. - Spojrzał na nich z uśmiechem.

Wystraszona para cofnęła się w odległy kąt. Gdy winda dotarła na pierwsze piętro i drzwi się otworzyły, staruszkowie wyszli w pośpiechu. Andy został. Widział wspinających się po schodach strażników, którzy już go zauważyli, więc nacisnął kolejny guzik. Gdy drzwi rozsunęły się na drugim piętrze, wyjrzał na zewnątrz. Było pusto, więc wyjechał na galerię, która biegła wokół ściany rotundy. Stojący na dole uczniowie w niebieskich mundurkach pokazywali go sobie palcami i śmiali się. Strażnicy byli poważni.

- Będzie musiał zjechać windą. Zablokujcie wszystkie piętra.
W ten sposób pozostawili mu drogę po schodach.

Andy wpadł do wschodniego skrzydła i dotarł do klatki schodowej. Podskakując na stopniach, stoczył się na pierwsze piętro, wykonał zwrot i znów zaczął zjeżdżać. Stumpjumper pożerał schody. Rower przechodził chrzest bojowy.

Andy znalazł się na parterze, skręcił na zachód i znów wjechał do rotundy. Strażnicy, którzy stali teraz na pierwszym i drugim piętrze, pokazywali palcami na dół. Dzieciaki piszczały z zachwytu - bez wątplenia tę wycieczkę będą oceniać jako najlepszą w roku. Andy skierował się na południe, przejechał między naturalnej wielkości marmurowymi posągami Sama Houstona i Stephena Austina, przemknął przez szpaler białych kolumn i wypadł na zewnątrz południowymi drzwiami, które tym razem również przytrzymał mu jakiś uczynny staruszek.

Stamtąd wiodła w dół stoku prosta droga, która prowadziła w kierunku bramy przy Jedenastej ulicy. Andy pomknął po chodniku z płyt ułożonych w szachownicę, minął pomniki konfederatów i radiowóz zaparkowany przy krawężniku. Zmartwiwał, widząc, że

stojący przy nim policjant wyciąga broń i celuje do niego. Policjant jednak nie strzelił, za to wskoczył do samochodu i włączył koguta oraz syrenę.

Andy przejechał przez wysoką bramę z kutego żelaza i znalazł się na terenie festiwalu książki. Wykonał unik, aby nie zderzyć się z robotnikiem trzymającym maszt namiotu.

- Przepraszam! - zawołał, widząc, że mężczyzna traci równowagę i upada, a cała konstrukcja przewraca się na niego.

Skierował się na zachód w Congress Avenue, a potem na południe w Colorado Street. Stojąc na pedałach, minął niegdyś wspaniały pałac Gubernatora, który teraz był wypaloną skorupą po tym, jak jakiś wariat podłożył ogień. Andy nie słyszał odgłosu motocyklowych silników. Pomyślał, że bez wątplenia jego prześladowcy zawrócili, słysząc syrenę policyjną. Skręcił w prawo przy budynku sądu federalnego przy Ósmej ulicy, a następnie przeciął Lavaca. Planował kierować się na południe Rio Grande Street, która zaprowadziłaby go prosto do domu, ale na skrzyżowaniu z Guadalupe drogę zajechały mu dwa czarne mercedesy.

Gwałtownie odbił na południe. Szybko nabierał prędkości i nie musiał nawet pedałować, bo droga opadała w stronę jeziora. Tam właśnie postanowił dotrzeć, licząc na to, że samochody nie będą go ścigać po promenadzie przeznaczonej dla pieszych i rowerzystów. Pochylił się nad kierownicą, aby zmniejszyć opór powietrza. Nie wiedział, jak długo palą się tutaj światła na skrzyżowaniu, więc mógł liczyć tylko na szczęście.

Skrzyżowania z Siódmą i Szóstą przejechał na czerwonym świetle, za każdym razem unikając o włos zderzenia z autami, a Piątą, Czwartą, Trzecią i Drugą udało mu się przeciąć na zielonym.

Jego prędkość wzrosła jeszcze bardziej, gdy zbliżał się do Cesar Chavez Street, czteropasmowego bulwaru prowadzącego ze wschodu na zachód, który ciągnął się wzdłuż północnego brzegu Lady Bird Lake. Po Guadalupe Street z obydwu stron posuwał się sznur samochodów, które wciąż jeszcze miały zielone światło, ale na przejściu dla pieszych zapłonęło czerwone „stój”. Zielone zgasło, rozbłysło żółte i samochody zaczęły zwalniać. Andy pedałowal dalej. Robiło się gorąco.

Wpadł na skrzyżowanie ułamek sekundy po tym, jak na Cesar Chavez Street zapaliło się zielone i auta z obu stron ruszyły. Wolna przestrzeń między nimi kurczyła się błyskawicznie, ale Andy zdążył w ostatniej chwili. Za jego plecami trąbiły klaksony i przeklinali kierowcy, a on miał swój przyływ adrenaliny.

Udało mu się przemknąć na drugą stronę, ale czarne mercedesy utknęły na światłach.

Andy wpadł na stromą ścieżkę prowadzącą do promenady. Gdy tylko tam dotarł, skręcił na zachód i przejechał pod mostem, gdzie dwóch bezdomnych siedziało na porzuconym fotelu z samochodu i łowiło ryby. Od wody ciągnął orzeźwiający powiew. Po jej szklistej, zielonej tafli pływały kajaki, kanadyjki i jakiś facet na desce z żaglem. Pod prąd wolno posuwała się łódź wiosłowa. Na promenadzie rowerzyści lawirowali między biegaczami, spacerowiczami oraz ich psami, starając się uniknąć zderzenia.

Andy'emu udało się złapać oddech i zebrać myśli.

Floyd T, miał rację - w głowie Russella Reevesa coś pękło. Tylko dlaczego uważał, że ta dziewczynka jest jego córką? Wyglądał na szczerze zaskoczonego, gdy Andy oznajmił mu, że krew na plastrze należała do Frankie. Nic nie trzymało się kupy i Andy nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Wiedział za to jedno

- Frankie Doyle miała dużo więcej do powiedzenia.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne i schował je do kieszeni. Promenadę zacieśniały gęste korony drzew i przez ciemne szkła nie wiedział zbyt dobrze. Minął kładkę dla pieszych i zamierzał zjechać z promenady na wysokości Lamar Boulevard, by dotrzeć do Piątej ulicy, gdzie mieścił się jego apartament.

Wtem usłyszał dobiegający z oddali krzyk. Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Rozległo się więcej okrzyków i jakiś słaby zawodzący dźwięk. Uniósł się wyżej na pedałach i wytrzymał wzrok. Wtedy ich zobaczył. Dwaj motocykliści na czarnych terenowych maszynach zmierzali prosto w jego stronę od zachodu.

Czy te chłopaکی nigdy nie odpuszczają? - pomyślał.

Andy obrócił rower w miejscu i popędził w kierunku, z którego przyjechał, machając na pieszych, by ustępowali mu z drogi. Ryk silników narastał za jego plecami. Wiedział, że nie ma szans umknąć im na prostej drodze, więc kiedy dotarł pod kładkę dla pieszych, skręcił na spiralny betonowy chodnik, który prowadził na górę. Dotarłszy na szczyt, zatrzymał się i spojrzał przez balustradę, aby się upewnić, czy motocykliści wjadą tam za nim. Wjechali. Gdy wypadli na poziom kładki, Andy wykonał zwrot i pomknął z powrotem w dół. Już wiedział, gdzie ich zgubi.

Znalazł się znów na promenadzie i skręcił na wschód. Po chwili wypadł na wąski i prosty odcinek trasy spacerowej oddzielony od brzegu kanałem. Dróżka była skąpana w promieniach słońca, ale kawałek dalej nikła w cieniu pod kępą drzew.

Z łatwością mogli dopaść go na tej prostej, ale chciał, aby rozpedzili się do maksymalnej prędkości, zanim to się stanie, dlatego pedałowal zaciekle, jakby zależało od tego jego życie. Śmigał

obok pieszych i powolniejszych rowerzystów, słysząc za sobą coraz głośniejszy jazgot motorów. Obejrzał się i zobaczył, że dystans między nimi maleje z każdą chwilą.

Wkrótce zrównali się z nim, zajeżdżając go z obu stron. Słońce odbijało się w przyciemnianych osłonach kasków, więc Andy nie widział ich twarzy, ale miał też nadzieję, że kiedy jego prześladowcy wjadą na zacieniony odcinek, trudniej im będzie zauważyć, dokąd prowadzi droga.

Ten po prawej zadarł szpanersko przednie koło do góry, a potem próbował dosięgnąć Andy'ego kopniakiem, więc jeszcze bardziej przyspieszył. Obaj motocykliści dodali gazu, aby zajechać mu drogę. Andy patrzył na nich, a oni na niego. A powinni byli patrzeć przed siebie.

Wtem Andy gwałtownie nacisnął hamulce i walcząc z siłą rozpędu, która zarzucała nim na boki, usiłował utrzymać równowagę. Zatrzymał się dokładnie tam, gdzie ścieżka nikła w cieniu drzew, a zaraz potem skręcała nad brzegiem rozlewiska pod kątem prostym w lewo. Tamci dwaj pędzili dalej prosto przed siebie. Zjechali z drogi i po zderzeniu z niskim kamiennym murkiem przekoziółkowali w powietrzu i wylądowali w wodzie. Jak przewidział Andy, przez ciemne osłony kasków nie zauważyli ukrytego w cieniu ostrego skrętu.

Andy nie zamierzał czekać na dalszy rozwój wypadków. Wrócił na nadbrzeże po małym mostku, dotarł do Cesar Chavez Street, a potem wjechał w San Antonio Street, kierując się na północ. Nigdzie nie widział czarnych mercedesów, więc skręcił w lewo w Trzecią ulicę, okrążył Musie Hall i znalazł się na Rio Grande Street. Udał się prosto do mieszkania, przekręcił klucz w zamku i wtoczył do środka stumpjumpera. Oparł go o ścianę, po czym skierował kroki do lodówki, z której wyjął butelkę zimnej corony. Rozsiadł

się wygodnie w skórzanym fotelu przed telewizorem i wypił piwo jednym długim haustem.

W tym apartamencie był bezpieczny. Nikt nie zdoła go tu znaleźć. Przyjaciel Tresa nie wymagał żadnych formularzy czy upoważnień i nic nie było zarejestrowane na nazwisko Andy'ego - żaden czynsz ani media, skrytka pocztowa, prenumerata gazet, telefon stacjonarny ani łącze internetowe. Andy Prescott nie pozostawił żadnego papierowego śladu, który mógłby zaprowadzić prześladowców do tego miejsca.

Adwokat zdołał ukryć się bezpiecznie przed swoim klientem.

Krótką karierą Andy'ego w charakterze prawnika Russella Reevesa była skończona, podobnie jak wszystko, co ze sobą niosła - piękne dziewczyny, modne ubrania, ekskluzywne kluby, luksusowy apartament i pieniądze. Pozostały tylko komplikacje. Życie Andy'ego nadal było skomplikowane.

Jedną z komplikacji stanowiły pieniądze na jego rachunku operacyjnym. Reeves przelał mu pięćdziesiąt tysięcy przeznaczone dla Hollisa McCloskeya i milion dla Sally Armstrong z San Diego. Hollisowi Andy zapłacił dwadzieścia pięć tysięcy i trzykrotnie podejmował 9999 dla Lorenza. W rezultacie stan rachunku wynosił 995 003 dolary.

Andy wziął notatnik oraz długopis i podliczył wszystkie przepracowane dla Russella Reevesa godziny od czasu ostatniego zestawienia - wyprawy do Bostonu, Montany i San Diego, śledzenie Frankie, szukanie materiału do badania DNA, a nawet ucieczkę przed pościgiem z kampusu. Zebrało się ich w sumie sto dwadzieścia. Razy pięćset dolarów za godzinę. Należało mu się honorarium w wysokości sześćdziesięciu tysięcy. Plus dwanaście

tysięcy wydatków, wliczając w to tysiąc, który dał Mickeyowi, i tysiąc dla Ramona. Minus dwadzieścia pięć tysięcy, które Russell już mu zapłacił. Dziesięcioletniej premii za zdobycie materiału genetycznego nie ujął w kalkulacjach. Ostatecznie zostało mu czterdzieści siedem tysięcy.

Mógł przelać tę kwotę na własne konto. Po tym rozliczeniu na rachunku operacyjnym pozostawały jeszcze 948 003 dolary. Te pieniądze nie należały do Andy'ego. Był prawnie zobligowany zwrócić je swemu byłemu klientowi.

Wyciągnął z kieszeni komórkę i zadzwonił do domu rodziców. Gdy ojciec podniósł słuchawkę, poprosił go, aby zawołał Frankie do telefonu.

- Andy, wszystko u ciebie w porządku? - Jej głos brzmiał pogodnie.

- Właśnie uciekłem ludziom Reevesa, którzy ścigali mnie po mieście.

- Dlaczego?

- Bo nie chciałem mu powiedzieć, gdzie jesteś.

- Mówiłam ci, że on się o mnie upomni.

- Frankie, czy masz rachunek bankowy?

- Tak, w Buda.

- Jak go założyłaś, nie podając numeru swojej polisy ubezpieczeniowej?

- Użyłam numeru mojej mamy.

- Czy jesteś jej jedyną spadkobierczynią?

- Tak. A dlaczego pytasz?

- Podaj mi numer tego rachunku.

- Po co?

- Zaufaj mi.

- Ale ty jesteś prawnikiem.

Jednak niezależnie od tego faktu Frankie podała mu swój numer

konta. Andy rozłączył się. Wszystko to stało się z jego winy. Gdyby tylko pogodził się z rzeczywistością, kiedy McCloskey nie potrafił znaleźć Frankie Doyle, wydarzenia nie potoczyłyby się w takim kierunku. Ale on potrzebował pieniędzy. Chciał mieć Suzie, Bobbi i wszystko, co mógł za te pieniądze dostać. Dlatego udał się do Lorenza, a ten wytropił Frankie. A potem Andy naprowadził Russella Reevesa na jej ślad. Jego matka miała rację, mówiąc, że z powodu pieniędzy dobrzy ludzie robią złe rzeczy. Teraz musiał wszystko naprawić.

Zastanawiał się tylko, czy trójkowy student potrafi tego dokonać.

Rozdział 22.

Następnego ranka Andy obudził się wcześniej bez budzika. Był piątek, a on chciał się dostać do Wimberley. Musiał rozmówić się z Frankie. Wziął prysznic i włożył dżinsy, tenisówki i podkoszulek. Był głodny, a w mieszkaniu nie miał żadnego jedzenia ani kawy. Kawa i muffinka w Jo's niestety nie wchodziły w rachubę, ale on potrzebował węglowodanów.

Postanowił zjeść na śniadanie tacos w Whole Foods i zaczął zbierać się do wyjścia. Wziął komórkę i blokadę do roweru, po czym wyprowadził stumpyjumpera na zewnątrz. Nałożył kask, wskoczył na siodełko i rozejrzał się. Żadnych motocykli ani czarnych mercedesów nie było w polu widzenia.

Jadąc Piątą ulicą na zachód, przeciął dwie przecznice i dotarł do Whole Foods. Skręcił na północ w Bowie Street i zjechał na podziemny parking, by w razie czego zapewnić sobie bezpieczny odwrót. Przypiął rower do stojaka tuż obok wejścia, przeszedł przez rozsuwane drzwi i wjechał na górę ruchomymi schodami. W Whole Foods do wyjścia prowadzi ruchomy chodnik, aby klienci z wózkami wyładowanymi stertami zakupów mogli zjechać do swoich samochodów. Dzięki specjalnym rowkom na powierzchni chodnika, w których zakleszczają się kółka, wózki nie staczają się po pochyłości.

Na górnym poziomie schody ruchome są z obydwu stron osłonięte sięgającymi do pasa szklanymi barierkami, które chronią

nieuważnych klientów przed spadnięciem. Podjeżdżając coraz wyżej Andy, zerkał przez szklane panele, wypatrując kogoś, kto nie pasowałby do otoczenia. Po prawej stronie miał część restauracyjną, po lewej linię kas, a na wprost schodów położone pod gołym niebem stoiska z żywnością i kwiatami. Za jego plecami tłoczyli się amatorzy prażonych orzeszków. Andy widział tatuaże, kolczyki, nieogolone nogi i łyse głowy, hippisów i biznesmenów oraz zgrabne dziewczęta ubrane w spandex. Po prostu normalna klientela Whole Foods.

Wjechał na górę i przeszedł obok kas. Miał ochotę przebiec na wprost przez dział z produktami bezglutenowymi, wpaść do „Piwnej Alejki” i ukryć się na cały dzień w chłodziarce ze zgrzewką corony. Zamiast tego jednak zmierzał ze spuszczoną głową w stronę części gastronomicznej. Minął stoiska z naturalną odzieżą oraz dział „Zdrowie i Uroda” sprzedający ekologiczną biżuterię i właśnie przechodził obok pijalni soków, kiedy usłyszał głos Charlene.

- Cześć, Andy! - zawołała za nim.

Wzdrygnął się. Na rany Chrystusa, Charlene. Dlaczego po prostu nie ogłosisz przez radiowęzeł, że tu jestem? - pomyślał.

Przystanął przy barze meksykańskim.

- To, co zawsze? - spytał Brad.

Andy przytaknął, przyglądając się uważnie ludziom na sali. Nic nie odbiegało od normy. Może prócz Suzie, która właśnie do niego podeszła.

- Nie zadzwoniłeś do mnie.
- Byłem bardzo zajęty - odparł, nadal obserwując tłum.
- Spędzaniem czasu z Bobbi?
- Pracą.
- Podoba ci się mój nowy strój na siłownię?

- Co takiego?

Andy dopiero teraz zwrócił uwagę na Suzie, która okręciła się w miejscu, aby zaprezentować mu się w całej krasie. Miała na sobie obcisłą białą bluzkę bez ramiączek i białe szorty, które zaczynały się parę dobrych centymetrów pod jej pępkiem, a kończyły tuż pod pośladkami. Strój podkreślał wszystkie walory jej figury i ekspozował pięknie wyrzeźbiony brzuch. Andy nie posiadał się z zachwytu.

- Wyglądasz w tym naprawdę świetnie, Suzie.

Kiedy Andy wreszcie spojrział na jej twarz, kątem oka dostrzegł dwie czarne sylwetki stojące obok rozsuwanych drzwi wejściowych. Od strony patio weszło do sali dwóch typków o aparycji Darrella. Byli ubrani w czarne spodnie i czarne koszulki z dzianiny, które opinały się ciasno na ich muskularnych ciałach. Wyglądali, jakby byli potentatami na rynku sterydów. Andy miał ochotę rzucić się do ucieczki, ale między nim a tamtymi dwoma stała Suzie i zasłaniała go przed ich wzrokiem, a poza tym był strasznie głodny. Potrzebował tych węglowodanów.

- Cześć, Andy. - Obok przemknęła Bobbi i obdarzyła go tajemniczym uśmiechem.

Andy powiódł wzrokiem za jej odzianym w spandex ciałem.

- Andy! - upomniała go Suzie. - Gapisz się na nią zamiast na mnie?

Suzie była przepiękna, ale Andy nie wiedzieć czemu nigdy nie mógł się oprzeć i oglądał się za przechodzącymi dziewczynami. Suzie zrobiła nadąsaną minę i odeszła szybkim krokiem, a Andy obrócił się szybko plecami do wejścia. Pochylony usadowił się za wysokim regalem z wodą mineralną o zwiększonej zawartości elektrolitów i zerkał przez ramię na parę byczków w czerni.

Właśnie rozmawiali z Suzie, która tak oto natrafiła na dwóch najlepiej zbudowanych facetów, jacy pojawiali się we Whole Foods. A byli oni wysportowani, ale nie w stylu typowym dla mieszkańców Austin. To mogła być zasługa wojska. Ich mięśnie nie były starannie rzeźbione pod okiem drogich osobistych trenerów, aby wzbudzać zainteresowanie płci przeciwnej w Whole Foods - choć bez wątplenia wzbudzili zainteresowanie Suzie. To były mięśnie stworzone do walki.

Andy próbował czytać z ruchu ich warg. „Widziałaś Andy'ego Prescottta?” - zapytał jeden z nich, a Suzie odwróciła się i wskazała w stronę baru meksykańskiego. Wielkie dzięki, Suzie.

- Andy, twoje śniadanie.

Brad wyciągał w jego stronę dwa smakowite tacos zawinięte w folię aluminiową. Odwróciwszy się plecami do nadchodzących mężczyzn, Andy wyciągnął z kieszeni banknot dziesięciodolarowy i położył na ladzie.

- Reszta dla ciebie.

Odebrał od Brada oba zawiniątka, popychał je po kieszeniach i powoli się odwrócił. Dwaj mężczyźni byli już trzy metry od niego i wciąż się zbliżali. Mieli w uszach słuchawki i mówili coś do wpiętych w kołnierzyki koszul mikrofonów. Andy ruszył w przeciwnym kierunku. Poszli za nim.

Whole Foods zatrudniało emerytowanego policjanta w charakterze ochroniarza. Właśnie wyrósł on na drodze Andy'ego w swoim oliwkowym mundurze, piaskowych kowbojskich butach i kremowym kapeluszu. W skórzanej kaburze przy pasie nosił wielki rewolwer, znad którego zwieszał się jeszcze większy brzuch. Andy podszedł do niego i pokazał na idących za nim mężczyzn.

- Ci dwaj napastują dziewczyny.

Ochroniarz zastąpił drogę prześladowcom Andy'ego, ten zaś puścił się pędem wzdłuż głównej alejki, minął kasy i zmierzał w stronę ruchomych schodów. Gdy już się do nich zbliżał, od strony zewnętrznych straganów nadeszło dwóch innych drabów w czarnych strojach, którzy zagrodzili mu przejście. Spojrzał za siebie. Pierwszym dwóm osiłkom udało się wyminąć ochroniarza i teraz właśnie nadbiegali. Andy wpadł w alejkę z odżywkami, pochylony wbiegł za jeden z regałów i przywarł plecami do półek. Gdy ściągający go mężczyźni wybiegli zza rogu, wysunął nogę i obaj, potykając się, wpadli z impetem na półki z bezchlorkowymi pieluchami.

Andy ruszył tą samą alejką w stronę kas. Zamierzał odciągnąć drugą parę zbirów od schodów ruchomych, więc biegł prosto na nich, aż go zauważyli i rzucili się w pogoń. Wtedy skręcił gwałtownie w lewo i wpadł na stoisko z prażonymi orzeszkami. Teraz biegł wzdłuż rzędu wielkich dozowników wypełnionych nasionami i drobnymi słodyczami. Nie zwalniając ani trochę, wyciągnął rękę i otworzył kilka z nich, zasypując podłogę gradem orzechów laskowych, ciecierzycy, siemienia lnianego, słodkich drażetek i granulatów. Pierwszy z napastników stanął na rozsypanych produktach, stracił równowagę i runął na plecy, nakrywając się nogami jak dziecko na ślizgawce, ale drugi oparł nogę na leżącym towarzyszu i zdołał ominąć pułapkę. Andy już czuł na plecach jego oddech.

Skręcił w prawo na stoisko z warzywami, złapał żółtego kabaczka i bakłażana, po czym cisnął nimi w napastnika. Warzywno-pociski nie zdołały jednak powstrzymać pogoni. Mijając wysoką piramidę wzniesioną z melonów, Andy wyrwał jeden z samego spodu. Misterna budowla runęła i owoce potoczyły się po podłodze wprost pod nogi oprycha, który wyłożył się jak długi.

Uciekając między regałami z produktami sypkimi, Andy dotarł na tył sklepu. Tam skręcił w lewo i pognał przez stoiska z nabiałem, mięsem oraz pieczywem, gdzie omal nie upadł, próbując uniknąć staranowania jakiegoś starszego klienta. Koło czekoladowej fontanny znów odbił w lewo i przebiegł przez bar sałatkowy. Wiedział, że gdyby udało mu się wymknąć na zewnątrz przez salę jadalną, mógłby okrężną drogą przebiec na parking. Niestety wyjścia pilnował jeszcze jeden osilek.

Facet właśnie go zauważył i rzucił się w jego stronę. Andy zawrócił i wypadł na główną aleję, gdzie złapał pusty wózek na zakupy i pchnął w kierunku prześladowcy. Potem obrzucił go kilkoma puszkami z fasolą, te jednak odbijały się od jego uniesionych ramion, jakby były z gąbki. Dopiero upadający regał z odżywkami proteinowymi i napojami energetycznymi powstrzymał na tyle pościg, że Andy zdążył czmychnąć w bok. Przez dział z artykułami dla zwierząt i stoisko z winem Andy dotarł do „Piwnej Alejki”.

Z zewnątrz nie było widać, co dzieje się w chłodni, gdyż wszystko zasłaniały skrzynki z piwem ustawione pod przeszklonymi ścianami. Andy ukrył się za wysoką stertą corony extra. Sześciopak kosztował w promocji tylko 7,99 dolara. Nigdy by nie przepuścił takiej okazji, ale teraz nie miał możliwości wydostać się stąd ze zgrzewką piwa pod pachą. Wyciągnął więc zimną butelkę, oparł brzeg kapsla o krawędź półki i uderzył z góry otwartą dłonią. Kapsel potoczył się po podłodze, a Andy opróżnił butelkę jednym haustem.

Otarł usta rękawem i wyrzał na zewnątrz. Dwaj mężczyźni w czerni kłócili się z ochroniarzem przy ladzie Bowie BBQ, gdzie serwowano potrawy z grilla. To była jego szansa. Od schodów ruchomych prowadzących na parking podziemny dzieliło go tylko

stoisko z chrupkami. Skradając się pochylony, dotarł do przeszklonych drzwi chłodni i wtedy zauważył go jeden ze zbirów. Andy przebiegł przez dział z mrożonkami i dopadł do kas. Tuż za nimi znajdowały się ruchome schody, niestety przy każdej z kas stała kolejka klientów z wózkami pełnymi zakupów. Nie zwalnając biegu, Andy odepchnął jeden z wózków, wskoczył na zgrzewkę wody mineralnej i rzucił się ślizgiem na taśmę do wykładania towaru. Przejechał na brzuchu przez czytnik kodów kreskowych oraz torby z brązowego papieru i znów wylądował na ziemi. Po dwóch długich susach oparł rękę na metalowej poręczy, przesadził ogrodzenie i runął na prowadzący w dół ruchomy chodnik.

Przeciskał się między ludźmi i ich wózkami, aż wreszcie dopadł do drzwi.

Był w garażu. Rower stał tuż za drzwiami, lecz Andy, zerkając nerwowo w stronę wyjścia, pomieszał kombinację cyfr w szyfrowej kłódce. W końcu udało mu się ją otworzyć i wskoczył na stumpjumpera w chwili, gdy w drzwiach wyjściowych pojawili się dwaj prześladowcy. Andy nacisnął pedały i popędził w stronę wyjazdu, oni zaś biegli, okrążając samochody i przeskakując nad ich maskami, aby odciąć mu drogę. Udało mu się jednak pozostawić ich daleko w tyle. Dotarł do wyjazdu od strony Bowie Street, wypadł na ulicę i skierował się na południe. Gdy dojechał do Piątej ulicy, skręcił na wschód, przeciął dwie aleje i już był pod swoim domem. Otworzył drzwi frontowe i wepchnął rower do środka. Znów mu się udało.

Stał przez chwilę, aby złapać oddech. Wtem na jego twarzy pojawił się uśmiech, gdy przypomniał sobie, że wciąż ma w kieszeni dwa tacos, które są jeszcze ciepłe. Podszedł do lodówki, wyciągnął butelkę corony i zerwał kapsel, po czym usiadł i zaczął

jeść. Proteiny, węglowodany i piwo - właśnie tego mu było trzeba. Gdy przełykał ostatni kęs śniadania, usłyszał jakiś hałas dobiegający z zewnątrz. Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

Przed domem stały dwa czarne mercedesy. Jak go tu znaleźli? Andy ukryty za żaluzjami przyglądał się zbirom, którzy rozmawiali ze sobą, pokazując palcami w kierunku różnych apartamentów. W tym budynku było ich dwadzieścia. Potem rozdzielili się i zaczęli chodzić od drzwi do drzwi, co oznaczało, że namierzyli budynek, ale nie wiedzieli dokładnie, w którym mieszkaniu go szukać.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Andy dopił piwo, złapał okulary przeciwsłoneczne i zbiegł po schodach do garażu, który mieścił się w płytkim podpiwniczeniu. Krótki podjazd wznosił się do poziomej ulicy dokładnie w miejscu, gdzie zatrzymały się dwa mercedesy.

Andy zapalił światło. W olśniewająco białym wnętrzu panowała nieskazitelna czystość. Nie przechowywał w nim kosiarki ani żadnych mioteł, łopat czy innych narzędzi i na próżno było wypatrywać tam najmniejszej plamki oleju. Za to na środku połyskiwał czernią lakieru american iron horse slammer. Prawie trzysta czterdzieści kilogramów i sto dziesięć koni mechanicznych czystej adrenaliny. Najpotężniejszy, najbardziej niesamowity i wypasiony motocykl świata.

Andy wskoczył na siodełko i pogładził dłonią podwójny zbiornik paliwa, jakby to były gładkie uda Suzie. Przednia opona miała dwanaście centymetrów szerokości, tylna zaś aż trzydzieści, żeby maszyna lepiej trzymała się drogi, a chromowane koła marki Streetfighter były wyposażone w hamulce tarczowe. Pojemność cylindrów potężnego silnika S&S Sidewinder wynosiła przeszło tysiąc osiemset centymetrów sześciennych, a skrzynia biegów miała

sześć przełożeń. Zapłacił za niego czterdzieści dwa tysiące pięćset dolarów.

Zamówił slammera przed miesiącem, tuż po tym, jak Russell Reeves zlecił mu odnalezienie swoich byłych partnerek, podnosząc stawkę do pięciuset dolarów za godzinę. Odebrał motocykl zaledwie dzień przed tym, jak ludzie jego klienta ścigali go od kampusu aż po promenadę. Kupił sobie spełnienie swoich marzeń za pieniądze Reevesa - za te pieniądze, które zarobił, tropiąc Frankie Doyle. Teraz slammer musiał wszystko naprawić.

Andy zapiął kask i nałożył okulary przeciwsłoneczne, wziął głęboki oddech, a potem uruchomił silnik slammera. Dodał gazu, żeby usłyszeć ten charakterystyczny ryk iron horse'a. Żaden odgłos na ziemi nie mógł się z nim równać.

Przez ciało Andy'ego przetoczyła się fala adrenaliny.

Postawił maszynę do pionu i kopnął podpórkę, która złożyła się do tyłu. Motocykl był skierowany prosto w stronę podjazdu. Andy nacisnął guzik pilota przymocowanego do kierownicy i brama garażu zaczęła się unosić. Wrzucił bieg, ale wciąż trzymał sprzęgło, a kiedy prześwit był już dostatecznie wysoki, pochylił się i wystartował. Slammer błyskawicznie pomknął w górę, minął osłupiałych zbirów oraz ich czarne mercedesy i wypadł na Piątą ulicę. Andy wszedł ostro w prawy przechyl i przyspieszył, a w bocznym lusterku zobaczył, jak mężczyźni w czerni gramolą się do samochodów. Za plecami usłyszał pisk opon.

Wiedział, że może ich zgubić na jakiejś większej drodze, gdzie iron horse może pokazać to, do czego został stworzony - pędzić z zawrotną prędkością.

Andy skręcił na południe w Guadalupe i przemknął przez most na rozlewisku Lady Bird Lake. Potem zjechał na Riverside Drive

i kierując się na wschód, dotarł do Congress Avenue. Gnał teraz na południe, a mercedesy niezmordowanie podążały za nim. Dzielił ich dystans sześciu długości samochodu. Andy rozpędził się przed wzniesieniem, minął szkołę dla niesłyszących, a potem zwolnił, zbliżając się do kawiarni Jo's.

- Nie trać wiary, bracie! - krzyknął do Guillermo Garzy, który wystawiał głowę z okienka.

Guillermo wybiegł na zewnątrz, unosząc pięść ku niebu.

- Andy, ty to jesteś gość!

Andy wyciągnął w powietrze zaciśnięta dłoń, jakby chciał przybić z nim żółwika, a potem dodał gazu. Wjechał na skrajny pas do skrętu w lewo i wyprzedzając sznur jadących powoli samochodów, zauważył Oscara, który zamiatał ogródek przed restauracją Güero's. Zawołał do niego i w bocznym lusterku zobaczył, jak miotła wypada mu z rąk. Widział też, że czarne mercedesy są coraz bliżej. Rozpędził slammera jeszcze bardziej.

Przemknął obok swego biura nad salonem tatuażu Ramona, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze doprowadzi do oddalenia jakiegoś mandatu. Dzień wcześniej przekroczył granicę, uciekając przed Russellem Reevesem. Postawił bezpieczeństwo Frankie ponad interesem swego klienta. Postawił dobro ponad złem. Przyzwoitość ponad pieniędzmi. Miłość ponad prawem. Wszystkie te decyzje były fatalne w skutkach dla prawnika. Wiedział, że zostanie wykluczony z palestry.

Jeżeli wcześniej go nie zabiją.

Nagle musiał zacząć hamować. Na skrzyżowaniu z Oltorf Street zapaliło się czerwone światło, ale on nie mógł się teraz zatrzymać. Czmychnął więc w lewo, przemykając przed jadącymi z naprzeciwka samochodami i wpadł na parking, przez który dostał się na

Oltorf Street, ujechał kawałek na zachód, aż do skrzyżowania, po czym skręcił na południe i zanim zmieniły się światła, znów był na Congress Avenue. Na szczęście żaden policjant nie widział jego wyczynu, za który mógłby dostać mandat w wysokości tysiąca dolarów. Ale za to udało mu się ominąć światła i zostawić daleko w tyle ścigające go samochody. Zwolnił, przejeżdżając obok nowych domów dla biedoty, które jego klient budował w SoCo. Pomyślał, jak bardzo skomplikowanym człowiekiem jest Russell Reeves.

W końcu dotarł do autostrady numer 290. Drogi, która pnie się na szczyt masywu Balcones Escarpment. Drogi, na której liczą się tylko pojazdy z mocnym silnikiem, jak jego slammer.

Skrócił sobie drogę przez stację benzynową i przyspieszył na zjeździe. Zanim koła jego motocykla dotknęły autostrady, wskazówka licznika przekroczyła już sto dziesięć kilometrów na godzinę. Kiedy mijał położony na malowniczym terenie rozjazd zwany Sercem Tekszańskich Autostrad i drogę ekspresową MoPac okrążającą od południa pas zieleni wokół Barton Creek, rozpędził się już do stu trzydziestu. Wciąż zerkał w lusterka, ale nigdzie nie widział czarnych mercedesów.

Był to zadowalający fakt, ponieważ dojeżdżał właśnie do Oak Hill, gdzie kończył się odcinek autostrady i ruch tamowała sygnalizacja świetlna. Biegnąca przez miasteczko czteropasmowa droga przeciskała się obok wysokiej na piętnaście metrów wapiennej ściany, która wyznaczała granicę pierwszej terasy na zboczu wzgórza. Andy nie miał możliwości ominąć korka, jaki wytworzył się na czerwonym świetle. Pościg mógł go dopaść właśnie tu. Wcisnął się między dwie masywne półciężarówki, mając nadzieję, że prześladowcy go nie zauważą, jeśli znajdą się kilkanaście samochodów za nim.

W tym miejscu autostrada numer 71 odbijała na północny zachód, a autostrada numer 290 kierowała się na południowy zachód. Mógłby wybrać tę pierwszą, a potem zawrócić pod prąd do zjazdu na 290, co pozwoliłoby mu zgubić jednego ze ścigających go mercedesów. Zapaliło się zielone i samochody ruszyły przez skrzyżowanie. Andy jechał po lewym pasie, jakby zamierzał pozostać na autostradzie numer 290, ale tuż przed samym rozwidleniem gwałtownie skręcił i przemknął na prawy pas prowadzący do zjazdu na autostradę numer 71. Dodał gazu, jakby ostatecznie wybrał tę drogę.

W bocznym lusterku widział, że czarny sedan podąża jego śladem i gwałtownie przyspiesza. Andy zwolnił odrobinę i gdy mercedes już miał się z nim zrównać, nagle odbił w lewo, przemknął przed maskami jadących za nim aut i wpadł na zjazd prowadzący z powrotem do autostrady numer 290. Z tyłu roztrąbiły się klaksony - to uwięzieni na prawym pasie bezskutecznie usiłowali pojechać jego śladem. Tych gości mógł już odfajkować.

Ale gdzie był drugi mercedes?

Andy wrócił na autostradę numer 290 i skierował się na zachód. Pokonał pierwszy łuk i zobaczył czarny samochód, który czekał przy skrzyżowaniu z Convict Hill Road. Aż do oddalonego o dwadzieścia dwa kilometry Dripping Springs nie było na drodze żadnych świateł. Obowiązywało ograniczenie prędkości do stu kilometrów na godzinę, ale w Teksasie nikt go nie przestrzegał. Andy przemknął obok czarnego mercedesa i nadal się rozpędzał. Kluczył między wyprzedzonymi samochodami, ale wiedział, że tamci wciąż za nim jadą.

Wiedział również, czego można się spodziewać na autostradzie numer 290.

Droga zaczęła się wznosić i Andy miał nadzieję, że zgubi pościg podczas jazdy w górę zbocza. Dodał gazu i rozpędził slammerra do

stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Na każdym zakręcie wchodził w przechył, czuł na twarzy powiew wiatru i ciepło bijące od silnika. Kiedy dziesięć minut później pokonał stromy odcinek i znalazł się na szczycie wzniesienia, spojrzął w lusterka. Widział parę kilometrów drogi za sobą, ale była ona pusta.

Pomyślał, że przyszło mu to całkiem łatwo.

Rozluźnił się i zaczął rozmyślać o Frankie i Jessie. Czy zdoła wszystko naprawić, aby im pomóc? Czy znowu będą zmuszone się ukrywać? Przeprowadzić się do innego stanu i po raz kolejny zmienić nazwisko? Jaka czekała je przyszłość? I czy Frankie zechciałaby z nim tę przyszłość dzielić? Takie pytania tłukły mu się po głowie, lecz omal nie spadł z siodełka, gdy spojrzął w lusterko, w którym zobaczył powiększającą się w szybkim tempie czarną sylwetkę sedana.

Te przeklęte niemieckie auta.

Niemiecki silnik windował mercedesa pod górę nie gorzej, niż sidewinder radził sobie z jego motocyklem. Andy uświadomił sobie, że nie ucieknie prześladowcom jedynie dzięki prędkości i mocy, musiał więc poddać próbie ich przyczepność na ostrych zakrętach. A gdyby ktoś szukał ostrych zakrętów, nie znalazłby lepszego miejsca.

Wjeżdżając do Dripping Springs, Andy zwolnił do przepisowych siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Skręcił na południe w Ranch Road numer 12 i przyspieszył do stu. Wyprzedzanie na tej wąskiej jezdni było zabronione, więc mercedes trzymał się dwa samochody za nim. Piętnaście minut później Andy zjechał w dolinę, w której leżało Wimberley, i przemknął po moście na Cypress Creek. Przeciął rynek i przedostał się na drugi brzeg rzeki Blanco, a potem zaczął piąć się stromym podjazdem na szczyt wzgórza,

które zamykało dolinę od południa. Sześć i pół kilometra za miasteczkiem skręcił ostro na zachód w Ranch Road numer 32.

Prosto na Diabelski Grzbiet.

Biegnąca grzbietem wzgórza droga była pełna zdradliwych zakrętów i gwałtownych spadków. Chcąc przejechać ten odcinek z dużą szybkością, należało dobrze go znać. Andy znał go jak własną kieszeń.

Przez pierwsze sześć kilometrów droga była całkiem prosta. Diabelski Grzbiet zwodził nowicjuszy łatwym podjazdem oraz urzekającą panoramą odległych wzgórz i dolin. Andy rozpędził slammera do stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Pościg wciąż podążał za nim.

Minęli skrzyżowanie z Purgatory Road i Andy przyspieszył do stu trzydziestu, ale czarny mercedes nadal siedział mu na ogonie. Pochylił się nad kierownicą i jeszcze dodał gazu. Wskazówka na liczniku przekroczyła sto czterdzieści. Przemknęli obok Devil's Backbone Tavern i nagle zaczęły się zakręty. Ostre łuki w lewo, w prawo i znów w lewo, potem stromy podjazd, za którym droga znienacka zaczynała się wiać, by nagle rzucić się w dół, a następnie umknąć w prawo. Andy wchodził w zakręty na przechyle, a szerokie opony jego maszyny trzymały się asfaltu, jak gdyby toczyły się po szynach. Zerkając w lusterka, widział, że na każdym łuku sylwetka czarnego sedana coraz bardziej wymyka się z kadru i tańczy po całej jezdni. Reakcje kierowcy były przesadzone. Nagle mercedes w ogóle znikł z pola widzenia.

Andy zwolnił i spojrzął za siebie. Droga była pusta.

Skręcił na północ i zatoczywszy krąg, wrócił do Wimberley. Gdy od zachodu wjeżdżał na rynek, słyszał oddalającą się w kierunku południowym syrenę karetki. Zostawił za sobą miasteczko i

skręcił do gospodarstwa Prescottów. Zaparkował slammera przed domem, zgasił silnik i zdjął kask. Jego włosy były mokre od potu. Nareszcie złapał oddech. Co za piekielny poranek.

- Hałasujesz jak jakieś tornado. - Ojciec Andy'ego rozładował strzelbę, oparł ją o balustradę werandy, a naboje schował do kieszeni. - To cholerstwo jest większe od ciebie.

- Ludzie Russela namierzili mnie w Austin i gonili po autostradzie, więc zabrałem ich na wycieczkę po Diabelskim Grzbiecie. Na ich szczęście te duże mercedesy mają poduszki powietrzne z każdej strony.

- Nie możesz znaleźć tego faceta? - zapytał Harmon.

- Próbujemy coś wyciągnąć od naszego informatora - odparł szef.

- No to przyciśnijcie go mocniej.

- Masz numer?

Harmon odczytał do słuchawki numer telefonu, po czym rzekł:

- A teraz znajdź Andy'ego Prescottta.

Rozdział 23.

Andy ukrył slammiera w stodole i wrócił do domu. Jego matka miała przyjechać dopiero za kilka godzin. Zjedli lunch, a potem ojciec wziął Jessie nad wodę, by nauczyć ją łowić ryby. Andy i Frankie poszli za nimi, ale on chciał porozmawiać z nią na osobności, a ona miała ochotę zapalić.

- Ufarbowałaś włosy na czarno.

Frankie zaciągnęła się głęboko i przytaknęła.

- Przedtem miałaś rude.

Znów pokiwała głową.

- Rude włosy są cechą recesywną - oświadczył.

- I co z tego wynika?

- To, że Jessie nie jest córką Russella Reevesa. On mnie okłamał.

- Miło, że w końcu mi wierzysz.

- Nie wierzę. Ty też mnie okłamujesz.

- Wyjdziemy stąd.

- Nie, Frankie - zaprotestował. - Nie będziecie musiały wyjeżdżać. Próbuję tylko zrozumieć, czemu nie możesz powiedzieć mi prawdy.

Frankie milczała. Zeszli nad brzeg potoku, gdzie jego ojciec i Jessie stali na wystającym z wody głazie i łowili ryby. Dziewczynka zapiszczała na widok małej rybki, która dyndała na haczyku jej trzcinowej wędki.

- Zawsze chciałam, aby Jessie wychowywała się w miejscu takim jak to - powiedziała Frankie. - Może z paroma końmi.

- Możecie tu zostać tak długo, jak zechcecie.
- Albo raczej dopóki Reeves mnie tu nie dopadnie. A on jest do tego zdolny.

Max ujął.

- Mam na nich oko, chłopcze - oznajmił Paul.

Musieliby śledzić Jean. Czarny mercedes stał przed bramą, a po jej drugiej stronie zebrała się gromada kilkunastu strusi, która zastępowała intruzom drogę niczym gwardia pałacowa. Każdy z nich ważył prawie dwieście kilo i stanowiły nie lada przeszkodę. Ojciec Andy'ego, który siedział na werandzie ze strzelbą na kolanach, był jeszcze większą przeszkodą dla niepowołanych gości.

- Paul, czy oni przyjechali po nas? - zmartwiła się Jessie.
- Kochanie, najpierw musieliby przedrzeć się przez ptaki, a potem zajrzeć w lufy tej dwururki.
- To znaczy, że nie?
- To znaczy, że nie. - Paul uśmiechnął się. - Nie przechodzą przez bramę.

Przynajmniej na razie, lecz Andy wiedział, że mogą w każdej chwili, dlatego zadzwonił do Russella Reevesa.

- Witaj, Andy - usłyszał w słuchawce.
- Twoi ludzie ścigali mnie po całym mieście.
- A ty im uciekłeś.
- A co z tymi, którzy mieli wypadek?
- Nic im nie jest. To niemiecki wóz.
- Drugi taki wóz stoi pod naszą bramą. Czego ty chcesz,

Russell?

- Chcę porozmawiać z Frankie.
- Wykluczone.
- Przecież DNA pasowało.
- Pasowało do Frankie.

- Więc powiedz jej, żeby wsiadły do tego samochodu. Oni przywiozą je do mnie.

- Nie.

- Każę cię aresztować za kradzież moich pieniędzy.

- A ja zeznam, że usiłujesz porwać Frankie.

- Przypominam ci o przywileju klienta. Masz obowiązek strzec moich tajemnic. Jesteś moim prawnikiem.

- Już nie.

- Jeżeli to ujawnisz, stracisz prawo do wykonywania zawodu. Zresztą nikt ci nie uwierzy. Który z nas budzi większe zaufanie?

- Masz rację, Russell. Ale nie dostaniesz z powrotem swoich pieniędzy.

- Mogę cię pozwać. Mogę złożyć skargę do rady adwokackiej i zostaniesz wykluczony z palestry za przywłaszczenie powierzonych ci funduszy.

- Nie - odparł Andy. - Nie możesz.

- Dlaczego?

- Ponieważ z tajemnicą adwokacką wiąże się pewne zastrzeżenie. Jeżeli klient pozywa swego prawnika lub składa na niego skargę, uznaje się, że tym samym rezygnuje z przywileju.

- I co z tego wynika?

- To, że mogę wyłożyć karty na stół i opowiedzieć światu wszystko, co o tobie wiem. Twoje tajemnice nie są już bezpieczne.

- Kto, do cholery, to wszystko tak obmyślił?

- Prawnicy. To my tworzymy zasady, aby się zabezpieczyć.

W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie.

- Nienawidzę prawników - warknął Reeves po chwili.

- Russell, przelałem pieniądze na konto Frankie.

- Wiem. Dziewięćset czterdzieści osiem tysięcy i trzy dolary.

- Myślę, że jesteś jej to winien.

- Zapłacę jej więcej, jeżeli do mnie przyjdzie.

- Dlaczego?

- Zapytaj ją - odparł miliarder. - Niech ci powie prawdę.

Andy rozłączył się i podszedł do stojącej przy oknie Frankie.

- Musimy stąd uciekać - odezwała się zaniepokojona. - Zanim zaczną strzelać.

- Nie zaczną - uspokoił ją Andy. - Russell Reeves chce cię dostać żywą.

- Co ci powiedział?

- Powiedział, że ty znasz prawdę.

- To ciebie nie dotyczy.

Andy wskazał na stojący przed bramą samochód.

- Owszem, dotyczy i to jak cholera. Frankie, od wczoraj muszę uciekać przed zbirami Reevesa, bo on chce dostać ciebie. To z twojego powodu ci ludzie stoją teraz przed domem moich rodziców.

- A z twojego powodu ci ludzie wpadli na mój trop.

Trudno było się z nią nie zgodzić.

- Nie możemy wydostać się przez frontową bramę - stwierdził Andy. - A twoim samochodem nie dojedziemy przez pastwisko do tylnej bramy.

- Zmieścimy się we trójkę na twoim motorze?

- Lubisz biwaki?

Stali w szopie i mocowali bagaże na motocyklu. Andy zapakował śpiwór dla Jessie.

- Tak mi przykro. - Matka uścisnęła Andy'ego.

- To nie twoja wina, mamó. Prędeż czy później i tak by ją znaleźli.

Jean Prescott wzięła w objęcia Frankie i Jessie, jakby były jej dziećmi.

- Paul - odezwała się dziewczynka. - Chciałabym zamieszkać tu z tobą i z Jean.

Ojciec Andy'ego chwycił ją za ramiona.

- Kochanie, to zawsze będzie twój dom, kiedykolwiek zdecydujesz tu wrócić.

- Nie możemy tu wrócić - powiedziała Frankie.

W oczach Paula zakręciły się łzy.

- Andy, ja wciąż potrafię strzelać.

- Dzięki, tato, ale najlepiej będzie, jak wyjedziemy.

Andy przymocował torbę do kierownicy i uruchomił silnik slammera. Kiedy Frankie i Jessie usadowiły się za jego plecami, wyjechał ze stodoły i skręcił na ścieżkę prowadzącą do tylnej bramy. Byli niewidoczni dla ludzi siedzących w czarnym mercedesie.

- Znam jedno pole kempingowe - rzucił przez ramię. - Przyjemne miejsce z domkami i prysznicem.

Okrążył miasto i skierował się w stronę zachodzącego słońca. Dwadzieścia minut później dotarli do miasteczka Blanco, gdzie cztery przecznice od rynku zaczynał się Park Stanowy Blanco ciągnący się wzdłuż rzeki o tej samej nazwie. Andy zatrzymał się przy sklepie, w którym zapłacił za wynajęcie domku kempingowego. Zrobili też zakupy, aby zaopatrzyć się na wieczór, po czym odjechali w stronę rzeki, gdzie stał ich domek. Andy zajął się rozpakowywaniem bagaży, a Frankie i Jessie poszły nad brzeg, aby nazbierać kamieni, którymi zamierzały otoczyć palenisko. Gdy wróciły, dziewczynka chichotała, a jej matka ociekała wodą i była uwalana błotem.

- Pośliznęłam się - wyjaśniła.

Weszła do wnętrza domku i po chwili wróciła ubrana jedynie w ręcznik. Andy zauważył, że ma całkiem zgrabne nogi. Zawiesiła mokre ubranie na poręczu ganku i usiadła przy ognisku. Andy

opiekał właśnie hot dogi, używając w tym celu różną wykonanego z drucianych wieszaków. Frankie wzięła jeszcze jeden wieszak, przełożyła na niego swoją bieliznę i umieściła nad ogniem.

- Nie lubię chodzić w mokrych majtkach.

Nosiła elegancki czarny komplet.

Był początek listopada, a park świecił pustkami, chociaż temperatura w nocy nie spadała poniżej czterech stopni. Zwykle zima nadciągała do Teksasu dopiero w styczniu. Kiedy zjedli hot dogi, Frankie wstała.

- Muszę wziąć prysznic - oznajmiła.

Wzięła wysuszoną bieliznę i szampon, który kupili w sklepiku przy wjeździe, po czym udała się na tyły domku, gdzie znajdowały się prysznice. Andy odprowadził ją wzrokiem i zwrócił się do Jessie.

- Chcesz jeszcze hot doga?

- Zaraz pękne.

- Dlaczego nazywasz się „Jessie James”?

- Bo uciekamy i musimy się ukrywać jak przestępcy.

Andy nabił parówkę na rożen i zakołysał nią nad ogniem.

- Lubisz biwakowanie?

- To mój pierwszy biwak.

- Naprawdę? Ja uwielbiam spać pod chmurką.

- A ja nigdy tego nie robiłam.

- Wynająłem ten domek dla ciebie i dla twojej mamy.

- A mogę spać tutaj?

- Jeżeli mama się zgodzi. Ale jest wilgotno i musisz położyć śpiwór blisko ognia, żeby się nie przeziębic.

- Nie przeziębę się.

- Zuch dziewczyna.

- Słyszałam, jak mówiłeś mojej mamie, że mogę mieć gen, przez który choruje się na raka.

- Och, skarbie. - Andy się zmieszał. - Widzisz, martwiłem się tylko i...

- Nie martw się - przerwała mu dziewczynka. - Ja nigdy nie choruję.

- To szczęściara z ciebie.

Jessie podciągnęła prawą nogawkę dzinsów.

- Ja nie mogę chorować.

Andy pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Podobnie jest z jazdą na rowerze górskim - wyjaśnił. - To strategia pozytywnego myślenia. Musisz uwierzyć, że nie możesz się wyrzucić, w przeciwnym razie wypadek murowany.

- Nie. Chodziło mi o to, że ja nie jestem w stanie zachorować. Nigdy.

- I nigdy nie byłaś chora?

- Nie.

- Masz osiem lat?

- Yhm.

Dziewczynka syknęła. Andy zauważył na jej nodze małe strupki po otarciu naskórka.

- Przewróciłam się na przerwie w zeszłym tygodniu - wyjaśniła, widząc jego zaciekawione spojrzenie. - Teraz mnie swędzi.

- Więc nigdy nie byłaś u lekarza?

- Och, byłam u bardzo wielu lekarzy - odparła Jessie, zrywając strup.

- Jeżeli go zdrapiesz, będzie krwawił.

- Już krwawi.

- Skoro u bardzo wielu, to musiałaś być chora.

- Nie, byłam w szpitalu.

Sięgnęła pod bluzę i wyciągnęła medalik zawieszony na srebrnym łańcuszku. Dwanaście lat edukacji w katolickiej szkole pozwoliło Andy'emu rozpoznać przedstawioną na nim postać.

- To święty Alojzy, patron dzieci - stwierdził.
- I był też patronem tego szpitala.
- Więc byłaś naprawdę chora?
- Nie, wcale nie byłam chora.
- No to co robiłaś w tym szpitalu?
- Przeprowadzali na mnie eksperymenty.
- A ci lekarze to przypadkiem nie psychiatrzy?
- Ja nie jestem obłąkana, Andy - oburzyła się.
- Ale nie byłaś wtedy chora?
- Nie - odparła Jessie, grzebiąc w torebce matki.
- Więc dlaczego przyjęto cię do tego szpitala?
- Żeby mnie zbadać.
- Dlaczego?
- Ponieważ nie mogę chorować.
- Masz na myśli jakieś badania naukowe? - upewnił się Andy.
- Yhm - mruknęła, wyciągając coś z torebki. - To był szpital

kliniczny.

- I co odkryli?
- Że jestem odporna.
- Na co?

Dziewczynka przykleiła na rozdrapanym strupie plaster. Taki sam, jaki Andy znalazł w kubie na śmieci.

- Na wszystko - odpowiedziała, podnosząc na niego wzrok.

Andy szarpnięciem otworzył drzwi do umywalni. Frankie była całkiem naga, a po jej ciele splotywały strumienie wody. Nie skuliła się ani nie próbowała zasłaniać, tylko po prostu stała w obłokach pary.

- Na tym plastrze była jej krew. Russel nie ściga ciebie. Jemu zależy na niej.

Frankie zakręciła wodę.

- Podaj mi ręcznik.

Andy rzucił ręcznik w jej stronę.

- Dlaczego mnie okłamałaś z tym plastrem?
- Żebyś powtórzył to Reevesowi i żeby dał nam spokój.
- Czego on od niej chce?
- Żeby uratowała jego syna - odparła Frankie, wycierając się.
- Jak ona może go uratować?
- Jest odporna na wszystkie znane choroby.
- Jest nieśmiertelna?
- Nie. Może umrzeć ze starości albo na skutek obrażeń. Na przykład zginąć w wypadku, jeżeli zabijesz nas wszystkich na swoim motorze. Ale nie umrze na raka, ani na AIDS czy na grypę. Jest Dzieckiem X... a ja jestem Maryją Dziewicą.

- Maryją Dziewicą? - zdziwił się Andy.
- Matką zbawiciela.
- Zbawiciela czego?
- Rodzaju ludzkiego. Naukowcy uważają, że jej komórki macierzyste są lekarstwem.

- Na co?

- Na wszystko. Na każdą chorobę znaną ludzkości. Chcieli ją sklonować, zrobić z niej królika doświadczalnego. A ja chciałam, żeby miała normalne życie i była zwyczajnym dzieckiem.

- Russell twierdzi, że jej komórki macierzyste mogą uratować życie Zacha.

Frankie potakująco skinęła głową i wyciągnęła rękę.

- Moja bielizna.

Andy podał jej bieliznę, spojrział na nią raz jeszcze i wyszedł.

- Martwiłam się o nią. Miała pięć lat i nigdy nie była na nic chora. Dzieci powinny czasem chorować, prawda?

Andy wrzucił do ogniska kolejną suchą gałąź. Obok w śpiworze leżała Jessie i spała.

- Kiedyś wszystkie jej koleżanki miały anginę, a ona nie. - Frankie zaciągnęła się papierosem. - Potem połowa klasy rozchorowała się na grypę, ale ona nie. Wtedy zaczęłam się zastanawiać, czy wszystko z nią w porządku.

- Nigdy nie chorowała?

- Nawet na katar. Poszłam więc z nią do pediatry, a ten powiedział, że nigdy nie spotkał pięcioletniego pacjenta, który nigdy nie był na nic chory, czy to na zapalenie ucha albo spojówek, czy choćby na zwykłe przeziębienie. Zapytał, czy może pobrać próbki jej krwi i wysłać je do swego kolegi, który jest specjalistą immunologiem w szpitalu klinicznym na północy stanu Nowy Jork. Żałuję, że się na to zgodziłam.

- I co się stało?

- Po kilku miesiącach zadzwonił do mnie ten lekarz i poprosił, aby ją przyprowadzić. Był u niego ten kolega.

- Panie Doyle, pani Doyle, przedstawiam wam doktora Tony'ego Falco.

Wymienili uściski dłoni i zasiedli przy małym stoliku, jak w kancelarii notarialnej, do której poszli, aby podpisać swoje testamenty. Doktor Falco uśmiechał się do nich.

- Chciałbym zbadać państwa córkę - oznajmił.

- Dlaczego?

- Ponieważ może ona być anomalią.

- Ma pan na myśli jakiś wybryk natury?

Mickey Doyle parsknął śmiechem.

- Jak Shaq, tylko że mniejsza?

- Panie Doyle, pańska córka jest o wiele bardziej wyjątkowa niż jakikolwiek sportowiec - odparł Falco. - Ona może ocalić świat.

- O czym pan mówi? - spytała Frankie.
- Mówię o idealnym układzie odpornościowym. Mówię o komórkach macierzystych, które mogą uleczyć każdą chorobę. Mówię o tym, że możemy zmienić świat.
- A ją zamienić w królika doświadczalnego?
- Nie, proszę pani. Zamierzamy tylko ją zbadać. I państwa również. Czy kiedykolwiek pani chorowała?
- Tak.
- A pan, panie Doyle?
- Miałem kaca. - Mickey zachichotał. - Tak, chorowałem.
- A gdy już pan zbada nas... i ją, to co wtedy? - dopytywała się Frankie.
- Jeżeli okaże się to, co przypuszczam, moglibyśmy wykorzystać jej komórki macierzyste do stworzenia nowej linii...
- Ma pan na myśli klonowanie? - Frankie przerwała lekarzowi.
- Tak.
- Nie zgadzam się.
- Pani Doyle, lecznicze właściwości jej komórek macierzystych mogą być nieograniczone.
- Ale tego nie wie pan na pewno? To wszystko jest tylko eksperymentem?
- Tak samo jak wyprawa na księżyc, dopóki tam nie polecieliśmy - odpowiedział immunolog. - Pani Doyle, proszę sobie wyobrazić świat, na którym nie ma chorób. Na którym ludzie nie umierają na białaczkę czy inne choroby. Na którym dzieci w Afryce nie umierają na AIDS. Na którym koncerty farmaceutyczne nie decydują, kto umrze, a kto przeżyje. Pani córka może to wszystko zmienić.
- Czy dla wszystkich wystarczy tych komórek macierzystych?

- Nie.
- Więc kto będzie decydował, kto umrze, a kto przeżyje? Pan?
- Tak.
- A co się stanie z nią, gdy to wyjdzie na jaw?
- Nie wyjdzie. Gwarantuję, że wszystko odbędzie się anonimowo.

Frankie pokręciła głową.

- Nikt nie zdoła utrzymać czegoś takiego w tajemnicy. Sprawa się wyda, a wtedy media rzucą się na nią. Zrobią z niej wybryk natury. Nigdy nie będzie miała normalnego życia. Nigdy nie pójdzie na studia, nie wyjdzie za mąż, nie urodzi dzieci. Na zawsze pozostanie dziwolągiem.

- Pani Doyle, będę jedyną osobą w szpitalu znającą jej prawdziwe nazwisko. Zarejestruję ją jako Dziecko X, a jej dane nie pojawią się w żadnej ewidencji. Potrafię dochować tajemnicy.

- I nie będzie pan chciał tego rozgłosić? Pochwalić się swoim wielkim odkryciem? Oczywiście, że tak. Będzie pan chciał podzielić się tym ze światem, sięgnąć po zyski i sławę.

Na twarzy Tony'ego Falco pojawił się delikatny uśmiech.

- Już o tym myślałem. Opiszę ten przypadek, jakby to pani była tą pacjentką. Pacjentką X, a nie Dzieckiem X. Dorosłą kobietą w przedziale wiekowym od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat. Nikt się nie dowie, że tak naprawdę chodzi o dziecko.

- Będzie wiadomo, kto jest autorem.
- Opublikuję tę pracę anonimowo.
- Znajdą pana. A kiedy to się stanie, znajdą również ją.
- Możemy państwu zapłacić.

Frankie oderwała wzrok od ogniska.

- I w końcu się zgodziliśmy.
- Dlaczego?

- Byliśmy winni trzydzieści tysięcy urzędowi skarbowemu. Mickey robił różne przekręty z podatkami. Zagrozili, że odbiorą nam dom i jego warsztat.

- Ile Falco wam zapłacił?

- Pięćdziesiąt tysięcy. Na początek.

- To kupa pieniędzy.

- Nie dla Mickeya. Spłaciliśmy podatki, a on resztę przegrał. Pijaństwo, hazard i awantury. Kiedy wyjdiesz za niewłaściwego mężczyznę, to jest jak senny koszmar, z którego nie możesz się przebudzić.

- A więc zabraliście ją do szpitala?

Frankie przytaknęła.

- Do Ithaca. Kiedy zobaczyłam, jaka jest przerażona, wiedziałam już, że popełniliśmy błąd. Mickey wrócił do domu, a ja zostałam przy niej. Codziennie przeprowadzali jakieś testy, które potwierdzały, że moje dziecko jest „lekarstwem”. Bo tak właśnie ją nazywali.

Nalegali, abyśmy się tam przeprowadzili, bo gdybyśmy zamieszkali na miejscu, mogliby ją badać do końca życia. Byłaby jak zwierzątko w zoo. Zapytałam wtedy, co ze szkołą. Odpowiedzieli mi, że wykluczone, że nie może wrócić do szkoły, bo jest dla nich zbyt ważna, by podejmować takie ryzyko. Że świat jej potrzebuje. Zapewnili jej nauczycieli na miejscu w szpitalu, tymczasem z całego świata zjeżdżali się naukowcy, by przeprowadzać eksperymenty na Dziecku X.

Frankie przerwała, a Andy spojrział na pogrążoną w głębokim śnie Jessie.

- Codziennie zalewała się łzami i błagała mnie, by przerwać badania. Chciała wrócić do domu, ale Mickey potrzebował pieniędzy.

- I co zrobiłaś?

- Wiedziałam, że to nigdy się nie skończy, dopóki oni będą płacić Mickeyowi. Obiecywali, że jeżeli się tam przeprowadzimy, dadzą nam mnóstwo pieniędzy, dom, samochód i wszystko, czego zechcemy. Oczywiście Mickey napalił się na to. Powiedział, że to tak, jakby wygrał główną nagrodę w *Idolu*. Byłam więc zmuszona wyeliminować go z jej życia. Przyszłam do domu, kiedy był pijany, i prowokowałam go tak długo, aż mnie uderzył. Przyłożył mi wtedy całkiem porządnie. Wezwałam policję, złożyłam skargę i wniosłam pozew o rozwód. Był już dwukrotnie skazany za pobicie, więc tym razem poszedłby do więzienia. Żeby tego uniknąć, zgodził się na zrzeczenie praw rodzicielskich. Wtedy zabrałam ją ze szpitala i znikłyśmy.

- Dlaczego po prostu jej nie wyrejestrowałaś? - zdziwił się Andy. - Jest twoim dzieckiem.

- Podpisaliśmy kontrakt i dostawaliśmy pieniądze. Nie pozwoliliby nam ot, tak sobie wyjść. Była dla nich zbyt ważna. Wiedzieli o jej istnieniu, a inni też mogli się dowiedzieć. Zdawałam sobie sprawę, że musimy uciec i zmienić tożsamość. To był jedyny sposób, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Z czego żyłyście?

- Z drugiej raty. Dopilnowałam, aby kolejne pięćdziesiąt tysięcy nie trafiło w ręce Mickeya.

- Sprytnie. A gdzie nauczyłaś się zmieniać tożsamość?

- W Internecie, w bibliotekach.

- I tak ukrywałaś się przez trzy lata, nie mając nawet pojęcia, czy rzeczywiście ktoś was ściga?

- Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu.

- Dlaczego?

- Dlatego że ona ma to, czego każdy pragnie.

- To znaczy?

- Nieśmiertelność. Tylko sobie to wyobraź. Z jej komórkami macierzystymi masz gwarancję, że nie umrzesz na raka. Dożyjesz setki wolny od wszelkich chorób. Ile byś za to zapłacił? Ile Russell Reeves jest skłonny za to zapłacić?

- Dla swojego syna.

- On chce ocalić życie syna, a następny bogacz będzie chciał ratować siebie. - Frankie dorzuciła do ognia kolejną suchą gałąź. - I co my teraz zrobimy, Andy?

Russell Reeves siedział w fotelu obok łóżka Zacha i trzymał go za rękę. Ta dziewczynka była jego jedyną nadzieją. Rozległ się dzwonek telefonu. Miliarder spojrział na wyświetlacz i odebrał połączenie.

- Andy, gdzie jesteś?

- Frankie powiedziała mi, jaka jest prawda. Wiem, że to na dziewczynce ci zależy. I wiem dlaczego. W jaki sposób się o niej dowiedziałeś?

- Moi naukowcy szukali na całym świecie komórek macierzystych, które byłyby odpowiednie dla Zacha. Jeden z nich wspomniał o Pacjentce X, ale inni go wyśmiali, ponieważ większość naukowców twierdzi, że Pacjentka X to mistyfikacja. Postanowiłem się przekonać, jak jest naprawdę.

- Jak?

- Dotarliśmy do źródła w nowojorskiej drukarni, która wydawała periodyk medyczny z artykułami na temat Pacjentki X. Człowiek ten wyjawiał nam, że autorem tych artykułów jest Falco.

- Czy właśnie tym zajmował się Laurence Smith w New Jersey?

- Tak.

- A teraz nie żyje.

- To przypadkowe zabójstwo. Takie rzeczy zdarzają się wszędzie, u nas też.

- A Mickey?

- W Bostonie też się dzieją takie rzeczy.

- I co potem?

- Znaleźliśmy Falca w Chinach, w instytucie prowadzącym badania nad komórkami macierzystymi. Ale on odmówił podania nazwiska Pacjentki X. Udał się więc do jego ostatniego miejsca pracy w Stanach, czyli do Dziecięcego Szpitala Klinicznego imienia świętego Alojzego w Ithaca. Jego administrator był skłonny do współpracy.

- Łapówka?

- Darowizna. Nie znał jej nazwiska, ale za sto milionów dostaliśmy trzy rzeczy. Po pierwsze, dowiedzieliśmy się, że nie było żadnej Pacjentki X, tylko Dziecko X. Nie kobieta, ale dziecko. Po drugie, uzyskaliśmy listę kobiet, których dzieci brały udział w programie badawczym Tony'ego w tym samym czasie co Dziecko X. Falco. I po trzecie, zdobyliśmy próbkę DNA Dziecka X.

- To dlatego potrzebny ci był jej materiał genetyczny.

- Tak - odparł Russell. - Aby potwierdzić, że to rzeczywiście ona. I to było jej DNA, prawda?

- Tak. Zatem wszystkie te kobiety, to...

- To matki dzieci, które leżały na oddziale badawczym w tym samym czasie, co Dziecko X. Dane dzieci zostały utajnione, ale rodzice nie byli anonimowi. Teraz wystarczyło tylko się dowiedzieć, które z nich jest Dzieckiem X.

- Zatem tak naprawdę nie szukałem kobiet, ale ich dzieci.

- Jednego dziecka. Dziecka X.

- To dlatego pozostałe dzieci były chore.

- Tak.

- A dlaczego podarowałaś tym kobietom pieniądze?
- Bo mają chore dzieci.
- Ale wiedziałaś, że żadne z nich nie może być Dzieckiem X?
- Tak. Szukaliśmy tego dziecka, które nie jest chore. I ty je znalazłaś.

- A kiedy już dostaniesz to, czego chcesz?
- Dam jej matce dziesięć milionów. Albo dwadzieścia. Albo pięćdziesiąt. Cena nie ma znaczenia, jeżeli tylko uda się uratować Zacha. Zapewnię im wszystko, czego będą potrzebować do zaczęcia nowego życia pod zmienionym nazwiskiem. W miejscu, gdzie będą bezpieczne.

- A co miałyby im zagrażać?
- Zawsze ktoś będzie szukał Dziecka X. Tego nie da się utrzymać w tajemnicy.

- Nie sądzę, aby Frankie zgodziła się ją sprzedać.
- Ja nie chcę jej kupować, Andy. Ja chcę tylko kupić jej komórki macierzyste. Zach ich potrzebuje.

- I porwałbyś to dziecko, aby je dostać? Jaki był twój plan, Russell?

- Dążyć do przeprowadzenia transakcji. Gdyby to zawiodło, uprowadzić je obie, pobrać od dziewczynki komórki macierzyste, a potem je wypuścić. Z dziesięcioma milionami dolarów przelanyymi z jakiegoś zagranicznego konta, którego nikt by ze mną nie powiązał.

- Przepięknie doskonale.
- Ale dyktowane wyższą koniecznością.
- Każde przestępstwo pociąga za sobą ofiary.
- A co ty byś zrobił, aby ratować swojego syna?
- Nie potrafiłbym nikogo porwać.
- Jesteś tego pewien? Gdyby to było sprawa życia lub śmierci dla twojego dziecka? I gdybyś miał pieniądze, dzięki którym

mógłbyś to wszystko zorganizować, patrzyłbyś bezradnie, jak twój syn umiera? Tylko dlatego, że jej matka nie chce podzielić się darem, jaki otrzymała ta dziewczynka?

- To jest niemoralne, Russell.
- Co jest niemoralnego w ratowaniu własnego dziecka?
- To, że krzywdzisz innych.
- Nie zrobiłem nikomu krzywdy, Andy. Próbowałem kupić życie dla mojego syna. Co w tym złego? Zach umrze bez jej komórek macierzystych. Chcesz tego?
- Nie.
- To przyprowadź ją do mnie.
- Nie mogę ich zmusić, Russell.
- Proszę cię, porozmawiaj z nią. Zapłacę jej, ile tylko zechce.
- Wynająłeś mnie do przedsięwzięcia w SoCo, więc byłem już twoim prawnikiem, kiedy otrzymałeś jej nazwisko i potrzebowałeś kogoś, kto ją znajdzie.
- Spodziewałem się, że jesteśmy blisko, tymczasem dostaliśmy siedemnaście nazwisk.
- Dlaczego wybrałeś mnie?
- Byłeś trójkowym studentem. Myślałem, że nie będziesz zadawał zbyt wielu pytań ani wiedział, o co pytać. A poza tym potrzebne ci były pieniądze. Ktoś taki nie zaryzykowałby utraty dochodów. Nadawałeś się idealnie.
- Zachowałem się jak idiota.
- Zachowałeś się jak człowiek. Potrzebowałeś pieniędzy, a ja tej dziewczynki. Porozmawiasz z Frankie? Zrób to dla mnie.
- Czemu miałbym to robić?
- Bo jesteś moim prawnikiem.
- Już nie jestem.
- Bo mogę ci pomóc.

- Nie potrzebuję twojej pomocy.
- Ale twój ojciec potrzebuje.
- Jak ty możesz mu pomóc?
- Dzięki mnie może dostać nową wątrobę.
- Jak?
- Wystarczy jeden telefon.
- Mógłbyś to zrobić?
- Tak, Andy, mógłbym. Piętnaście miliardów dolarów wciąż coś znaczy na tym świecie. Mogę zadzwonić gdzie trzeba i twój ojciec znajdzie się na początku listy oczekujących. Mogę kupić twojemu ojcu dłuższe życie, jeżeli ta dziewczynka uratuje życie Zacha.

- Co powiedział Reeves? - spytała Frankie.

Andy streścił jej rozmowę.

- Zatem jeśli on dostanie komórki macierzyste Jessie, Paul będzie miał nową wątrobę? - upewniła się, gdy skończył mówić.

- Tak właśnie powiedział.

- Wierzysz mu?

Andy pokiwał głową.

- To nie jest zły człowiek. On jest tylko zdesperowany. Jego syn umiera.

- Porozmawiam rano z Jessie - odparła Frankie.

- To jej decyzja.

Dziewczynka obróciła się w ich stronę i usiadła na posłaniu.

- Zgadzam się - powiedziała. - Zrobię to, żeby uratować tego chłopczyka. I Paula.

- Zgodziła się - oznajmił Andy do telefonu. - Teraz jest już zbyt późno na jazdę. Przyślij tu rano Darrella. Jesteśmy w Parku Stanowym Blanco, niech czeka obok sklepiku przy wjeździe.

- Każę mu tam pojechać o świcie. Lekarze będą czekali w pogotowiu - odparł Reeves. - Dziękuję ci, Andy.

- Russell, wykonaj ten telefon. W sprawie mojego ojca. Rozłączyli się.

- Czy on uratuje Paula? - spytała Frankie.

Andy przytaknął. Położył się blisko ognia i wlepił wzrok w rozgwieżdżone niebo. Czy słusznie postąpił, wykorzystując pieniądze i wpływy Russella Reevesa, aby ocalić swego ojca? Aby przenieść go na początek listy oczekujących, przed innymi, dla których rokowania były lepsze? Czy jego ojciec bardziej zasługiwał na to, aby przeżyć niż tamci? Czy to było nadużycie? Czy to było etyczne? Jak sam by się zachował, gdyby był tak bogaty jak Russell i mógł pomóc swemu ojcu? Jakie obowiązywały zasady, gdy stawką było życie ojca? Albo życie syna?

Rozdział 24.

Russell Reeves po raz kolejny zmienił życie Andy'ego Prescottta.

Gdy Andy obudził się nad ranem, ktoś obejmował go ramieniem, a na jego twarzy spoczywały czyjeś włosy. Nie należały one jednak do Suzie czy Bobbi, ani też innej dziewczyny z Whole Foods. Obok niego leżała Frankie. Oczywiście była kompletnie ubrana, nie upili się zeszłej nocy w Qua ani nie uprawiali seksu.

Frankie przeciągnęła się i zdała sobie sprawę ze swojej pozycji.

- Przepraszam, musiało zrobić mi się zimno - wyjaśniła, ale nadal leżała przytulona do niego. Spojrzała w stronę posłania Jessie.

- Poszła nad rzekę - powiedział Andy.

Kiedy Frankie odwróciła z powrotem głowę w jego stronę, pocałował ją. Odwzajemniła pocałunek, ale nagle się cofnęła.

- Muszę chronić moją córkę. Nie mogę się angażować. Dobry z ciebie facet, ale...

- Ale co?

- Ale ja mam już jedno dziecko do wychowania. Nie mogę sobie pozwolić na drugie.

- Masz na myśli mnie?

- Cierpisz na zatrzymanie procesu dorastania. Jak Mickey.

- Czy to choroba?

- Dla mnie była, kiedy żyłam z Mickeyem. On nie chciał dorosnąć. Tak samo jak ty, tylko że ty nie pijesz i nie bijesz żony.

- Ja nie mam żony.
 - Ale gdybyś miał, tobyś jej nie uderzył. - Frankie zabrała ramię z jego piersi i usiadła. - Muszę napić się kawy.
- Andy podniósł się z posłania.
- Zajrzę do sklepiku - oznajmił. - I zobaczę, czy Darrell już tu jest. Polubisz go... mniej więcej tak samo jak leczenie kanałowe.
- Andy umył się, po czym wsiał na motocykl i pojechał do sklepu.

Frankie zeszła nad brzeg, gdzie przy niewielkiej tamie spotkała Jessię. Promienie porannego słońca odbijały się od gładkiej tafli rzeki, która była prawie biała od światła.

- *Blanco* znaczy biały po hiszpańsku - powiedziała.
- Dziewczynka rzuciła kilka kamyków do płytkiej wody.
- Czy to będzie bolało? - zapytała.
 - Może odrobinę.
 - Ale uda się uratować tego chłopczyka?
 - Tak.
 - A jego ojciec ratuje Paula?
 - Tak.
 - To ja dam radę.
- Frankie otoczyła córkę ramieniem.
- Zawsze byłaś dzielna.

Przed sklepikiem stał zaparkowany czarny samochód, ale nie była to ani limuzyna, ani jeden z mercedesów, które dzień wcześniej prowadziły pościg. Andy zatrzymał się, ale nie zgasił silnika.

Darrella nigdzie nie było, za to z samochodu od strony pasażera wysiadł wysoki mężczyzna i uniósł lewą rękę. Prawą miał opuszczoną wzdłuż tułowia i coś w niej trzymał.

- Andy Prescott? - zawołał.

- Tak.

Mężczyzna uniósł prawą dłoń. Trzymał w niej pistolet.

Andy dodał gazu i zawrócił w miejscu. Pędząc, pochylił się, a za plecami usłyszał wystrzał. Pognał przed siebie gruntową drogą.

Frankie usłyszała odgłos silnika motocykla i odwróciła się w stronę, z której dobiegał. Zobaczyła Andy'ego, który nadjeżdżał z wielką prędkością, wzbijając tumany kurzu.

- Chodźcie tu! - krzyczał.

Wraz z Jessie dobiegły do domku kempingowego w tym samym momencie, gdy Andy gwałtownie zahamował.

- Wsiadajcie!

- Co się stało?

- Dwóch ludzi przy sklepie. Zaraz tu będą.

- Żeby nas zabrać?

- Nie sądzę. Strzelali do mnie.

- Darrell strzelał do ciebie? Dlaczego?

- To nie był Darrell. I jakoś nie wypadało mi pytać.

Frankie złapała śpiwór i zaczęła go zwijać, lecz Andy krzyknął, aby go zostawiła. W głębi drogi pojawił się czarny samochód. Frankie przewiesiła sobie torebkę przez ramię i wskoczyła na siodelko. Między nimi usadowiła się Jessie.

- Jak nas tu znaleźli? - dziwiła się Frankie.

- Russell musiał im powiedzieć.

- Ale przecież ona jest mu potrzebna, żeby ocalił syna.

Andy wrzucił bieg i okrążył domek kempingowy, a potem zaczął uciekać przed czarnym samochodem. Wyjechał przez bramę parku i przemknął przez rynek miasteczka, który o tej porze świecił pustkami, po czym dotarł do autostrady numer 281 i skręcił na południe w kierunku San Antonio. Gnał na pełnym gazie. Obowiązywało ograniczenie prędkości do stu dziesięciu kilometrów na godzinę, ale on wkrótce rozpedził slammiera do stu czterdziestu.

Zerknął w lusterko. Nikt ich nie ścigał, więc zwolnił, zredukował bieg i skręcił na wschód, a potem na północ, kierując się w stronę Henly. Gdy dotarli do tego małego miasteczka, Andy zjechał na stację benzynową. Musiał zatankować i zadzwonić do Russella Reevesa. Wybrał numer, przyłożył aparat do ucha i czekał.

- Andy... - rozległ się słaby głos w słuchawce.

- Russell, dlaczego twoi ludzie do nas strzelają? Powstrzymaj ich. Ona da ci swoje komórki macierzyste! Ona uratuje Zacha!

Reeves nie odpowiadał, lecz na linii słychać było jego oddech.

- Andy... - odezwał się w końcu. - Zach umarł tej nocy.

- O Jezu - jęknął Andy. - Tak mi przykro. Czy dobrze się czujesz?

- Nie, Andy, nie czuję się dobrze. Mój jedyny syn nie żyje, a żona przeszła załamanie nerwowe i jest teraz na oddziale psychiatrycznym.

Jego syn. Jego żona. Jego życie. Andy nie potrafił uratować Zacha ani Kathryn, ani nawet Russella Reevesa. Ale musiał ratować Jessie.

- Russell, ta dziewczynka nie jest winna śmierci Zacha. Nie zabijaj jej. Odwołaj swoich ludzi.
- Nie mogę - odparł miliarder.
- Dlaczego?
- Bo to nie są moi ludzie.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- To, że nie wysłałem tam Darrella. Nie posyłałem tam nikogo, a ci ludzie, którzy do was strzelali, nie pracują dla mnie.
- Więc dla kogo?
- Prawdopodobnie dla jakiejś firmy farmaceutycznej, która nie chce, aby Dziecko X doprowadziło ją do ruiny.
- Jakże to możliwe?
- Dziecko X mogłoby być największym przełomem w historii medycyny. Gdyby się udało sklonować jej układ odpornościowy pod postacią komórek macierzystych, nagle świat stałby się wolny od chorób. Żadnego raka, żadnego AIDS, ani nawet zwykłego kataru. I żadnych leków. Ani wielkich koncernów, które zarabiają setki miliardów, sprzedając lekarstwa na wszystkie te choroby. Oni nie pozwolą, aby ta dziewczynka stanęła im na drodze.
- Jak ją znaleźli?
- Przez Darrella. Przekupili go.
- Darrell sprzedał twoją tajemnicę?
- On nie jest prawnikiem. Nikt nie wiedział, czy Dziecko X istnieje naprawdę czy to tylko mit, ale sama idea spędzała sen z powiek producentom leków. Szukali jej, odkąd tylko zrobiło się głośno o tej sprawie.
- Przecież nie zabijają jej tylko dlatego, że zagraża ich zyskom.
- Sam mówiłeś, że do was strzelali. I wiesz, Andy...
- Tak?

- Myślę, że to oni zamordowali Larry'ego Smitha. I Mickeya Doyle'a.

- Ale to tylko dziecko.

- Z winy koncernów tytoniowych umiera tysięcy osób dziennie i dzieje się tak od czterdziestu lat. Ci przedsiębiorcy wiedzieli, że ich produkty zabijają ludzi, mimo to przez cały ten czas trzymali w tajemnicy prawdziwe zagrożenia, aby utrzymać swoje dochody. Zarabiali na śmierci milionów ludzi. Czymże jest więc jedno dziecko dla tych firm farmaceutycznych? Ci ludzie nie zawahają się przed niczym, aby zachować swój model biznesowy.

- Jaki to model?

- Śmierć i choroby. Producenci leków żerują na śmierci i chorobach, nie na szczęściu i zdrowiu.

- Darrell nie kłamał - stwierdził Cecil.

Harmon pokiwał głową.

- Prescott całkiem nieźle śmiga na tym motorze, ale teraz już nam nie ucieknie. I nic nie pomoże tej małej. Skręcaj na północ.

Harmon Payne zaczął pracować dla koncernu farmaceutycznego po tym, jak Federalny Wydział do walki z Przestępczością Zorganizowaną wsadził wszystkich szefów przestępczego podziemia za kratki. Wypłynął na wody wielkich interesów. Teraz gangsterów zastąpili producenci leków. I wszystko było legalne. No, przynajmniej na ogół. Ze względu na charakter swej pracy operował wyłącznie w szarej strefie, ale to ona warunkowała jego karierę. Na tle większości kontraktowych zabójców, którzy pracowali dla rządu Stanów Zjednoczonych w Iraku, Harmon dyktował na rynku wysoką stawkę. Był dobry, był zawodowcem i nigdy nie ustawał, dopóki nie wykonał zadania.

- I co teraz zrobimy? - spytała Frankie, zapalając papierosa.

Andy doprowadził slammera na tyły budynku stacji i zaparkował obok stołu piknikowego. Pozostał na siodełku motocykla, a Jessie usiadła na blacie stołu.

- Czy uratujemy tego chłopca?
- Nie, skarbie. Ten chłopiec umarł zeszłej nocy.
- Och. A co z Paulem? Czy on dostanie nową wątrobę?
- Nie wiem - odpowiedział Andy i sięgnął po telefon. - Mam przyjaciela, który pracuje dla władz federalnych. Może on potrafi nam pomóc.

- Strzelali do ciebie? - dziwił się Tres. - Z broni palnej?

- Tak. Prawdziwymi pociskami.
- Andy, na Boga, w co ty się wpakowałeś?
- W kłopoty.
- Pozbądź się ich.
- Nie mogę, Tres. Oni chcą zabić tę dziewczynkę. Nie mogę do tego dopuścić.
- A czego ode mnie oczekujesz?
- Zadzwoń do FBI albo do CIA. Cholera, zadzwoń do kogośkolwiek i powiedz, że znalazłem Dziecko X... czyli Pacjentkę X. Na pewno jest u nich ktoś, kto wie, o co chodzi. Powiedz im, że ona istnieje naprawdę.

- Dobra, stary, zobaczę, co da się zrobić.

Andy rozłączył się w momencie, gdy Frankie i Jessie wyszły tylnymi drzwiami ze sklepu znajdującego się w budynku stacji.

- Andy, oni tu są.
- Ci faceci?
- Tak, ci z czarnego samochodu.
- Jak nas tu znaleźli?
- Nie wiem, ale są teraz w sklepie.
- Obydwaj?

- Tak. A ich samochód stoi zaparkowany obok dystrybutorów paliwa.

- Jeżeli są w środku, to muszą wiedzieć, że gdzieś tu jesteśmy, ale nie wiedzą, że jesteśmy tuż obok.

Było podobnie jak wtedy, gdy ludzie Reevesa wysłedzili go w apartamentowcu, ale nie wiedzieli, w którym jest mieszkaniu.

- Musimy ich zatrzymać.

Frankie sięgnęła do torebki i wyciągnęła scyzoryk.

- Czy to się na coś przyda?

- Dwanaście pączków? - obruszył się Harmon. - Cecil, zejdiesz na cukrzycę, zanim stuknie ci pięćdziesiątka.

- Ale to jest smaczne.

Harmon trzymał kubki z kawą, podczas gdy jego towarzysz płacił.

- Więc twoja najstarsza córka wybiera się na uczelnię z Ligi Bluszczowej? - zagadnął Cecil.

- Do Wellesley.

- To chyba sporo kosztuje.

- Tak, ale to bystra dziewczyna i chcę jej to zapewnić. Mnie nie dano takiej szansy.

- Jesteś dobrym ojcem, Harmon.

- Staram się. Ale trudno jest wychowywać dzieci w tym świecie, gdzie na każdym kroku czyhają złe wpływy. Narkotyki, seks, kablówka...

Odwrócili się w stronę drzwi.

- O kurwa! - Cecil wskazał palcem w stronę ich samochodu. - Patrz!

Prescott właśnie zatrzymał się po przeciwnej stronie forda crown victoria, a jedna z jego pasażerek zeskoczyła z siodełka i zniknęła z pola widzenia. Harmon wiedział, co się dzieje.

- Ona przebija nam opony.

Upuścił kubki z kawą, wyciągnął broń i wybiegł na zewnątrz, ale motocykl zdążył odjechać i już pędził po drodze. Harmon podbiegł do samochodu i spojrzął na sflaczałą oponę. Kobieta zdążyła uszkodzić tylko jedną. Westchnął ciężko.

- Dlaczego ludzie nie mogą po prostu zaakceptować faktu, że i tak ich zabiję. - Westchnął ciężko. - Dlaczego za każdym razem musimy przez to przechodzić?

- Może nie chcą umierać - rzekł Cecil.

- Zamknij się i zmieniaj koło.

Andy zmierzał na wschód autostradą numer 290 w stronę Austin. Zyskali trochę na czasie, więc trzymał się na granicy dozwolonej prędkości. Gdyby jakiś policjant z drogówki zatrzymał go za przewożenie trzech osób na motocyklu, przynajmniej nie dostałby mandatu za zbyt szybką jazdę. W przeciwieństwie do kilku wielkich ciężarówek, które wyprzedziły ich, pędząc ze sto trzydzieści i trąbiąc na dziewczyny, Andy jechał bardzo spokojnie. Jessie obserwowwała sępniki krążące nad martwym jeleniem, który leżał na poboczu drogi. Jeleń wyszedł zapewne poprzedniego ranka z pobliskiego lasu w poszukiwaniu jedzenia i chciał przejść na drugą stronę jezdnii. Miał pecha. Za to sępnikom się poszczęściło.

Gdy dotarli do Dripping Springs, Andy zjechał do baru Dairy Queen mieszczącego się tuż obok Cattelsman's National Bank. Frankie i Jessie weszły do środka, by coś zjeść i wypić, on zaś, siedząc na motocyklu, próbował ogarnąć całą sytuację. W jaki sposób udało się tym ludziom znaleźć ich w parku? A potem na stacji benzynowej w Henly? Czy znów wpadną na ich trop? Wyglądało to tak, jakby widzieli ich trasę na mapie, jakby dysponowali jakimś urządzeniem lokalizacyjnym...

Andy sięgnął do kieszeni i wyjął telefon. Już wiedział, jak ich namierzali. Wybrał numer Curtisa Baxtera.

- Stary, powiedz mi coś o tych urządzeniach lokalizujących - odezwał się, słysząc w słuchawce głos przyjaciela.

- Andy, właśnie przyjechała po mnie limuzyna Reevesa.

- Zach umarł dziś w nocy.

- Jasna cholera.

- I co z tym sprzętem do lokalizacji? - zapytał Andy po chwili milczenia.

- No tak. Każdy telefon można namierzyć albo przez GPS, albo metodą triangulacji. GPS określa położenie telefonu za pośrednictwem satelity przy użyciu procesu trilateracji.

- Koniec końców, dopóki mam przy sobie telefon, oni mogą mnie znaleźć?

- Jacy oni?

- To długa historia. Ale o to chodzi?

- Tak, o to chodzi.

- Jak mogę temu zapobiec?

- Wyłącz aparat.

- To na pewno pomoże?

- Powinno, chociaż niektórzy twierdzą, że można namierzyć nawet wyłączony telefon.

- To co mogę zrobić, żeby mieć całkowitą pewność?

- Zdejmij tylną obudowę aparatu, wyciągnij kartę SIM, a potem...

- Stary, nie rozmawiasz z blondynką.

- No to go ukryj.

- Telefon?

- Tak.

- Gdzie?

- W miejscu, gdzie nie będą mogli go namierzyć.
- Curtis, tutaj wszędzie są wieże przekaźnikowe.
- Zgadza się, ale nie wszędzie mają zasięg.
- Na przykład gdzie?
- Na przykład w kanionach.
- Albo w pasie zieleni.

Trzydzieści minut później Andy skręcił w Camp Craft Road, którą dotarł aż pod wjazd na teren pasa zieleni Barton Creek. Gdy zaparkował slammiera przy drodze, Frankie i Jessie zeszły z siodelka.

- Zaczekajcie tutaj - powiedział Andy. - Muszę ukryć mój telefon w kanionie.

- Czemu po prostu nie roztrzaskasz go kamieniem? - spytała Frankie.

- Bo będę go jeszcze potrzebował.
- Kiedy?
- Kiedy będę chciał, żeby nas znaleźli.

Andy zbiegł ze Wzgórza Życia i podążając wzdłuż potoku, doszedł do wodospadu Sculpture Falls. Brodząc w płytkiej wodzie, przedostał się do wapiennego głazy pokrytego głębokimi pęknięciami. Wyjął z kieszeni telefon i wsadził go w jedną ze szczelin. Nie było możliwości, aby sygnał komórki przedostał się przez metrową warstwę litej skały. Potem wrócił biegiem do swoich towarzyszek.

- Zapowiada się chłodna noc, a śpiwory i koce zostawiliśmy w tamtym parku - zwróciła mu uwagę Frankie.

- Nie możemy biwakować w tym miejscu. Po zmroku panoszą się tu kojoty i rysie. Nie możemy jechać do mnie ani do Tresa i Natalie, bo ona będzie chciała pokazać Jessie w wiadomościach. Nie możemy zatrzymać się u Dave'a ani u Curtisa, bo nie chcę ich w to mieszać. Nie możemy przenocować w hotelu, bo oni mogą wyśledzić transakcję kartą kredytową. - Andy wsiadł na slammiera.

- Pożycz mi kartę telefoniczną.

Frankie wygrzebała kartę z torebki i podała ją Andy'emu.

- Muszę znaleźć jakiś telefon - oznajmił, uruchamiając silnik. -

Wrócę tu.

- Andy...

- Tak?

- Jeżeli postanowisz tu po nas nie wracać, ja to zrozumiem. To nasz problem, nie twój.

- Wrócę.

Andy podjechał na motocyklu do sklepu, gdzie znalazł automat telefoniczny i zadzwonił do Dave'a. Jego przyjaciel sprawiał wrażenie rozkojarzonego,

- Stary, odłóż na chwilę ten grzebień i posłuchaj mnie. Nie masz jakiejś posesji w okolicy pasa zieleni? Jakiejś niespłaconej i zajętej posiadłości?

- Ten Reeves musi ci płacić fortunę.

- Nie chcę niczego kupować. Potrzebujemy tylko jakiegoś dachu nad głową na dzisiejszą noc.

- Wy? Znaczący kto?

- Nie chcesz tego wiedzieć. Ale to bardzo pilne.

- Jest napalona, co? Czemu nie weźmiesz jej do jakiegoś eleganckiego hotelu? Stać cię przecież, jesteś prawnikiem Reevesa.

- Już nie.

- Nie żartujesz?

- To co z tym miejscem?

- Jest taki dom z widokiem na pas zieleni. Pusty, po prostu się wyprowadzili, zostawili nawet meble. Prąd jest włączony. Podam ci kod do skrytki.

Dave podał Andy'emu kod i adres. Okazało się, że posiadłość znajduje się w odległości zaledwie kilku ulic.

- A jeżeli ktoś przyjedzie obejrzeć ten dom?

- Nikt się nim nie interesował od dwóch miesięcy. Ciężko ostatnio z kredytami.

- A co z sąsiadami? Nie zadzwonią po gliny, kiedy zobaczą światło w oknach?

- Nie. W domu są zainstalowane wyłączniki czasowe. We wnętrzu kilka lamp zapala się o zmroku i gaśnie o północy, żeby złodzieje myśleli, że ktoś tam nadal mieszka.

- Dzięki, Dave. Jestem twoim dłużnikiem.

- Andy, kimże musiałbym do cholery być, żeby nie pomóc najlepszemu kumpłowi? Tylko postarajcie się nie poplamić prześcieradeł, dobra? Są jedwabne.

Po skończonej rozmowie Andy wybrał numer Tresa.

- Co tam u ciebie, Andrew?

Andrew? Jedyłą osobą, która zwracała się do niego w ten sposób, była matka, i to wyłącznie wtedy, gdy w dzieciństwie naprawdę załaził jej za skórę.

- Andrew, pamiętasz, jak skoczyłeś w przepaść, żeby ocalić tamte trzy staruszki?

- Pamiętam.

- Byłeś w tym miejscu od tamtego czasu?

- Cóż, w zasadzie jestem...

- Musimy to powtórzyć, Andrew.

- Co? Zwalić się ze skarpy?

- Nie, usiąść dokładnie w tamtym miejscu i pogadać.

- No dobra, ale najpierw...

- A co powiesz na dzisiaj, Andrew? O czternastej - oświadczył Tres i rozłączył się.

Andy pojechał z powrotem do Frankie i Jessie. Do spotkania pozostało mu pół godziny.

- Muszę iść w jedno miejsce, żeby z kimś się zobaczyć.

- Możemy iść z tobą? - spytała Jessie. - Boję się.

Andy objął ją ramieniem i wszyscy poszli ścieżką.

Tuż przed czternastą nadjechał Tres na rowerze górskim. Cała trójka czekała, siedząc na tym samym kamieniu, na którym Andy odpoczywał owego dnia po upadku. Andy przedstawił wszystkim i zwrócił się do Tresa.

- O co ci chodziło z tym Andrew?
- Nie wiedziałem, czy ktoś nas nie podsłuchuje.
- Twoją rozmowę telefoniczną?
- Człowieku, teraz fedzie szpiegują każdego.
- Ale dlaczego miałiby ciebie?
- Bo zadałem nieodpowiednie pytania.
- Mianowicie jakie?

Tres przeniósł wzrok na Frankie i Jessie, po czym z powrotem spojrzał na Andy'ego.

- Nie ma problemu - uspokoił go Andy.
- Czy to ona? - zapytał Tres, wskazując na Frankie. - Pacjentka X?

- Nie. - Andy skinął głową w kierunku Jessie. - To ona.
- Myślałem, że Pacjentka X jest dojrzałą kobietą.
- To dziewczynka - odparł Andy. - Dziecko X.
- Cóż, miałeś rację. Federalni wszystko o niej wiedzą.
- Znalazłeś coś?

Tres pokiwał głową.

- „Pacjentka X. Analiza kosztów i korzyści”.
- Przeanalizowali to?

- Ogólną koncepcję. Nikt nie wiedział, czy Pacjentka X istnieje naprawdę, czy to jakaś medyczna podpucha, ale przeprowadzili analizy wszystkich hipotetycznych scenariuszy. Wiesz, takie gdybanie, jak w grach strategicznych. Na przykład, czy miałyby dobry czy zły wpływ na gospodarkę. Odkryli, że Pacjentka X mogłaby zrujnować budżet państwa i wpędzić nasz kraj w kolejny

wielki kryzys. Przynajmniej do takiego wniosku doszli na podstawie liczb.

- Jakich liczb?

- Gdyby Pacjentka X była w stanie wyeliminować choćby kilka chorób, znacząco spadłby koszt ubezpieczeń zdrowotnych.

- To przecież dobrze.

- Tak, ale to pestka w porównaniu ze wzrostem składek emerytalnych. Teraz średnia długość życia wynosi siedemdziesiąt cztery lata. A gdyby wzrosła do stu? Ludzie, żyjąc tak długo, doprowadziliby system ubezpieczeń społecznych do bankructwa. Trzeba by podnieść składki do pięćdziesięciu, sześćdziesięciu procent, a gdyby dodać do tego podatek dochodowy, ludzie oddawaliby rządowi dziewięćdziesiąt procent swoich zarobków. To by doprowadziło społeczeństwo do upadku, zapanowałby chaos. Nasze programy socjalne są przewidziane dla ludzi, którzy umierają na czas.

- Ale przecież ja płacę piętnaście i dziewięć dziesiątych procent moich dochodów na ubezpieczenie społeczne. Rząd inwestuje wszystkie te pieniądze, aby mi je zwrócić, kiedy przejdę na emeryturę.

- Andy, to nie jest fundusz powierniczy. - Tres zaśmiał się. - Twoje pieniądze nie są inwestowane. Ubezpieczenia społeczne opierają się na schemacie Ponziego, to znaczy, że pieniądze, które wpłacasz dzisiaj, jutro trafiają do jakichś starców. A to, co zostaje, jest wydawane jak zwykle podatki. W ubiegłym roku nadwyżka ubezpieczeń społecznych wynosiła sto siedemdziesiąt pięć miliardów dolarów, ale nie została zainwestowana w żaden fundusz powierniczy. Przeznaczono ją na program rozwoju rolnictwa, wojnę w Iraku i jakieś niewydarzone wymysły członków kongresu. Ten tak zwany fundusz powierniczy to nic innego, jak pakiet zobowiązań, które rząd ma wobec Urzędu Ubezpieczeń Społecznych.

Te skrypty dłużne dosłownie zalegają w szafach w Waszyngtonie. A fundusz to po prostu jedna wielka ściema dla obywateli.

- Więc rząd jej nie pomoże?

Tres wzruszył ramionami.

- Dzwoniłem do kumpla z FBI, który powiedział, że zostanie objęta programem ochrony świadków, otrzyma nową tożsamość i znajdą jej nowe miejsce zamieszkania.

- Nie potrzebujemy do tego FBI - wtrąciła Frankie. - A jeżeli ona znajdzie się pod nadzorem ochronnym, znowu zrobią z niej dziwoląga. - Potrząsnęła głową. - Jesteśmy zdane tylko na siebie.

- Nie, Frankie. Nie tylko - odparł Andy. - Ja tu jestem.

- Mamo, i co my teraz zrobimy? - zapytała Jessie.

- To, co zawsze robiliśmy. Będziemy uciekać.

Dziewczynka zaczęła płakać.

- Jestem już zmęczona tym uciekaniem. Chcę zamieszkać z Jean, Paulem, Maxem i strusiami. Chcę łowić ryby i uczyć się od Paula gry na gitarze.

Andy odciągnął Frankie na stronę.

- Nie możecie ukrywać się w nieskończoność - powiedział.

- A jaki mamy wybór? Oni nigdy nie przestaną jej zagrażać, dopóki żyje.

Andy spojrzął na Jessie, która siedząc na głazie, płakała z twarzą ukrytą w dłoniach. Potem odwrócił się do Frankie.

- Więc będziemy musieli ją uśmiercić.

Pięć kilometrów dalej Harmon właśnie sięgał po telefon.

- Co zamawiasz? - zwrócił się Cecil do towarzysza.

- Karmelowe macchiato i bezcukrowe ciastko czekoladowe z orzechami.

Cecil wysiadł z samochodu i wszedł do Starbucksa, tymczasem Harmon wybrał numer.

- Gdzie oni są, do cholery?
- Nie wiemy - odparł szef.
- Dlaczego nie wiecie?
- Bo nie możemy namierzyć jego telefonu.
- Dlaczego nie możecie?
- Bo albo zorientował się, że go śledzimy i go wyłączył, albo znajduje się poza zasięgiem. Kiedy tylko złapie sygnał, w ciągu paru minut ustalimy jego położenie.

Harmon zakończył rozmowę.

- I co? - zapytał Cecil, wsiadając z powrotem do samochodu.
- Czekamy.

Andy zajechał pod dom z listy nieruchomości Dave'a, wprowadził kod do skrytki, wyjął z niej klucze i otworzył drzwi.

- O rety! - krzyknęła Jessie, kiedy weszli do środka.

Faktycznie, znaleźli się w rezydencji.

- Rozejrzyjcie się tu. Ja muszę jechać do SoCo i zabrać kilka rzeczy. Jaką pizzę lubisz, Jessie?

- Z pepperoni i kielbasą.
- A ty, Frankie?
- To samo.
- Wrócę za kilka godzin.

Mijała dwudziesta trzecia. Zjedli pizzę, wypili kilka piw i przygotowali wszystko na następny dzień. Jessie zasnęła na tapczanie, a Frankie i Andy oglądali telewizję, leżąc na kanapie. Właśnie leciał film *Tacy byliśmy* z Robertem Redfordem. Frankie oparła głowę na piersi Andy'ego, a on objął ją ramieniem.

- Andy, a gdybyśmy to my ich zabili?

- Nie sądzę, aby nam się udało. To zawodowcy. Ale nawet gdybyśmy zdołali tego dokonać, przysłaliby kogoś innego. Miałś rację, nigdy nie przestaną jej zagrażać. Jest tylko jedno wyjście.

Rozdział 25.

Andy włączył telefon komórkowy.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - spytała Frankie.
- Nie - odpowiedział. - Ale nie mamy wyboru.

Była ósma rano. Znajdowali się na opustoszałym parkingu obok centrum handlowym Barton Creek Square Mall położonym przy węźle numer 360 zwanym Sercem Tekszańskich Autostrad. Po przeciwnej stronie drogi znajdował się pas zieleni, ale w ten niedzielny poranek Andy nie przemierzał leśnych szlaków na rowerze górskim. Tego dnia co innego przyprawiało go o zastrzyk adrenaliny.

- Jedziemy.

Frankie odrzuciła papierosa i przytuliła Jessie, po czym usiadła na fotelu pasażera w bmw Tresa.

- Powodzenia! - krzyknął Tres i odjechał.

Andy patrzył, jak skręcają na rozjeździe i kierują się na północ, a potem otworzył puszkę red bulla.

- Co to jest? - zaciekała się Jessie.
- Paliwo rakietowe.
- Czy to nie zawiera dużo kofeiny?
- Powinno.
- To szkodzi twojemu zdrowiu.

- Mojemu zdrowiu szkodzą dwaj faceci, którzy do mnie strzelają. - Andy wypił zawartość puszkę i obrócił się w stronę dziewczynki. - Jesteś gotowa?

- Jestem przerażona.

- Ja też.

Andy chwycił ją za ramię i lekko uściśnął.

- Rozpuść włosy.

Dziewczynka wyjęła spinkę i potrząsnęła głową, a rude kędzioły rozsypały się po jej ramionach i plecach na czarną kurtkę, którą kupił dla niej poprzedniego dnia.

- Szkoda, że sam już nie mam takich długich - powiedział.

- Dlaczego?

- Teoria Samsona.

Z przeciwległego krańca parkingu wyjechał czarny sedan.

Harmon siedział na miejscu pasażera i rozglądał się, gdy wtem zauważył czarny motocykl stojący na pustym parkingu. Klęczał przy nim Prescott, a obok niego stała dziewczynka. Najwyraźniej miał jakieś problemy z silnikiem.

- Mamy go, szefie - powiedział Harmon do telefonu. - Zadzwoń, jak będzie po wszystkim.

Schował telefon i odbezpieczył glocka.

- Podjedź do nich - zwrócił się do Cecila. - Stuknę ją i zanim zdąży upaść, będziemy z powrotem na autostradzie.

Cecil dodał gazu i rozpędził forda na czarnej asfaltowej nawierzchni parkingu, tymczasem Harmon opuścił szybę w oknie. Prescott zobaczył ich jednak i poderwał się na równe nogi. Wskoczył na siodelko, dziewczynka zajęła miejsce za jego plecami i pomknęli w stronę wyjazdu.

- Cholera, oni uciekają. Nie zgub ich, Cecil.

Rozpędzony motocykl opuścił parking i wpadł na rozjazd, kierując się na północ. Rude włosy dziewczynki powiewały na wietrze, kiedy pędzili przez Scottish Woods Drive.

- To jest Barton Creek Greenbelt. - Cecil wskazał na niezagospodarowany, porośnięty lasem teren po lewej stronie drogi. - Pewnie nazwali go tak od tego marketu. Ma ponad trzysta dwadzieścia hektarów. Rzeczka, wodospady, chyba jest tam całkiem ładnie.

- Powinieneś zabrać tu Harriet na wakacje.
- Ale wtedy nie mógłbym zamówić sobie kurewki.
- Życie jest pełne dylematów, Cecil.

Jechali w odległości zaledwie kilkunastu metrów za motocyklem, ale przy takiej prędkości Harmon nie miał szans trafić dziewczynki. Na szczęście o tak wczesnej porze w niedzielę ruch był znikomy i więcej widzieli cyklistów podążających drogą dla rowerów aniżeli samochodów. Przecięli skrzyżowanie z Lost Creek Boulevard, a w głębi położonej na wschodzie doliny rozpościerał się widok na miasto.

- Popatrz na to. - Cecil westchnął z zachwytem.
- Ty lepiej patrz na drogę.

Harmon musiał jednak przyznać, że Austin było pięknym miejscem. Istny raj w porównaniu z New Jersey. Mógłby tu osiąść na starość, choć w domu trzymał mapę, na której czarnymi kropkami oznaczał każde miasto, gdzie pomógł komuś rozstać się z życiem. Dzięki temu wiedział, czy przypadkiem nie wraca na miejsce jakiejś niewyjaśnionej zbrodni. Po dzisiejszym dniu byłoby lepiej, aby poszukał sobie jednak jakiegoś innego miejsca.

- Przed nami światła - ostrzegł Cecil.
- Na autostradzie?

Samochody zwolniły, aby zatrzymać się na skrzyżowaniu z Bee Caves Road, ale Prescott jechał dalej. Skręcił na pas dla motocykli, wyminął stojące pojazdy i przemknął na drugą stronę na czerwonym świetle.

- Niezły jest.
- Nie zgub ich, Cecil.

Wtem motocykl zaczął zwalniać. Prescott pochylił się nisko i trzymając kierownicę jedną ręką, drugą manipulował przy silniku. Kiedy jednak na skrzyżowaniu zapaliło się zielone, wyrwał gwałtownie do przodu.

- Ma jakieś problemy z maszyną.
- Raczej miał. Ale wciąż jesteśmy blisko.

Minęli rozciągający się po prawej stronie drogi rezerwat Wild Basin Wilderness.

- Siedem kobiet założyło ten rezerwat trzydzieści lat temu - opowiadał Cecil z przejęciem. - Chciały ocalić skrawek dzikiego terenu.

Harmona jednak to nie obchodziło.

- Jedź - warknął.

Droga wspięła się na szczyt wzniesienia, potem opadła w dół, zakręciła łukiem w lewo, a potem w prawo. Po obu jej stronach wyrosły białe wapienne ściany.

- Miliony lat temu wszędzie tutaj było morze - oznajmił Cecil.
- Skutkiem tego są te skały.
- Skutkiem tego? - Harmon spojrzał na swego kierowcę. - Skutkiem tego, Cecil?

- Czytałem o tym zeszłej nocy w tej książce o Austin.

- Myślałem, że oglądałeś powtórki starych odcinków *Seksu w wielkim mieście*.

- Czytałem i oglądałem telewizję. Mogę robić te dwie rzeczy jednocześnie.

- Doprawdy? Więc teraz też zrób dwie rzeczy naraz. Zamknij się i prowadź.

Droga zaczęła opadać w kierunku mostu zawieszzonego nad rzeką. Cecil milczał, dopóki na niego nie wjechali. Wtedy po prostu

musiał się odezwać. Był jak dziecko na wycieczce i nic nie potrafił na to poradzić.

- To most Pennybacker. Żadna z jego części nie dotyka jeziora Austin.

- Ale to wygląda jak rzeka.
- Bo to jest rzeka. Kolorado.
- To dlaczego mówią na nią jezioro Austin?
- Bo znajduje się na terenie Austin.
- Lepiej zamknij się i prowadź.

Przejechali przez most i znaleźli się w kolejnym wapiennym wąwozie, gdy motocykl gwałtownie zjechał z autostrady.

- Ucieka nam.
- Siedzę mu na ogonie.

Prescott przemknął przez skrzyżowanie na zielonym świetle, po czym skręcił w lewo i przejechał pod estakadą. Już mieli skręcić za nim w drogę, przy której stała tabliczka z napisem FM 2222, lecz utknęli na czerwonym świetle. Przed nimi były jeszcze trzy samochody.

- Jedź naokoło.

Choć Harmon odnosił się do niego opryskliwie, Cecil Durant był doskonałym kierowcą. Nigdy nie zawiódł swego partnera i tego dnia też nie zamierzał. Okrążył stojące przed nimi samochody, jadąc po trawiastym poboczu, po czym wjechał na skrzyżowanie, przeciął je na czerwonym świetle i skręcił w lewo.

- Dobra robota, Cecil. On ucieka na wschód.
- Cecil przyspieszył, ale motocykl znikł im z pola widzenia.
- Gdzie oni są?
 - Może zawrócili.

Minęli kilka sklepów żeglarskich i centrów handlowych, a potem znów zatrzymali się na światłach przy River Place Drive. Obok nich zatrzymał się wielki czarny hummer, za którego kierownicą siedziała atrakcyjna blondynka.

- Przy dzisiejszych cenach paliwa i globalnym ociepleniu jeżdżenie czymś takim jest wręcz nieodpowiedzialne - stwierdził Cecil.

- Ale za to jakie cacuszko.

- Ten wóz?

- Nie, w tym wozie.

Gdy zapaliło się zielone i hummer wystartował, jakby był na wyścigach, Harmon zauważył czarny motocykl. Prescott stał na parkingu przed fabryką 3M i znów gmerał przy silniku, ale kiedy skręcili w jego stronę, przejechał przez parking i wrócił na jezdnię, kierując się na zachód. Po chwili przeciął skrzyżowanie, za którym droga skurczona do dwóch wąskich pasów zaczynała robić się niebezpiecznie kręta i pełna stromych zjazdów. Dziewczynka trzymała się kurczowo, kiedy Prescott rozpedził maszynę do stu trzydziestu i nie zwalniał przed zakrętami.

- Wiesz, to nie jest bezpieczne, żeby ona tak jechała bez kasku - zauważył Cecil. - Przecież to jeszcze dziecko.

- Wiesz, my ją mamy zabić.

Cecil pokiwał głową.

- Trafne spostrzeżenie.

Kilka minut później minęli stojący po lewej drogowskaz do Hippisowskiego Grajdołu.

- To słynna plaża - odezwał się Cecil. - Może zajrzelibyśmy tam w drodze powrotnej?

- Nie.

- Ale to plaża dla nudystów.

- No to może na chwilę.

Utrzymywali dystans dzielący ich od motocykla, aż ich oczom ukazała się błękitna tafla wody.

- To Jezioro Trávisa - wyjaśnił Cecil. - Nazwane tak na cześć

William Barreta Trávisa, który zginął w Alamo. Ma sto kilometrów długości, a w niektórych miejscach jest głębokie na sześćdziesiąt metrów. Też o tym czytałem.

- To bardzo interesujące, ale w tej chwili...
- Mam się zamknąć i prowadzić?
- Właśnie.

Podróż na tym odcinku przypominała szaleńczy zjazd kolejką górską. Za kolejnym stromym zjazdem czyhało kilka ostrych zakrętów. Cecil musiał zwolnić, za to Prescott nadal gnał przed siebie, jakby miał zamiar wykonać za nich mokrą robotę. Po prawej stronie drogi wznosiła się skalna ściana, a po lewej pionowe urwisko opadało nad samą wodę. Harmon odetchnął z ulgą, gdy dotarli do skrzyżowania z prowincjonalnym traktem oznaczonym FM 2769.

Prescott odbił w lewo i przyspieszył, mijając przystań. Popędzili w ślad za nim, ale szybko stracili go z oczu na krętej drodze, na której ograniczenie prędkości wynosiło trzydzieści kilometrów na godzinę. Po lewej stronie mieli jezioro, po prawej zaś gęsto zadrzewiony teren. Cecil wprawnie brał zakręty, jak na zawodowca przystało. Minąwszy Geronimo Street, Pocahontas Trail i Navajo Pass wjechali na szczyt wzniesienia górującego nad okolicą. Za miasteczkiem Volente droga znów zaczęła się wić, ale motocykl był tuż przed nimi. Prescott najwyraźniej miał problemy z silnikiem.

Droga biegła wzdłuż brzegu jeziora, okrążając małe zatoczki, które wrzynały się w ląd u stóp skarpy. Jezdnię tylko gdzieniegdzie zabezpieczyły niskie barierki. Znajdowali się teraz wysoko nad poziomem wody, a w zasięgu wzroku nie było żadnych samochodów.

- Teraz - zakomenderował Harmon.

Cecil dodał gazu i znalazł się bezpośrednio za motocyklem.

- Brakuje mu mocy - stwierdził.

Harmon opuścił szybę, wystawił za okno rękę z pistoletem i kilka razy strzelił, ale najwyraźniej chybił.

- Szlag - syknął. - Byłem pewien, że ją trafiłem. Trzymaj się za nim.

Pokonali kilka ostrych zakrętów i znów znaleźli się na prostym odcinku. Harmon wystrzelił kolejne trzy pociski, mierząc prosto w plecy dziewczynki w czarnej kurtce. Mimo to ona wciąż się trzymała. Za kolejnym łukiem droga biegła prosto po krawędzi wzniesienia, pod którym rozciągała się tafla jeziora.

- Stąd ją trafię.

Harmon wychylił się za okno. Oparłszy rękę o lusterko wsteczne wziął dziewczynkę na cel i opróżnił magazynek. Prescott szarpnął się, jak gdyby również oberwał.

- Dostałem ich.

Motocyklem zaczęło miotać po całej jezdni. Prescott, który wyraźnie tracił kontrolę nad kierownicą, pochylił się do przodu, a dziewczynka wraz z nim. Mimo to nie zwalniał, a nawet jechał szybciej. Zniosło go mocno na drzewa, potem gwałtownie skręcił w kierunku jeziora i już nie odbił z powrotem. Masywna czarna maszyna wypadła z drogi i na moment zawisła w powietrzu na tle błękitnego nieba, po czym znikła z pola widzenia.

- O kurwa - mruknął Cecil. - Jak z katapuły.

- Zatrzymaj się tu.

Cecil nacisnął hamulec i zjechał na pobocze, a wtedy Harmon wyskoczył z samochodu i przebiegł na drugą stronę jezdni. Kierowca podążył za nim. Stali na szczycie stromego klifu wznoszącego się nad wodami jeziora, a trzydzieści metrów pod ich stopami leżał roztrzaskany o skały motocykl. Harmon nigdzie nie widział Prescottta ani dziewczynki.

- Tam! - Cecil wskazał palcem.

Oba ciała unosiły się na wodzie, leżąc twarzami w dół.

- Ona nie żyje - stwierdził Cecil.

- Muszę mieć pewność. - odparł Harmon, po czym wyjął pusty magazynek i załadował nowy.

Wystrzelił do niej trzystaście razy. Pociski wzbijały fontanny wody wokół ciała, ale kilka z nich wbiło się wyraźnie w czarną kurtkę.

- No i Dziecko X nie żyje.

- A co z Prescottem?

- Wygląda na to, że się zabił. Ale dostałem zapłatę tylko za dziewczynkę, nie za niego. - Harmon zauważył nadjeżdżający samochód. - Zmywajmy się stąd. Jak się pospieszymy, mamy szansę zdążyć na samolot do Jersey, który odlatuje w południe. Rzygam już tym Teksasem.

- Nie wrócimy stuknąć tego Meksykanina, który zabrał ci spluwę?

- Cecil, my jesteśmy zawodowcami, jak adwokaci albo księgowi. Nie zabijamy z zemsty, w napadzie furii czy dla przyjemności. Zabijamy, bo nam za to płacą. Za Meksykanina również nie dostaliśmy pieniędzy, więc nie będziemy go zabijać. Jako profesjonalista muszę też brać pod uwagę potencjalne zagrożenia. A gdyby jemu się poszczęściło i trafiłby któregoś z nas? Wtedy lądujemy w szpitalu i musimy odpowiadać na pytania policji. To mogłoby pogrzebać nasze kariery, więc zabójstwo Meksykanina nie byłoby mądrym posunięciem.

Cecil pokiwał głową.

- Masz rację. Ty zawsze masz rację, Harmon. Chociaż tak naprawdę mam ochotę odstrzelić tego meksykańskiego sukinsyna, wiesz, z czysto osobistych pobudek.

- Wiem, ja też.

- A możemy chociaż coś zjeść? Konam z głodu.
- Pewnie. Ale już nic z kuchni meksykańskiej.
- Coś z grilla?
- Dobry pomysł.

Harmon Payne i Cecil Durant wsiedli do forda crown victoria, zawrócili i odjechali w kierunku Austin. Po drodze zatrzymali się jednak, by rzucić przelotne spojrzenie na Hippiosowski Grajdół. Jak Harmon zawsze mawiał, „raz się żyje”.

Tres i Frankie przeskakiwali z kamienia na kamień i brodzili w płytkiej wodzie. Znaleźli Andy'ego, który leżał twarzą w dół na brzegu i uklękli przy nim.

Obrócili go na plecy. Miał zamknięte oczy, a z nosa ciekła mu strużka krwi.

- Kurwa, Andy. - Tres poczuł, że ogarnia go rozpacz. - Dlaczego obciąłeś włosy?

Frankie spojrzała na niego zaskoczona i zaczęła klepać leżącego po policzkach.

- To boli - jęknął Andy, otwierając oczy.
- Och, wcale nie uderzyłam cię tak mocno.
- Nie, zderzenie z wodą boli.

Na jego ciele nie było miejsca, które by nie bolało. Woda okazała się twardsza, niż się wydawała.

- Czy ona nie żyje? - Andy podniósł się na łokciach.

Frankie skinęła potakująco głową.

- Tak. - Pokazała unoszącą się na powierzchni jeziora sylwetkę.

Tres, brodząc po kolana, złapał za rudą czuprynę i wyciągnął ją na brzeg. Wtem włosy zostały mu w ręku, odsłaniając głowę łysą niczym kula bilardowa. Głowę manekina.

- A przynajmniej oni myślą, że nie żyje.

- Nic ci nie jest, Andy? - spytała Jessie.

- Czuję się świetnie.

- Twój plan się udał, Andy - oznajmiła Frankie.

Kiedy czarny sedan utknął na czerwonym świetle, Andy i Jessie pognali przed siebie i zjechali na parking przed fabryką 3M, gdzie czekali Tres i Frankie. Jessie zeskoczyła z motoru, a Tres przy-mocował za plecami Andy'ego manekina za pomocą pasa ukrytego pod czarną kurtką. Dzień wcześniej Andy pojechał do SoCo, aby kupić dwie identyczne kurtki oraz pary spodni. Przywiózł także manekina w rudej peruce z okna wystawowego Lucy In Disguise with Diamonds. Patrząc z tyłu, nie sposób było się zorientować, że Andy wiezie kukłę, a nie Jessie.

- Stary, ty skoczyłeś z tego pieprzonego klifu! - mówił z przejęciem Tres, pomagając Andy'emu wstać.

Na skok Andy wybrał dokładnie to miejsce, w którym pionowa skała wznosiła się nad głęboką wodą.

- Gdyby tak nie podskoczyła mi adrenalina, pewnie bym się do tego nie posunął - odparł Andy. - Co ze slammerem?

- Kasacja.

- Tak myślałem.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, a potem Tres potrząsnął głową. Uniósł otwartą dłoń, Andy przybił mu piątkę, a potem padli sobie w ramiona, ściskając się tak mocno, jak tylko mogą dwaj heteroseksualni mężczyźni bez wzajemnego skrepowania.

- Cieszę się, że przeżyłeś.

- Ja też.

- Dziękuję, Andy. - Jessie przytuliła się do niego.

Frankie również wzięła go w objęcia.

- Zostań tu - powiedział, gdy rozluźniła uścisk. - W Austin. Ze mną.

Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go. W policzek. To był serdeczny, przyjacielski pocałunek, ale nie miał w sobie miłości.

- To, co zrobiłeś, było męskie. Myślałam się, nie jesteś jak Mickey. Jesteś dorosły.

- Ale?

- Ale my nie możemy być już Karen i Jessie James. Musimy wyjechać.

Epilog

W pierwszy dzień czerwca dokładnie o wpół do ósmej rano Andy'ego Prescottta obudziła głośna rockowa muzyka. Wyciągnął rękę i wyłączył radio.

Kolejny poniedziałkowy ranek.

Mieszkał znowu w małym domku przy Newton Street w SoCo i znowu jeździł na rowerze do swojego biura i do sądu grodzkiego. Znowu wiódł swoje dawne życie.

Czuł się jak Kopciuszek po powrocie z balu.

Ale nie miał kaca. Nie upił się zeszłej nocy w Güero's. W zasadzie nie pił od dnia, w którym wyjechały Frankie i Jessie. Wtedy to po raz ostatni był pijany, ale potem przestało go to pociągać.

Minęło dwieście trzy dni od ich wyjazdu.

Andy wypuścił Maxa przez drzwi frontowe i pomachał do Liz, która właśnie wyprowadzała swojego psa. Potem wziął prysznic, ubrał się i zaczesał do tyłu włosy, które znów były długie i sięgały mu prawie do ramion. Wyszedł na ganek, gdzie stał stumpjumper, ostatni relikwiny jego dawnego życia. Wskoczył na siodełko i zjechał po stopniach na chodnik przed domem prowadzący do ulicy. Nie skręcił na północ w kierunku Nellie, aby zafundować sobie poranny zastrzyk adrenaliny. Pojechał za to na południe i mknąc James Street, dotarł do kawiarni Jo's. Przy chodniku stał zaparkowany znajomy cadillac escalade, a Lorenzo Escobar stał w kolejce do okienka.

- Lorenzo.

Detektyw przywitał go szerokim uśmiechem.

- Andy, jak się miewasz, bracie? - wyciągnął zaciśniętą dłoń i przybili żółwika.

- Nieźle. Jak interes?

- Niewiernych żon wciąż nie brakuje, więc się kręci.

Lorenzo nasypał cukru do swojego kubka z kawą i ruszył w stronę samochodu, ale przystanął po kilku krokach.

- Andy... zadzwoń do mnie, ilekroć będziesz potrzebował, aby ktoś nad tobą czuwał.

- Dzięki, Lorenzo.

Odprowadził wzrokiem cadillaca, który oddalił się na południe, po czym wziął ze stojaka świeży numer „Chronicle” i podszedł do okienka.

- Dużą?

- Dużą jak nie wiem co.

Guillermo Garza wręczył mu kawę i dwie bananowe muffinki. Andy powiedział mu tylko tyle, że nie pracuje już dla Russella Reevesa i że rozbił slammera. Guillermo wiedział, że nie należy zadawać pytań.

- Nie trać wiary, bracie.

Andy usiadł przy stoliku, rozścielił na ziemi serwetkę i położył na niej babeczkę dla Maxa. Nalał mu również trochę kawy do przykrywki od kubka i zaczął wypatrywać stałych bywalców. Ray wciąż pracował nad swoją powieścią, Darla wciąż podawała lody po przeciwnej stronie ulicy, Oscar wciąż sprzątał w Güero's, George wciąż brzdąkał na gitarze za garść drobników, a Dwight wciąż wywnętrzał się na swoim blogu.

Życie Andy'ego Prescottta zmieniło się raz, a potem jeszcze raz, ale SoCo pozostała taka sama, jeśli nie liczyć nowych tanich mieszkań. Russell Reeves dokończył trzy inwestycje w tej

dzielnicy, budując osiemset domów dla niezamożnych mieszkańców. Nie pojawił się jednak na uroczystym otwarciu ani też nie zamienił już z Andym ani słowa. Ostatnimi czasy rzadko pokazywał się publicznie. Plotka głosiła, że Kathryn Reeves leczyła się w różnych szpitalach psychiatrycznych na terenie całego kraju. Napawało to Andy'ego smutkiem. Nigdy nie był w stanie odczuwać gniewu wobec Russella Reevesa, ponieważ nigdy nie był w jego skórze. Zadawał sobie również pytanie, co mógł zrobić, aby ocalić jego syna.

Andy zjadł ciastko i kupił śniadanie dla Floyda T., po czym wsiadł na rower i pojechał do swojego biura. Został Floyda siedzącego na schodach salonu tatuażu, a obok stał jego wózek sklepowy. Salon był jeszcze zamknięty, więc Andy nie mógł sprawdzić swojej poczty elektronicznej. Każdego dnia żywił nadzieję, że dostanie jakąś wiadomość od Frankie, ale nic nie przychodziło. Wręczył Floydowi śniadanie, wrzucił pięciodolarowy banknot do jego pudełka po cygarach i wszedł po schodach do swego biura. Zabrał stamtąd plik mandatów na ten dzień, plecak, marynarkę i krawat na spinkę, a zwiniętą w rulon gazetę wsunął do tylnej kieszeni, by mieć jakąś lekturę na sali sądowej.

Sędzia Judith spoglądała na niego teraz jak na tragicznego rozbitka życiowego, podobnie jak ludzie, którzy mają dach nad głową, patrzą na Floyda T. „Kiedyś to był ktoś, a teraz zobaczcie, jak skończył”. Prokurator Manning nie zwracała na niego uwagi. Nigdy nie zabawili się w dobrowolne poddanie karze w jej gabinecie. Andy ledwie zdołał wzbudzić zainteresowanie, rozdając swe wizytówki w drodze do wyścicia.

Zajeżdżał do Whole Foods na lunch. Brad i Charlene wciąż traktowali go tak samo, lecz Suzie zaczęła się umawiać z Richardem Olsonem, który nadal jeździł porsche, a Bobbi traktowała go

jak powietrze. Ale też spandex nie był już dla niego najwspaniałszym wynalazkiem wszech czasów. No dobra, wciąż utrzymywał się w pierwszej dziesiątce.

Andy'emu pozostało na koncie dwadzieścia tysięcy zarobione u Russella, które mogłyby jeszcze przez kilka cudownych miesięcy zapewnić mu wysoki poziom życia oraz Suzie i Bobbi, ale to też przestało go pociągać. Gdyby nie miał dopiero trzydziestu lat, zaczęłyby się martwić, że dopada go kryzys wieku średniego.

Zatrzymał się przy sklepie sportowym REI, aby pozdrowić Wayne'a, a następnie pomknął na południe wzdłuż Lamar Boulevard, przejechał na drugi brzeg rzeki i zatrzymał się przed zakładem szewskim Texas Custom Boots. Czarne kowbojki dla ojca szyte na miarę ze skóry łosia były już gotowe. Zapłacił drugą ratę i trzymając pod pachą pudło z butami, popedałował w stronę Congress Avenue. Przejeżdżając, pozdrowił Rondę, która zamiatała ogródek przed restauracją Güero's. Andy wciąż spotykał się tam z przyjaciółmi przy piwie w niedzielne wieczory. Dave i Curtis nadal pozostawali bez damskiego towarzystwa, a Andy na nowo zjednoczył się z nimi w tej niedoli. Curtis był już doktorem Baxterem i na jesieni zaczynał wykłady w Instytucie Technicznym w Massachusetts. Dave odszedł z branży nieruchomości i zatrudnił się w sklepie z damską bielizną na Victoria Street. Gdy przeczuwał, że ma szansę u jakiejś klientki, poświęcał dla niej swoją niższą pracowniczą.

Tres i Natalie wzięli ślub, a ich męski potomek - Arthur Thorndike IV (najwyraźniej w funduszu powierniczym obowiązywała jakaś klauzula dotycząca imion) - miał przyjść na świat lada chwila. Już zarezerwowali dla niego personalizowane tablice rejestracyjne z napisem CUATRO do beemki, którą miał dostać na szesnaste urodziny. Tres rozstał się z urzędem skarbowym i znalazł zatrudnienie w dużej kancelarii prawniczej ze śródmieścia. Natalie

była pewna, że poranny program *Zostań mamą z Natalie* stanie się jej przepustką do wielkiej sieci. Zatrudnili już przyszłą nianię, którą była zmysłowa dziewiętnastoletnia Meksykanka.

Andy zbliżał się już do swego biura, gdy zauważył zbiegowisko przed salonem tatuażu. Przyszło mu na myśl, że Floyd T, doznał kolejnego ataku serca. Nacisnął mocniej pedały, a kiedy dotarł na miejsce, zeskoczył z roweru i zaczął przeciskać się przez tłum.

- Floyd? - zawołał z niepokojem.
- Co?

Andy odwrócił się. Floyd T, siedział jak zwykle na schodach prowadzących do zakładu Ramona.

- Dobrze się czujesz?
- Całkiem nieźle jak na bezdomnego.
- Co tu się dzieje?
- Ona mi się podoba.
- Kto?

Z tłumu zgromadzonych wyłonił się Ramon. Uśmiechał się szeroko, lecz ostatnimi czasy często to robił. Znalazł nowy obiekt swych uczuć, a co za tym idzie, ujście dla swej artystycznej pasji na ciele swej wybranki. Ramon Cabrera czuł się szczęśliwy i spełniony.

- Co się dzieje?

Ramon odsunął się na bok, odsłaniając lśniący wypolerowaną czernią motocykl American Iron Horse. Siedziała na nim śliczna rudowłosa dziewczynka, a obok stała jej atrakcyjna rudowłosa matka. Andy Prescott zawsze miał słabość do kobiet o takim kolorze włosów.

Ramon klepnął Andy'ego w plecy.

- Mam dla ciebie kilka mandatów - rzucił i wszedł do swojego zakładu, gdzie czekał na niego klient.

Andy odwrócił się do rudowłosej kobiety.

- Jestem Connie Cantrell - przedstawiła się. - A to moja córka Cassie.

- Connie i Cassie. Ładne imiona.

- Też tak uznałyśmy.

- A zatem co was sprowadza do mojego zakątka na tym świecie?

- Potrzebuję prawnika.

- Masz jakieś kłopoty?

Kobieta o imieniu Connie pokiwała głową.

- Dostałam mandat i to całkiem spory - odparła. - A słyszałam, że jesteś najlepszym prawnikiem od mandatów w Austin.

- Cóż, nie lubię się przechwalać, ale...

- To zostaniesz moim prawnikiem?

- A wina jest po twojej stronie?

- Całkowicie.

- Widzisz, wygląda to tak, że będę musiał złożyć odwołanie. A potem minie półtora roku, a może dwa, zanim sprawa trafi na wókanę.

- Mam czas. - Connie wzruszyła ramionami. - Nigdzie się nie wybieram.

- Jesteś tego pewna?

- Jestem. Cassie jest zapisana do Świętego Ignacego.

- Idę do czwartej klasy - wtrąciła dziewczynka.

- A ja na uniwersytet stanowy. Wydział Sztuk Pięknych.

- Naprawdę?

- Tak. Znam tam kogoś.

- Zatem jesteś artystką.

- Owszem.

- A ja jeżdżę na rowerze górskim.

- Też bym chciała spróbować.

- Mógłbym cię nauczyć.

- No dobra, ale jedno pytanie. - Connie zawiesiła głos. - Skoro jesteś moim prawnikiem... naszym prawnikiem, to wszystko, co o nas wiesz, pozostaje tajemnicą, prawda?

Andy przytaknął skinieniem głowy.

- To się nazywa przywilej klienta - wyjaśnił. - Twoje sekrety są bezpieczne.

- To dobrze.

- A możemy zobaczyć się z Paulem? - spytała Cassie.

- Oczywiście. A Paul chętnie zobaczy się z tobą. - Andy zwrócił się do Connie: - Mój ojciec...

- Ma nową wątrobę.

Jego ojciec mógł się nacieszyć czarnymi kowbojkami ze skóry łosia. Ale kto musiał umrzeć, aby Paul Prescott mógł żyć? Kto nie został uratowany, aby on mógł otrzymać pomoc? Czy Russell Reeves pociągnął za odpowiednie sznurki, by przenieść Paula na początek kolejki? Czy miliarder kupił jego ojcu dłuższe życie? Andy nie chciał znać odpowiedzi na te pytania. Wiedział jedynie, że wciąż ma ojca, a Paul Prescott nareszcie doczekał się wielkiego przełomu.

- Jak się o tym dowiedziałas?

- Od twojej matki.

- Zadzwońska do niej?

Connie przytaknęła.

- Na uczelnię.

- Nic mi o tym nie wspominała.

- Powiedziała, że potrafi dochować tajemnicy. I że ty też potrafisz.

- A jak się miewa twoja matka?

Connie wskazała palcem do wnętrza zakładu Ramona. Andy przyjrzał się dokładniej i zobaczył, że owym klientem była Coleen O'Hara, która wertowała właśnie katalog tatuaży Ramona.

- Zamieszkała z nami. Kiedy tu się przeprowadziłyśmy, Marty O'Connor sprzedał jej dom i wsadził ją w samolot do Phoenix. Doszłam do wniosku, że nie mogłaby czmychnąć z pokładu boeinga.

- To tam wtedy mieszkaliście? W Phoenix?

- W Seldonie.

- Mają tam niezłe galerie sztuki.

- Rzuciłam tam palenie.

Ramon wystawił głowę przez drzwi salonu.

- Connie, twoja matka mówi, że chce mieć serduszko na pośladku - oznajmił. - Nie masz nic przeciw?

Connie wzruszyła ramionami.

- Teraz już należy do klanu.

- Weź mnie na przejażdżkę - poprosiła Cassie Andy'ego.

- Tylko włóż kask - powiedziała jej matka i podała Andy'emu kluczyk.

Andy wyjął gazetę z tylnej kieszeni i wrzucił ją do kosza na śmieci, a pudełko z butami wręczył Connie. Wziął od niej kluczyk, wskoczył na siodełko slammiera i uruchomił silnik. Potem podciągnął motocykl do pionu, złożył podpórkę i dodał gazu. Gdy spojrzał na Connie, zobaczył, że jej usta się poruszają, ale niczego nie słyszał przez ryk silnika.

- Co mówiłaś?

Kobieta podeszła bliżej.

- Powiedziałam, że ładnie ci z długimi włosami.

A potem go pocałowała. W usta.

Cassie otoczyła go ramionami i przytuliła się mocno, a Andy wrzucił bieg i zjechał z chodnika na Congress Avenue. Dodał gazu i poczuł wiatr na twarzy, a za plecami usłyszał pełen zachwytu okrzyk dziewczynki. Mogę nie być wybitnym prawnikiem, ale jestem jej prawnikiem - pomyślał. - A jej tajemnicy zawsze będę strzegł.